

Joanna
AX
EPILÓG

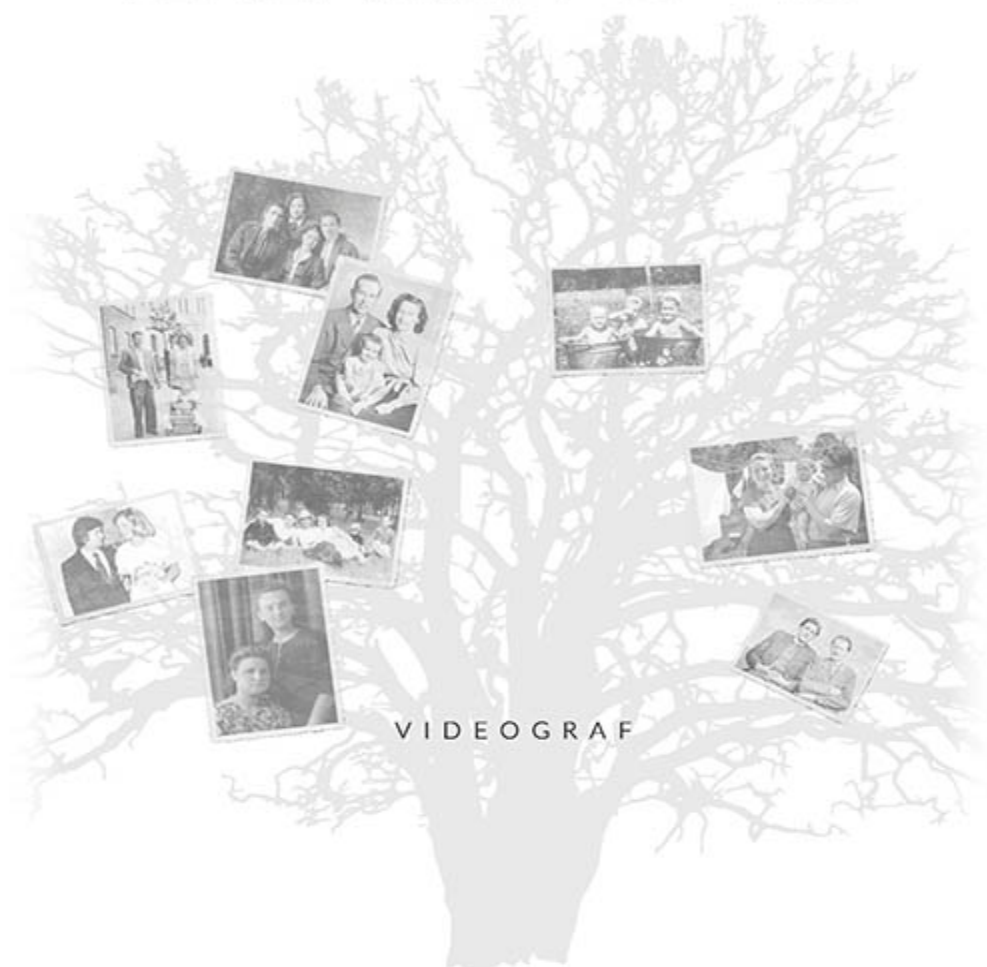
Porywająca opowieść, w której wyjaśniają się losy bohaterów sag
Żemsta i przebaczenie, Żanim nadejdzie jutro,
Prawda zapisana w popiołach oraz Duchy minionych lat

VIDEOGRAF

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Joanna
JAX

EPILOG



Strzeż się, by cię nie zwiodła obfitość i nie zmylił hojny okup. *Hi 36, 18*

Pamięci Michała Falzmana i Jarosława Ziętary

1.

Gdańsk, 1989

Epokowe wydarzenie, którym były obrady Okrągłego Stołu, budziło w Gabrieli Piotrowskiej mieszane uczucia. Nina Ossowiecka, która wraz z małżonkiem odwiedziła Piotrowskich, cieszyła się jak mała dziewczynka, ale jej mąż miał posępną minę i prawie się nie odzywał. Za to Błażejowi usta się nie zamykały.

– To oni im ręce ściskają, zamiast ich posadzić do pierdła? Od razu mówiłem, że ten Wałęsa to szemrany typek. Niby tak wyklinał na komunistów, a teraz proszę, jakich sobie przyjaciół przygruchał. I jeszcze Solidarność zawłaszczył, jakby była jego prywatnym folwarkiem – burczał bardziej do siebie niż do zgromadzonych przy stole osób.

– Wolałbyś mieć w Polsce wojnę domową? – prychnęła Gabriela, której co prawda także nie podobało się bratanie opozycji z komunistami, ale cieszyła się, iż ten parszywy ustrój w końcu rozsypie się jak domek z kart. – Ja tam lubię Wałęsę. Swój chłop. I widać, że mu zależy na tym, żeby coś się w tym kraju zmieniło. Ludwik też tak uważa.

– A bo Ludwiczek to twój syn, a Kostek mój – mruknął Błażej.

– No, chętnie bym zobaczyła, jak go wydajesz na świat – zadrwiła.

Do rozmowy wtrącił się Grzegorz Ossowiecki:

– Komuniści ledwie zipią. Polska jest w ruinie, a zagranica nie chce już finansować opresyjnego reżimu. Ustąpili, bo musieli, a zachowują się, jakby nam łaskę robili.

Grzegorz nigdy nie zaakceptował panującego w Polsce socjalizmu i uzależnienia się od Związku Radzieckiego, który teraz wydawał się kolosem na glinianych nogach. Miał zresztą z tego powodu mnóstwo problemów, a nawet dwa razy siedział w więzieniu. Na szczęście władza zaczęła nieco odpuszczać opozycji w drugiej połowie lat osiemdziesiątych i po amnestii w osiemdziesiątym szóstym Ossowiecki znowu mógł się cieszyć wolnością. Zaprzestał jednak swojej działalności z uwagi na dość zaawansowany wiek i ustąpił pola młodszemu.

– Ja tam się cieszę – odparła stanowczo Nina. – Kochanie, zawsze ci mówiłam, że trzeba z życia czerpać łyżeczkami, a nie chochlą. Dzisiaj podzielimy się władzą, a za kilka lat całkiem ją odbierzemy komunistom.

– Tylko że ci dranie nigdy nie zapłacą za to, co zrobili – syknął Błażej. – W siedemdziesiątym skurczybyki mało mnie życia nie pozbawili, w stanie wojennym też swoje odkiblowałem, a mojego Kostka za granicę wygnali.

– Teraz będzie mógł wrócić – westchnęła Piotrowska i dodała: – Owszem, wygnali naszego syna, ale tylko na dobre mu to wyszło. Kiedy on miał już mieszkanie i samochód, jego brat wciąż mieszkał z rodziną w jednym pokoiku. Co to za życie?

– My mieliśmy gorsze – bąknął Ossowiecki, wpatrzony posepnie w ekran telewizora.

– Dokładnie tak – dodał Błażej.

– Wszędzie była wojna, każdy kogoś stracił albo musiał porzucić swój dom, ale jaką ironią losu jest fakt, że Niemcy, którzy tę wojnę rozpętali, mają teraz sto razy lepiej niż my. Kiedy pojechałam do RFN-u, trzy lata temu, bo w końcu łaskawie dali mi paszport, nie mogłam uwierzyć. Piękne auta, wszędzie czyściutko, a od towarów w sklepach półki się ugiwały. Do tego doprowadził umiłowany socjalizm. Ci, co nami rządzą, na szczęście doszli do podobnych wniosków – odparła Nina.

– Nie mieli wyboru, bo kraj stoi nad przepaścią, ale nie martw się, już oni będą wiedzieli, jak się ustawić w nowym ustroju. Nikt ich nie będzie ścigał, wiedzę o pewnych sprawach mają większą niż niejeden zwykły zjadacz chleba i umoszczą tu sobie przytulne gniazdko, a nasze dzieci będą musiały zaczynać od zera. Tym ludziom należałoby zabrać wszystko, a nie dopuszczać ich do władzy. Oni już rządzą i pokazali, na co ich stać. – Ossowiecki nie dawał za wygraną. Dla niego Okrągły Stół był zdradą, ponieważ uważał, że komuniści powinni zostać rozliczeni ze swoich poczynań i całkowicie odsunięci od pełnienia funkcji publicznych, a nawet wyładować w więzieniach.

– No, takiego Lewina, psubrata, to na dwadzieścia lat bym posadził. Przecież to bydlak... – stwierdził Piotrowski.

– Bóg kazał wybaczać – jęknęła Nina, która mimo upływu lat wciąż drżała o małżonka.

– Właśnie – powiedziała wyniośle Gabriela Piotrowska. – Sam należałeś do partii i korzystałeś... No może mniej z tego, co oferowała PZPR, a bardziej z tyłka tej chudej żmii.

– Ty, Gabryśka, nie zaczynaj, bo zaraz ja zacznę ci wypominać twoich absztyfikantów. Jak nie profesorek od hodowli krów, to koleś od mrożonek.

– Zawsze to bardziej pożyteczne zajęcie niż malowanie bohomazów, których nikt nie chciał oglądać i ciągnęli biedne dzieci do zamku na wystawy tej... tej szkulepy. – Gabriela nie była dłużna.

– Jakoś żarcia od tego nie przybyło. I z nerw mnie nie wyprowadzaj, wystarczy, że tamci – wskazał brodą na telewizor – ciśnienie mi podnoszą.

– Strajki się skończyły, życie wraca do normy, a kiedy nasi wejdą do sejmu, to może wszystko wróci na właściwe tory. I będzie jak w RFN-ie. – Nina postanowiła zakończyć temat, żeby awantura pomiędzy małżonkami nie rozpętała się na dobre.

– Ten wąsaty z Matką Boską w klapie mówi, że będziemy drugą Japonią. Ja to się boję, żebyśmy się przypadkiem nie stali drugim Wietnamem albo Kongo – prychnął Błażej, już bardziej zdenerwowany docinkami żony aniżeli obradami Okrągłego Stołu.

Większość ludzi, zmęczona kryzysem nękającym Polskę, cieszyła się, że nastąpi w końcu przełom. Gospodarka, dotychczas państwowa, miała teraz ruszyć z kopyta dzięki reformom i ustawie Wilczka, ułatwiającej małą przedsiębiorczość. Hiperinflacja, zadłużenie zagraniczne i ogromny dług publiczny, sięgający ośmiu procent PKB, nie wróżyły jednak dobrze. Piotrowscy byli już na emeryturach, podobnie jak Ossowieccy, ale myśleli o swoich dzieciach, dla których droga do świetlanej i zasobnej przyszłości mogła się okazać długa, kręta i wyboista.

– Gabrysiu, a powiedz, co z Kostkiem. Jak mu się układa w małżeństwie? Jak Jaś i Pawełek? – Nina doszła do wniosku, że tylko radykalna zmiana tematu spowoduje, iż Piotrowski i Grzegorz przestaną sarkać.

Okazało się jednak, że ten temat był jeszcze bardziej drażliwy. Gabrysia z Błażem wymienili spojrzenia i milczeli przez chwilę, jakby się zastanawiali, czy powinni powiedzieć prawdę, czy w ogóle nie rozmawiać na temat życia osobistego Kostka. Jednak Ossowieccy byli ich przyjaciółmi i nie było sensu opowiadać głupot.

– Nie ma ten mój chłopak szczęścia do bab. Jak nie esbeczka, to taka, co non stop leżała krzyżem w kościele. A na końcu trafiła mu się całkiem stuknięta – wypalił Błażej. – Kostek się rozwiódł kilka miesięcy temu. I tak żyli osobno, więc teraz może robić, co mu się podoba.

– Może to i lepiej, że się rozstali, skoro im się nie układało? Kostek jest jeszcze młody, więc może sobie ułożyć życie na nowo – westchnęła Nina,

myśląc o swojej córce Julii, która także miała za sobą trudne chwile i ciężki rozwód.

– Niech on już lepiej sobie babami głowy nie zawraca, bo znowu mu się jakaś trafi... nie tego. Chłopcy są odchowani, dobrze się uczą, po co mu brać teraz kolejne problemy na głowę? – Gabriela wzruszyła ramionami.

– Nie pleć, Gabryśka. Bliźniaki potrzebują matki, a Kostek żony – zrugął ją Błażej.

– Kostek się skarży, że co prawda Jaś i Pawełek dobrze się uczą, ale rozrabiaki straszne. Sama miałam bliźniaków, to wiem, że jak jeden co głupiego wymyśli, drugi z miejsca robi to samo – dodała Gabriela.

– Ale Natalia chyba dobra była dla nich? – zapytała niepewnie Nina. – Wiadomo, prawdziwa matka to zupełnie coś innego, ale sami mówiliście, że zakochana w chłopcach...

– Jak byli mali, to owszem. Zresztą... – Błażej się zawahał. – ...Natalia w pewnej chwili to najbardziej zakochała się w butelce. Kostek co chwilę ją na odwyk woził, a w końcu poznała takiego samego straceńca jak ona i poszła w długą... Pewnego dnia oświadczyła, że zakochała się w innym i przeniosła się do kochasia, zostawiając Kostka i dzieci.

– Przecież mówiłaś, że wróciła... – wtrącił się Grzegorz.

– No... wróciła, na kilka miesięcy, a potem znowuż się zakochała i wyniosła z domu. Raz to można przebaczyć, ale drugi to nie bardzo – powiedziała Gabriela.

– Widzisz, jakiego masz dobrego chłopca, Gabryśka. Ja ci dwa razy przebaczyłem.

– Ty lepiej nie zaczynaj, bo ja skończyć mogę! – warknęła. – Tęsknię za Kostkiem, w końcu to mój syn, i za wnusiami, a nie widziałam ich od prawie siedmiu lat. Teraz już nic go nie trzyma w Anglii, może wróci. Chłopcy jakoś się zaaklimatyzują, a ja będę mogła ich częściej widywać. Może powstaną jakieś niereżimowe gazety i w końcu Kostek będzie mógł pisać co chce. Mieszkanie ma, to po Beacie, może wykupi je na własność... Jak ja bym chciała w końcu spędzić jakieś święta ze wszystkimi.

– Gorzej, jak i jemu się nie spodoba to bratanie z komuchami. Znowu podpadnie władzy – mruknął Błażej.

– Julcia wstąpiła do Solidarności Walczącej i także potępia to dogadywanie się z czerwonymi – powiedział dumnie Ossowiecki. – Moja krew.

– To prawda – syknęła Nina. – Zamiast zajmować się domem, bawiła się w politykę. A teraz co? Ani męża, ani wolnej Polski nie wywalczyła.

– Ma kręgosłup, a nie jak ten jej mężulek. Kawał szubrawca...

– A czym ci się tak zięciulek naraził? – zapytał Błażej, ponieważ temat córki Ossowieckich i jej małżonka należał to tych, których nigdy nie poruszano.

– Donosił na mnie i na swoją żonę. Rozumiesz? I za to dostawał pieniądze! A teraz tacy ludzie jak ten gnój będą rządzić tym krajem.

– Startuje w wyborach? – zdziwiła się Gabrysia.

– Tak. I wykrzykuje, że stworzy w Polsce nową lewicę. Podła świnia... – Grzegorz machnął ręką.

– I na niego kiedyś przyjdzie pora – westchnął Błażej. – I na tego skurwysyna, Lewina, także.

2.

Londyn, 1989

W czasie, gdy w Polsce następował przełom, którego nie widziano od końca drugiej wojny światowej, Kostek zastanawiał się nad swoim życiem uczuciowym. Nie miał szczęścia w miłości, bo coś go pchało w ramiona kobiet o pokrętnym i trudnym charakterze. Musiał przyznać, że Monika, z którą rozstał się tuż przed opuszczeniem kraju, należała do tych najuczciwszych, ale była zbyt uzależniona od matki i czegoś, czego nie cierpiał – co powiedzą inni ludzie. On zawsze miał to w głębokim poważaniu, ponieważ podobny był z charakteru do ojca. Ten zaś, gdy wpadał w złość, nie zwracał uwagi na nic, a najmniej na otoczenie.

Natalia Dargiewicz nie należała do kobiet cynicznych, jak Beata Santorska, ani też tak rozmodlonych jak Monika. Miała jednak inne problemy, z którymi Kostek nie potrafił sobie poradzić. Jego żona niekiedy wpadała w przygnębienie, nazywała się zerem, a potem wychodziła z domu, by wracać doń kompletnie pijana. W pewnym momencie był tak zdesperowany zachowaniem Natalii, że postanowił porozmawiać o niej z teściami. Po tym, czego się dowiedział, nieco lepiej rozumiał rozterki żony, ale uważał, iż w pewnym wieku należy zaakceptować fakty i iść przed siebie. A jeśli jest to ponad siły, trzeba skorzystać z pomocy specjalistów. Kiedy jednak zaproponował Natalii wizytę u psychiatry, spoliczkowała go i nazwała śmieciem, który chce z niej zrobić wariatkę.

Potem nadszedł czas licznych kochanków, zmienne nastroje, które Natalia odbijała sobie na Jaśku i Pawle, aż w końcu Kostek nie wytrzymał i rozwiódł się z niezrównoważoną małżonką.

Najbardziej żał mu było całej rodziny Dargiewiczów, którzy zastąpili mu na obczyźnie rodziców i brata. Gdyby nie oni, chyba spakowałby manatki i bez względu na wszystko wrócił do Polski. Hamował się ostatkiem sił, nie tyle z uwagi na oszalałego z nienawiści do opozycji Karola Lewina, ale panującą w kraju biedę. Kostek zapewne dałby sobie radę nawet w kryzysie, ale jego synowie mogliby nie przywyknąć do pewnych spraw. Wychowywali się w dobrobycie, więc trudno byłoby im zrozumieć, że w sklepach są jedynie puste półki, a po podstawowe dobra należy stać w gigantycznych kolejkach.

Wszedł po schodkach domu Dargiewiczów i nacisnął dzwonek. Był już wieczór, w oknach paliło się światło, więc ktoś musiał być w środku. A on koniecznie chciał porozmawiać z kimś życzliwym.

Otworzyła mu Kinga i uśmiechnęła się na jego widok.

– Widzę, że córeczka nie może żyć bez swojej mamusi – powiedział zamiast powitania, a potem uściśnął przyjaciółkę.

– Nie przytulaj mnie tak mocno, bo krzywdę dziecku zrobisz. Jestem w piątym miesiącu ciąży – odparła ze śmiechem.

– O, mały Łyszkin doczeka się siostrzyczki albo braciszka. Co wolisz? – zapytał.

– Dziewczynkę. Moi mężczyźni są cholernymi uparciuchami, może córeczka taka nie będzie. Wchodź, Kostek. Jesteśmy prawie wszyscy.

– Macie jakąś uroczystość rodzinną? – zapytał niepewnie, nie chcąc czuć się jak intruz.

– W pewnym sensie... Po prostu wszyscy jesteśmy podekscytowani tym, co się dzieje w Polsce. Będziemy mogli w końcu tam pojechać. Grześ zobaczy się z rodzicami...

– Przez ten cholerny rozwód nawet nie śledziłem tego na bieżąco... Natalia też jest?

Kinga przestała się uśmiechać.

– Nie, Kostek, nie ma jej. Teraz pewnie spaceruje po Paryżu albo Madrycie, albo Bóg raczy wiedzieć gdzie.

– Tym razem znalazła sobie nieco bardziej zamożnego faceta? – prychnął.

Nie czuł zazdrości, a informację, że Natalii nie ma u Dargiewiczów, przyjął z ulgą. Jego małżonka przez ostatnie dwa lata tak mu dała w kość, że wzdrygał się na samą myśl o spotkaniu z nią.

– Wiesz, że moje relacje z siostrą są dalekie od ideału, chociaż dzięki tobie i tak się trochę poprawiły. Nie wiem, z kim pojechała. Może nawet nie z facetem, tylko z jakąś lubiącą się zabawić koleżaneczką. – Kinga nie chciała robić przykrości byłemu szwagrowi.

Nie zdążył już niczego więcej powiedzieć, bo Kinga wprowadziła go do salonu, gdzie siedzieli nie tylko Dargiewiczowie, ale także Nela z Mateuszem i Grzegorz Łyszkin. Wydawało mu się, że teraz, gdy rozwiódł się z Natalią, potraktują go chłodno, ale każdy przywitał się z nim życzliwie, a po chwili Alicja postawiła przed nim nakrycie, ponieważ wszyscy siedzieli przy suto zastawionym stole.

- Nie chciałbym przeszkadzać – bąknął zmieszany.
- Nie przeszkadzasz – odparł Sergiusz. – A może nawet to lepiej, że jesteś, bo zastanawiamy się, co robić.
- Macie jakieś problemy? – zaniepokoił się.
- Nie martw się, nic złego się nie wydarzyło – powiedziała Nela.
- Oprócz twojego rozwodu – mruknęła Kinga, ale Grzegorz zmroził ją wzrokiem.
- Chcemy wrócić do Polski – powiedział Sergiusz.
- Wszyscy? – zdziwił się Kostek.
- Nie, Nela z Mateuszem zostaną w Londynie i przejmą wszystkie nasze obowiązki. A my chcemy umrzeć na ziemi ojców – westchnęła Alicja. – Chciałabym codziennie pić z Hanką kawę, plotkować o naszych dzieciach... Polska, jakakolwiek by była, jest moim domem i chyba nadszedł dobry moment, żeby do niego wrócić. Teraz już nic mi nie zrobią.
- Będziecie zakładali gazetę w Polsce? – Kostek wyraźnie się rozpromienił. – Może mnie zatrudnicie?
- Kostuś... – Sergiusz się roześmiał. – Jesteśmy emerytami, natyraliśmy się już w życiu. Ale może Kinga się zdecyduje?
- Nie chcę się wtrącać, ale czy Grzesiek nie będzie miał problemów w kraju? Pracował w wywiadzie i zwiął na Zachód, co na pewno nie spodobało się jego zwierzchnikom. Jeśli zaś opozycja kiedyś całkowicie przejmie władzę, może zechce rozliczyć starą gwardię – zauważył Kostek.
- Alicja i Grzegorz Łyszkin wymienili spojrzenia.
- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co będzie. Myślę jednak, że jeśli nie doszło do krwawej rewolucji, to już nigdy do niej nie dojdzie. Wiem, jakie masz zdanie na mój temat, Kostek, ale nie zamierzam się wypierać tego, co robiłem.
- Nie chodzi o to, co ja myślę – obruszył się Kostek. – Moja najlepsza przyjaciółka jest twoją żoną, a jeśli ty będziesz miał kłopoty i jej one nie ominą.
- Dajże spokój, nic mi nie będzie. Moi starzy nie młodnieją, wnuka na oczy nie widzieli... Tak się nie da żyć – westchnął Łyszkin.
- Grzesiek, nie wiem, co zrobiłbym na twoim miejscu, ale jeśli ja wrócę do Polski, będę walczył, żeby tacy jak Karol Lewin trafili za kratki – mruknął.
- Albo ja? – ironicznie zapytał Grzegorz.

– Ty się nade mną nie znęcałeś, a twój braciszek owszem. Nigdy skurwielowi nie zapomnę, że przyłożył mi pistolet do głowy i wyzywał mnie od śmieci – warknął Kostek.

– Przestańcie... – jęknął Sergiusz. – Każdy z nas chowa jakiegoś trupa w szafie, ale to nie znaczy, że mimo wszystko nie możemy normalnie żyć. Nigdy nie odzyskam swojego majątku po rodzicach, ale chciałbym starość spędzić w Polsce, razem z moimi bliskimi. I tak będę musiał się pogodzić z tym, że Mateusza i wnusię będę widywał od wielkiego dzwonu. O Natalii nawet nie wspominam, bo dla niej ojczyzną jest Wielka Brytania, a o Polsce nawet nie chce słyszeć.

– Przepraszam – bąknął Piotrowski.

– Nie przepraszaj, Kostek. Masz prawo czuć żal do Karola, ale mnie do tego nie mieszaj. Lewin jest dla mnie jak brat i nawet jeśli nie zawsze między nami układało się dobrze, będę go chronił. Za wszelką cenę. – Grzegorz Łyszkin mówił wolno i spokojnie, jakby nikt i nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi.

– No, masz ci los! – Alicja parsknęła śmiechem. – Jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji, jeszcze nie wiadomo, co wyniknie z tego całego Okrągłego Stołu, a wy już chwyacie się za łby. Kostek, świat nie jest czarno-biały. Ja przez NKWD i ich pomagierów wylądowałam na Kołymie, ale jeden z nich okazał się inny i mi pomógł. Zapytaj Sergiusza, co pomyślał, gdy poznał Igora w ruinach Warszawy... Miał ochotę rozwalić mu łeb, a dzisiaj? Dałby się za niego zabić. To Igor pomógł wyciągnąć małą Niechowską i Nelę z Konga, a Karol w końcu odpuścił sobie polowanie na mnie. Ludzie się zmieniają.

– Wiem, Alicjo, ale tacy jak Lewin zawsze pozostaną gnojnikami.

– Tak jak twoja pierwsza żona? – zadrwił młody Łyszkin, bo najwyraźniej coraz mniej podobało mu się to, co mówił Kostek. Jego brat nie był święty i zrobił w swoim życiu wiele paskudnych rzeczy, ale Grzegorz nie miał ochoty słuchać, jak ktoś postronny bezustannie go szkaluje i szuka odwetu.

Kostek momentalnie zamilkł. Grzegorz Łyszkin miał słuszość – Lewin był takim samym resortowym aparatczykiem jak kobieta, która urodziła mu dwóch synów i pewnego dnia została jego żoną. Może nie przystawiała nikomu pistoletu do głowy, ale brała udział w haniebnej historii, która o mały włos nie rozwaliła małżeństwa Nadii Niechowskiej i Kuby Staški. Oczywiście Karolek miał w tym swój udział, chociaż Bóg raczy wiedzieć,

jakie miał pretensje do męża swojej kuzynki. Lewin był mendą, ale Kostek nie zamierzał już się wypowiadać na jego temat, bo Łyszkin znowu wypomni mu związek z Beatą, a o niej źle mówić nie chciał. Santorska nigdy nie zrobiła mu krzywdy, jednak wielu innych nie mogłoby powiedzieć o niej tego samego. Niekiedy myślał sobie, iż Beata była takim Lewinem w spódnicy.

Postanowił zmienić temat.

– Zanim nasz kraj się dźwignie, może upłynąć wiele lat... I to mnie trochę martwi. Jasiiek i Paweł przyzwyczajeni są do innego życia, a są na tyle duzi, by rozpoznać różnicę. Nie wiem, jak przyjmą wiadomość o wyprawdzie do innego kraju i, co tu dużo mówić, biednego i zacoфанego.

– Właśnie, i to jest nasza szansa. Nawet niewielki kapitał będzie w Polsce mile widziany. To najlepszy czas na robienie interesów. Nie wiem, czy akurat branża wydawnicza będzie tak bardzo opłacalna, ale można by pomyśleć o jakimś sklepie, butiku czy małej firmie produkcyjnej – powiedział Sergiusz. – Jeśli ma się pieniądze, wszędzie można się urządzić.

– Nie mam kapitału – westchnął Kostek. – Ale cholernie chciałbym wrócić do kraju.

– A ja bym chętnie odkupiła dworek w Chełmicach. Odrestauruję go i otworzę szkółkę jeździecką – powiedziała Alicja.

Sergiusz spochmurniał, zapewne dlatego, że nie chciał wracać wspomnieniami do wielkiej miłości, którą niegdyś jego żona darzyła Juliana Chełmickiego. Pani Dargiewicz chyba się zorientowała, że palnęła głupstwo, więc dodała:

– Chciałabym, żeby Sergiusz poczuł się jak w rodzinnym domu. Moi nieżyjący teściowie mieli niegdyś hodowlę pięknych rumaków.

– Nie musisz w tym celu kupować akurat dworku po Chełmickich – burknął Sergiusz.

– Amelia obedrze cię ze skóry. – Kinga zachichotała. – Obawiam się, mamusiu, że ona dziedziczy po Chełmickim i jeśli w Polsce zrobi się normalnie, zechce odzyskać ojcowiznę.

– Wiem, dlatego chcę ją upредить – wycodziła Alicja.

– Chciałabym zobaczyć minę Amelii, kiedy się o tym dowie – powiedział z obłudnym uśmiechem Grzegorz.

– W takim razie postanowione. Wracamy do Polski! – ucieszyła się Alicja.

Kostek już dawno nie widział swojej teściowej tak podekscytowanej. Żałował, że Natalia nie była ani trochę podobna do matki.

3.

Warszawa, 1989

Karol Lewin nie czuł strachu przed zmianami. Może dlatego, że tacy jak on mieli wszystko pod kontrolą. Każdy ruch władz był przemyślany i przygotowany. Większość Polaków, oglądając obrady Okrągłego Stołu, nie miała pojęcia, że jest to jedynie teatrzyk, bo wszystko zostało ustalone na spotkaniach w tajnym ośrodku w Magdalence. Oczywiście, miał świadomość, że pewnego dnia opozycja i zwykli zjadacze chleba zechcą się odciąć grubą kreską od starej władzy, ale zapewne do tego czasu tacy jak on będą już w nowej Polsce świetnie ustawieni.

Karol ani przez chwilę nie żałował, że przeniesiono go do Wydziału I MSW. Zmiana ta była dla Lewina posunięciem idealnym z wielu powodów. Po pierwsze, otrzymał stopień podpułkownika, a po drugie, po zamordowaniu przez jego pion księdza Jerzego Popiełuszki wydział, w którym pracował, stał się najbardziej znienawidzoną przez Polaków komórką SB. A Lewinowi było to najmniej potrzebne, bo każdy, kto miał nieco oleju w głowie, wiedział, że wszystko, co tworzyli do tej pory, lada chwila się rozpadnie. W Związku Sowieckim pojawił się Gorbaczow, gospodarka państw socjalistycznych dogorywała i każde dziecko wiedziało, że za chwilę zdechnie. A wówczas rozpocznie się polowanie na takich jak on.

Grzegorz Łyszkin pozostał za granicą, ale nie odszedł ze swojego resortu, tylko pracował w nim aż do tej chwili. Jako rezydent obcego kraju stał się w pewnym momencie bardzo cenny i wcale nie chodziło o sprawy związane ze szpiegostwem... Oto zdesperowana władza oraz służby, zarówno wojskowe, jak i cywilne, połączyły siły i postanowiły stworzyć za granicą specjalny fundusz. Pieniądze z Polski miały być wyprawdane do państw kapitalistycznych, a służyć miała temu specjalna ustawa, którą klepnięto w czasie, gdy jeszcze rządził stary układ. Powołano drugi już Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego i nadano jego szefowi nieograniczone wręcz kompetencje. Za pośrednictwem zaufanych osób zakładano na Zachodzie firmy, które miały skupować polskie długi. Krajowa gospodarka była w tak fatalnym stanie, iż można było nabyć zobowiązania za dwadzieścia, a nawet piętnaście procent rzeczywistego

zadłużenia. Było to niezgodne z międzynarodowym prawem, dlatego owe firmy służyły musiały być prywatne i zakładane przez rezydentów obcych państw.

W praktyce FOZZ miał być kopalnią złota dla starej nomenklatury, która poprzez sieć owych spółek wyprowadzi miliony dolarów do rajów podatkowych. Po przemianach ustrojowych chciano zaś, by pieniądze powróciły do kraju, jako obcy kapitał, który wykupi za niewielkie kwoty państwowe przedsiębiorstwa, media i banki. To z kolei pozwoli odzyskać władzę pod innym szyldem, ewentualnie da szansę na spędzenie reszty życia w luksusie i spokoju, bowiem wielkie pieniądze dawały i jedno, i drugie. Gdy więc stary system sypał się w gruzy, młody Łyszkin mógł się pochwalić brytyjską rezydencją i założyć kilka spółek, przez które niebawem zaczęły płynąć ogromne pieniądze.

Już w połowie lat osiemdziesiątych powstał w wywiadzie wojskowym supertajny Wydział Y, który przygotowywał się na zmianę władzy i szykował sobie miękkie lądowanie. Teraz czekali jedynie, by swoje plany wprowadzić w życie. A Karol Lewin miał okazję stać się bardzo bogatym człowiekiem i pokazać swojej byłej partnerce, że i on potrafi robić pieniądze.

Wrócił do domu późnym wieczorem. Jego nowej dziewczyny, Darii, jeszcze nie było, ale dostrzegł, że w pokoju Mikołaja wciąż pali się światło.

– Darii jeszcze nie ma?! – krzyknął.

– Nie, pojechała po towar do Białegostoku i powiedziała, że zostanie tam na noc. – Usłyszał głos Miśka.

Otworzył drzwi i zobaczył syna pochylonego nad książką. Siedział przygarbiony przy swoim biurku i nawet nie popatrzył w jego stronę, a stojąca na blacie lampka oświetlała jedynie rozłożone zeszyty i książki. To było dość nietypowe zachowanie, bo z reguły, gdy Lewin wracał do domu, syn wychodził ze swojego pokoju, by opowiedzieć, jak mu minął dzień. Fakt, że tego nie zrobił, wydał się Karolowi niepokojący.

– Stało się coś?

– Nie – mruknął Mikołaj.

Karol zapalił górne światło i podszedł do syna. I wtedy zobaczył, że Mikołaj ma rozciętą wargę i opuchnięte jedno oko.

– Kto ci to zrobił? Mikołaj... Może trzeba jechać na pogotowie? Byłeś u matki, co ona ślepa jest czy co? – Lewin się zdenerwował.

– Nie byłem u matki. Zadzwoiłem, że nie przyjdę do niej, bo umówiłem się z chłopakami na pizzę. Jak zwykle zaczęła się śmiać, iż nie mam pojęcia, jak powinna wyglądać prawdziwa pizza i że ciasto nie może mieć grubości kajzerki... Nie chciałem, żeby wypytywała albo ciągała mnie po szpitalach.

– Ale mnie chyba możesz powiedzieć, co się stało – burknął.

– Pobiłem się z takim jednym...

– Jak się nazywa? Gdzie mieszka? – Karol zamierzał jak najszybciej dorwać gówniarza, który skrzywdził jego syna.

– Przestań! – krzyknął Mikołaj. – Przestań mnie przesłuchiwać... Nie chcę, żebyś załatwiał za mnie takie sprawy!

Lewin westchnął.

– Dobrze, będzie jak zechcesz, ale może przynajmniej mi powiesz, dlaczego lejesz się z jakimiś oprychami.

– Przez ciebie...

– Słucham? – Karol był szczerze zdziwiony.

– Robert z mojej klasy powiedział mi, że takich jak ty będą teraz wieszać na latarniach. Podobno skatowałeś kiedyś jego ojca... No, to dałem mu po mordzie. A on skrzyknął chłopaków, żeby łać esbeckie ścierwo.

– I ja mam to tak zostawić? – Lewin sądził, że jego syn pobił się o jakąś ładną dziewczuchę i nawet nie przyszło mu do głowy, iż stało się to z jego powodu.

– Tak, masz to tak zostawić! – syknął. – Jesteś moim tatą i nie pozwolę, żeby jakiś śmieć cię obrażał. I nie mów nic mamie.

– Matce nic nie powiem, ale nie chcę, żebyś przeze mnie obrywał. Przeniosę cię do innej szkoły.

– To nic nie da, tato. Zawsze znajdzie się ktoś, komu nie spodoba się moje nazwisko.

– A na kiedy umówiłeś się z matką? Przecież ta opuchlizna tak szybko nie zejdzie, a nawet jeśli, będziesz miał siniaka.

– Ty pewnie nie zostawiałeś takich śladów – burknął Mikołaj.

Karol poczuł się tak, jakby właśnie sam oberwał w twarz. Nie miał pojęcia, co powinien w tym momencie powiedzieć synowi. Jeszcze kilka lat temu miałyby dziesiątki wymówek, ale teraz, gdy sytuacja w Polsce zmieniła się diametralnie, mógł jedynie milczeć albo zaprzeczać. Postawił na to drugie.

– Nie biłem ludzi, tym zajmowali się niżsi rangą.

– Jasne, Hitler pewnie też nikogo nie zamordował własnymi rękami.

– Mikołaj! Jak ty, kurwa, do mnie mówisz?! – zdenerwował się Lewin, bo chociaż kochał swoje dziecko nieprzytomnie, nie mógł pozwolić, by mówiło do niego w taki sposób.

– Przepraszam, tato – odparł cicho i dodał: – Do mamy pojedę, gdy siniak zejdzie. Zresztą pewnie i tak by nie zauważyła, jest teraz zajęta swoim nowym facetem. Wprowadza się do niej.

Lewin aż otworzył usta ze zdumienia. Dotychczas Amelia z nikim się nie spotykała, usiłując uzyskać u Karola odkupienie i na powrót się z nim związać. Przez sześć lat jednak Lewin nie był w stanie jej wybaczyć tego, co zrobiła, i chociaż przez ten czas miał liczne kochanki, informacja o mężczyźnie w życiu Amelii nie spodobała mu się. Nawet bardzo. Pomyślał, że jego nastoletni syn będzie musiał patrzeć na łajdactwa swojej matki, choć przecież on sam zamieszkał z kobietą. Uważał jednak, że jemu, jako mężczyźnie, można więcej. A może oszukiwał się i lubił czuć wielką miłość Amelii, a jeszcze bardziej karać ją swoim chłodem? Tymczasem jego kobiecie najwyraźniej znudziło się czekanie i postanowiła ułożyć sobie życie.

– Co to za jeden? – zapytał.

– Mówiłem ci, kolega z klasy. Jego ojciec jest w Solidarności...

– Nie pytam o kumpla, tylko o nowego fagasa matki. – Głos Karola zrobił się zimny jak lód.

– Nie wiem... – Wzruszył ramionami. – Jeździ mercem, ma szmalu jak lodu i chce, żebyśmy w wakacje polecieeli na Wyspy Kanaryjskie.

– Najpierw musiałbym wyrazić na to zgodę! – warknął Lewin.

– Tato... Ale ja chciałbym polecieć na Kanary. Albo gdziekolwiek bez babci i dziadka Imhoffów. Oni mnie traktują, jakbym cały czas miał pięć lat.

– Dlatego wolisz podróżować z obcym gachem matki? Przysięgam ci, Misiek, że niedługo będziesz z ojcem latał po całym świecie.

– Jak na razie to wszystkie fajne rzeczy kupuje mi mama albo Daria – odparł Mikołaj.

Tak, Lewin musiał stwierdzić, że jego syn jest podobny do Amelii – za dużą wagę przykładając do dóbr materialnych. Może był wobec niej niesprawiedliwy, ponieważ dla niego dopuściła się nawet zbrodni, a dla dziecka powróciła do kraju nękanego kryzysem, jednak wcale nie zamierzał być wobec niej uczciwy. Zbyt wiele żalu w sobie nosił, by być

obiektywnym. Wiedział, że cokolwiek się stanie, nigdy nie zapomni Amelii tego, co zrobiła. Zbyt dobrze pamiętał dzień, kiedy powrócił do domu i znalazł jedynie rzeczy swojego synka i pachnący perfumami sweter Amelii. Nigdy wcześniej ani też nigdy potem nie czuł się tak bezradny i zdruzgotany jak wówczas. Gdyby nie Grzesiek Łyszkin, zabiłby tę sukę bez mrugnięcia okiem. Teraz jednak cieszył się, że tego nie zrobił. Jego syn miał kochającą matkę, a on czekał na moment, kiedy jej wybaczy. Może już będzie za późno, by mogli odbudować swoją relację, ale przynajmniej nie będzie czuł bólu na myśl o niej.

Zdawał sobie sprawę, że potrafił być zimnym skurwysynem, a jednak dwukrotnie złamała go miłość do kobiety. Najpierw ta pierwsza, nieszczęśliwa i szalona do kuzynki, a potem ta druga, do Amelii. Dlatego nie chciał się już angażować ani kochać, bo wciąż pamiętał, co czuł, gdy odepchnęła go Nadia, a kiedy przemógł się i wpuścił Amelię do swojego serca, ta zrobiła w nim prawdziwą demolkę. Miewał kochanki, z Darią nawet postanowił dzielić życie, ale wiedział, że nigdy nie obdarzy żadnej kobiety takim uczuciem, jakie żywił do Amelii. Może dlatego, że dała mu coś najcenniejszego w życiu – jego syna.

4.

Sopot, 1989

Wszystko było nie tak. Wojtek nie pachniał jak Karol, nie mówił jej takich rzeczy jak on i nie czuła się jak wówczas, gdy na jej drodze stanął Lewin. Jednak wiadomość, że z jej ukochanym zamieszkała inna kobieta, podobno młoda, zgrabna i zaradna, była dla niej szokiem...

Przez sześć pieprzonych lat żyła jak mniszka. Opiekowała się synem, starała się, żeby Karol jak najrzadziej widywał Imhoffów i była potulna jak baranek. Czekala... Na wybaczenie... Cały czas się łudziła, że Lewin wciąż ją kocha i pewnego dnia wróci do niej, ale jeśli wprowadziła się do niego jakaś Daria, to chyba najwyższa pora, żeby ruszyć z miejsca. Amelia była zadbana i wciąż piękna, nie chciała marnować życia na coś, co może się nigdy nie ziścić.

I wtedy w jej życiu pojawił się Wojtek. Kiedyś mawiano o takich w Polsce „badylarz”, teraz jednak każda przedsiębiorczość była mile widziana i nikt już nie kpił z zaradnych osób. Jej nowy wielbiciel był przystojny, dobrze ubrany i tak szarmancki, że Karol przy nim jawił się jako niewychowany prostak. A jednak to za tym drugim tęskniła każdej nocy i nawet usiłowała sobie wmawiać, że brakuje jej nie tyle Karola, co jakiegokolwiek mężczyzny. Zwłaszcza w łóżku.

Kiedyś sypiała na przemian z Grzegorzem Łyszkinem, własnym mężem i Karolem, teraz jednak okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Mimo że Wojtek bardzo się jej podobał, nie potrafiła odnaleźć się w jego ramionach. Po prostu nie czuła podniecenia i nawet zastanawiała się, czy przypadkiem nie przekwita. A jednak wystarczyło wspomnienie czy myśl o Karolu Lewinie, by zalewała ją fala pożądania.

– I jak ci było, Amelko? – zapytał Wojtek i podпалиł papierosa.

– Cudownie – skłamała i dodała: – Mnie też daj...

– Przecież nie palisz – zdziwił się.

– Ale teraz mam ochotę. I proszę, nalej mi jeszcze wina.

– Upijesz się, jeszcze z tobą nie skończyłem. Jesteś... doskonała – powiedział.

„Właśnie dlatego muszę się uchlać” – pomyślała Amelia, bo wiedziała, że Wojtek zbyt długo czekał na ich wspólną noc, by teraz poprzestać na

jednym razie.

Milczała przez chwilę, a potem postanowiła zmienić temat.

– Wiesz, zamierzam otworzyć swoje butiki także w Krakowie i Wrocławiu.

– Najpierw doprowadzimy do porządku ten lokal w Sopocie. Lokalizacja jest niezła, ale to ruina.

– Wojtuś, polskie kobiety spragnione są luksusowych ciuchów i gotowe są kupować je nawet w „szczękach”. Ściany pomaluję na czerwono, dodam trochę złoconych ram, subtelne oświetlenie i muzykę, a wtedy poczują się jak w paryskim Lafayette.

– Tak, ceny także masz podobne. – Roześmiał się.

– Myślę, że lada moment uwolnią złotówkę. Może kurs nieco spadnie.

– Kochanie, przy tej inflacji może jedynie urosnąć. Chiny... Tam jest potencjał.

– Nie będę handlowała badziewiem – obruszyła się Amelia.

Sprowadzała do swojego butiku najlepsze marki. Owszem, kupowała je okazjnie, bo nikogo nie byłoby na nie stać, gdyby sprzedawała je po regularnych cenach, ale nie zamierzała handlować tureckim i chińskim gównem, które powoli zalewało polski rynek.

– Na wszystko będzie ssanie. Tenisówki, dresy, koszulki... czy gadżety do kuchni... Kochana, ja ci mówię, sprzedasz wszystko. Butiki niech sobie będą, ale można by wynająć jakiś magazyn i przywieźć z Chin trochę tanioszki dla ubogich. Przebitka pewnie będzie ze sto procent albo i lepiej. Ich waluta nie stoi tak wysoko jak dolar czy marka – perorował Wojtek, który tylko czekał, by zrobić interes na handlu rzeczami, których próżno było szukać w polskich sklepach. Nie miało znaczenia, że jakość tych produktów pozostawiała wiele do życzenia, ale można się na tym było nieźle dorobić.

Z butiku Amelia żyła zupełnie przyzwoicie, ale zamierzała odzyskać dworek po ojcu, Julianie Chełmickim, i odnowić go. A to wymagało ogromnych pieniędzy. Owszem, sprzedawała udziały w „New Lady” Dargiewiczom, ale jej oszczędności nieco stopniały, gdy postanowiła zainwestować w butik.

Było coś jeszcze... Liczyła, że kiedy w Polsce zmieni się władza, pieniądze zaczną być równie ważne co w Europie Zachodniej, a jej Karolek nie będzie mógł liczyć w nowym państwie na tak intratną posadę, jak dotychczas. A nawet jeśli, to zarobi grosze. Tymczasem ona podaruje mu w

prezencie posiadłość po dziadku i może wówczas Lewin zrozumie, jak bardzo Amelia go kocha. Jeśli zaś nowa władza zechce go rozliczyć za działalność w poprzednim reżimie i będzie musiał uciekać, ona wyciągnie do niego pomocną dłoń.

– To co, Wojtek? Zakładamy spółkę? – zapytała.

– Amelio, leżymy nadzy w łóżku – jęknął.

– Przecież nie mówię, że mamy ją założyć teraz. Możemy to zrobić jutro.

– Uśmiechnęła się sztucznie, bo wolałaby omawiać teraz ich wspólny interes niż kochać się ponownie z Wojtkiem.

– Kobieto, co ty ze mną robisz...? – szepnął. – Jestem nawet gotów zapoznać cię z moimi chińskimi partnerami.

– Nie potrzebuję aż tak wiele... Wystarczy, że twoi skośnoocy kontrahenci zapakują na statek co trzeba i wyślą do określonego portu. Teraz w Polsce wszystko się zmieni...

– Tak, kochanie. I mam nadzieję, że te ubeckie mordy skończą w więzieniach – westchnął.

Nie odpowiedziała, bo kochała jedną z takich ubeckich mord i modliła się niemal codziennie, by nie zechciano rozliczać takich ludzi. Wtedy bowiem mogłoby się okazać, że jej mężczyzna resztę życia spędzi w więzieniu. Na szczęście miała plan awaryjny, a przede wszystkim idealną polisę dla nich obojga – obywatelstwo niemieckie i szwajcarskie oraz dwieście tysięcy funtów zdeponowanych w jednym z genewskich banków.

5.

Warszawa, 1989

– Nigdy nie sądziłam, że to, na co tyle lat czekałam, wzbudzi we mnie więcej lęku niż radości – westchnęła Hanka Lewinówna, gdy już cała rodzina, oprócz Grzegorza, zasiadła do niedzielnej kolacji.

– Czemu się tak cykasz, babciu? – zapytała Majka i nałożyła na talerz kolejny kawałek kurczaka.

– Jesteś już dorosłą kobietą po trzydziestce, a mówisz „cykasz”? – Igor Łyszkin popatrzył na wnuczkę znad okularów w cienkich srebrnych oprawkach.

– Ładnie ci w tych nowych okularach, dziadku. Tylko mają szkła jak denka od jaboli. – Majka wyszczerzyła zęby.

– Tobie to by się jakiś facet przydał. Może byś wydorosła – mruknął Karol i dodał: – W następną niedzielę przyjdę z moją dziewczyną. Ma na imię Daria.

– Z nową dziewczyną? – Majka parsknęła śmiechem. – I kto tu musi wydorosnąć? Sądząc po imieniu, ma zapewne jakieś dwadzieścia lat, nogi do szyi i łasi się do ciebie, gdy chce sobie sprawić nową bluzeczkę – odcięła się.

Sądziła, że wuj Karol się nieco zawstydy i przestanie jej wypominać zachowanie godne nastolatki, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Kochana Majeczko, Daria ma tyle lat co ty i nie szuka sponsora, bo prowadzi butik i zarabia lepiej ode mnie. Może niedługo to ja się stanę utrzymankiem, bo nie wiadomo, co to teraz będzie – odparł.

– Masz słabość do kobiet z butikami. – Nadia się uśmiechnęła. – Czy to teraz taka moda?

– Nic nie będzie – wtrącił się Igor. – Nie po to Kiszczak z przyległościami przeprowadził kontrolowaną rewolucję, żeby uciepać w nowym systemie. Już oni w Magdalence się zabezpieczyli. Wóda lała się strumieniami i panowała familijna atmosfera.

– Właśnie, a tak nie powinno być – odparła Majka. – Nie żebym wam źle życzyła, ale wszystkich ze starego systemu należałoby wyeliminować.

– Majka, co ty gadasz? Postawić pod ścianą czy co? – zachnęła się Hanka Lewinówna.

– Nie, babciu. Nie mówię o takich drastycznych scenach, ale tacy ludzie nie powinni zajmować eksponowanych stanowisk.

– Bzdura! – Igor machnął ręką. – Zanim wyszkolą nowe kadry, kto będzie rządził w wojsku czy milicji? Żółtodzioby?

– Fakt, przecież tymi resortami rządzą sami swoi – mruknęła. – Nie mogę zostać zbyt długo, jadę na koncert do Łodzi.

– To było rozczulające, gdy miałaś osiemnaście lat – powiedział złośliwie Karol. – Ale jesteś już dorosła, a wciąż przygrywasz do kotleta.

– Pieprzysz, wujas. Nawet nie masz pojęcia, ilu ludzi przychodzi na koncerty rockowe. I zapewniam cię, że nie ma tam żadnych kotletów. Ludzie śpiewają, tańczą i dobrze się bawią. A ja chcę być jak Kora Jackowska.

– Tylko włosów sobie nie hebluj jak ona. – Igor zarechotał.

– Bardziej mnie martwi, że mój dziadek jest ruskim komunistą, a wujkowie są esbekami. To mi nie wróży świetlanej kariery – westchnęła.

Majka czuła się w towarzystwie na Saskiej Kępie dość osamotniona, ponieważ jej kuzyni byli zbyt młodzi, by mogła się z nimi zaprzyjaźnić, a cała reszta zbyt stara, by mogła z nimi nadawać na tych samych falach.

– Grzegorz nigdy nie był w SB – powiedziała z naciskiem Hanka.

– Babciu, jeden pies. Wszyscy pracowali dla Moskwy – wypaliła i chwilę potem opuściła dom dziadków.

Lubiła swoje niepokładane życie – codzienność w wynajętym z kumplami z zespołu mieszkaniu albo w trasie. Właściwie żyła na walizkach i nie miała żadnych planów. Bo jakże mogła mieć jakieś cele w takim kraju jak Polska? Wierzyła, że teraz wszystko się zmieni, a ona nie będzie musiała czekać na własne mieszkanie trzydzieści lat, tylko weźmie kredyt i kupi je od ręki albo wynajmie za przyzwoitą kwotę, tak jak to miało miejsce na Zachodzie.

Niekiedy myślała o emigracji, ale była zbyt przywiązana do swojej rodziny, by wyjechać za granicę z myślą, że być może już nigdy więcej nie zobaczy swoich bliskich. Jej wuj, Grzesiek, nie był w Polsce od sześciu lat. Nie miała pojęcia, co czuje, gdy jest tak daleko, ale obserwowała reakcje dziadków na rozłąkę z synem. Byli przygnębieni, a każda rodzinna uroczystość kończyła się łzami Hanki i milczeniem dziadka Igora. Grzesiek miał żonę i syna, więc pewnie nie tęsknił tak mocno, ale ze starymi Łyszkinami było zupełnie inaczej. Oni cierpieli i chociaż Igor był starym komuchem, chyba mu ulżyło, gdy sytuacja w Polsce zaczęła się zmieniać.

Jeśli socjalistyczny reżim się poddał, nadszedł powiew wolności i demokracji, to oznaczało, że Grzegorz Łyszkina będzie mógł przyjechać do kraju bez obaw, że spotka go tutaj coś złego.

Majka Staśko kochała wolność. A tę dawały jej koncerty i niemal koczowniczy tryb życia. Występowała w wypełnionych po brzegi salach i z każdym dniem wyczuwała, że ludzie coraz mniej się boją. Nikt się nie krygował, by opowiadać dowcipy o zomowcach czy tępych milicjantach, nawet jeśli stali tuż obok. Wydawało się, że i ci ludzie mają dosyć. Kryzysu, bylejakości i walki o przegraną sprawę.

Wsiadła do zdezelowanego autobusu i przywitała się z kolegami z zespołu.

– Majka, słyszałaś ten kawał? Przychodzi milicjant do księgarni i pyta, czy jest *Pan Tadeusz*. A księgarz krzyczy: „Panie Tadziu, przyszli po pana” – powiedział Marek i zaniósł się śmiechem.

– Stary jak twoja kurtka – prychnęła. – A wiesz, co robi milicjant leżący na chodniku? Słucha płyt.

– E, znam to. Jeszcze w stanie wojennym go wymyślono. – Zbyszek machnął ręką i dodał: – Jak się tu całkiem wszystko rozpiardoli, to na pewno do Polski zjadą zagraniczni impresariowie i będą łowić talenty.

– A co, u nich zabrakło? – zakpiła Majka.

– Nie, ale my będziemy tańsi.

– Tak, zostaniemy rezerwuarem taniej siły roboczej – dodał Marek zupełnie poważnie. – Zanim dogonimy Zachód, nasze wnuki pójdą do szkoły.

– Dlatego nie będę miała dzieci. Nie skarzę ich na biedę – powiedziała Majka.

– Ale pamiętaj, że twój zegar biologiczny tyka. Zanim zmienisz zdanie, może być za późno – odparł Zbyszek, który tego dnia był w wyjątkowo paskudnym nastroju.

– Proponujesz mi coś? – zadrwiła Majka.

– A co ja ci mogę zaoferować? Wynajętą wspólnie klitkę? Ty możesz zamieszkać w willi, masz rodzinę za granicą, a pewnie i tutaj twój dziadek i wujek dorobili się na frajerach.

– A może byś się tak odpieprzył od mojej rodziny?!

Majka się zdenerwowała. Mogła dokuczać swojemu dziadkowi czy wujom, a nawet pokłócić się z nimi, ale nie pozwalała, by ktokolwiek mówił o nich źle. Jeszcze parę lat temu nikt nie odważyłby się jej wytykać

podobnych spraw, zapewne ze strachu, a teraz najwyraźniej uznali, iż włos im za to nie spadnie z głowy.

– Śpiewasz wywrotowe piosenki, pierdolisz o wolności, a nie potrafisz się odciąć od swojej parszywej rodzinie. Przecież twój dziadunio to zwykły stalinowski kacap, który mordował Polaków tylko dlatego, że nie chcieli się godzić na nową okupację, a twoi wujkowie zapewne sadzali więźniów na odwróconych taboretach. Twoja stara też się udzielała w reżimowych gazetach i była wysoko postawionym członkiem PZPR-u – Zbyszek wyrzucił z siebie to, co zapewne przez lata go uwierało.

Majka nigdy nie ukrywała, czym zajmowali się matka czy wuj Karol. Oczywiście, nie wchodziła w szczegóły, bo ich nie znała, ale nie widziała powodu, by się ich wstydzić. Ona była inna i miała bardzo krytyczne spojrzenie na socjalistyczną rzeczywistość. Sądziła, że to wystarczy jej kompanom. Najwyraźniej jednak wystarczyło do tego momentu.

– Powiedz Lutkowi, żeby się zatrzymał – oznajmiła nagle.

– Źle się czujesz? – zapytał z troską Marek.

– Tak, bardzo źle – warknęła.

Zapewne Marek pomyślał, że zrobiło się jej niedobrze i krzyknął do kierowcy, by ten stanął na poboczu. Lutek zahamował dość gwałtownie i zatrzymał się w autobusowej zatoczce. Majka założyła kurtkę, wyciągnęła spod siedzenia swoją podróżną torbę i oznajmiła:

– Zagracie beze mnie. Dzisiaj i jutro... I już zawsze. Resortowe dziecko rezygnuje.

– Majka, nie wydurniaj się. Przecież zawsze sobie trochę dokuczamy. – Marek usiłował ratować sytuację.

– Marek, to było coś więcej. Nie pozwolę atakować mojej rodziny, bez względu na to, jak bardzo się nie zgadzam z poglądami moich bliskich. Nigdy wam nie przeszkadzało, skąd pochodzą, a teraz nagle zaczęło, bo tam, na górze, ktoś wywrócił stolik? Sądziłam, że mnie znacie, ale widzę, iż bardzo się pomyliłam.

– Niech wraca do domu, partyjna pieszczoszka! – warknął Zbyszek. – Niedługo będzie musiała swoim wujaszkom nosić paczki do pierdła.

– Zamknij się! – syknął Marek. – Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Gramy razem od czterech lat i nagle masz do dziewczyny jakieś wąty? Ochujaleś?

– Daj spokój, Marek – powiedziała cicho Majka.

Po chwili wysiadła z autobusu i nie dała się przekonać, by została z zespołem, dopóki nie znajdą nowej wokalistki. Miała w nosie zerwane

kontrakty na koncerty i kasę, którą przez to tracą.

6.

Londyn, 1989

Mężczyzna w jasnym prochowcu wszedł do jednej z charakterystycznych czerwonych budek telefonicznych przy Piccadilly Circus. Rozejrzał się, czy nikt podejrzany się nie kręci w okolicy, a potem uśmiechnął się pod nosem. Pewne zwyczaje weszły mu po prostu w nawyk.

– Tato? – zapytał, gdy po drugiej stronie słuchawki odezwał się męski głos. Właściwie zadał to pytanie odruchowo, ponieważ nie spodziewał się, że w jego rodzinnym domu na Saskiej Kępie telefon mógłby odebrać inny mężczyzna niż Igor Łyszkin.

– Grześ... – Usłyszał spokojny głos ojca. – Zdecydowaliście się?

– My z Kingą na pewno, a i Dargiewiczowie bardzo poważnie rozważają powrót do Polski. Kinga jedynie martwi się o mnie...

– Nie wie?

– Oczywiście, że nie wie. Martwi się jednak, że za to, co robiłem wcześniej, grożą mi jakieś konsekwencje. Albo ze strony starej władzy, albo nowej – powiedział, uważając, by mówić ogólnikami.

– Mówiłem ci już, Grześ, że wszystko jest tak, jak zostało zaplanowane – westchnął stary Łyszkin.

– Ona nie wie, że bywałem w kraju...

– No i dobrze, tego akurat wcale nie musi wiedzieć. Nie jest jej to do niczego potrzebne. Do kochanki nie przyjeżdżałeś.

– A co twoim zdaniem powinna? – zapytał niemal z desperacją w głosie.

– Grzegorz, nie uważasz, że na pewne wyznania jest już za późno? Powiesz jej w Polsce, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A jeśli kiedyś się sama dowie? Ten jej szwagier jest strasznie zajadły. Boję się, że będzie wtykał nos w nie swoje sprawy i w końcu coś wywęszy.

– Dajże spokój, naprawdę sądzisz, że teraz pierwszy z brzegu dziennikarz będzie miał dostęp do tajnych dokumentów wywiadowczych? Chyba zwariowałaś... Powiedziałem, wszystko idzie zgodnie z naszymi założeniami.

– Jak długo powinniśmy poczekać? – zapytał.

– Kilka miesięcy, nie więcej. Nowy członek rządu ma przedstawić jesienią plan gospodarczy. Dobrze byłoby, gdyście wówczas byli już na

miejscu.

– Dziękuję, tato.

– Nie dziękuj, mama bardzo się cieszy, że na razie zamieszkacie z nami.

– Przecież ja mam swoje lokum – jęknął, bo nie bardzo wiedział, jak Kinga przyjmie informację, że dopóki mąż nie zorganizuje czegoś większego, będzie musiała zamieszkać z teściową.

– Kawalerka była dobra dla jednej osoby, dla waszej trójki będzie za mała.

– Prawie czwórki. – Roześmiał się.

– Tym bardziej.

Młody Łyszkin odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Stwierdził, że jest w gorącej wodzie kapany. Najchętniej od razu wsiadłby do samolotu i poleciał do Polski, ale ojciec miał słuszność – należało poczekać, aż opadnie kurz po Okrągłym Stole. Poza tym Kinga miała w Londynie dużo lepszą opiekę lekarską i dobrze byłoby, gdyby ich dziecko przyszło na świat w Wielkiej Brytanii.

Chciał, aby zamieszkali w Polsce. Takiej, jaką sobie wymarzyli wszyscy Dargiewiczowie, łącznie z Kingą. Wolnej, pluralistycznej i demokratycznej. Niewielu Polaków jednak wiedziało, że owa transformacja, na którą czekał bez mała cały świat, dokonała się za zgodą radzieckich służb i przebiegała według ściśle określonego planu zaakceptowanego przez Kreml. „Rewolucja kontrolowana” – to było określenie, którego używał ojciec. Ludzie nie mieli pojęcia, że po opozycyjnej stronie Okrągłego Stołu nie zasiadły przypadkowe osoby, ale takie, które zgodziły się na plan władz.

Grzegorz uważał, że tak było lepiej dla wszystkich i nie należało zbytnio wnikać w szczegóły. Jasne, że gdyby wszystko runęło, stara nomenklatura mogłaby się pożegnać z podziałem władzy, dlatego moment, by ugrać coś z opozycją, wydawał się najodpowiedniejszy. Rząd musiał pójść na ustępstwa, bo stan gospodarki był katastrofalny. Z uwagi na sankcje spowodowane wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego nie było szans, by otrzymać wsparcie z Zachodu. Może uznano PZPR za mało wiarygodny, a może czekano, aż Polska przejdzie na gospodarkę rynkową, tego dokładnie nie wiedział.

Wynik rozmów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Klubem Paryskim, zrzeszającym wielkie bankowe korporacje, był jednoznaczny – aby rozłożyć zadłużenie na raty i otrzymać wsparcie MFW oraz Banku Światowego, ekipa Jaruzelskiego musi wprowadzić zmiany w systemie

gospodarczo-politycznym. Przystąpiono więc do rozmów, bacznie wybierając partnerów do dyskusji. Nie zamierzali dogadywać się, jak to nazwał sam Wałęsa, z solidarnościową „ekstremą” i „głupcami”.

Operacja o kryptonimie „Brzoza” udała się idealnie, bowiem zaniechano represji, a do rozmów zaproszono takich, którzy na pewno nie zechcą się odgrywać na starej władzy. Byli jednak i tacy, jak chociażby Kostek Piotrowski, dla których istniało tylko jedno słowo w rozmowach z komunistami i brzmiało ono „nie”. Jednak ci wyselekcjonowani działacze pozbyli się niewygodnych ludzi ze swoich szeregów, by zrobić dokładnie to, czego od nich oczekiwano.

Grzegorz miał inne zmartwienie... Okłamał swoją żonę i musiał robić to nadal. Dla niej był bohaterem, który opuścił służbę i uciekł na Zachód, by cieszyć się wolnością i demokracją. Nie miała pojęcia, że cały czas był tak zwanym „N”. Człowiekiem, który został zatrudniony przez służby na niejawnym stanowisku. Po ślubie z Kingą uzyskał zgodę na stały pobyt w Wielkiej Brytanii i założył kilka spółek, które w teorii skupowały polskie długi albo handlowały różnymi deficytowymi towarami, w rzeczywistości zaś służyły do wyprowadzania kasy z Polski. Nie tylko polskim służbom, ale także KGB i prominentom z Moskwy, którym także palił się grunt pod nogami. To miały być podwaliny pod nowe państwo, którym mieli zarządzać ludzie poprzedniej władzy.

Jeszcze do niedawna Grzegorz się obawiał, że może tam dojść do krwawej rewolucji, a potem ziści się czarny scenariusz Kingi, iż każdego sprzymierzeńca starej nomenklatury będą wsadzać do więzień, jednak ojciec go uspokoił. Rozmowy przebiegły pomyślnie, zwłaszcza że wszystko ustalono już wcześniej. Nie tylko w willi Kiszczaka na Zawracie, ale przede wszystkim w tajnej jednostce numer sto trzydzieści pięć w Magdalence. Obrady Okrągłego Stołu stanowiły jedynie formalność.

Wrócił do domu. Nie zastał w nim Kingi, a małym Przemkiem opiekowała się niania. Zdenerwował się nieco, bo pora była już późna, a jego małżonka nie powinna się zbytnio forsować. Zwolnił młodą kobietę do domu i zajął się dzieckiem. Lubił patrzeć na swojego synka, prowadzić z nim przedziwne rozmowy, jak to bywało z kilkulatkami, i zastanawiał się, czy powinien powiedzieć Kindze prawdę. Nie całą, oczywiście, bowiem obowiązywała go tajemnica służbowa, ale przynajmniej tyle, że wciąż współpracował z reżimem, który jego żona nienawidziła z całego serca. Według niej to właśnie ta władza wypędziła niegdyś z Polski jej rodziców i

przez cały czas żywiła nadzieję, że pewnego dnia ktoś przepędzi nieudaczników i tyranów z PZPR.

Po dwóch godzinach Kinga wróciła i od razu położyła się na kanapie.

– To straszne... Czuję się taka zmęczona, jakbym dziesięć godzin tyrała w polu. A bywam w redakcji zaledwie przez pół zmiany dziennie – jęknęła.

Podszedł do niej i pogłaskał ją po brzuchu.

– Jesteś w ciąży, kochanie. Za dwa miesiące będziesz rodzić. Nie powinnaś tak dużo pracować. W ogóle mogłabyś odpuścić sobie pracę. Poradzą sobie bez ciebie.

– Kiedy tyle się dzieje... Te zmiany w Polsce, upadek komuchów... Boże, w końcu wywalczyliśmy wolność!

– Mówisz, jakbyś się tam urodziła. – Uśmiechnął się do niej.

– Tam jest brzydko i biednie, ale czułam się w Polsce jak w domu. Może dlatego, iż zakochałam się w takim jednym starym zgredzie. Kochanie, jak dobrze, że zerwałeś z tym całym gównem. Jestem z ciebie taka dumna. Boję się tylko, że kiedy się tam przeprowadzimy, nowa władza zechce rozliczyć tych wszystkich bandziorów. I ciebie też.

Przestał się uśmiechać.

– Nigdy nie byłem bandziorem. Nie znęcałem się nad ludźmi i pracowałem w wywiadzie dla swojej ojczyzny – obruszył się Grzegorz.

– Wiem... Ale to nie był normalny kraj. I tak się zżymam, że Jaruzelski zostanie prezydentem. Przecież on wysłał czołgi na własnych obywateli...

– To okres przejściowy i nikt nie wie, jak będzie potem.

– Nie boisz się? – zapytała cicho.

– Nasza opozycja nie zachowuje się tak, jakby miała zakusy, by wsadzać nas do więzień. Gdyby się na to zdecydowali, musieliby zamknąć kilka milionów osób. Nie widziałaś, jak Mazowiecki witał się w Warszawie z szefem KGB, generałem Kriuczkwem? Zrozum, bez zgody Kremla nie doszłoby do niczego, a przecież oni nie wpadliby na podobny pomysł.

– Po prostu Gorbaczow okazał się bardziej postępowy. To dobrze, że wszystko odbyło się bez rozlewu krwi i komuniści się poddali... I niech tak zostanie – odparła Kinga i ziewnęła.

Nie chciał jej mówić, że było dokładnie odwrotnie, a tak zwany okres przejściowy miał być jedynie miękką poduszką dla starej władzy. Socjalizm w gospodarce się nie sprawdził, ale nikt nie powiedział, że teraz dawni oficjele mają dogorywać w nędzy i upodleniu. Tacy jak Kostek liczyli na podobny scenariusz, ale w rękach komunistów były wszystkie służby,

którymi nie dysponowała opozycja. Ani ta postępową i spolegliwą, ani też ta radykalna, nazywana przez Wałęsę ekstremą.

– Grześ... – powiedziała nagle Kinga. – To będzie dziewczynka.

Odwrócił się gwałtownie.

– Zrobiłaś sobie jednak to badanie?

– Tak, ultrasonografem. Chciałam wiedzieć, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Kiedy lekarka zapytała, czy chcę poznać płeć, nie wytrzymałam i powiedziałam, że tak. Chciałabym, żeby miała na imię Anita.

– Anita? – Skrzywił się. – Może Hanka? Są dwie Alicje, więc może niech będzie też druga Hanka.

– Mówiłeś, że imię dla dziewczynki ja wybiorę. – Naburmuszyła się, a po chwili dodała: – Alutka raczej nie zostanie przyjaciółką naszej córki. Za duża różnica wieku.

– Ale moja mama by się ucieszyła. W końcu twoja doczekała się wnuczki Alicji.

– Masz szczęście, że tak bardzo cię kocham. Niech więc będzie Hanka. W końcu sabotowałam imiona Igor i Sergiusz dla naszego syna, bo jakieś takie zbyt radzieckie mi się wydawały. Ale Hanna to co innego. – Roześmiała się.

Dla Grzegorza Łyszki imię córki było kwestią drugorzędą, bardziej ucieszył się z faktu, że dziecko rozwijało się prawidłowo.

– Nie wiem tylko, jak się pomieścimy we czworo w mojej kawalerce. Może na razie zamieszkamy na Saskiej Kępie? – zaproponował.

– Nie uważasz, że jesteśmy za starzy, żeby mieszkać z rodzicami? Kochanie, o nic się nie martw. Wynajmiemy coś, a potem pomyślimy o domku.

– Nie mam pieniędzy, żeby płacić za wynajęcie mieszkania – zaprotestował.

– Grzesiu... ja mam. A potem się zobaczy. Jedno jest pewne, nie zamieszkam ani z rodzicami, ani z teściami, bez względu na to, jak bardzo ich uwielbiam. Proszę, zgódź się – powiedziała.

– Niech ci będzie. – Uśmiechnął się i pocałował żonę w czoło.

Rozejrzał się po ich londyńskim mieszkaniu. Miał rodzinę. Piękną żonę z ogromnym brzuchem, leżącą teraz na kanapie i przeciągającą się jak leniwa kotka, synka, który musiał być Łyszkinem, bo wyglądał zupełnie jak jego dziadek w młodości, i ładne lokum, usytuowane w dobrej dzielnicy. A

jednak było coś, co go oddzielało od nich niewidocznym murem – tajemnicę.

Miał niekiedy ochotę wykrzyczeć wszystko, co leżało mu na sercu, wyznać prawdę i żyć bez obciążeń, ale oczami wyobraźni widział zniesmaczoną minę Kingi, słyszał jej przykre słowa, którymi potrafiła ranić do żywego, i wówczas rezygnował. Wystarczająco cierpiał, gdy żona albo Kostek wypominali mu, kim jest Karol Lewin. A to był jego kuzyn i najlepszy przyjaciel, chociaż droga do ich wzajemnej komitywy była długa i wyboista. Rzucał się wówczas na nich z pazurami. I nie tylko dlatego, że nie życzył sobie, by ktokolwiek obrażał mu rodzinę, ale wydawało mu się, iż te słowa dotyczą także jego. Było to nieco irracjonalne, bowiem nigdy nie zajmował się takimi rzeczami jak Karol, ale dla tej dwójki praca dla socjalistycznej Polski była czymś wstydliwym i haniebnym.

Najbardziej wkurzał go Kostek Piotrowski. Mąż Beaty Santorskiej, która w Służbie Bezpieczeństwa dochrapała się stopnia kapitana. To była bezwzględna, chociaż bardzo skuteczna suka. I jej małżonek doskonale o tym wiedział. A jednak nie przeszkadzało mu to. Tymczasem teraz, gdy się widywali na jakichś rodzinnych spotkaniach, zawsze musiał powiedzieć coś uszczypliwego pod adresem Łyszkina. Rozumiał, że młody Piotrowski nie cierpiał Karola, bo oberwał od niego, ale nie miał pojęcia, dlaczego czepiał się jego. Może węszył wokół jego osoby i ktoś go zdekonspirował? W końcu cały system w Polsce trzeszczał w szwach, a wielu takich jak on wyjeżdżało na Zachód tylko po to, by zaoferować swoje usługi CIA, która przyjmowała ich z otwartymi ramionami. On uważał to za zdradę i nie chciał być szczurem uciekającym z tonącego okrętu, mimo że Amerykanie podczas spotkania w Lizbonie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym zaproponowali niemal oficjalnie polskiej generalicji, by swoich oficerów oddała na służbę USA.

Kiedyś Beata Santorska, podczas ich krótkiego spotkania w Hamburgu, powiedziała mu, że nieważne komu służy, byleby miała z tego tytułu przywileje. Wielu tak myślało, więc niewykluczone, że pewnego dnia i on zacznie pracować dla nowej władzy. Bez względu na to, jaka ta władza będzie. Był dobrze wyszkolony i mimo ukończonych studiów technicznych w Moskwie nie potrafił robić niczego innego, tylko zbierać informacje i szpiegować. Teraz miał niewiele zajęć i odnosił wrażenie, że jest jedynie mężem swojej żony. Nie był w stanie tego znieść i dlatego odliczał dni,

kiedy będzie mógł wrócić do kraju i pokazać oficjalnie Kindze, że jest prawdziwym mężczyzną.

Niestety, musiał skorygować swoje plany, bo to, co miało służyć wszystkim ze starego rozdania, okazało się fikcją. Każdy przygarniał dla siebie, co tylko mógł, i miał w nosie, co zrobią inni. W tej sytuacji on także powinien działać, by nie pozostawać zbyt długo na garnuszku żony. Na dłuższą metę nie zniosłby takiego upokorzenia, bo przez resztę życia czułby się jak kastrat.

7.

Gdańsk, 1990

– I jak się czujesz w wolnej Polsce, tato? – zapytał Kostek, gdy pojechali z Błażem na molo w Sopocie.

Konstanty Piotrowski przyjechał do Polski zaledwie miesiąc wcześniej i pragnął odwiedzić wszystkie miejsca, za którymi cholernie tęsknił. Jego synowie nie rozumieli zbyt podobnego sentymentalizmu i właściwie odkąd postawili nogę na polskiej ziemi, przez cały czas narzekali. Bez przerwy kręcili się po rynku na Przymorzu, by nabyć rzeczy, których nie było w sklepach. Najbardziej lubili kupować pirackie kasety magnetofonowe, bo ich ceny w porównaniu z londyńskimi oryginałami wydawały się im śmieszne. Dziwili się, że takie rzeczy są w Polsce legalne, bo przecież nikt takich delikwentów nie ścigał. Podobnie jak handlarzy zza wschodniej granicy, którzy tworzyli w Polsce swoje gangi. Można ich było rozpoznać po nylonowych pasiastych torbach, z którymi krążyli po bazarach, by potem wsiąść do swoich starych ład, a niekiedy zdezelowanych samochodów zachodniej produkcji, które kradli na potęgę.

Jaśkowi podwędzili portfel już po kilku dniach pobytu w Polsce. Na szczęście miał w nim jedynie kilka funtów, które zamierzał wymienić w kantorze. To także było nowością, bowiem wcześniej obcą walutę można było wymienić albo w banku, po żalonym przeliczniku, albo u cinkciarzy, którzy często oszukiwali swoich klientów, wiedząc, że i tak żaden z nich nie zgłosi zajścia na milicji. Strata Jaśka nie była zbyt dotkliwa, ale od tej pory bliźniacy pilnowali swoich dóbr jak oka w głowie.

Jadąc wysłużonym polonezem, który nabył na giełdzie, młody Piotrowski rozglądał się dookoła, jakby widział Gdańsk po raz pierwszy w życiu.

– Ty lepiej patrz na drogę, Kostek – zrugął go Błaż, gdy jego syn kolejny raz przejechał na czerwonym świetle.

– Kiedy jak tak dawno tutaj nie byłem – westchnął. Chciał coś dodać, ale nie zdążył, bo zobaczył milicjanta z wysuniętym lizakiem. – Cholera! – syknął. – Kiedy oni w końcu przerobią się na prawdziwą policję?

– Dajże spokój, im większy burdel mają, tym lepiej. Patrz i się ucz, synu, jak się postępuje z polską drogówką.

– Tato, gadasz tak, jakbym wrócił z zesłania po dwudziestu latach. Wiem, jak się kiedyś załatwiało te tematy, ale teraz wszystko się zmieniło.

– Gówno się zmieniło – burknął Błażej.

Kostek przewrócił oczami i zatrzymał samochód. Milicjant podszedł do niego i powiedział:

– Dzień dobry, przejechał pan na czerwonym.

– Zaraz czerwone... – Błażej od razu się wtrącił. – Zaledwie pomarańczowe, panie władzo.

– Ja widziałem czerwone. – Milicjant powoli wyciągnął bloczek z mandatami. – Ja dam panu mandacik, a pan mnie milionik.

– Panie władzo, milion za taki drobiazg? A może byśmy się tak dogadali? My damy panu pięćsetkę, a pan nie będzie musiał niczego wypisywać – powiedział Błażej i podał milicjantowi banknot.

Ten szybko wsunął go do kieszeni.

– Tylko żeby mi to było ostatni raz.

– Jasna sprawa, panie władzo – wydukał Kostek i ruszył przed siebie.

Odwykł już od tego, że takie sprawy załatwia się łapówkami i przez cały czas czuł lekką nerwowość. Był przekonany, iż w nowym ustroju podobne rzeczy nie przejdą. W Wielkiej Brytanii za taką propozycję mógłby trafić przed oblicze sądu, tutaj milicjant poczułby się urażony, gdyby nie zaproponowano mu załatwienia sprawy w inny sposób. Nie poruszył jednak tego tematu i dopiero na molo zapytał ojca, jak ten się czuje w nowej rzeczywistości.

– Taka ona nowa-stara. – Błażej machnął ręką. – Niby Balcerowicz wprowadził swój plan, co zresztą nie wszystkim się podoba, i mamy teraz wolny rynek. Gdybym był młodszy, założyłbym z miejsca jakiś warsztatik i robił mebelki pod sztancę, ale gdzie mi tam się na stare lata w takie rzeczy bawić.

– To dlaczego narzekasz, tato? Przecież zmiany na lepsze nie nastąpią z dnia na dzień. Polacy są sprytni i pracowici. Jeśli władza zostawi im wolną rękę, w mig postawią ten kraj na nogi – powiedział Kostek. – Sam się zastanawiam nad osiedlowym sklepikiem. Poszukam pracy w jakiejś redakcji, a sklepik będzie działał swoją drogą. Nie chcę pracować z Kingą, bo jej mąż kojarzy mi się ze wszystkim, co najgorsze, więc muszę poszukać czegoś tutaj. Poza tym w Gdańsku mam was.

– Synu, ty nic nie kapujesz. Może i uwolnili złotego, może i odbyły się częściowo wolne wybory, ale przy korycie wciąż są ci sami ludzie. A ten z

Matką Boską w klapie się cieszy jak kto głupi, że się z komuchami dogadał. Ja tam myślę, że on i jego świta muszą mieć coś za uszami i dlatego są tacy potulni. Mówił mi taki jeden, że esbecja i wojskowi palą wszystko, co się da i czego się nie da. O kwitach mówię. Ale ty się nie martw, już oni sobie co nieco zostawili na czarną godzinę, żeby im jeden z drugim nie podskakiwał.

– Przecież to chyba nie jest legalne? Takie palenie akt – zdziwił się Kostek.

– No i co im zrobią?

– Postawią przed sądem.

– Przed jakim? Przecież tam siedzą ich ludzie i sami pewnie się modlą, żeby ich teczki trafiły do pieca.

– A ja myślałem, że wszystko się zmieni i tacy jak Lewin czy Łyszkin do końca życia z pierdla nie wyjdą.

– Ty to się chyba kochasz w tej małej Amerykance – wypalił Błażej.

– Zwariowałeś? – obruszył się Kostek. – Ożeniłem się z jej siostrą.

– No i co z tego? Może dla niepoznaki...

– Tato, co ty wygadujesz? Nie kocham się w Kindze – zapewnił gorliwie i zgodnie ze stanem faktycznym. Kinga była dla niego jak siostra, nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że mogliby pójść razem do łóżka.

– To czego chcesz wsadzać do pierdla jej męża? Lewina to rozumiem, bo to skurwysyn jakich mało, ale ojciec Grześka uratował życie Nelce. Niby komuch i zafarbowany na czerwono jak szturmówka, ale swój chłop. I sam mówiłeś, że po zagranicy się pętał, więc tutaj nie zdążył nikomu zaleźć za skórę.

– Ale i on, i Lewin pracowali dla komuchów, a takich należałoby rozliczyć z różnych rzeczy. Tymczasem nikt w Polsce nie zamierza tego robić. No, może jakaś grupka szaleńców.

– Co ty byś chciał? Posadzić wszystkich milicjantów, wojskowych i prokuratorów? Przecież to niemożliwe – powiedział Błażej.

– Ale mnie to mierzi...

– No i dlatego mówię, że nowe, ale jakby stare... Słuchaj, Kostek, zamierzam dać sobie spokój z polityką i ty też odpuść. Te twoje dwa ancymony to mają zadatki na bandziorów, lepiej ich przypilnuj, zamiast zajmować się głupotami.

– Tato, siedziałem w więzieniu, zmuszono mnie do wyjazdu, a za jeden z odkrytych przekrętów dostałem po mordzie. Mam udawać, że wszystko jest

w porządku? Schowałem materiały o tej złotej aferze i zamierzam to teraz opublikować. Widać po tych kwitach, że esbecja skumała się ze złodziejami, myślę, że i teraz zechcą się z nimi dogadać.

– Gdzie niby schowałeś? – zapytał podejrzliwie Błażej, omijając temat ewentualnego powstania mafii złodziejsko-esbeckiej.

– W waszej piwnicy. – Wzruszył ramionami. – Wiele rzeczy u mnie znaleźli, ale tego nie.

Stary Piotrowski pobladł i przeżegnał się zamasyście. Stwierdził, że teraz już nie musi się bać nalotów bezpieki i milicji. Gdyby jednak wcześniej wiedział, iż Kostek ukrył pomiędzy słoikami z kompotem a kanistrami z paliwem takie ważne i niebezpieczne dokumenty, zapewne wylądowałby w szpitalu z zawałem serca.

– Sądysz, że ktoś zechce ci to wydrukować? – zapytał.

– Teraz? Jestem tego pewny. Dałbym to Kindze, ale obawiam się, że ten jej mężulek się wtrąci.

– Skoro przekonała go, żeby zerwał z dawnym życiem i pozostał na Zachodzie, to znaczy, że on już jest na amen przerobiony.

– Gówno prawda. To się kupy nie trzyma. Facet pracował w służbach PRL-u, postanowił pozostać na Zachodzie, a widziałem go kiedyś, jak wyłaził z polskiej ambasady. Podobno chodziło o jakąś transakcję handlową, którą prowadził attaché handlowy. Na pewno... Tylko ktoś tak naiwny, jak Kinga mógł uwierzyć w coś podobnego. Gdyby definitywnie z tym skończył, na pewno nie uszłoby mu to na sucho, nawet jeśli Igor Łyszkin wytarłby wszystkie czerwone dywany na placu Łubiańskim. Myślę, że dalej kombinował i pracował dla nich, tylko żonca kitu nawciskał. Przez cały czas mnie korciło, żeby ją nieco oświecić, ale kurczę, kocha go i ma z nim dwoje dzieci. To mogłoby ją załamać.

– Dajże spokój, jeśli ona uważa, że Wałęsa dokonał cudu, to nawet tobie nie uwierzy, jak naprawdę działały służby PRL-u. Zwłaszcza wojskowe. Lepiej się nie wtrącaj i rób swoje. Matki jakiej poszukaj dla tych swoich diabłów, i to takiej z silną ręką, bo mnie się zdaje, że ty to kalesony jesteś, a nie ojciec.

– Tato, obrażasz mnie – burknął zniesmaczony Kostek.

W głębi duszy musiał jednak przyznać ojcu rację. Jego bliźniacy byli trudni i uparci, a on za bardzo im pobleżał, chcąc w ten sposób zrekompensować im brak matki. Natalia na początku ich związku zachowywała się tak, jakby wychowywała własne dzieci, ale później

dopadły ją demony z przeszłości i nie potrafiła poradzić sobie z samą sobą, a co dopiero z dwoma niesfornymi chłopcami.

Przez większość swojego życia Natalia czuła się gorsza, bo przyszła na świat ze świadomością, że jest owocem gwałtu, którego dokonano na jej matce w radzieckim łagrze. Potem ta idiotka, Amelia Imhoff, wmówiła jej, że są przyrodnimi siostrami, zaś ojcem Natalii wcale nie jest wytatuowany urka z Kołomy, tylko oficer Armii Krajowej i uczestnik powstania warszawskiego. Kiedy jednak dotarło do niej, że została oszukana przez tę przebiegłą modliszkę, załamała się kompletnie. Swoją wartość usiłowała udowodniać poprzez chodzenie do łóżka z różnymi mężczyznami, a później się rozpiła i nawet Dargiewiczowie okazali się bezradni wobec jej ekscesów.

Niekiedy Alicja żaliła się Kostkowi, że popełniła największy błąd w życiu, wyznając córce prawdę, bo owa prawda złamała ją na całe życie. Pewnych rzeczy jednak nie dało się już cofnąć i jedyne, co mogła zrobić Alicja, to żyć z poczuciem winy. Jej syn, Mateusz, także dowiedział się prawdy o swoim pochodzeniu i przerobił się na Żyda, ale zawsze była to lepsza opcja niż córka pijaczka i dziwka.

W Kostku Dargiewiczowie widzieli zbawcę i sądzili, że małżeństwo zmieni Natalię na zawsze. Tak się nie stało, nad czym bardzo ubolewał, ponieważ pewnego dnia jego sympatia do małżonki zamieniła się w równie gorącą nienawiść.

– Nie mam szczęścia do kobiet – powiedział w końcu Kostek. Bardziej do siebie niż do ojca.

– Bo ciągnie cię do takich wykolejonych babek. Ale ja mam dla ciebie taką jedną... Julię Ossowiecką. Rozwiodła się i poglądy ma równie radykalne co ty. Dzieci własnych nie posiada i za stara już, żeby się o nie postarać, więc się ucieszy, jak dostanie dwójkę w prezencie.

– Tato... Julia? Przecież ja widziałem, jak robi kupę na nocniku i ciągałem ją za warkoczyki... No, może później spotkałem ją kilka razy, ale jeśli nic wówczas między nami nie zaiskrzyło, istnieje marna szansa, że stanie się to teraz. Zresztą mam dosyć bab. Tak mi dały w kość, że nie daj Boże, jak ty to mówisz.

– Ale chłopcom trzeba kobiecej ręki. Tobie zresztą też. Kto to widział, żeby chłop prasował albo przy garach stał.

– Jesteś strasznie niedzisiejszy. – Roześmiał się. – Nie uważam się za wybrakowanego faceta tylko dlatego, że robię pranie albo gotuję zupę.

– Masz rację, jestem niedzisiejszy, ale kiedyś to było jasne: chłop zarabia, kobieta zajmuje się domem. Potem komuniści tak narobili, że i baby musiały iść do roboty, no ale żebym miał sobie skarpetki cerować? – fuknął Błażej.

– A jak matka cię z domu wygnała i w hotelu robotniczym mieszkałeś? – wytknął mu Kostek.

– Taka była okoliczność nieszczęśliwa, ale zaraz żem się koło Marysi zakręcił i już nie musiałem się zajmować takimi pierdołami.

– Nie mów, że tylko dlatego się koło niej zakręciłeś – odciął się Kostek.

– Mówisz do ojca... – mruknął Błażej.

– I co z tego? A myślisz, tato, że ja nie wiem, skąd się biorą dzieci? Wiem, odkąd sypanął mi się wąs pod nosem.

– Ta twoja esbeczka cię wszystkiego nauczyła, bo tylko do tej roboty się nadawała. – Stary Piotrowski machnął ręką i dodał: – Już mi takie rzeczy nie w głowie, a poza tym i matka niezdatna.

– Żeby tylko nie usłyszała, że tak mówisz...

– Dlatego mówię tutaj, a nie w chałupie. Za durnia mnie masz czy jak? I tak co najmniej raz w miesiącu wypomina mi tę francję, Biedaszewską, a jak w zakładowej przychodni trafiła na Maryskę, to wyszła, nawet się nie badając. Potem musiałem z nią na pogotowie jechać, bo gorączkę miała wysoką. No i wyszło, że się doigrała i złapała zapalenie płuc.

Mimo przenikliwego wiatru, który bezlitośnie smagał im twarze, przeszli się jeszcze po plaży, zerkając z niesmakiem na brudną wodę przybijającą do brzegu, a której zwieńczeniem była biało-brunatna piana. Tło stanowił luksusowy hotel Grand, a w oddali majaczyły ogromne statki.

Błażej nieco obawiał się nowej rzeczywistości, mimo że walczył o suwerenną Polskę, a Kostek dla odmiany patrzył na przemiany w kraju przez różowe okulary, choć potępiał sposób, w jaki one zaszły. Miał jednak nadzieję, że gdy radość z podziału władzy minie, jego rodacy zechcą zepchnąć komuchów na margines życia, a z niektórymi esbekami i ich zwierzchnikami – rozliczyć się i wsadzić ich do więzień. Może ów optymizm wynikał z tego, że mógł jeździć kiedy chce i dokąd chce, i nie musiał oglądać się za siebie, gdy wychodził na miasto.

Stanął nad brzegiem zatoki i zaczął łapczywie wdychać powietrze.

– Czujesz, tato? To zapach wolności...

– Tak, czuję. Zdechłe ryby i smary okrętowe – burknął Błażej Piotrowski i skierował swoje kroki na parking, gdzie pozostawili poloneza.

Kostek przez całą drogę miał minę rozanielonego dziecka, które czeka na prezent od Świętego Mikołaja i mina zrzędała mu dopiero wówczas, gdy zobaczył, że w jego aucie ktoś wybił szybę, a radio zniknęło.

8.

Konstancin-Jeziorna, 1990

– Łapy mi do cna zgrabiały – powiedział Karol, chuchając w dłonie. – Ma ktoś jeszcze jakąś wódeczkę?

– Nie, panie pułkowniku. Wszystko zeszło. Ale została nam tylko jedna ciężarówka, zaraz fajrant! – krzyknął jeden z jego podwładnych.

Stali właśnie przed spalarnią w Konstancinie, by dokonać kolejnego dzieła zniszczenia. Jednak moce przerobowe tego przybytku były dość ograniczone, dlatego resztę dokumentacji musieli zniszczyć na jakiejś zacisznej polanie. Wolał to robić w plenerze, gdzie okazałych rozmiarów ognisko skutecznie ich ogrzewało, niż marznąć przed budynkiem spalarni.

– Jaki fajrant, człowieku? Czeka nas jeszcze dzisiaj ognisko.

– A może przełożymy to na jutro? – Jeden z chłopaków odważył się zadać to pytanie chyba tylko dlatego, że Karol Lewin, odkąd przeniósł się do Wydziału I, nie był już jego bezpośrednim przełożonym.

– Naprawdę chcesz, żeby te świętojeblliwe typy zobaczyły, nad kim się znęcałeś? Zajadę do nocnego, jakąś flaszkę kupię, żeby nam się lepiej przy tym ognisku siedziało.

– To może jeszcze zwyczajną by pułkownik dokupił – powiedział ze śmiechem funkcjonariusz, któremu na dźwięk słowa „flaszka” od razu zrobiło się weselej.

– Może jeszcze dziwki wam przywiozę – mruknął i podszedł do jednego z oficerów stojących na rampie.

Mężczyzna palił papierosa i pilnował, żeby żaden świstek nie pozostał na pakach starów.

– Znalazłeś to, o co prosiłem? – zapytał cicho.

– Znalazłem. Mam w samochodzie teczkę tego gogusia. Dam ci ją, kiedy skończymy.

Po kilkunastu minutach rugania swoich podwładnych mężczyzna podszedł do dużego fiata, otworzył go i wyciągnął ze skrytki papierowy skoroszyt. Nie była to darmowa przysługa, ów człowiek otrzymał od Karola teczkę niejakiego Pawlickiego, który usiłował teraz bruździć jego kumplowi. Był dość znanym opozycjonistą, który głośno krzyczał, ale zapomniał, że miał niegdyś przygodę z SB.

– Wojciech Sadło. Ale ma, kurwa, nazwisko – prychnął i pomyślał, że jakkolwiek Amelia być może zmieniłaby nazwisko z Imhoff na Lewin, tak na Sadło z pewnością się nie zgodzi.

Oparł się o maskę samochodu i zaczął czytać akta obecnego absztyfikanta Amelii. Po chwili wrzucił ją do bagażnika.

– Co za menda...

– Mówiłeś coś? – zapytał jego kompan.

– Że ten Sadło to menda. Sam uprawiał gerbery pod szkłem i zapewne kombinował jak mógł, ale na swoich konkurentów w interesach donosił, aż furczało.

– Najciekawsze jest to, że sam się do mnie zgłosił. – Oficer zarechotał i dodał: – Niektórzy się cieszą, że palimy nasze archiwa.

– Pewnie dlatego, że nie mają pojęcia o mikrofilmach. A dzięki nim wyżej wała nie podskoczą.

– Kiszczak to podobno ma nawet specjalną szafę na takie teczuszki – zadrwił oficer.

– A myślisz, że dlaczego klechy tak łatwo odpuściły i przyłączyły się do Okrągłego Stołu? Stary, gdyby ich owieczki dowiedziały się, z kim mają do czynienia, kościoły opustoszałyby w jednej chwili. Pasibrzuchy pierdolone, boją się jak sam skurwysyn. Miałem takiego jednego, co lubił młodych ministrantów. Myślisz, że jego przełożeni nie wiedzieli o tym? Człowieku, jedyna kara, która go spotkała, to zsyłka na inną parafię, gdzie dalej sobie używał, ile wlezie. Jak mu pokazałem kwity, to był gotów na samego Wojtyłę donosić, jeśli miałby ku temu okazję.

– Nie mógł jeden z drugim na dziwki chodzić? – Oficer splunął.

– A czego ty wymagasz od facetów, którzy ubierają się w sukienki? – prychnął Karol i dał znać, że teraz przenoszą się w umówione wcześniej miejsce, żeby spalić pozostałe akta.

Lewin wiedział, że rozkaz Kiszczaka był niezgodny z prawem, ale wszyscy mieli to w dupie, bo w razie oskarżeń znaleźliby mocno umoczonego sędziego, który za nic w świecie nie chciałby, aby jego tajemnice ujrzały światło dzienne.

Po drodze rzeczywiście wstąpił do monopolowego i kupił dla swoich kumpli kilka flaszek wódki, żeby milej im się spędzało tę mroźną noc. Potem zaś udał się do Szymka Wielopolskiego, bo ten miał do niego jakąś pilną sprawę. Wszedł zziębnięty do jego małego domku na Sadybie i rozsiadł się w fotelu. Zosia od razu poszła do kuchni, żeby zaparzyć mu

herbatę, a kiedy już postawiła przed nim szklanę, wyszła z salonu i zamknęła za sobą drzwi.

– Powiedziałem Zosi, że masz do mnie interes. Ponoć poufny – powiedział przepaszająco Wielopolski.

– Nie ma sprawy. Co się dzieje, Szymek?

– Stefan Szczot... Znasz takiego?

– Znałem. Dzięki niemu awansowałem. Potem zniknął mi z oczu. Miał na pieńku ze starym Łyszkinem i ten nie odpuścił mu nawet po latach... Nie mam pojęcia, co się z nim teraz dzieje. Coś ci zrobił? Bo zdaje się, że po tamtej sprawie Igor posprzątał. – Lewin był rzeczowy i nie czuł już potrzeby utrzymywania pewnych rzeczy w tajemnicy.

– Ten skurwiel złamał mi życie. Chciał, żebym donosił na Rosińską i twoją ciotkę. I donosiłem, bo pieprzony gnojek chciał mnie zrobić w zbrodnię. Nieważne, że Nela odkryła jego intrygę i zdobyła stosowne dowody, ale mleko już się rozlało i gdzieś znajdują się moje donosy. Stary Łyszkin wie o tym i dlatego nękał Szczota. Podobno wszystkie akta zostały usunięte, ale po pierwsze, nie mogę być tego pewny, po drugie, są jeszcze raporty Beaty Santorskiej. Bóg raczy wiedzieć, jakie głupoty tam powypisywała. Należę teraz do partii Chrześcijańsko-Konserwatywnej... Sam rozumiesz.

– Szymek, to nie ja załatwiłem tych księżuli. Znaczący tego Suchowolca i Zycha. Ja już nie pracuję w czwórce... I nie mam zielonego pojęcia, czy Szczot maczał w tym palce. Moim zdaniem nie. Nikt nie zatrudnia do takiej roboty stetryczających emerytów.

– Więc i ty uważasz, że to były morderstwa? – zafrasował się.

– Nie bądź dzieckiem, Szymek. Podskakiwali, to i oberwali. Proste.

– Jasne, inaczej wasz niecny plan mógłby się nie udać – wytknął mu Szymek. – I tak wasza era niebawem się skończy.

– Wiem, ale zanim to nastąpi, będziemy ustawionymi biznesmenami. – Karol zaśmiał się rubasznie i dodał: – Wybacz, nie jestem w stanie ci pomóc w kwestii tych księży. Zresztą nawet gdybym mógł i tak bym ci odmówił. Musiałbym sprzedać kumpli. Nie żebym był tak lojalnym przyjacielem, ale jak to się mawia: ręka rękę myje.

– Nie chodzi o nich, chociaż Moczulski nie odpuści. Chodzi o to, że w następnych wyborach chcę wystartować do senatu z listy swojej partii. Mam spore szanse, bo broniłem opozycjonistów, walczyłem w powstaniu, a nawet uratowałem kilkoro żydowskich dzieciaków z getta. Piękna karta jak

na dzisiejsze czasy. Problem w tym, że ów Szczot może mi bardzo zaszkodzić, jeśli wyciągnie moją teczkę. Ludzie mnie zjedzą i nie pomoże tłumaczenie, że zostałem zmuszony do współpracy. W nowym systemie dla takich nie ma miejsca.

Lewin się roześmiał, jakby usłyszał zabawny dowcip.

– Szymek, właśnie dla takich jest miejsce w tym systemie. Zrozum, nikt nie dopuści na szczyty władzy człowieka z czystą kartą. Na każdego są haki. Na razie teczuszki leżą sobie spokojnie, inne przybrały postać mikrofilmów, ale nawet za trzydzieści lat będziemy grali w te karty.

– To, że ktoś należał do PZPR-u, jak Michnik czy Kuroń, jeszcze nie dyskwalifikuje... – bąknął Wielopolski.

– Ciekawe, czy kochaliby tak Wałęsę, gdyby wiedzieli o jego współpracy z SB albo dogłębnie zapoznali się z przeszłością Mazowieckiego.

– Możliwe, ale ja nie chcę być na waszej smyczy – burknął Szymon.

– Wierzę, że to nic miłego. Jasne, Szymon, powęszę za tymi aktami. A może chciałbyś, żeby Szczot zniknął? Bo Santorska sama się wyeliminowała z gry – zaproponował Lewin zupełnie poważnie.

– Bój się Boga, Karol! – jęknął Wielopolski. – Nawet tak nie mów. Nie chcę, żeby komuchy blokowały moją polityczną karierę albo zmuszały mnie do czegoś, na co nie mam ochoty. Nie zasłużyłem na ostracyzm i zrobiłem dla tego kraju więcej niż powinienem... I to wszystko może zakończyć się katastrofą, jeśli ktoś wywlecze te akta na zewnątrz. Albo te Szczota, do których Igor nie dotarł, albo te Santorskiej. Niczego jej nie powiedziałem, ale sypiałem z nią. Z panią kapitan z SB, choć wtedy pewnie była szeregową funkcjonariuszką. To nie będzie zbyt dobrze wyglądało.

– Dobrze, powęszę, ale teraz mamy burdel na kółkach. Zresztą może twoja teczka już dawno zamieniła się w kupkę popiołu.

– Kurwa, Karol, nie możecie palić akt...

– Ale możemy przynosić je w zębach naszym znajomkom, co, Szymek? – zadrwił Lewin. – Niech zostanie między nami, jak było: ty ze mną na pewne tematy nie rozmawiasz, a ja cię od swoich też trzymam z daleka.

– Oni i tak się dowiedzą, że puszczacie z dymem archiwa. A wtedy będziesz miał kłopoty – westchnął Szymon.

– Chcesz się założyć, że włos mi z głowy nie spadnie? – Lewin znowu się zaśmiał. – Witaj, Szymku, w nowej Polsce.

– Nie chcę żyć w takiej Polsce – powiedział z naciskiem Wielopolski. – To jakaś wydmuszka, a nie demokratyczny kraj.

– Służby były nasze, sądy również. Wyobrażasz sobie, że można się nas wszystkich pozbyć? To niemożliwe, więc chyba lepiej żyć w spokojnej koegzystencji, prawda?

– Już sam nie wiem. Kiedyś przynajmniej było jasne, kto wróg, a kto przyjaciel i po której stronie należy stanąć, a teraz...

– Szymek, naprawdę jesteś aż tak naiwny? Gdybyś wiedział, jak wielu twoich kolegów dla nas pracowało, zszedłbyś na zawał. Trochę się pozmieniało, ale minie jeszcze wiele lat, zanim odkryjesz prawdę o swoich kompanach.

– Może byli w takiej samej sytuacji jak ja... – zamyślił się.

– Może byli, może nie, ale zapewniam cię, że największym marzeniem każdego z nich jest posiadanie czarodziejskiej różdżki, dzięki której mogliby zamienić w proch każdy świstek na swój temat.

– A ja sądziłem, że to uczciwa gra. Okazuje się jednak, że wy macie znaczone karty. – Szymon uśmiechnął się smutno.

– Zaznacz swoje, bracie. – Karol puścił do niego oko. – Pewnego dnia może się to okazać twoją polisą na życie.

– Daj spokój, nie mam takich możliwości jak ty. Zresztą chyba nie potrafiłbym kogoś szantażować. Wiem, ile to kosztuje nieprzespanych nocy, jak wiele wyrzutów sumienia...

– Po co komu sumienie? – prychnął Lewin. – Tylko wkurwia człowieka.

– A jednak wybaczyłeś Alicji... I Amelii.

– No właśnie. I to mnie wkurwia.

Lewin wyszedł od Szymka około północy. Wsiadł do zimnego samochodu, odkręcił flaszkę i napił się wódki prosto z butelki. Nie zamierzał się upijać, a jedynie rozgrzać do czasu, gdy w aucie zrobi się ciepło. Ruszył w stronę Lasu Kabackiego, gdzie musiał dopilnować spalenia kilku starów akt. Naprawdę miał w nosie fakt, że może kiedyś za to odpowiedzieć. I co z tego, jeśli już niczego nie da rady uratować? Poza tym teoretycznie należał już do innego resortu i nie odpowiadał za Departament IV Służby Bezpieczeństwa. Teraz pilnował jedynie, by po jego działalności nie pozostał kamień na kamieniu. Przynajmniej w teorii, w praktyce zaś część akt zamienił w mikrofilmy, by kiedyś można było je wykorzystać. Schował je w miejscu, do którego tylko on miał dostęp. Może oficjalnie musieli podzielić się władzą, ale zdawali sobie sprawę, że posiadają broń, która pozwoli im rządzić dalej.

9.

Okolice Warszawy, 1990

Cały magazyn wypełniony był po brzegi tanimi chińskimi towarami, które zgodnie z przewidywaniami Wojtka schodziły na Stadionie Dziesięciolecia i w „szczękach” przed Pałacem Kultury niczym świeże bułeczki. W pomieszczeniu roznosił się paskudny zapach gумы i kleju. Chwilami aż świdrowało w nosie i Amelia doszła do wniosku, że zdecydowanie bardziej odpowiada jej luksusowy aromat paryskich konfekcji, które za ciężkie miliony sprzedawała w swoim butiku.

Policzyła towar, po czym wyszła z magazynu i wsiadła do swojej toyoty. Podjechała przed swój elegancki sklepik na Krakowskim Przedmieściu i weszła do środka. Przy ladzie stał jakiś mężczyzna i najwyraźniej flirtował z jej pracownicą. Dopiero gdy się odwrócił, spostrzegła, iż tym mężczyzną jest Karol. W jej butiku zawsze panował półmrok i jedynie ekskluzywne sukienki czy garsonki oświetlały punktowe lampki, dlatego w pierwszej chwili go nie rozpoznała.

Przełknęła ślinę i poczuła lęk. Wizyta Karola mogła bowiem oznaczać jedynie jakieś problemy z Mikołajem.

– Coś się stało Miśkowi? – zapytała ze ściśniętym gardłem.

Lewin wciąż stał oparty o kontuar i przyglądał się jej dziwnym wzrokiem.

– Nie... Przyszedłem do ciebie – oznajmił zimno, mimo że jego spojrzenie wcale takie nie było.

– To chodź, zrobię kawę – odparła i ruszyła w stronę swojego biura. Owa nazwa była zdecydowanie na wyrost, bowiem lepiej pasowało określenie „nora”. Powierzchnia tego pomieszczenia wynosiła zaledwie dziesięć metrów i stanowiła jednocześnie magazyn butiku.

– Twój kochaś mógłby ci wynająć większy lokal – powiedział złośliwie Karol, rozglądając się po wnętrzu.

– A więc już wiesz – odparła z westchnieniem. – Pewnie nawet to, ile razy był dzisiaj w toalecie. Po cholere to robisz?

W jej głosie zabrzmiała rezygnacja. Lewin jej nie chciał, trudno. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego zachowywał się jak pies ogrodnika. Chwilami czuła się jak odstawiona od łoża niewolnica.

Musiały go chyba zabołec te słowa, bo odparł zupełnie spokojnie:

– Mam w dupie, z kim się pieprzysz, jeśli jednak ów facet ma z tobą mieszkać i zajmować się Miśkiem, muszę wiedzieć, kim jest.

– Ja jakoś nie szpicluję twojej małolaty – syknęła.

– Zazdrosna? – zakpił.

– Nie żartuj. Już dawno przestałam i byłoby dobrze, żebyś i ty odpuścił – skłamała.

– Posłuchaj, Amelio... Nazwisko Sadło jest paskudne, ale to najmniejszy z grzechów twojego amanta. Rób, co chcesz, tylko na Boga, nie wchodź z nim w żadne interesy.

– Esbek mówi „na Boga”? – zadrwiła.

Zdenerwował się.

– Jesteś głucha czy głupia? Ten facet wsadził do paki swojego współnika. Doniósł na niego do SB, bo wiedział, że facet ma w garażu nielegalną drukarnię bibuły. Koleś poszedł siedzieć, a on przejął jego interesy. Gdy nadeszła amnestia, koleś był już goły i wesoły, a jego przyjaciel Wojtuś rozbijał się mercedesem.

Przełknęła ślinę, bo właśnie kilka tygodni wcześniej weszła z Wojtkiem w spółkę i teraz przyszła kolejna partia towaru z Chin. Wierzyła Karolowi, ale do cholery, ten człowiek chciał się z nią ożenić i kiedy nalegała na intercyzę, zgodził się na nią bez wahania. Poza tym jak dotychczas nie oszukał jej nawet na złotówkę. Nie była idiotką, gdyby coś było nie tak, w mig spostrzegłaby ubytki w kasie lub nieściskości w papierach.

Nie odmówiła ani też nie wyraziła zgody na ślub, twierdząc, że musi ochłonać po poprzednim związku. Nie była to prawda, po prostu jej serce wciąż należało do tego brutalnego prostaka, Karola Lewina. Wierzyła jednak głęboko, że pewnego dnia już nic nie będzie czuła do swojego dawnego kochanka i będzie ją cieszyła każda chwila spędzona z nowym wielbicielem. I pał licho to obrzydliwe nazwisko.

A teraz ten drań przychodzi do niej i opowiada podobne rzeczy. Każdy był umoczony w poprzednim reżimie, nawet ona, więc być może i Wojtka zmuszono do współpracy.

– Mało kto nie pobrudził sobie rąk. – Wzruszyła ramionami.

– Ale on je pobrudził, bo chciał to zrobić, a nie musiał – burknął Karol.

– Jasne, ty to wiesz najlepiej – prychnęła.

Twarz Karola zmieniła się w jednej chwili. Znała to oblicze i bała się, gdy Lewin wpadał we wściekłość.

– Skończ z nim! – syknął.

– A co? Znowu będziesz mnie straszył, że polecisz z pyskiem do Imhoffów? – Zdenerwowała się, bo miała dosyć. Była zakładniczką Lewina i to ją dobijało.

Podszedł do niej. Bardzo blisko. Zbyt blisko, bo poczuła znajomy zapach jego wody kolońskiej.

– Nie chcę, żeby stała ci się jakaś krzywda. Rozumiesz? – niemal szeptał jej do ucha.

– Dlaczego? – zapytała cicho.

– Bo jesteś... Bo jesteś matką mojego syna. I zapomnij, że wyrażę zgodę na wasze wspólne wakacje na Wyspach Kanaryjskich. Czy teraz już wszystko jest dla ciebie jasne?

Słyszała jego przyśpieszony oddech i widziała dziwny błysk w oku. Cholera, Lewin wciąż jej pragnął, tylko duma nie pozwalała mu na to, by wyciągnąć po nią rękę. Postanowiła, że tym razem nie będzie tak głupia, jak dotychczas. Karol był zdobywcą, lubił polować i podniecało go, gdy musiał o coś zawalczyć...

Cmoknęła go w policzek i powiedziała słodko:

– Dziękuję, że martwisz się o mnie. Obiecuję, że będę uważała. Zresztą mam zamiar wyjść za niego, więc raczej nie wystawi rufą do wiatru własnej żony. Zwłaszcza że sam zaproponował podpisanie intercyzy. Wnioskuje zatem, że ma jak najlepsze intencje – skłamała. To ona zaproponowała Wojtkowi podpisanie podobnego dokumentu, ale Karol wcale nie musiał o tym wiedzieć.

Lewin gwałtownie się wyprostował i posłał w jej stronę mordercze spojrzenie.

– Nie zezwolę na wyjazd Miśka z tym frajerem.

– W porządku, to polecę sama z Wojtkiem. Ale proszę, poinformuj Mikołaja o swojej decyzji. On wciąż ma nadzieję, że zmienisz zdanie.

– Nienawidzę cię! – syknął, a potem przesunął językiem po jej wydatnych ustach.

Oblizła się, musnęła ustami wargi Lewina, a potem odepchnęła go i wysapała:

– Ja ciebie też.

Miała ochotę wykrzyzczeć swoją tęsknotę, kolejny raz zebrać o wybaczenie i prosić, by znowu było jak kiedyś, ale wiedziała, że będzie jak zawsze. Karol wpędzi ją w poczucie winy, że wszystko, co złe, stało się

przez nią. A ona już nie chciała czuć się winna. Odpokutowała swoje i starała się zasłużyć na kolejną szansę. Jednak to nie działało, bo na Lewina mógł podziałać jedynie inny mężczyzna. I nie taki, który spędzi z nią noc lub dwie, ale człowiek, który zechce zagościć w jej życiu i łóżku na stałe. Sprawdził Wojtka dopiero po kilku miesiącach, sądząc, że jej znajomość z panem Sadło zakończy się szybciej niż wyścig Formuły 1. Tymczasem wiedział od Miśka, że ich związek stał się poważny. Nie miała pojęcia, w co zamierzał grać tym razem Karol, ale postanowiła, że teraz nie podda się walkowerem.

Któregoś dnia, gdy wysiadała z samochodu przy swoim sklepie, natknęła się na Grzegorza Łyszki. Nie widziała go od lat, a jednak stanęła jak wryta, gdy go zobaczyła. Chciała się wycofać, wsiąść do auta i odjechać w siną dal, byle z nim nie rozmawiać, ale dostrzegł ją i zagadnął.

– Amelio! Czy ty przede mną uciekasz?

Przystanąła. Nie mogła w tym momencie zwać jak zwykły tchórz. Otworzyła samochód, wyciągnęła z bagażnika jakiś karton, który nie był jej do niczego potrzebny, i powiedziała pewnie:

– O, Grzegorz. Architekt mojego upadku. Nie, skądże. Nie uciekam, musiałam wrócić po to... – Wskazała brodą na pudło.

– Daj, pomogę ci. Ojciec mnie uczył, że należy wyręczać kobiety w takich sprawach. – Uśmiechnął się do niej. Wydawało się jej, że nieco ironicznie.

– Nie trzeba. Od sześciu lat radzę sobie sama – burknęła.

– Wiem, że masz do mnie żal... – zaczął, ale przerwała mu.

– Grzegorz, nie wiem, co czuję. Z jednej strony, miałabym ochotę cię zabić, z drugiej, to był czas, żeby rozwiązać pewne kwestie. Ty mi w tym pomogłeś, aczkolwiek w bardzo kiepskim stylu...

– Bylebyś nie używała pogrzebaczki – zadrwił.

– I za to cię nie cierpię. Ubeckie metody.

– Przyznaj, że sama się podłożyłaś. Jak dziecko.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– To prawda. Popęliłam szkolny błąd i będę za to płaciła do końca życia.

– Przecież prawie wszystko ułożyło się po twojej myśli. – Łyszkin nie przestawał być złośliwy, ale wziął od niej karton z ubraniami i udał się w

stronę drzwi do butiku. W środku postawił go na ladzie i dodał: – Ładne fatalaszki.

Amelia westchnęła.

– Grzegorz, wszystkie paskudne rzeczy, które zrobiłam, miały na celu zdobycie miłości Karola. Nawet ten... wypadek. A jednak tej jednej rzeczy nie otrzymałam... Odwzajemnienia. Więc nie pieprz, że wszystko ułożyło się tak, jak chciałam.

– Wypadek...? Niech ci będzie. – Wyszczrzył zęby w dziwnym uśmiechu.

– Tak... Już nigdy nie będę pewna, czy mnie nie nagrywasz. Drugi raz się nie pomyślę – zadrwiła.

– Teraz nie jest mi to już do niczego potrzebne. – Wzruszył ramionami.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Może twoja żonka ma chrapkę na mój butik i znowu postawisz mnie pod ścianą.

– Nie gadaj głupstw. Nikt cię nie okradł, Dargiewiczowie zapłacili uczciwą cenę za twoje udziały.

– Posłuchaj... Wyciągnęłam tę firmę z samego dna. Włożyłam w nią kasę i swoją wiedzę, nadałam jej nowoczesny sznyt. Powinnam dostać co najmniej trzydzieści procent więcej. Nieważne zresztą... Problem polegał na tym, że gdy zmusiłeś mnie do powrotu do Polski w środku stanu wojennego, nie mogłam nic. Potem jedyną firmę, jaką dało się otworzyć, to gówniany sklep z ciuchami. Kierowałam wielkimi biznesami, a skończyłam... Karol mnie nie chce, ale muszę się liczyć z jego zdaniem, bo stał się moim panem i władcą, więc, kurwa, nie mów mi, że wszystko ułożyło się po mojej myśli! – syknęła. – Idź już, Grzegorz. Nie chowam do ciebie urazy, ale przyjaciółmi raczej nie zostaniemy.

Młody Łyszkin przestał się kpiarsko uśmiechać, jakby wreszcie dotarło do niego, że zniszczył jej życie.

– Musiałem pomóc Karolowi, nawet jeśli wówczas niezbyt go lubiłem. Kiedy uciekłaś... Nigdy nie widziałem człowieka tak nienawidzącego życia, siebie i ludzi. Wiem, co czuł, bo kiedyś znalazłem się w bardzo podobnej sytuacji.

– Tak, zadarłam z dwoma piekielnymi braciszkami. – Uśmiechnęła się smutno. – Uwierz, Grzegorz, decyzja o wyjeździe była jedną z najtrudniejszych w moim życiu. Naprawdę się bałam, że wybuchnie wojna domowa.

– Rozumiem, kiedyś moja matka także z tych powodów uciekła od ojca. Ale powiedziała mu o tym, a to pewna różnica.

– Naprawdę uważasz, że Karol pozwoliłby mi wyjechać? – Uniosła brwi.

– Nie żartuj.

– Tobie by może pozwolił, Miśkowi nigdy.

– Ja też kocham swoje dziecko – jęknęła.

– I dlatego chciałem, żebyście się porozumieli. Amelio, kiedyś mu przejdzie. Zależy mu na was.

– Jeśli przez tyle lat nie uzyskałam jego wybaczenia, to raczej jesteś w błędzie. Nieważne, teraz każde z nas układa sobie życie po swojemu. Warszawa to nie Londyn, ale i tutaj coś drgnęło i może pewnego dnia będę robiła coś więcej niż handel ciuchami czy tandetnymi czajnikami.

– Obojętnie, co będziesz robiła, życzę ci, żeby sprostało to twoim ambicjom i umiejętnościom – powiedział zupełnie bez ironii, pożegnał się i ruszył w stronę drzwi.

Skarżyła się, że marnuje swoje umiejętności i wiedzę w gównianym sklepie, ale czy prowadzenie dużego biznesu uszczęśliwiłoby ją? Jeśli nie miała przy boku Lewina, nic nie mogło dać jej spełnienia.

10.

Warszawa, 1990

Biurowiec niemal w centrum stolicy Polski w niczym nie przypominał imponujących szklanych kolosów w sercu londyńskiego City. Na zewnątrz wyglądał dość obskurnie, a i jego wnętrze nie prezentowało się dużo lepiej.

Kinga wysiadła z samochodu i uśmiechnęła się. Tuż nad wejściem ujrzała bowiem dużą niebieską tablicę, informującą, że właśnie w tym miejscu znajduje się redakcja gazety „Nowa Polska”. Mateusz z Nelą pozostali w Wielkiej Brytanii, jej rodzice postanowili przejść na zasłużoną emeryturę i mogła zostać niepodzieloną królową własnego tytułu.

W holu przywitał ją ochroniarz, a nieco zdezelowana winda zawiozła na piąte piętro. Przeszła przez szklane drzwi i poczuła jeszcze większą dumę niż przed chwilą, gdy wchodziła do biurowca. Ostatnia ekipa remontowa spisała się na medal. Pozostałe, które zatrudniła do przeprowadzenia niezbędnych prac, zachowywały się tak, jakby wciąż trwała komuna. Niewiele robili, piętrzyli trudności i ciągle domagali się korekty kosztów. Potem jednak znalazła kilku młodych chłopców pracujących przez kilka lat na budowach amerykańskich i prace ruszyły z kopyta. Może zaproponowane przez nich stawki były wyższe niż gdzie indziej, ale nie żałowała swojej decyzji.

Korytarz pokrywała miękka szara wykładzina, a białe ściany z modną chropowatą tapetą dodawały nieco blichtru. Na sufitach umieściła kasetony. Wszystkie pokoje posiadały szklane dwuskrzydłowe drzwi, aby każdy, kto odwiedzi ich redakcję, mógł zobaczyć jej zespół przy pracy. Z zagranicy sprowadziła kilkanaście komputerów, uznając je za nieodzowny atrybut redaktorów. W głównym pomieszczeniu, w którym siedzieli zatrudnieni przez nią dziennikarze, wisiał duży okrągły zegar, a obok logo gazety. Pod spodem widniał napis: „Tylko prawda, tylko w Nowej Polsce”.

Przeszła przez pokój, witając się z każdym pracownikiem z osobna, i dotarła do swojego królestwa, skąd rozciągał się widok na Aleje Jerozolimskie. Jej sekretarka, Iwona, wsunęła głowę i zapytała, czy życzy sobie kawę. Odmówiła. Nie zносиła kawy z gruntem, którą namiętnie pijano w Polsce. Poprosiła o herbatę.

Zapatrzyła się w uliczny zgiełk za oknem i kolejny raz się uśmiechnęła. Po chwili jednak mina jej zrzęda, ponieważ przypomniała sobie poranną kłótnię z Grzegorzem. W Londynie byli szczęśliwi i rzadko się sprzeczali, jednak odkąd powrócili do kraju, między nimi robiło się coraz gorzej. Tak jakby w jej małżonka wstąpił diabeł i postanowił zostać typowym samcem, który za nic ma ambicje swojej kobiety. Może sprawiły to narodziny małej Hani, a może powrót na stare śmieci, gdzie on miał być panem i władcą, a ona potulną owieczką, która powinna pracować tylko wówczas, gdy jest to konieczne albo gdy nie miałyby nic ciekawszego do roboty.

Kiedy urodziła dziecko w Londynie, do redakcji zaglądała na kilka godzin dziennie, a gdy zaszła potrzeba, w ogóle do niej nie szła. Teraz jednak nie miała brata czy matki, którzy mogli ją zastąpić.

Rankiem weszła do kuchni, trzymając Hanię na ręku, i wstawiła wodę. Grzegorz siedział przy stole, jadł śniadanie i czytał gazetę. Zerknęła na zegarek i zaklęła.

– Ta cholerna Jadzka znowu się spóźnia... Miała być już pół godziny temu. Jeśli nie zjawi się w ciągu kwadransa, wywalę ją na zbity pysk. Słuchaj, czy w razie czego twoja mama mogłaby się zająć Hanią? A może ty...?

– Ja wychodzę na spotkanie z Karolem. Nie będę prowadził z tobą gazety i nie zamierzam być na twoim utrzymaniu. Muszę zarabiać pieniądze. I to duże. A ty mogłabyś w końcu sobie odpuścić... – powiedział dość nieprzyjemnym tonem.

– O... Pozazdrościłeś Bagsikowi i Gąsiorowskiemu? – zadrwiła.

– Ja bym się tak nie afiszował, gdybym miał tyle kasy. Nie chwaliłbym się Picassem na ścianie. Pieniądze nie lubią rozgłosu.

– Na ich rautach bywają ludzie z pierwszych stron gazet. Są gwiazdami...

– Akurat tego im nie zazdrozczę. Wszędzie ich pełno.

– Jasne, przecież ty lubisz tylko po cichu i w ukryciu... Swoją drogą nie wierzę, że z piętnastu zainwestowanych dolarów można w ciągu kilku miesięcy dojść do takiej kasy.

– No cóż... Polska to teraz prawie druga Ameryka. Od pucybuta do milionera... Z tym że ten pierwszy milion trzeba ukraść – westchnął.

– Albo ciężko na niego zapracować. Jak moi rodzice. Boże, czemu ona znowu marudzi?

– Może potrzebuje matki, a ty zajmujesz się nią tylko kilka godzin w ciągu dnia, zostawiając opiekę nad córką obcej babie, która głównie siedzi przed telewizorem?! – warknęła.

Zdenerwowały ją słowa Grzegorza.

– Kiedy już wszystko poukładałam w redakcji, poświęcę jej więcej czasu. Zresztą to nie jest tylko moja córka, a ciebie też nigdy nie ma.

– Matka jest od tego, żeby zajmować się dziećmi. Ta gazeta nie jest ci do niczego potrzebna. Za rok, a może nawet wcześniej, wybudujemy dom, więc będziesz mogła się wyżyć w domowych pieleszach.

– Widzę, że naprawdę zamierzasz zbić fortunę. – Uśmiechnęła się, a potem spoważniała i dodała: – Bylebyś w więzieniu nie skończył.

Tym razem zdenerwował się Grzegorz.

– Pewnie, jestem nieudacznikiem, który niczego więcej nie potrafi, tylko szpiclować, a ty jesteś wielką bizneswoman, której się wydaje, że może być prezesem także we własnym domu. Jadźka nie przyjdzie ani dzisiaj, ani jutro. Zwolniłem ją. Ty się zajmiesz dziećmi, bo moja matka nie jest już młodką, by mogła sobie poradzić z dwójką rozpieszczonych dzieciaków – warknęła.

– Słucham? – Kinga odwróciła się gwałtownie w stronę męża. – Naprawdę sądzisz, że mnie udupisz, bo zrobiłeś mi dwoje dzieci? Lubię być matką, ale jeśli zrezygnuję z pracy zawodowej, zwariuję.

– A może po prostu powiedz, że nie wierzysz we mnie? Nie ufasz mi i uważasz, że nie jestem w stanie zarobić na dostatnie życie dla nas! – Grzegorz prawie krzyczał.

– To nie ma nic wspólnego z tobą! – zachnęła się.

Miała ochotę się rozplakać, bo naprawdę nie chciała, by mąż zamknął ją w czterech ścianach. Nawet jeśli zarabiałby miliony. Musiała działać, pracować i robić coś więcej niż zajmowanie się domem.

Nasypała neskę do kubka, zalała wrzątkiem, a potem poszła do pokoju dzieci. Włożyła Hanię do łóżeczka i nie zważając na jej marudzenie, zaczęła się ubierać. Jej synek był w przedszkolu, do którego rano zaprowadził go Grzegorz, a do córeczki miała przyjść niania. Tymczasem Grzesiek, bez porozumienia z nią, zwolnił opiekunkę i nakazał, niczym pan i władca, by zajęła się domem i zostawiła odłogiem swoją firmę.

Zrobiła lekki makijaż, włożyła marynarkę i weszła do kuchni. Bez słowa wypila kilka łyków kawy, a potem zadzwoniła do matki. Nie powiedziała Alicji, co się wydarzyło, bo uważała, że pewne sprawy powinny pozostać między małżonkami. Poprosiła ją jedynie o opiekę nad Hanią, bo opiekunka kolejny raz wystawiła ją do wiatru.

– A jednak nie słuchasz, co mówię! – warknął Grzegorz, widząc ją w kostiumie i z pomalowanymi ustami.

– Podaj chociaż jeden powód, dlaczego miałabym to robić – odpyskowała.

– Jesteś moją żoną i matką moich dzieci. Czy to nie wystarczy? – zapytał ostro.

– Właśnie, Grzesiu. Jestem twoją żoną, a nie niewolnicą. Zatem bardzo cię proszę, abyś zadzwonił dzisiaj do Jadźki i powiedział jej, że zatrudniasz ją ponownie. A jeśli ci się nie podoba, poszukaj innej niani.

– Ani mi się śni – odparł.

Usiadła obok na krześle i zapytała cicho:

– Grześ... Od kiedy przestaliśmy ze sobą rozmawiać i podejmować wspólnie decyzje?

Popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

– Odkąd postanowiłaś pozbawić mnie jaj.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała z wyrzutem.

Wydawało się jej, że udzielała mu jedynie dobrych rad, gdy rozkręcał jakieś interesy, które nie wiadomo czym się miały zajmować. Odmówiła firmowania ich własnym nazwiskiem i na tym cała sprawa się zakończyła. Nie sądziła, że Grześ odbierze to w taki sposób. Nie znał się na biznesie, ona owszem, dlatego uważała, że dziwne układy, nawet handlowe, ze starym, skompromitowanym reżimem przyniosą mu więcej szkody niż pożytku. Bała się również, że pewnego dnia owe interesy mogą się okazać gwoździem do jego trumny, bo ludzie z dawnego układu i tak nigdy nie wybaczą mu ucieczki na Zachód. Wtedy przyznał jej rację, a teraz mówił coś takiego? Nie mieściło jej się to w głowie.

– Bo nie tak to sobie wyobrażałem. – Głos Grzegorza wciąż był zimny jak lód.

– A jak, kochanie? Wydawało ci się, że narobisz mi dzieci i zamkniesz mnie w domu? I jedyne, o czym będziesz ze mną rozmawiał, to kupki, zupki i pieluchy? A po kilku latach okaże się, że zakochałeś się w zadbanej,

inteligentnej kobiecie sukcesu, tak jak zwariowałaś na punkcie tej wyrachowanej dziwki, Amelii...

Chciał coś powiedzieć, ale Hania rozdarła się na całe gardło. Kinga wyciągnęła ją z łóžeczka, założyła jej kożuszek, czapkę i buciki, a potem bez słowa wyszła z domu. Aż trzęsa się w środku, bo była dumna z nowego biura i swoich pracowników, a tymczasem, gdy już wszystko było gotowe, Grzesiek zaczął sabotować jej plany.

Zaczynała podejrzewać, że na jego zachowanie duży wpływ miał ten cholerny Karol Lewin, tyran i despota. Nie cierpiała tej intrygantki Imhoff, ale musiała przyznać, że ta kobieta miała anielską cierpliwość do swojego dawnego kochanka. Nie miała pojęcia, jak Karol to zrobił, ale zdawało się jej, że przebojowa i błyskotliwa Amelia chodziła jak pies na smyczy Lewina. Grzesiek wiedział coś więcej na temat ich wzajemnych relacji, ale pewnego dnia powiedział jej jedynie, że Amelia dostała to, na co zasłużyła. Nie wnikała, ponieważ pani Imhoff przestała ją obchodzić, ale nie mogła nie zauważyć zmiany, która zaszła w jej małżonku, odkąd wrócili do Polski.

Była niemal pewna, że stało się to pod wpływem tego szemranego gnoja, który należał do najgorszego sortu ludzi dawnej władzy. Kostek, mimo że nigdy związał się z kobietą o podobnej profesji, nie zostawiał na Lewinie suchej nitki. Z powodu Grzegorza nie chciał także pracować w jej redakcji. Pragnął rozliczać takich jak Karol i obawiał się, że z powodu rodzinnych koneksji Kinga nie będzie chciała ruszać pewnych tematów. Miał trochę racji, bo nie zamierzała tropić występków Lewina, ale nie z uwagi na Grzegorza, ale całą rodzinę Łyszkinów i Dargiewiczów. Jej matka, Alicja, dopuściła się kiedyś zbrodni i wiele lat upłynęło, zanim Hanka i Karol jej wybaczyli. Nie chciała psuć tego kruchego porozumienia między nimi. Nie mogła, oczywiście, powiedzieć o wszystkim Kostkowi, ale żal jej było, że tak uczciwy i dobry dziennikarz nie zasili szeregów jej redakcji.

Po kilkunastu minutach rozważań i wątpliwości, rzuciła się w wir pracy i starała się nie myśleć o porannej kłótni.

Po południu na jej biurku kolejny raz zaterkotał telefon. Odebrała i usłyszała głos sekretarki.

– Ma pani gościa – oznajmiła dziewczyna.

– Nie mam dzisiaj już żadnych spotkań. Czy o czymś zapomniałam? – zapytała zdziwiona.

– Ten pan nie był umówiony, ale na pewno go pani przyjmie. – Sekretarka się roześmiała i rozłączyła.

Po chwili do jej gabinetu wszedł Grzegorz.

– Zabieram cię na obiad – oznajmił tonem, którego nie cierpiała.

– Zabrać to możesz buty do szewca – burknęła.

– Kinga, przepraszam. Powinienem ci powiedzieć. Wyrzuciłem Jadźkę, bo wpadłem niespodziewanie do domu i cholernie nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Mała zanosila się płaczem, miała przemoczone śpiochy i koszulkę poplamioną marchewką. Podobnie zresztą jak włoski i rączki. Nie chciałem cię martwić...

– No ja chyba zamorduję tę zdzirę! – syknęła. – Gdybyś mi powiedział, nawet nie ośmieliłabym się zrobić ci afery.

– A ja naprawdę chciałbym, żebyś częściej była w domu, a nie wpadała jak po ogień. Wieczorami także jesteś nieobecna, jakbyś myśłami błędziła zupełnie gdzie indziej.

– Nie błędzę. Po prostu kiedy wracam z biura, jestem zmęczona jak nieszczęście – jęknęła.

– Właśnie... Dzieci to tylko dzieci, a ty po kwadransie tracisz cierpliwość. A kiedy zasypiają i mamy czas tylko dla siebie, ty jesteś zbyt zmęczona, by zająć się mną. Nie mówię, żebyś mi nadskakiwała, ale czasami chciałbym z tobą porozmawiać o głupotach, pokochać się z tobą i poczuć, że jestem dla ciebie ważny...

– Grześ, jesteś dla mnie najważniejszy. Od... od zawsze – odparła zgodnie z prawdą.

Tyle lat czekała na niego, że teraz nie wyobrażała sobie, by mogła go stracić. Jednak doba miała tylko dwadzieścia cztery godziny i trudno jej było pogodzić pracę z domem. Zwłaszcza że w tym ostatnim czekały na nią także dzieci, które do aniołków nie należały.

– To co, zjemy razem obiad? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego czule.

– Daj mi pięć minut, poprawię makijaż i możesz mnie porwać...

– Na strzępy? – zażartował.

– Na strzępy możesz porwać co najwyżej moją bluzkę. – Roześmiała się radośnie.

Tak, ta poranna kłótnia była kompletnie zbędna. Woląta, gdy zachowywali się jak kiedyś, kiedy dopiero razem zamieszkali.

Usiedli w jednym ze stołecznych lokali i złożyli zamówienie. Grzegorz zaproponował nawet wypicie kieliszka wina, a to oznaczało, że chce jej powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Kiniu, może to jeszcze nie Art-B, ale kupiłem fabrykę i kilka innych nieruchomości. Zamierzamy z Karolem otworzyć spółkę, jego wkład będzie podobny. Hale przerobię na magazyny, a ogromny biurowiec wyremontuję i wynajmę.

Kropla wina spłynęła po jej brodzie.

– To brzmi, jakby ta fabryka kosztowała sto dolarów – powiedziała.

– Dostałem dobry kredyt... Nic ci nie mówiłem, w końcu mamy rozdzielność majątkową.

– Sam to zaproponowałeś – zachnęła się.

– Wiem. Więc załatwiłem dobry kredyt...

– W Polsce nie dostaje się dobrych kredytów, a w normalnym kraju trzeba mieć coś, co się nazywa zdolnością kredytową – powiedziała zimno.

– Moja w tym głowa, jak to załatwiłem. Sądziłem, że będziesz ze mnie dumna. Zamieniłem się w rzutkiego biznesmena, a ty...

– Jestem... Tylko...

Kinga chciała powiedzieć coś jeszcze, a może raczej zapytać, czy Karol nie wciągnął go w jakieś machlojki, podobne do tych, które robił Grobelny albo panowie z Art-B. Nie wierzyła, że nawet w Polsce można ot tak wykupić państwową niegdyś firmę za bezcen. Przynajmniej legalnie. Nie chciała jednak doprowadzić do kolejnej awantury.

– Tylko... teraz w ogóle już przestaniemy mieć czas dla siebie.

– W takim razie zawrzemy umowę. Raz w tygodniu będziemy wychodzili na prawdziwą randkę. Oczywiście nie odprowadzę cię potem do domu, tylko zaciągnę do łóżka. I to będzie nasza świętość. Żadne biznesy, ważne sprawy czy marudzenie dzieciaków nie będą wytłumaczeniem dla rezygnacji z tych spotkań. Dobrze?

Popatrzyła na niego. Miał słuszość. W tym szaleństwie musieli wygospodarować czas tylko dla siebie, jeśli chcieli, by ich małżeństwo nie ostygło zbyt mocno. Wyciągnęła dłoń w jego kierunku i powiedziała:

– Umowa stoi, panie Łyszkin.

Uścisnął ją delikatnie i odparł:

– Bardzo mnie to cieszy, pani Łyszkin. Dodam tylko, że jeśli zechcesz zostać żoną przy mężu, jestem w stanie zapewnić ci wszystko.

– O nie, nie. – Roześmiała się jak mała dziewczynka. – Mózg mi się zlasuje. I naprawdę nie chodzi o pieniądze, bo nigdy nie byłam luksusową kobietą. Nie marzę o drogich hotelach, jachtach i wakacjach na Karaibach, ale żeby coś się działo w moim życiu. Bardzo niechętnie wspominał czas, kiedy mój dzień był poukładany według określonego schematu. Lubiłam grać, ale nie cierpiałam rutyny, a jeśli chce się coś w tym fachu osiągnąć, ona jest potrzebna. W dziennikarstwie nigdy nie wiesz, co przyniesie nowy dzień.

– A ten dzisiejszy co przyniósł? – zainteresował się.

– Chyba wiem, jak to się stało, że Gąsiorowski z Bagsikiem zrobili taką potężną kasę. Oczywiście nadal nie wierzę w owe piętnaście dolarów na starcie. Musieli mieć inwestora, który wyłożył gruby szmal, ale prawdą jest także to, że pomnożyli go w błyskawicznym tempie.

– O, to może mi coś podpowiesz? – Roześmiał się.

– Wykorzystali lukę w systemie bankowym. Jeszcze nie znam szczegółów, ale jeden z moich dziennikarzy się tym zajmuje.

– W takim razie nie robią nic nielegalnego. – Wzruszył ramionami.

– Kochanie, nie bądź dzieckiem. To mi przypomina historię Kostka. Wybili mu szybę w samochodzie i ukradli radio. Wiesz, co powiedział mu milicjant? Że radio to się wyjmuje i chowa, a nie trzyma na wierzchu. Rozumiesz? Dał mu do zrozumienia, że to Kostek jest winny, a nie złodziej, bo ten drugi jedynie wykorzystał okazję.

– Wiesz, że wywołasz trzęsienie ziemi w elitach władz, jeśli zaczniesz pisać niepocholebnie o Art-B? – Grzegorz zmarszczył brwi.

– Trudno. Tytuł „Nowa Polska” zobowiązuje.

– Wolałbym, żebyś pisała o czymś... mniej kontrowersyjnym. Tam, gdzie są duże pieniądze, nigdy nie jest bezpiecznie.

– Posłuchaj, dla mnie ten cały Okrągły Stół to było ważne wydarzenie. Mogłoby być, co prawda, dużo lepiej, gdyby w ogóle odsunięto PZPR od władzy.

– Tak się dogadaliśmy z opozycją – stwierdził Grzegorz.

– My...? Sądziłam, że już od dawna do nich nie należysz? – Zdenerwowała się.

– Kinga, jesteś strasznie niecierpliwa. Nie można tego zadłużonego kraju zmienić z dnia na dzień. Trzeba spłacić długi i zacząć od początku. Skupowanie długów po ułamku ich wartości nie jest zgodne z

międzynarodowym prawem, ale musieliśmy coś zrobić, żeby Polska nie została bankrutem.

– Mówisz o powstaniu Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego? Tak, dostali niesamowite kompetencje.

– Bo trzeba jakoś wyjść z tej zapaści.

– A może to jedynie przykrywka, żeby stara nomenklatura się wzbogaciła?

– Kochanie, dlaczego ty wszędzie węszysz podstęp?

– Bo nie wierzę komuchom. A ten cały dyrektor FOZZ-u to jakaś cholernie podejrzana figura...

– Lepiej zajmij się Art-B – powiedział zimno.

Zatem Grzegorz musiał wiedzieć coś więcej na ten temat. Czyżby parasol nad tym dziwnym tworem, którym był FOZZ, trzymały służby? Grzegorz wciąż miał tam przyjaciół, mógł coś wiedzieć... Nie chciała jednak w to wnikać tego popołudnia, ponieważ nie zamierzała psuć swojego cienkiego jak papier porozumienia z małżonkiem.

Po Hanię i Przemka pojechali razem. Alicja Dargiewicz z niejaką ulgą pozbyła się wnucząt, nie omieszkawszy wypomnieć córce i zięciowi, że ci rozpuścili dzieciaki jak dziadowskie bicze. Grzegorz poszedł do piwnicy, w której Sergiusz robił porządek, a Kinga usiadła z matką na kanapie, by wykorzystać jedną z tych nielicznych chwil, gdy zarówno Przemek, jak i Hania spali.

Dargiewiczowie kupili dom na Sadybie. Zwykły paskudny kwadraciak, będący symbolem epoki Gierka, i Alicja wciąż kombinowała, aby zaczął przypominać ładny angielski dom, który mieli w Londynie. Oczywiście na razie nie bardzo jej to wychodziło.

– Mówiłaś, że i tak zamierzasz wyremontować dworek Chełmickich i tam zamieszkać – powiedziała Kinga, gdy matka poinformowała ją o planach powiększenia ganku i tarasu.

– Nie wiem, jak to wyjdzie, bo ktoś mocno blokuje sprzedaż tej nieruchomości. Sądziłam, że to Amelia z racji dziedziczenia, ale podobno jakaś warszawska spółka z kapitałem zagranicznym bardzo chce to kupić. Więc to chyba nie ona...

– Prawdę mówiąc, Amelia ma prawo go odzyskać. W końcu to jej ojcowizna.

– Skarb Państwa może jej wypłacić jakieś odszkodowanie, jeśli dworek zostanie sprzedany niezgodnie z prawem. W księgach wieczystych jest straszny bałagan. Jako właściciel budynków wpisany jest tam PGR Chełmice, zaś ziemia wciąż należy do Antoniego Chełmickiego. Teoretycznie, bo przecież w tym kraju wszystko jest możliwe, nawet sprzedaż prywatnej własności.

– Nie chcesz odpuścić? – zapytała Kinga.

– Amelia ma w nosie ten dworek. Kiedyś chciała go odzyskać, ale teraz... Ma innego faceta, prowadzi interesy i chyba już jej nie zależy na Lewinie. I na dworku.

– Rozmawiałaś z nią? – zdziwiła się Kinga.

– Nie, ale Hanka zna wszystkie ploteczki. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Zatem komu tak bardzo zależy na Chełmicach? Przecież to koniec świata, a jak znam życie i PGR-y, zapewne ten dom przypomina ruinę.

– Nie wiem... – Alicja wzruszyła ramionami. – Tak, byliśmy tam z Hanką. To naprawdę rudera. Ja kieruję się sentymentem, ale ten ktoś, kto chce to kupić, musi być wariatem. – Roześmiała się.

– Pewnie popłakałyście sobie w Chełmicach – powiedziała ciepło Kinga.

– Trochę... Wiesz, spędziłyśmy tam młodość. Hanka kochała się w Jakubie Moselu, ja w Julianie. Chciałyśmy wyrwać się stamtąd i zawojować świat. Gdyby nie wojna, kto wie...

– Ale gdyby nie wojna, nie poznałabyś tatki. Chryste, gdybyś spłodziła mnie z Chełmickim, może wyrosłabym na takiego samego potwora, jak Amelia!

– Nie daj Boże. – Uśmiechnęła się i dodała już zupełnie poważnie: – Twój ojciec sprawił, że przestałam czuć się wybrakowana. Przy Julianie zawsze czułam się gorsza, głupsza, taka nieidealna.

– Mamuś, nie znam idealnych ludzi. I z każdego można zrobić potwora. Wszystko zależy od środowiska i okoliczności.

– Masz rację, nie ma ludzi idealnych, ale uświadomił mi to dopiero Sergiusz.

– Wiesz, kiedy tak na was patrzę, marzę o tym, żebyśmy z Grzesiem kochali się tak samo mocno, jak wy.

– A nie kochacie się? – zdziwiła się Alicja.

– Kochamy, ale chciałabym, żeby tak było również za trzydzieści lat.

– Związek jest jak piękna roślina. Trzeba o nią dbać, żeby nie uschła.

– Tak, wiem, dlatego postanowiliśmy z Grzesiem, że jeden dzień w tygodniu będziemy mieli tylko dla siebie.

Alicja przewróciła oczami.

– Tylko znajdźcie nianię, bo ja już nie mam siły, żeby biegać za Przemkiem i słuchać wrzasków Hanki.

– Właśnie kogoś szukamy – westchnęła Kinga. – Może ciotka Hanka zna kogoś zaufanego?

– Zadzwońię do niej wieczorem i zapytam.

– A jak to jest mieć ją znowu obok siebie?

W głosie Kingi pobrzmiwała lekka zazdrość, bo ona nigdy nie miała takiej przyjaciółki od serca. Kiedyś sądziła, że kimś takim stanie się dla niej siostra, ale ich drogi pewnego dnia zbyt mocno się rozeszły. A ona nie miała nawet z kim pogadać o swoich problemach. Zdawała sobie sprawę, że miliony polskich kobiet chętnie zamieniłyby zakład pracy na domowe pielesze, ale ona się do nich nie zaliczała.

11.

Warszawa, 1990

Kostek przybył do Warszawy późnym popołudniem. Ustalił z Kingą, że na te kilka dni zakotwiczy w jej mieszkaniu, jednak już pierwszego wieczoru miał ochotę stamtąd wyjść i spędzić noc chociażby w swoim polonezie. Nie chodziło ani o panią domu, ani też jej męża, ale odwykł nieco od krzyżących dzieciaków. Jego synowie już z tego wyrosli, chociaż miał z nimi teraz prawdziwy krzyż pański. Obawiał się, że za jakieś dziesięć lat Kinga będzie miała podobny problem ze swoimi.

Tuż przed jego wyjazdem chłopcy przywiązali sznurkiem kolegę do grzejnika i musiał iść do szkoły, by świecić za nich oczami. Pracował teraz w „Tygodniku Gdańskim” i na szczęście nie musiał prosić o pozwolenie, gdy chciał opuścić redakcję w ciągu dnia.

Wychowawczyni chłopców, kobieta o zasuszonej sylwetce, wysokim koku i ptasim nosie, była idealną kandydatką na nauczycielkę z sennych koszmarów. Wyniosła, z pretensją w głosie, przemawiała do niego niczym sędzia sądu ostatecznego. Co chwilę to zakładała, to znów zdejmowała okulary w złotych oprawkach, które nosiła zawieszona na łańcuszku.

– Jasiek i Paweł to zwyczajni chuligani. Nie wiem, do jakiej szkoły uczęszczali w Anglii, ale u nas nie toleruje się podobnego zachowania – perorowała.

– Po prostu trudno im przywyknąć. Wyjechali z Polski jako mali chłopcy i niewiele pamiętali, dla nich ojczyzną była Wielka Brytania. Wychowują się bez matki... – Kostek zaczął się gęsto tłumaczyć. I jak zawsze używał tego samego argumentu.

– Proszę pana, ja wszystko rozumiem, ale nie mogą się znęcać nad kolegami... Rozumiem, że został pan z nimi sam, ale musi pan trzymać ich w ryzach i nauczyć ich kindersztuby.

– Chyba pani nieco przesadza z tym znęcaniem się – bąknął Kostek, gdy usłyszał, że jego synowie pastwią się nad uczniami.

– Przesadzam? Marysiński dwie godziny siedział w klasie, zanim znalazła go sprzątaczką i odwiązała. Ciekawe, swoją drogą, skąd wzięli tyle sznura...

Nie odpowiedział, bo mimo że znał prawdę, nie zamierzał się nią dzielić z wychowawczynią.

– Tak, to było paskudne. Obiecuję, że zostaną ukarani.

– Mam taką nadzieję, panie Piotrowski. Chłopcy są w naszej szkole zaledwie od kilku miesięcy, a ja pana wzywam już piąty raz. Tak nie może być... Nie myślał pan o domu poprawczym albo jakimś ośrodku szkolno-wychowawczym dla trudnej młodzieży? – zapytała bezradnie.

Chciał powiedzieć, żeby sama się zamknęła w jakimś ośrodku, ale wydukał jedynie:

– Moi synowie nie są młodocianymi przestępcami. Owszem, rozrabiają...

– Rozrabiają to pięcioletnie dzieci – przerwała mu nauczycielka. – A oni zachowują się skandalicznie!

Właściwie nie widział różnicy w tych dwóch stwierdzeniach, więc przestał się odzywać. Tak było za każdym razem – w pewnym momencie się wyłączał i dawał się kobiecie wygadać. Nie słuchał nawet wtedy, kiedy mówiła o dyscyplinowaniu młodych chłopców, dotkliwych karach czy odwiedzeniu poradni psychologicznej.

Wyszedł ze szkoły po godzinie, spocony jak mysz, ale nawet nie wiedział, czy to z nerwów, czy z gorąca, bo tego dnia było wyjątkowo ciepło. Był wściekły na synów, ponieważ musiał wyjechać na kilka dni do Warszawy, oni zaś mieli przez ten czas zamieszkać u babci i dziadka. On zapewne wymyśliłby dla nich jakąś dotkliwą karę, ale pobyt u starych Piotrowskich był dla nich jak nagroda.

Otworzył drzwi do mieszkania. Było bardzo cicho, a to oznaczało, że Jasiek i Paweł doskonale wiedzieli, że mocno narozrabiali. Nie grał telewizor czy radio ani też nie łazili po domu, jak to zazwyczaj bywało.

– Jasiek! Paweł! – ryknął od progu. – Do mnie!

Drzwi pokoju zaskrzypiały i zobaczył w nich swoje dwa potworki. Trzeba przyznać, że ich twarze przypominały buzie cherubinków i ktoś, kto ich nie znał, mógłby pomyśleć, iż i charakterki mieli anielskie. Dokładnie jak ich matka – uroda laleczki i diabeł za skórą.

– A dlaczego tata zawsze najpierw woła mnie? – Jasiek wykrzywił usta w grymasie.

– A co to za różnica? – zirytował się. – Obaj jesteście winni i dostaniecie karę. I za przywiązanie Marysińskiego do grzejnika, i za kradzież sznura.

– Dziadek miał go dużo... – próbował tłumaczyć się Paweł.

– Ale o Marysińskim już nic nie powiesz? Co on wam zrobił?

– Mówi na nas „Amerykany” i kradnie nam gumy Turbo. Debil! Nawet nie odróżnia Ameryki od Wielkiej Brytanii – powiedział hardo Jasiek.

– Jeszcze żeby zżarł i obrazki zostawił... Ale nie, rwie je na strzępy! Mówiliśmy mu, że popamięta, ale znowu to zrobił. No i myśmy... No, tego...

– Guma do zucia to nie powód, żeby kogoś przywiązywać po lekcjach do grzejnika. W ogóle skąd wzięliście klucz do klasy?

Chłopcy spojrzeli na siebie i zaczęli głupkowato się uśmiechać.

– Wzięliśmy od woźnej. Jasiek powiedział jej, że widział szczura w kiblu, a ja zabrałem klucz.

– U was w szkole są szczury? – przeraził się Kostek.

– Nie, tato, ale gadali, że były. No to żeśmy tak wymyślili.

– Dobrze, ale karę i tak poniesiecie. Ja wyjeżdżam w delegację, a wy idziecie do dziadków. Nie myślcie jednak, że będzie jak zawsze. Powiem dziadkowi, coście zrobili, a on wam już musztrę zafunduje.

Błażej wcale nie był zadowolony, że musi robić za żandarma, bo chłopcy otrzymali zakaz wychodzenia gdziekolwiek oprócz szkoły. Kiedy jednak dowiedział się, że przywiązali kolegę do kaloryfera jego sznurem, zdenerwował się.

– Nowiuśki sznur, małe hamany! Za karę posprzątaacie na wysoki połysk całą piwnicę! – krzyknął.

– A po co ci był ten sznur? – zaciekawiał się Kostek.

– Zrobiłem matce na balkonie taką sprytną suszarkę pod sufitem. Każdy pręt do wieszania bielizny będzie mogła sobie opuścić, a potem podciągnąć.

– Świetny pomysł, ostatnio narzeka, że ręce jej mdleją, jak cały czas musi je trzymać w górze.

– To całkiem tak samo ma z nogami. – Zaśmiał się i dodał ściszym głosem: – Ale że złodziejaska tak potraktowali, to dobrze.

– Tato... – jęknął Kostek. – Ta baba mi wytknęła, że już piąty raz musiała mnie wzywać, bo ciągle coś wywijają.

– A fertyczna chociaż?

– Gdzie tam! Stara raszpla i sucha jak Biedaszewska.

– To niedobrze... Następnym razem ja pójdę. Może to jakaś podstarzała rajfurka, która chce cię na figle namówić. Jak zobaczy starego pryka, od razu jej się odechce wydzwaniać do ciebie i bez potrzeby ciągać do szkoły.

Kostek przewrócił oczami, bo wyobraził sobie ojca rozmawiającego z tym nadętym babskiem. Gdyby wspomniała mu o poprawczaku dla chłopców, rzuciłby jej wiązanekę i na tym by się jego interwencja zakończyła.

– Tato, tylko proszę, nie pobłażaj im. Niech sznur odkupią ci z kieszonkowego i niech siedzą w tej piwnicy, aż na glanc ją wysprzątają.

– Chyba dawno tam nie byłeś, synku. Chłopcom z uporządkowaniem tego burdelu zeszłoby do jesieni – powiedziała Gabriela Piotrowska, która właśnie weszła do pokoju z talerzem parującej zupy.

– Tylko nie burdelu, wypraszam sobie – mruknął ojciec.

– Przecież tam tylko dziada z babą brakuje. Jak chcę słoiczki poustawiać na regale, to muszę siedzieć na starej pralce, bo dojścia nie mam.

– Ale gdyby tak była podłączona, toby ci trochę siedzenie wypieściła. – Błazej zaśmiał się rubasznie.

– Pewnie, bo ty już do takich rzeczy niezdatny – odcięła się Gabriela i dodała: – Kostek, ty mi wytłumacz, po co ojcu felga do jelcza, prawidła do butów i zapleśniały manekin. Skąd on bierze te rupiecie, to ja nie mam pojęcia.

– Myślałem, że się przydadzą... A jakbyś gdzieś wyjechała, manekina był ubrał w twoją kieckę i udawał, że to ty.

– No durny stary piernik! A niby gdzie ja ostatnio wyjeżdżałam bez ciebie? Nawet do Olsztyna za mną się powlokłeś.

– Tam to ja cię muszę pilnować, żebyś znowu jakiegoś fagasa z przemysłu spożywczego sobie nie poderwała. – Pogroził jej palcem.

– Ja się jakoś nie boję, że polecisz do Maryški, gdy wyjadę. Siwy jak gołąb, a ciągle mu jakieś bezceństwa do łba przychodzą.

– Tobie też ostatnio trochę więcej sreberka przybyło. A baba to dwa razy szaleje. Jak dojrzeje i jak siwieje.

– Albo jak jej mąż nie dogadza – prychnęła.

– O patrz, jaka mocna w gębie! A wieczorami to ciągle ją głowa boli.

Kostek postanowił przerwać sprzeczkę rodziców:

– Tato, zaraz muszę jechać. Proszę, nie odpuszczaj im. Niech przy okazji powynoszą na śmietnik niepotrzebne rupiecie.

– A gdzie ty taki wielki śmietnik znajdziesz? – burknęła Gabriela. – Jutro ich na działkę zabiorę. Jak wyplewią kilka grządek, to im się od razu odechce harców.

– Dzięki. A jakby co, dzwońcie do biura Kingi Dargiewicz. Zostawię wam numer. Zresztą ja sam postaram się codziennie do was telefonować.

Wyszedł z bloku, w którym mieszkali rodzice, wyciągnął radio z bagażnika i wsiadł do samochodu. Odkąd wybito mu szybę w aucie i okradziono, zawsze pamiętał o tym, by niczego na wierzchu nie zostawiać.

Kiedy dotarł do Warszawy, był półżywy, bo chyba połowa Trójmiasta uparła się, by tego popołudnia pojechać do stolicy. Wciąż myślał o swoich niesfornych synach, ale gdy dotarł do mieszkania Kingi i Grzegorza, musiał zmierzyć się z jeszcze gorszymi czortami niż jego własne.

– Wiem, Kostek, że u mnie ani nie popracujesz nad tekstem, ani nie odpoczniesz. Jutro zadzwonię do mamy albo na Saską Kępę. Tam przynajmniej się wyśpisz, bo pisać możesz w moim biurze – powiedziała z westchnieniem Kinga i postawiła przed Kostkiem szklanekę parującej herbaty. Po chwili ruszyła z powrotem do kuchni, by przygotować mu coś do zjedzenia.

– Jutro poszukam jakiegoś niedrogiego hotelu. To nie jest wyjazd tak zupełnie służbowy, więc diet nie dostałem.

– No masz! Tyle rodziny w Warszawie mieszka, a ty będziesz płacił za hotel? Nie ma mowy – powiedziała stanowczo Kinga.

– To już wolę na tę Saską Kępę... Wiesz, odkąd rozwiedliśmy się z Natalią, niezręcznie mi nocować u twoich rodziców.

Wysunęła głowę z kuchni.

– Jak chcesz, ale wiesz, że ani mama, ani ojciec nie mają do ciebie żalu. Uważają, że i tak długo wytrzymałeś...

– Była kiedyś taka dobra dla chłopców. Miałem nadzieję, że zastąpi im Beatę. Kiedy zaczęła ich ignorować, zrobili się straszni.

– Każdy dzieciak potrzebuje matki. Twój synowie również. Jestem pewna, że niedługo poznasz kogoś miłego. Jesteś wciąż zabójczo przystojny. – Puściła do niego oko.

– Bardzo ci dziękuję za komplement, ale tracę już nadzieję, bo przyciągam do siebie same wariatki – jęknął.

– Dzięki, przyjacielu. – Kinga zrobiła urażoną minę.

– Ale ty to co innego...

– Pamiętasz, jak twój ojczulek usiłował nas wyswatać? – Zachichotała.

– Żałuj, że nie byłeś u nich, kiedy podejmował w domu matkę Moniki.

– Uwielbiam Błażeja i Gabrysię, chociaż nie mogę narzekać ani na teścia, ani na teściową. Aha... Chciałam cię uprzedzić, że na Saskiej Kępie mieszka teraz ich wnuczka, Majka. Ale ona już przekroczyła trzydziestkę, więc nie martw się, że będzie dokazywała.

– Ta piosenkarka rockowa?

– Tak, ale już nie śpiewa. Pracuje teraz jako sekretarka w Uniwersalu.

– Takiego dzieciaka to mogę znieść... – mruknął pod nosem.

– Wszystko słyszę! – krzyknęła Kinga, a po chwili weszła do pokoju z talerzem kanapek.

Nie porozmawiali jednak za długo, bo Przemek włączył samochód na baterie, który wydawał z siebie ryk syreny policyjnej. Po chwili mała Hania zaczęła beczeć, a Grzegorz usiłował ją uspokoić, śpiewając jej piosenki. Prawdę mówiąc, nie za bardzo mu to śpiewanie wychodziło.

Nazajutrz Kostek z ulgą opuścił mieszkanie młodych Łyszkinów i pocieszał się, że następny wieczór i noc spędzi w domu spokojnych staruszków, i nawet nie przeszkadzało mu, że jego właściciel jest starym komuchem.

Dotarł do Huty Warszawa i poczekał w barze naprzeciwko na koniec zmiany. Wkrótce zobaczył trzech młodych mężczyzn, których znał jeszcze z czasów, gdy pisał o strajkach w osiemdziesiątym roku, a potem ekscytował się kolportażem podziemnego pisma „Głos Wolnego Robotnika”. Teraz gazeta wychodziła już oficjalnie i bez przeszkód, ale jej nakład był bardzo mizerny.

– Dobrze, że wróciłeś do kraju – powitał go jeden z nich.

– Ano wróciłem. Trzeba budować nową Polskę.

– Jedni budują, inni rujnują. Słuchaj, mamy tu takiego faceta, któremu wydrukowaliśmy artykuł. Chodzi o grubą sprawę, ale wiesz, ile osób nas czyta. Garstka. Najgorsze jest to, że żadna gazeta nie chce z nim gadać. Ani z nami. A ta afera wymaga rozgłosu.

– Dlatego przyjechałem. – Wyszczrzył zęby. – Zawsze lubiłem ryzyko. Moje pierwsze artykuły o aferze „Żelazo” już poszły w świat.

– Czytaliśmy i dlatego wiedzieliśmy, że wróciłeś. – Drugi z kompanów poklepał go po plecach i podał jeden z numerów „Głosu”. – Przeczytaj.

Chociaż w artykule padało wiele zagranicznych nazw, w mig pojał, o co chodzi w tym przekręcie i jaką rolę pełniły owe firmy z Zachodu.

– Jednym słowem ten cały Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego to instytucja do wyprowadzania pieniędzy z Polski – powiedział z westchnieniem.

– Wiesz, komuniści założyli drugi FOZZ tuż przed obradami Okrągłego Stołu. Dali jego dyrektorowi bardzo szerokie kompetencje. Właściwie facet może wszystko. Każda firma, która handluje z Zachodem, musi coś wrzucać do funduszu. Teoretycznie powinni te pieniądze przekazywać bankom zachodnim, u których Polska ma długi, i obracać nimi, aby pomnażać majątek, a tymczasem wyprowadzają kasę z kraju i słuch po niej ginie.

– Ale przecież musi istnieć jakaś Rada Nadzorcza... Nie wiem, przecież ktoś z ministerstwa kontroluje takie rzeczy...

– Ministerstwo ma to w nosie. Może nawet dobrze wiedzą, co się dzieje, ale dostają pajdę i udają, że niczego nie widzą. Wszystkie transakcje obsługuje rzekomo Bank Handlowy, przez który docierały do nas kredyty, ale to podobno już trup i powinien splajtować.

– Ale państwowe pieniądze, rzekomo na spłatę długów, trafiają do nich, to znaczy do dyrektora i jego znajomków. Czy dobrze rozumiem? – zapytał Kostek.

– Posłuchaj, zapoznaj się z materiałem, a potem spotkaj się z tym człowiekiem. Nazywa się Michał Falzmann. Łebski facet. Odkrył proceder, gdy pracował w skarbowce i robił kontrolę w Universalu. Sporządził stosowną notatkę i wiesz co? Nie dostał awansu ani nagrody, tylko wypowiedzenie. Potem zaproponowali mu pracę w Zakładach Techniki Jądrowej, ale i tam odkrył szwindle i w końcu firma padła.

– Niemożliwy facet – ze śmiechem stwierdził Kostek. – Rozwalił system.

– Uczciwy, a to dzisiaj nie jest w modzie. Kiedy poszedł z tym tekstem do kilku naczelnych, podobno takich, co o wolną Polskę walczyli, zrugali go. Że sieje panikę, chce ośmieszyć nasz kraj na arenie międzynarodowej, bo przecież to się może roznieść na cały świat, i takie tam... Teraz nie wolno nic mówić, prawie jak za komuny. Mazowiecki, Balcerowicz czy Wałęsa to ludzie symbole. Mówić źle o nich, to jak obrażać samego papieża.

– Pewnie dlatego nikt nie pisze, że ten kompromis z komuchami to był lekko zgniły... – westchnął Kostek.

– Nie wiem, czy można było to zrobić inaczej. Może to było jedyne wyjście, żeby chociaż trochę odsunąć ich od koryta, ale widzi mi się, że oni

sobie montują drugie koryto, i to za nasze pieniądze. Ten kraj nigdy nie dźwignie się z biedy, jeśli każdy komuch zechce się obłowić. Przecież ich były miliony. Partyjne aparatczyki, ubecy, wojsko, milicja... Oni wciąż mają władzę i możliwości, o których zwykły człowiek nie ma pojęcia.

– Na szczęście mnie nikt ust nie zamknie... Dobra, daj mi numer do tego Falzmana. Niech da, co ma, a ja może to wydrukuję. Moja gazeta jeszcze się do końca nie zeświniła. Ale ostrzegam, że muszę mieć konkrety i dowody, żeby takie rzeczy opublikować – odparł.

Pozegnał się z kolegami, włożył pod pachę gazetę i wyszedł z lokalu. Tuż przy parkingu dostrzegł budkę telefoniczną. Wszedł do niej, włożył kartę i wykręcił numer do urzędnika skarbowego, który wpadł na trop wielkiej afery z ogromnymi pieniędzmi w tle. Umówili się na następny dzień, a potem Kostek pojechał na Saską Kępę, żeby w końcu wyspać się w spokoju.

Państwo Łyszkinowie byli dla niego bardzo mili i od razu posadzili przy stole nakrytym do kolacji. Po chwili dołączyła ich wnuczka, Majka. Młoda kobieta może i skończyła trzydziestkę, ale Kostek nie dałby jej więcej niż dwadzieścia lat. Nie wiedział, czy sprawiła to jej delikatna uroda albo pergaminowa cera, a może ubiór. Skórzane spodnie opinały jej szczupłą sylwetkę, czarna koszula z białymi mazgajami i mnóstwo srebrnych ozdób idealnie pasowały do wizerunku rockmanki. Zdziwił się tylko, że tak chodziła ubrana do pracy w biurze.

Po obiedzie udał się do pokoju, który niegdyś należał do Karola Lewina. Miał nadzieję, że ten drań nie zechce odwiedzić wujostwa, gdy on będzie tu bawił. Przeczytał artykuł, ale ze zrozumiałych względów nie otrzymał zbyt obszernej wiedzy na temat machlojek w FOZZ-ie.

Następnego dnia, gdy wychodził od Łyszkinów, natknął się na Majkę. Zbierała się do pracy i w niczym nie przypominała dziewczyny, którą poznał poprzedniego dnia. Miała na sobie dopasowany kostium, wysokie szpilki, a długie włosy związała w koński ogon.

– Podwiozę cię – zaproponował, gdy zobaczył, że kobieta idzie w stronę przystanku.

– Fantastycznie. – Uśmiechnęła się promiennie i usiadła na miejscu pasażera.

Jej wąska spódnica uniosła się nieco, odsłaniając ponętne uda jej właścicielki. Kostek przełknął ślinę, bo od razu przypomniał sobie, od jak wielu miesięcy nie miał kobiety w łóżku. Nie zamierzał jednak uwodzić Majki, której dziadek służył niegdyś w radzieckiej bezpiece, a wujowie związani byli z aparatem represji. Nie wiedział, czym dokładnie zajmował się Grzegorz, ale jeśli pracował kiedyś dla komunistów, na pewno nie było to coś, co przynosiło chlubę.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, gdy Kostek zagadnął:

– Dlaczego zamieniłaś skórzaną kurtkę z ćwiekami na elegancką garsonkę?

– Skąd wiesz, że mam kurtkę nabijaną ćwiekami? – Roześmiała się dźwięcznie, ale po chwili spoważniała. – Czas dorosnąć. Nie mogę wiecznie żyć jak motylek. To było dobre, gdy miałam dwadzieścia lat... Kurde, nie potrafię kłamać. Pokłóciłam się z kolegami z zespołu.

– To dobrze, że nie umiesz kłamać. Nie cierpię kłamczuchów. A zespołów jest w Polsce bez liku. Na pewno każdy chciałby mieć taką wokalistkę. Słyszałem kilka kawałków w twoim wykonaniu. Masz rewelacyjny głos.

– Obawiam się, że zawsze już będzie tak samo. Będę obca, z innego świata. Z tego starego. Teraz w końcu mogli mi to wyrzygać.

– Wiesz, kim jestem? – zagadnął.

– Tak. Ożeniłeś się z esbeczką, ale stałeś po tej drugiej stronie. Ja też, ale moja rodzina za bardzo mnie obciąża. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale to moja rodzina i cokolwiek zrobią, zawsze nią będą.

– Wiem coś na ten temat. Między mną a moją żoną dochodziło niekiedy do dantejskich scen, ale kochałem ją.

– Właśnie. Nie mogę więc udawać, że oni nie istnieją albo odciąć się od nich, chociaż mamy zupełnie inne poglądy. Boże, moi wujowie byli nieobliczalni – westchnęła. – Wykorzystywali to, że mieli władzę. Prawdę mówiąc, podobało mi się to niekiedy.

– Każda władza deprawuje.

– Ale natrafili w życiu na taką zawodniczkę, że musieli się pogodzić, żeby ją w końcu ujarzmić. Nigdy jej nie lubiłam, ale zazdrościłam jej charakteru.

– Mówisz o Amelii Imhoff? Przecież to podobno baba z piekła rodem. No i trafiła na takiego samego skurwysyna.

– Mówisz o moim ukochanym wujaszku Karolku – westchnęła.

– Był dla ciebie dobry?

– Bardzo.

– W takim razie wszystko w porządku – odparł ugodowo i dodał: – Uważasz, że nadużywam gościnności twoich dziadków, jeśli miałem na pieńku z ich podopiecznym?

Majka machnęła ręką.

– Przestań przejmować się głupotami. Zresztą Karol przyjeżdża z synem na Saską Kępę tylko w niedziele. Jeśli wyjeżdżasz w piątek, na pewno się nie spotkacie.

– Cieszę się, że tak mówisz. – Poklepał ją po dłoni.

– Wczoraj myślałam, że jesteś niemową, ale całkiem fajny z ciebie koleś – odparła. – O, tu się zatrzymaj.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział.

– Do zobaczenia. – Uśmiechnęła się i wysiadła z samochodu. Patrzył, jak chwieje się na zbyt wysokich szpilkach, co wyglądało dość komicznie. Majka Staśko sprawiała wrażenie, jakby źle się czuła w takim anturazie, gdzie zawsze trzeba wyglądać schludnie i elegancko. Musiał jednak przyznać, że w tym ostatnim wydaniu podobała mu się znacznie bardziej niż w czarnej koszuli, srebrnych łańcuchach i cyrkowym makijażu.

Michał Falzmann sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Kostek nie miał pojęcia, czy ów człowiek boi się czegoś, czy dobija go bezradność.

– Ale pan to wydrukuje? – zapytał i poprawił okulary, które nieco mu się zsuwały z nosa.

– Przecież w tym celu się z panem spotkałem. Oczywiście nie mogę panu tego przysiąc, nie jestem naczelnym w swoim piśmie, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pewne sprawy ujrzały światło dzienne – odparł spokojnie Kostek.

– Proszę pana, dostanie pan ode mnie dwieście stron notatek. To skomplikowane transakcje, więc jeśli czegoś pan nie zrozumie, proszę zaznaczyć, a ja postaram się to panu wyjaśnić. Z grubsza chodzi o to, że Universal udziela pożyczek jakimś przedziwnym spółkom z Wielkiej Brytanii, Francji czy Włoch. Podobno to pośrednicy, którzy mają sprowadzać do Polski linie technologiczne i jakieś inne sprzęty za ciężkie pieniądze. To są firmy, które nigdy nie powinny otrzymać pożyczek w wysokości miliona dolarów czy pięciuset tysięcy. Potrzebują więc

poręczyciela, którym jest FOZZ. Pieniądze krążą pomiędzy tymi dziwnymi spółkami, a na końcu znikają. Nie muszę panu mówić, że towar także nie dociera tam, gdzie powinien, o ile w ogóle istniał. Co ciekawsze, ci sami ludzie, którzy udzielają takich ryzykownych pożyczek, są pełnomocnikami pożyczkobiorców. Umów albo nie ma w ogóle, albo są tak skonstruowane, by odzyskanie pieniędzy nie było możliwe.

– To brzmi jak interesy jakiejś mafii usiłującej wyprać pieniądze z narkotyków – stwierdził Kostek.

To, co mówił mu ten człowiek, zdawało się opowieścią szaleńca. W końcu ktoś sprawował kontrolę nad FOZZ-em, który dysponował ogromnymi środkami, w dodatku publicznymi. Dziennikarz nie zamierzał jednak mówić Falzmannowi o swoich wątpliwościach, dopóki nie przeczyta jego zapisków.

12.

Warszawa, 1990

Lewin nie miał zbyt wiele czasu, by wprowadzić swój chytry plan w życie. Miał w dłoni zawiadomienie, w którym informowano go o terminie stawienia się na komisji. Wiedział, że nie przejdzie weryfikacji, ponieważ zbyt wielu ludziom załazł za skórę. A jeśli nawet kierownictwu udało się przepchnąć jego kandydaturę i umieścić w szeregach nowej służby, czyli w Urzędzie Ochrony Państwa, nie był tym zainteresowany. Płaca prawdopodobnie będzie licha, a jego przełożeni zapewne wprowadzą nowe porządki. Nie miał złudzeń – pewnego dnia mroczna przeszłość i tak może go dopaść.

Udał się do mieszkania operacyjnego, w którym umówił się z jednym z pułkowników wywiadu wojskowego. Do niedawna stanowili dla siebie konkurencję, jednak gdy się okazało, że jadą na tym samym wózku, służby wojskowe i cywilne postanowiły się dogadać. Karol wiedział jednak, że FOZZ jest pod całkowitą kontrolą służb wojskowych i postanowił wykorzystać swoje znajomości w tym resorcie.

Jeszcze do niedawna obaj z Grześkiem sądzili, że wyprowadzane z Polski pieniądze mają posłużyć jakimś wyższym celom i być wspólnym dobrem, rychło się jednak okazało, że każdy myślał jedynie o własnej dupie. Tym razem on i Grzegorz postanowili zadbać o swoje.

Mężczyzna przywitał się wylewnie z Lewinem. Ten podał mu zawiadomienie o przesłuchaniu przed komisją weryfikacyjną.

– Niczego z tym nie zrobimy. Chcesz, żebym z kimś pogadał? Znam w komisji takiego...

Pułkownik nie dokończył, bo Lewin mu przerwał:

– Nie chcę już pracować w służbach. Nie zależy mi. Ta pierdolona komisja to zwykła pokazówka ku uciesze gawiedzi, a Departament IV idealnie nadaje się na kozła ofiarnego w tym świętojebliwym kraju.

– Wiesz, że nikt nie zostawi was na lodzie. W każdym razie nie wszystkich. Ustalono, że dostaniecie koncesje na agencje ochroniarskie czy sprzedaż broni. Nie martw się, nie zostaniesz wykidajką w knajpie z wyszynkiem – zapewnił pułkownik.

Naprawdę sądził, że Lewin zadowolony się koncesjami? Owszem, skorzysta z tego przywileju, ale potrzebował kasy, żeby rozwinąć biznes.

– Przyjmijcie mnie do systemu – wypalił.

Pułkownik popatrzył na niego jak na wariata. Owszem, miał przed sobą podpułkownika z bezpieki, ale brudna forsa nie była dla takich jak on.

– To nie jest takie proste... – zaczął, ale Lewin kolejny raz mu przerwał.

– Pułkowniku, to jest proste. – Wysunął w jego kierunku złożoną na pół kartkę ze skoroszytu – Tu są nazwiska osób, na których mam bardzo poważne haki. To osoby z pierwszych stron gazet. Jest tam wielu dygnitarzy z nowej władzy i purpuratów, którzy teraz chwalą się, że pomogli obalić komunę.

Mężczyzna rozłożył kartkę i zagwizdał.

– Same szychy, ale Kościół nam nie bruździ. Dostali swoje...

– Jeśli takie coś by wypłynęło, wywołałoby istne trzęsienie ziemi, i oni o tym wiedzą. – Karol kuł żelazo, póki gorące.

– Masz teczki czy mikrofilmy? Wiesz, że nikt nie kupi kota w worku, a takie nazwiska może sobie wypisać każdy. – Lewin ucieszył się, że pułkownik nie posłał go do diabła. A Karol doskonale wiedział, jakie atuty posiadał. Chodziło tylko o to, by zgodzili się na podobny układ.

– I jedno, i drugie. Kopie przekażę wam jutro. Nie wszystkie, ale na tyle ważne, byście byli pewni, że nie blefuję.

– Mogłeś iść z tym do Kiszczaka...

– Ale przyszedłem do pana, pułkowniku.

Mężczyzna podpalił papierosa i przez kilka minut patrzył w jeden punkt, jakby zastanawiał się, w jaki sposób to wszystko rozegrać.

– Posłuchaj, może jakaś synekura w przedsiębiorstwie, które teraz jest państwowe, a za chwilę będzie prywatne albo przekształcone w spółkę skarbu państwa? – zagadnął.

– Nie chcę być jakimś dyrektorem czy kierownikiem, ale właścicielem.

– Kapitał musi być z zewnątrz.

– Na przykład ze spółki zarejestrowanej w Wielkiej Brytanii i Liechtensteinie przez rezydenta brytyjskiego, Grzegorza Łyszkina?

Pułkownik się roześmiał.

– Brytyjski rezydent... Pierdolony, wiedział, jak się ustawić.

– A zatem, panie pułkowniku?

– A zatem przedstawię twoją ofertę. Jeśli dojdziemy do porozumienia, skontaktuję cię z prezesem Universalu, a on udzieli pożyczki spółce.

Poręczycielem będzie FOZZ. Potem... przetransferujecie kasę na Brytyjskie Wyspy Dziewicze i wyprana kasa wpłynie do Polski jako zagraniczny kapitał.

– Ten plan mamy już opracowany w szczegółach. Chcemy pięć milionów dolarów.

– Naprawdę sądzisz, że twoje kwity są tyle warte?

– Panie pułkowniku... – Lewin uśmiechnął się obłudnie. – Przecież nie płaci pan ze swoich.

Po chwili Karol podniósł się z fotela, pożegnał z pułkownikiem i opuścił mieszkanie operacyjne. Był pewny, że nazajutrz pułkownik będzie negocjował z nim kwotę transferu i Lewin gotów był opuścić milion. W końcu cztery idealnie dzieliło się na dwa.

Pojechał na Saską Kępę bez zapowiedzi. Wbrew temu, co mówił pułkownikowi martwił się przesłuchaniami przed komisją weryfikacyjną. Wiedział, że nie przejdzie do pracy w służbach nowej Polski, ale obawiał się wywiekania wszystkich swoich grzeszków. Niestety, to, za co kiedyś otrzymywał medale i awanse, teraz mogło się okazać gwoździem do jego trumny.

Informacja, że ciotka z wujem goszczą u siebie Kostka Piotrowskiego, zdenerwowała go jeszcze bardziej niż zawiadomienie o terminie przesłuchania, ale na szczęście ów zajadły solidaruch większość czasu spędzał poza domem, przychodząc na Saską Kępę jedynie po to, by się przespać.

Zastał natomiast Majkę, która teraz pracowała jako sekretarka w Universalu. Był przekonany, że robotę załatwiła jej matka, uradowana, iż jej córeczka postanowiła zrezygnować z życia rockmanki. Jego siostrzenica nie wydawała się jednak szczęśliwa ani w nowej pracy, ani jako stateczna kobieta.

Poszedł z nią do pokoju, który kiedyś zajmowała Nadia, i zapytał wprost:

– Jesteś szczęśliwa w tym swoim nowym życiu?

Majka wzruszyła ramionami.

– Staram się... Wujek, to nie jest takie proste. Kocham śpiewać, żyć na walizkach, a na scenie czuję się jak ryba w wodzie, ale teraz wszystko się zmieniło i nie chcę, żeby wytykano mnie palcami, bo miałam matkę w wierchuszce PZPR-u i wujków w służbach PRL-u.

– Olej ich i zacznij solową karierę. Jesteś świetna w tym, co robisz.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

– Kariera na dansingach? Nie żartuj...

– Posłuchaj, niedługo załatwię ci nagranie solowej płyty i zrobię taką promocję, że każdy zjadacz chleba powszedniego będzie nucił twoje piosenki.

– Zejdź na ziemię, wujek. Na to potrzebna jest fortuna, a nikt z nas taką nie dysponuje.

– To sami założymy wytwórnę płytową. A o kasę się nie martw, znajdzie się.

Majka uśmiechnęła się półgębkiem, bo nie dowierzała Karolowi. Uważała nawet, że lada chwila komisja weryfikacyjna pozbawi go stołka, a Lewin zostanie co najwyżej podstarzałym bramkarzem w jakimś warszawskim lokalu. Prawdopodobnie uznała jego wizje za piękne, ale równie nierealne jak to, że ona kiedyś odnajdzie się w biurowej robocie.

– Pewnie – odparła ze śmiechem, zapewne nie chcąc ranić ukochanego wuja swoimi wątpliwościami.

– A jak twoje sprawy sercowe? – zagadnął.

– Nijak, wujku. Teraz wieczory spędzam z Kostkiem. To miły facet...

– Trzymaj się od niego z daleka. On nienawidzi takich ludzi jak my. Zapewne zadaje się z tobą, żeby wyciągnąć jakieś pikantne szczegóły z naszego życia. Głównie mojego, bo mieliśmy kiedyś ze sobą na pieńku. To niedowartościowany dziennikarzyna, który chełpi się artykułami o aferze „Żelazo” sprzed dziesięciu lat. Teraz wszyscy się cieszą, że w Polsce nastąpiły zmiany, i mają w dupie jego rewelacje, więc szuka czegoś, co wywoła burzę.

– Nie wypytuje mnie o was – obruszyła się Majka. – Tak sobie gadamy o życiu. O jego byłych żonach, synach i przewrotności losu.

– Muszę już iść, ale ostrzegam cię: ten Piotrowski to mętna figura.

– Będę uważała. – Uśmiechnęła się, po czym cmoknęła Lewina w policzek i założyła na uszy słuchawki.

Wyszedł z pokoju Majki, ale nie udał się do salonu, gdzie siedzieli Łyszkinowie, tylko cicho otworzył drzwi do sypialni, którą gościnnie zajmował Piotrowski. Był pewny, że ten facet skorzystał z gościny wujostwa, by coś na niego znaleźć.

Rozejrzał się po biurku, ale było prawie puste. Znalazł na nim jedynie zgniecioną kartkę z zeszytu w kratkę. Rozpostarł ją i zamarł. Nie

znajdowało się na niej zbyt wiele informacji, ale Lewin wiedział już, czym się zajmuje Piotrowski. I nie była to wcale działalność Karola Lewina w Służbie Bezpieczeństwa.

13.

Warszawa, 1990

– Rozumiesz, Kinga? Ileś tam rzeczy za grube miliony nigdy nie trafiło do polskich firm. A pieniądze przepadły w jakichś spółeczkach na Zachodzie. Popatrz, Universal udzielił pożyczki firmie Paxton z Luksemburga. Jej kapitał to jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a dostali dziesięciokrotnie większą pożyczkę. Człowiek, który sygnował ów kredyt, jest pracownikiem Universalu, a jednocześnie pełnomocnikiem Paxtona. Oprócz tego pracował niegdyś w Banku Handlowym, który obsługuje te transakcje. To wszystko poręczył FOZZ. I teraz tak... Towaru nie ma, kasy nie ma, umów też nie ma... To jest potężny szwindel!

Kinga przyglądała się notatkom Falzmanna i przygryzała usta. Owszem, temat był ciekawy, ale nie mieli niczego poza słowami owego pracownika izby skarbowej, które bez dowodów wyglądały co najwyżej jak teorie spiskowe.

– Kostek, wybac, ale na tej podstawie niczego nie wydrukuję... Kiedyś już beknełam w sądzie, wiem, że jeśli wypuszcza się podobny artykuł, trzeba mieć mocną podkładkę. W końcu ten człowiek oskarża agencję rządową.

– „Głosu Wolnego Robotnika” jakoś nikt nie pozwał... – mruknął niezadowolony Kostek.

Zarówno jego lokalny tygodnik, jak i niszowa gazeta kolportowana głównie wśród pracowników Huty Warszawa nie były w stanie wstrząsnąć polską opinią publiczną. Natomiast Kinga ruszyła z kopyta i dziennik „Nowa Polska” czytali prawie wszyscy. Kostek zżymał się, co prawda, że Kinga postrzega transformację w Polsce jako coś cudownego, ale ufał, iż jest uczciwa i będzie pisała o grabieży polskiego majątku bez względu na to, kto się tego dopuszczał.

– Nie pozwalają nikogo, bo ten tytuł na rynku mediów nic nie znaczy. Kto go czyta? Robotnicy, dla których rewelacje Falzmanna są kompletnie niezrozumiałe?

– Dlatego przychodzę z tym do ciebie. Jeśli twoja gazeta to wydrukuje, ktoś się tym zainteresuje. Nie wiem, kontrola skarbową, Najwyższa Izba Kontroli?

– Jak na razie to tego gościa wyrzucono ze skarbówki. Posłuchaj, jeśli nie mamy twardych dowodów ani nikt inny nie potwierdzi tych rewelacji, nazwą go oszołomem, a mnie przeczołgają po wszystkich sądach. W końcu nad FOZZ-em ktoś czuwa. Rada nadzorcza, minister finansów...

Kostek był coraz bardziej zirytowany.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki tchórz, Kinga. Wróciłaś, bo chciałaś budować nową Polskę, a teraz, gdy nasz kraj jest rozkradany przez partyjnych aparatczyków, chowasz głowę w piasek.

– Posłuchaj, co ci powiem... Wiem, że jesteś narwany, ale uwierz, nie jestem w swoim fachu całkowitą dyletantką. Musimy przeprowadzić własne śledztwo. Powęszyć, poszukać więcej świadków. Nawet jeśli nikt mnie nie pozwie, na pewno nie weźmie tego artykułu na poważnie, ponieważ jedyne, co mamy, to teorie spiskowe jednego urzędnika.

Piotrowski z żalem musiał przyznać Kindze rację. Informacje, które otrzymał od Falzmana, były porażające, ale musiał jeszcze udowodnić, że są prawdziwe. Wystarczyłaby kontrola z NIK-u, aby puścić to w eter.

– Kurczę, dobrze gadasz. A teraz nad czym pracujesz?

– Próbuję odgadnąć, jakim cudem dwóch muzyków dorobiło się fortuny – westchnęła.

– Oscylator. – Kostek wzruszył ramionami. – Wykorzystali luki w systemie bankowym.

– To legalne? – zapytała Kinga.

– Moim zdaniem nie. To tak jak z moim radiem: wybili mi szybę, zawinęli sprzęt, a milicjant powiedział, że to ja powinienem uważać. Pomyśl, wpłacasz kilka milionów do banku X i otrzymujesz na to czek bankierski. Lecisz z tym czekiem do banku Y i zakładasz lokatę. I tak odwiedzasz kilkadziesiąt innych banków, wykorzystując fakt, że informacje między bankami przekazywane są pocztą, co zajmuje od kilku do kilkadziesiąt dni. Te same pieniądze pomnożone przez pięćdziesiąt czy sto dają niewyobrażalną kwotę.

– To tak, jak banki bogacą się, przesyłając pieniądze z przelewów przez kilkanaście dni. W Wielkiej Brytanii byłoby to niewyobrażalne. Już trochę do tego przywykłam, ale na początku nie mogłam zrozumieć, jak można w naszych czasach prowadzić bank jak za króla Ćwieczka.

– Bankom nic nie zrobią, zresztą tym dwóm hochsztaplerom pewnie też nie, ale przynajmniej ukróć ten proceder, jeśli sprawa wyjdzie na jaw. Wtedy żaden bank nie da się nabić w butelkę.

– Ale nawet jeśli Bagsik i Gąsiorowski robili tak, jak mówisz, to i tak nie zgromadziliby takiej fortuny tym sposobem. Nie wierzę, że nagle z piętnastu dolarów kapitału zakładowego zrobiły się miliardy – mruknęła Kinga.

– Ja także nie sądzę, aby obracali jedynie własnymi pieniędzmi. Na pewno parę milionów dolarów w ten sposób wyprali, tylko kto się w tym wszystkim połapie, jeśli goście mają kilka tysięcy spółek rozrzuconych po całym świecie. Widzę, że będziemy mieli roboty pod dostatkiem, tropiąc takich cwaniaków. – Roześmiał się.

– Posłuchaj, wiem, jaki masz stosunek do Grzegorza i nie zgadzamy się w kilku zasadniczych kwestiach, chociażby tej dotyczącej Okrągłego Stołu, ale chciałabym, żebyśmy razem pracowali. Chcę otworzyć oddział gazety na Wybrzeżu, a ty byłbyś idealnym naczelnym – powiedziała Kinga.

– Jeszcze nie jestem na to gotowy. Muszę się najpierw przekonać, że jesteś nieprzekupna. – Puścił do niej oko.

– Wiesz, że nie lecę na forszę. – Roześmiała się i dodała, już zupełnie poważnie: – Oddział i tak nie ruszy wcześniej niż za rok, będziesz miał czas na podjęcie decyzji.

– Dobrze, przemyślę sprawę. Jeśli nie będziesz się wtrącać w moją pracę, to kto wie, może się zdecyduję. Muszę uciekać, kochana, bo jutro rano wracam do Gdańska. W zasadzie z niczym, co mógłbym od razu wydrukować. Masz rację, musimy się wstrzymać. I z Art-B, i z FOZZ-em. Jeśli wywołamy burzę, wszyscy będą zadawali nam pytania o twarde dowody. A tych jak na razie nie mamy.

– Kiedy znów przyjedziesz? – zapytała zasmucona, bo lubiła Kostka niemożliwie.

– Za kilka tygodni. Chcę przypilnować, aby Karol Lewin nie przeszedł pozytywnie weryfikacji. A teraz muszę zająć się chłopcami, są okropni.

– Patrząc na swoje dzieci, zastanawiam się, kiedy będzie lepiej, ale gdy słucham ciebie, myślę sobie, że lepiej już było, a teraz może być tylko gorzej – westchnęła.

Rzeczywiście jej potomstwo było wyjątkowo absorbujące. Hanka prawie wcale nie spała, jakby do szczęścia potrzebowała zaledwie dwóch godzin odpoczynku na dobę. Nie byłoby to może tak straszne, ale niemal bez przerwy marudziła albo ryczała i właściwie uspokajała się jedynie wówczas, gdy Grzesiek nosił ją na rękach. Śmiał się niekiedy, że nie musi dbać o tężyznę, bo przy takich maluchach będzie miał ręce ze stali.

Zerknęła na zegarek i zaklęła siarczyście. Dzisiaj wypadła randka z małżonkiem. Cieszyła się, że spędzą ze sobą trochę czasu, ale musiała się na to spotkanie wyszykować. Tym razem mieli wyjechać do jakiegoś zacisznego hoteliku, gdzie zjedzą kolację, a potem pobarszkują w przytulnym, chociaż bezosobowym pokoju.

14.

Okolice Warszawy, 1990

Kinga wyglądała prześlicznie, ale sprawiała wrażenie, jakby jedynym jej marzeniem był spokojny, głęboki sen. Ziewała jak krokodyl i co chwilę zerkała na zegarek.

- Śpieszysz się dokądś? – zagadnął.
- Nie. – Uśmiechnęła się słabo. – Po prostu mam ochotę pójść na górę.
- Obiecuję, że nie będę cię męczył i dam ci się wyspać.
- Mówiłam ci, że bardzo cię kocham, mój mężu? – Wyszczrzyła zęby.
- Gdybyś nie pracowała...
- Kochanie, nie zaczynaj. Siedząc w domu z tymi naszymi małymi czortami, byłabym równie zmęczona – odparła.
- Może masz słuszność... Ty też byłaś taka marudna jak nasza Hania?
- Nie, ale może to po tobie taka jest – odcięła się.
- Podobno nie było ze mną tak źle... Zresztą Igor nie może tego potwierdzić.
- Była wojna, więc powinieneś mu to wybaczyć.
- Oczywiście, nie potrafię tylko wybaczyć matce. – Uśmiechnął się i dodał: – Żartuję. Nie zamierzam się użalać nad swoim trudnym dzieciństwem, jak twoja Natałka.

Po chwili rozejrzał się za kelnerem, żeby zapłacić rachunek, bo obawiał się, że jego małżonka za chwilę zaśnie na krześle.

Kiedy dotarli do pokoju, czekała na nich butelka szampana i dwa smukłe kieliszki. Nie zdążył jednak nawet go otworzyć, bo zaraz po przekroczeniu progu wylądował z żoną w łóżku. W domu nie mógł czuć się swobodnie z uwagi na dzieci, które zresztą miały tendencję, by przerywać im miłosne igraszki w najmniej stosownym ku temu momencie. Sarkał niekiedy, że przez to zostanie impotentem, ale na szczęście wymyślił randki połączone z romantycznymi nocami w zacisznych hotelikach i pensjonatach. Kinga pytała, czy stać go na taką rozpustę, ale zamykał jej usta pocałunkami, żeby nie wnikała zbyt daleko, skąd bierze pieniądze i w jaki sposób stać go będzie na kupno fabryki, biurowców i innych cennych nieruchomości.

Jego żona wtulała się w niego jak kiedyś, gdy za nim szalała, i za to ją uwielbiał. Może miała trudny charakter i nie znosiła patriarchy, ale były

takie miejsca, gdzie potrafił ją zmiękczyć. Łudził się, że gdy zaproponuje, by jako jego żona podpisała akty notarialne i została współwłaścicielką tych wszystkich dóbr, które miał zamiar kupić, by nikt nie miał wątpliwości, skąd pochodzą pieniądze na ich kupno, nie zada mu zbyt trudnych pytań. Nie chodziło o to, że chciał mieć przed nią tajemnice, ale po prostu nie mógł jej powiedzieć pewnych rzeczy. Kinga miała inną mentalność, tak zwaną zachodnią, on wciąż tkwił jedną nogą w dawnym ustroju, gdzie to, co państwowe i wspólne, traktowano jak niczyje. Gdyby dowiedziała się, skąd weźmie kapitał, nazwałaby to kradzieżą, a jego złodziejem, dla niego była to zwykła walka o wpływy i sprytna zagrywka.

– Kostek już wyjechał? – zapytał, gdy w końcu udało się im napić szampana.

– Tak. Nie dał się namówić na pracę u mnie. Powiedzmy, że mamy inne spojrzenie na przemiany ustrojowe w Polsce.

– A może nie chce z uwagi na mnie i Karola?

– Bardzo możliwe, ale nigdy mi tego nie powiedział. Twierdzi, że musi się przekonać, na ile prawda jest dla mnie ważna. Myślę jednak, że po ostatniej rozmowie nie będzie to takie proste.

– Dlaczego? Pokłóciliście się? – dopytywał Grzegorz. Pragnął, aby jego żona czuła, że to, co robi, jest dla niego ważne, mimo iż wolałby ją widzieć przy dziecięcym łóżeczku, a nie za biurkiem.

– Chciał, żebym mu puściła artykuł o FOZZ-ie. Jakiś urzędnik skarbowy twierdzi, że to przekręt na wielką skalę, a Polska traci na tym miliony dolarów...

Przełknął ślinę, a po chwili zrobiło mu się gorąco ze zdenerwowania. Jeśli w istocie Kostek Piotrowski węszył wokół sprawy FOZZ-u, rychło misterny plan jego i Lewina mógł legnąć w gruzach.

– I chcesz o tym napisać? – zapytał z kluską w gardle.

Bez względu na to, co myślał o zaangażowaniu swojej żony w pracę redakcji, musiał przyznać, że jej gazeta w ciągu kilku miesięcy zdobyła niesamowitą popularność. Ludzie ufali „Nowej Polsce”. Jeśli Kinga napisałaby cokolwiek złego o FOZZ-ie, rozpętałoby się piekło.

– Na razie nie. Wynurzenia jednego urzędnika to za mało... Powiedziałam, żeby dalej badał temat. Jeśli sprawa dotrze do NIK-u albo Ministerstwa Finansów, wtedy się w to włączę. Na razie zajmuję się Art-B. Ci faceci coś kręcą. Podobnie jak kręcił Grobelny.

Wypuścił powietrze. Jeśli Kinga chciałaby ruszyć tę sprawę, musiałby wyznać jej prawdę. Nie tylko z uwagi na siebie i Karola, ale także na nią. W grę wchodziły ogromne sumy, a świat znał przypadki, gdy dokonywano mordów z powodu dużo mniejszych kwot. Musiał jednak ostrzec Karola, że Kostek Piotrowski węszy koło tej sprawy. I kim, u licha, był ów bystry urzędnik ze skarbówki, jeśli odważył się podważyć uczciwość legalnej organizacji państwowej, nadzorowanej przez Ministerstwo Finansów?

Następnego dnia, gdy wrócili z romantycznego wyjazdu, od razu udał się do Karola, by przekazać mu hiobowe wieści, ale Lewin już wiedział o zainteresowaniu Kostka FOZZ-em.

– Wyżej wała nie podskoczy. Góra już jest poinformowana, ale na razie ignorują sytuację. Wiesz, z cyklu: „tłumaczą się winni”.

– A jeśli rozpęta się burza? – zapytał wciąż nieco przerażony Grzegorz.

– Zanim to się stanie, my już będziemy bardzo bogaci. A jedynym odpowiedzialnym będzie dyrektor FOZZ-u i ewentualnie jego księgowi. Nawet jeśli dostanie zarzuty, znajdziemy prokuratora i sędziego, którzy ukręcą łeb hydrze. A jeśli dostanie parę lat, będzie potem mógł żyć jak król. Zanim jednak to nastąpi, zawsze będzie mógł się ukryć na jakiejś zacisznej wyspie południowego Pacyfiku. Zbyt grube ryby trzymają to wszystko w garści, by taki Piotrowski mógł im zaszkodzić. Pracuje w jakimś gównianym tygodniku, którego nikt nie czyta. – Karol się roześmiał.

– Po jego artykule o aferze „Żelazo” prokuratura wzięła w obroty sławnych braci... – Grzegorz nie był pewny, czy w istocie Kostek nie jest dla nich groźny.

– Jasne, nawet film kręcą o nich, ale gówno im robią. Tyle tylko, że przez kilka dni będą sławni. – Machnął ręką.

– Rozmawiałeś o nas z pułkownikiem?

Lewin potaknął i dodał:

– Cztery pierdolone miliony dolarów...

– Dla mnie to niewyobrażalna kwota. – Łyszkin się uśmiechnął.

– Musimy się przyzwyczajać do bogactwa. Chodź do Victorii, trzeba to opić w jakimś eleganckim lokalu. – Kuzyn puścił do niego oko.

– Martwię się jedynie, że Kinga posłucha Piotrowskiego i zacznie się kręcić koło tej sprawy...

– Łyszkin, kurwa, kto w twoim domu nosi spodnie? Ty czy ona? Lepiej sprowadź tę swoją żonkę do parteru, dopóki jeszcze możesz, bo pewnego dnia może ci przysporzyć ogromnych kłopotów.

– Chyba żartujesz... Kinga jest uparta jak oślica. Ma swoje zasady i nie ustąpi.

– To rozwiedź się z nią. Niedługo będziesz mógł mieć każdą laskę, a na alimenty też cię będzie stać.

– Ale ja ją kocham. W końcu mam kobietę, której jestem pewien.

– Chyba nie bardzo, jeśli nie potrafisz skrócić jej smyczy – prychnął.

– Ty jakoś Amelii nie potrafiłeś – wytknął mu Łyszkin.

Nie cierpiał, gdy Karol mówił podobne rzeczy. Tworzyli z Kingą partnerski związek i to mu odpowiadało. No, może do pewnego stopnia, bo wolałby, żeby częściej mu ustępowała i więcej czasu poświęcała rodzinie. Wkurzało go gadanie Lewina, ale kiedy wracał od niego, miał ochotę zaprowadzić w domu swoje porządki i nieco utemperować małżonkę. Potem wybuchała między nimi awantura i nieco odpuszczał, ale wiedział, że w pewnych kwestiach nie będzie mógł ustąpić i miał nadzieję, że nie zakończy się to rozwodem.

15.

Warszawa, 1990

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Amelia miała ręce pełne roboty. Większość ludzi wydawała w tym czasie więcej pieniędzy niż zazwyczaj i to sprawiało, że zarówno butik, jak i „szczęki” z chińskimi towarami, które pogardliwie nazywała badziewiami, pracowały pełną parą. Jednak natłok obowiązków i brak czasu dobrze jej robiły, bo od chwili, gdy poznała nową partnerkę życiową Karola, chodziła przygnębiona.

Doskonale pamiętała dzień, kiedy postanowiła pójść do butiku Darii Szalc. Ubrała się wówczas w najlepsze ciuchy, zrobiła subtelny makijaż, odwiedziła fryzjera i skropiła się najnowszymi perfumami Armaniego. Dzięki przedziwnym koneksjom Wojtka zmieniała toyotę na kilkuletnie audi, które budziło zazdrość nie tylko wśród sąsiadów, ale także kontrahentów i partnerów handlowych. Zaparkowała wówczas samochód tuż przed wejściem do sklepu panny Szalc, by mieć pewność, że ta zauważy jej luksusowe auto.

Lekko się chwiejąc na zbyt wysokich szpilkach, weszła do wnętrza, roztaczając wokół siebie aurę elegancji. I to takiej z bardzo wysokiej półki. Nie podeszła od razu do kontuaru, ale udawała, że interesują ją bluzki, które choć prezentowały się zupełnie nieźle, nie mogły równać się z tymi, którymi ona handlowała. Kątem oka zobaczyła kobietę w mini. Zbyt krótkiej jak na ekspedientkę, ale musiała przyznać, iż nogi jej rywalki prezentowały się zupełnie dobrze. Może nie były tak długie i szczupłe, jak jej, ale dość zgrabne. Panna Szalc nie miała figury modelki, ale nie było źle. Twarz miała pospolitą, dość mocny makijaż i ładne długie włosy, pofarbowane na czarno, a braki w urodzie nadrabiała pięknym uśmiechem.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytała życzliwie.

– Właściwie tak... Szukam właścicielki – odparła Amelia.

– To ja. – Dziewczyna chyba się zaniepokoiła, bo przestała się uśmiechać. Zmrużyła ciemne oczy i zaczęła przyglądać się Amelii. Po chwili bardziej stwierdziła niż zapytała: – Pani chyba jest mamą Mikołaja. Widziałam pani zdjęcie w jego pokoju...

– Tak, nazywam się Amelia Imhoff.

– Zatem jaką ma pani do mnie sprawę? – zapytała zimno Daria.

– W zasadzie nie mam żadnej, po prostu chciałam poznać kobietę, która mieszka z moim synem – odparła, uśmiechając się sztucznie.

Chciała krzyknąć, że pragnęła zobaczyć dziewczynę swojego ukochanego, która weszła z butami do jej rodziny, ale oczywiście nie zrobiła tego.

– Chciałaby pani, żebyśmy zostały koleżankami? – W głosie dziewczyny pobrzmiwała ironia.

– Skądże znowu, nie szukam towarzystwa, ale sama pani rozumie... Karol także interesuje się moim obecnym partnerem, nie chciałam, żeby uznał, iż jego dziewczyna wcale mnie nie obchodzi – powiedziała beztrąsko.

– Naprawdę? A dlaczego niby obchodzi go pani facet? – zadrwiła.

– Sama się nad tym zastanawiam. Wydaje mi się, że nie podobają mu się moje plany matrymonialne. Za dwa miesiące wychodzę za mąż...

Ironiczny uśmiech Darii Szalc zniknął w jednej chwili. Z pewnością zainteresowanie Karola małżeństwem byłej kochanki wzbudziło nie tyle jej niesmak, co niepokój.

– To właściwie czego pani ode mnie oczekuje? – zapytała ostro.

– Przepraszam, że panią zdenerwowałam. Nie było to moją intencją – skłamała Amelia. – Po prostu planujemy z moim narzeczonym wakacje na Wyspach Kanaryjskich i chcielibyśmy zabrać ze sobą Misia. Tymczasem Karol nie chce się na to zgodzić. Czy mogłaby pani jakoś na niego wpłynąć?

Tak, chciała rozzłościć tę kobietę, wzbudzić jej niepewność. Pragnęła, aby to słodkie dziewczę chociaż przez chwilę poczuło to, co ona... Zazdrość o ukochanego.

– Dobrze, porozmawiam z nim, ale chyba zna pani Karola lepiej ode mnie i wie pani, jak trudno mu coś wyperswadować, jeśli się uprze.

– Wiem, dlatego przychodzę z tym do pani. Może jest pani dla niego na tyle ważna, by pod pani wpływem zmienił zdanie – powiedziała słodko.

– Dobrze, postaram się – zgodziła się. Być może dla niej to także miał być test uczuć Lewina.

Amelia była jednak pewna, że Karol wciąż będzie się upierał przy swoim, a ona zyska u Darii miano niebezpiecznej rywalki i kochanka Lewina już nie będzie mogła zasypiać spokojnie.

Jakże się zdziwiła, kiedy ten drań wyraził zgodę na wyjazd Mikołaja! Była pewna, że to właśnie Daria go przekonała, i wpadła w dołek

psychiczny. Jeśli ta kobieta potrafiła sprawić, iż zmienił zdanie, musiała być dla niego naprawdę kimś bardzo ważnym. Lewin zignorował także wieści, że Amelia wychodzi za mąż. A przecież musiał o tym wiedzieć, bo pochwaliła się zaręczynami nie tylko przed Darią, ale także przed synem. A Karol milczał. Może niezupełnie, bo dzwonił do niej kilka razy, a nawet kilkanaście, ale słowem nie wspomniał o jej ślubie. Właściwie to były bardzo rzeczowe i dość krótkie rozmowy, najpierw dotyczące wyjazdu na Wyspy Kanaryjskie, a potem szkoły Miśka. Oboje bowiem zastanawiali się, czy nie przenieść go do jakiejś prywatnej placówki, bo takowe zaczęły się pojawiać w Warszawie jak grzyby po deszczu.

Za każdym razem, gdy odkładała słuchawkę, zaczynała płakać. Powtarzała sobie w duchu: „Nie kocha mnie, nie chce mnie, on już nie wróci”. Tak, przez ostatnie lata, mimo że żyli osobno, czuła jego miłość. Nawet wówczas, gdy przyszedł do niej, by wysuwać w stosunku do Wojtka jakieś dziwaczne podejrzenia, czuła, jak bardzo jej pragnie. Była przekonana, że pewnego dnia pęknie, a uczucie do niej zwycięży nad wściekłością i żalem za to, co zrobiła tuż przed wybuchem stanu wojennego.

A potem wpadła na kretyński pomysł, żeby pójść do sklepu tej dziwki i ze złości pleść androny. Chciała dokopać Lewinowi, żeby go w końcu złamać, a tymczasem on zachowywał się, jakby odpuścił. Traktował ją serdecznie, nie dogryzał jej, nie czepiał się bzdur, a w jego głosie nie wyczuła ani złości, ani tęsknoty. Jedynie obojętność. To była straszna konstatacja.

Bywały chwile, kiedy nienawidziła Karola, ponieważ potrafił zachowywać się wobec niej okrutnie. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach po ich powrocie z Wielkiej Brytanii. Później także miewał takie momenty. Gdy jeździli razem do Imhoffów i musieli udawać zgraną parę. Rodzice Andreeasa bardzo polubili Karola i absolutnie nie mieli nic przeciwko temu, by Mikołaj nazywał go tatą. Nie chciał pieniędzy, które wciskali mu Imhoffowie, i kategorycznie odmówił pozostania w RFN-ie. Mógł tam dostać świetną posadę, Misiek pójść do dobrej szkoły, a oni nie musieliby się martwić tym, co się działo w Polsce. On jednak nie chciał o tym słyszeć. Nie naciskała, bo wiedziała, że nie ma to sensu. Gdy zostawali sami, krzyczał, że ma dość roli błazna. Powtarzał, że robi to tylko dla syna, bo ona go nic nie obchodzi.

Być może teraz żałował, że nie został, bo niedawno zadzwonił do niej i oświadczył, iż wylano go ze służby, ponieważ nie przeszedł weryfikacji. Zapewne jedynie udawał, że nic go to nie obchodzi, bo musiało zaboleć. A najbardziej chyba to, że został bez pracy, a dom utrzymywała jego dziewczyna.

Teraz, gdy zbliżały się święta, a ludzie kupowali prezenty i wydawali na to fortunę, pomyślała, jak bardzo musi być w tym momencie ciężko Karolowi. Nie pracował, przynajmniej chwilowo, i snuł mrzonki o założeniu firmy ochroniarskiej albo detektywistycznej. Problem w tym, że Lewin miał odłożone niewielkie kwoty i właściwie zacznie od firmy jednoosobowej. Co gorsza nie miał pojęcia o prowadzeniu biznesu.

Weszła na zaplecze butiku i wykręciła numer do jego domu. Stwierdziła, że Darii pewnie nie ma, bo przecież dla handlu to były żniwa. Rzeczywiście, odebrał Misiek, powiedział, że jest tylko ojciec, i po chwili usłyszała radosny głos Karola.

– Cześć, Amelio. Wiem, po co dzwonicz.

– Cześć... No, to słucham – parsknęła. – Po co dzwonię?

– Chcesz pogadać o prezencie dla Miśka. Nie chcę teraz o tym rozmawiać, wiesz, jak to z dziećmi, wpadnę jutro do ciebie na chwilę i naradzimy się.

Zatkało ją. Nie widziała go od miesiący, a on mówi, że wpadnie na chwilę, jakby widywali się codziennie. Tak, było źle... Postanowiła, że jeśli się spotkają, będzie mogła zobaczyć reakcję Karola na ofertę pomocy.

– Skąd wiesz, po co zadzwoniłam? – zapytała, udając beztroskę.

– Czytam w twoich myślach – odparł.

Nie wytrzymała. Gównu czytał!

– I co? Nie obraziłeś się jeszcze? – zapytała słodko, a potem się rozłączyła.

Nazajutrz nie mogła się na niczym skupić i chwilami nawet wyrzucała sobie, że zachowuje się jak szesnastoletnia dziewczyna, która czeka na randkę z kolegą z klasy, który podobał się jej od pięciu lat. Niemal co pół godziny zerkała w lustro, by sprawdzić, czy nie jest potargana albo czy nie zjadła całej szminki. Gdyby nie gigantyczny ruch, pewnie przez cały czas bujałyby w obłokach i czekała jak Maria Antonina na ścięcie.

Na szczęście Karol zjawił się już koło południa. Gdyby postanowił poczekać do osiemnastej, chyba dostałaby świra. Sądziła, że zobaczy człowieka załamane go. Zgarbionego, jakby niósł na plecach jakiś straszny ciężar, nieogolonego, który zebrze oczami o pomoc. Wołała silnych i zdecydowanych mężczyzn, można powiedzieć, że zawsze wybrałaby niegrzecznego chłopca, a nie potulnego pierdołę, ale wiedziała, że w przypadku Lewina będzie to czas przejściowy i jeśli mu odrobinę pomoże, niebawem na powrót stanie się pewnym siebie mężczyzną. Tymczasem Karol podjechał przed jej sklep kilkuletnim mercedesem i w nowiutkim kożuchu pewnym krokiem wszedł do butiku.

„Cholera, nieźle go ubrała ta cizia – pomyślała Amelia, kompletnie zaskoczona wyglądem Karola. – Buty prosto ze sklepu, skórzane, a nie żaden badziew z Chin, sweter szetland i wełniane spodnie”. Wgapiła się w niego z otwartymi ustami.

– Zamknij buzię – szepnął jej do ucha. – Nieźle, co?

– Karol, obrobiłeś bank? – Zaśmiała się sztucznie.

– Nie, moja droga. Zająłem się prywatną inicjatywą – powiedział jakby od niechcena. – A w kwestii prezentu dla Miśka... Myślałem o komputerze. Wiem, wiem, to ogromny wydatek, ale komputery to już nie przyszłość, ale teraźniejszość.

– Dobrze, kupię mu – wymamrotała.

– Nie żartuj. Ja wyłożę pięć milionów, a ty dwa, pasuje?

Nie była w stanie wykrztusić słowa. Była pewna, że utrzyma go Daria. Czy aż tak dobrze jej szło? Z tego, co wiedziała, dziewczyna prowadziła swój biznes na dużo mniejszą skalę niż Amelia.

– Moja droga, myśl szybciej, bo muszę lecieć – upomniał ją, gdy wciąż milczała, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– Dobrze, jasne, pewnie. To świetny pomysł... – mamrotała pod nosem i kiwała głową jak kaczką.

Podszedł do niej, przymknął powieki i zamruczał.

– Moje ulubione perfumy... Chciałem kupić takie Darii, ale wkurzyłabyś się.

– Jeszcze byś nas pomylił – warknęła.

– Naprawdę? Nie sądzę...

– Jesteś pewny, że tak dobrze mnie pamiętasz? – szepnęła.

Popatrzył na nią i ujął jej twarz w dłonie.

– Niestety, Amelio, pamiętam. Zwłaszcza jeden dzień. Ten, w którym ukradłaś mi syna i zламаłaś serce.

– Karol, ile razy jeszcze mam cię za to przepraszać? – jęknęła. – Do końca życia?

– Nie przepraszaj, Amelio. To niczego nie zmieni. Jesteś matką mojego syna i nigdy nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, nie wiem, kasy albo będzie trzeba dać komuś po mordzie, wal do mnie jak w dym.

– A jeśli będę potrzebowała mężczyzny? – Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Gdyby mogła cofnąć czas, nigdy by tak nie zmiękła, ale było już na to za późno.

– Przecież ty już masz swojego mężczyznę – zadrwił, a jej serce uradowało się jak głupie. Pomyślała, że Karol prawił te uszczypliwości, bo był zazdrosny, ale po chwili jej nadzieja zdechła, ponieważ dodał: – A ja swoją kobietę. I gratuluję ci zaręczyn.

– Dzięki – wydukała. – Za to, że nie odwodzisz mnie od małżeństwa również.

– Ja już swoje powiedziałem. Jesteś dorosła, nie mogę być wiecznie twoim cerberem.

– Przyjdziecie na mój ślub i wesele? – wypaliła. Tak jakby podniosła się po ciosie i chciała oddać. Co prawda miała ochotę się rozbeczeć, ale przecież nie mogła dać mu satysfakcji. Musiała udawać twardą.

– Pewnie – odparł beztrąsko i cmoknął ją w policzek.

Po chwili już go nie było.

„Koniec historii” – powtarzała sobie w duchu. Z jednej strony tłumaczyła sobie, że to dla niej nowy początek, z drugiej – jej dusza wyła z rozpacz. Wojtek był dla niej cudowny i nawet zgodził się, by zachowała także nazwisko Imhoff. Musiał zdawać sobie sprawę, że jego jest paskudne, a Amelia Sadło będzie brzmiało groteskowo. Wierzyła, że z czasem go pokocha. Zapewne nie połączy ich taka namiętność, jak jej z Karolem, ale przecież nie można było mieć wszystkiego. Musiała wyjść za mąż, żeby pogodzić się z pewnymi faktami. Nie zamierzała czekać na kogoś, kto rozgrzeje jej serce do białości i doprowadzi do takiego wrzenia, że będzie w stanie robić rzeczy niewyobrażalne. To...była jej siła, a ona pragnęła znowu poczuć, że może wszystko.

Tuż po Gwiazdce z dziką satysfakcją wypisała dla Darii Szalc i Karola Lewina zaproszenie na ślub oraz wesele, które miało się odbyć w świeżo

wyremontowanym dworku pod Warszawą. Jad dosłownie skapywał jej z ust, gdy z wysuniętym językiem kaligrafowała ich nazwiska. Czuła się jak mała dziewczynka, która splatała figla nielubianej koleżance. Nawet jeśli czuła, że przegrała, Karol nie musiał o tym wiedzieć.

16.

Gdańsk, 1991

To był wyjątkowo mroźny wieczór. Kostek wracał właśnie z zakrapianej imprezy z kolegami z pracy. Miał powody do świętowania, ponieważ sprawą FOZZ-u zainteresowała się Najwyższa Izba Kontroli. Co więcej, do zespołu roboczego badającego tę sprawę został zaproszony Falzmann. To dawało nadzieję, że nic nie zostanie zamiecione pod dywan i polecą głowy ważnych osób. Impreza odbywała się jednak zupełnie z innego powodu. Otóż jeden z redakcyjnych kolegów został ojcem i umówili się na pępkowe. Nawet im nie powiedział, nad czym pracuje, żeby nikt nie próbował wywierać presji czy odwodzić go od dalszego śledztwa.

Wciąż zwlekał z opublikowaniem artykułu. Czekał, by otrzymać jeszcze jakieś dane, ale wszystko miał przygotowane i napisane, a materiał, jeśliby się potwierdził, był naprawdę mocny.

Śnieg skrzypiał mu pod stopami, z ust i nosa wydobywały się kłęby pary i nawet rozglądał się za jakąś taksówką, ale oczywiście, o takim rarytasie mógł sobie w sobotni wieczór pomarzyć. Właściwie dość szybko skończył zabawę, bo panowie z redakcji narzucili mu zbyt duże tempo, ale pomyślał, że przynajmniej się wyśpi. Chłopcy byli u dziadków, więc rano nie będą mu hałasować nad głową, a on spokojnie wyleczy kaca.

Wszedł na klatkę schodową i próbował włączyć światło, ale najwyraźniej ktoś postanowił poczęstować się żarówkami, bo wciśnięcie przełącznika nic nie dało. Ruszył po ciemku na swoje piętro, próbując po drodze wygrzebać z kieszeni klucz. Tego wieczoru miał z tym duży problem. Chyba naprawdę był ostro wstawiony i od razu pomyślał, że zanim po ciemku trafi do zamka, minie pół godziny. Pomyślał o zapałkach w kieszeni kurtki. Na szczęście te znalazł bez trudu. Podszedł do drzwi, które z łatwością otworzył, składając sobie w duchu gratulacje.

Niczego nie widział i nie słyszał, ale nagle poczuł, że ktoś wpycha go do mieszkania. O mały włos się nie przewrócił, ale na szczęście złapał równowagę i odwrócił głowę. To był chyba błąd, bo zdążył jedynie dostrzec, że napastników jest dwóch, gdy wielka pięść wylądowała na jego twarzy. Nie upadł tylko dlatego, że oparł się o ścianę. Jęknął i złapał się za

nos. I wtedy jeden z mężczyzn chwycił go za kołnierz kurtki i usadził na krześle, a po chwili z całej siły uderzył w brzuch.

– Posłuchaj, koleżko! – powiedział ostrym tonem mężczyzna. – Nie wydrukujesz niczego o FOZZ-ie, czy to jasne?

Zdenerwował się. Tyle pracy i starań i miałby dać się zastraszyć jakimś wynajętym osiłkom? Przecież go nie zamordują.

– Pocałujcie mnie w dupę! – syknął.

– Chyba jeszcze mu mało – zaśmiał się drugi.

– Najwyraźniej – bąknął oprawca i znów uderzył go w twarz.

Nie potrafiłby zliczyć, ile razy oberwał, bo w pewnej chwili stracił przytomność.

Ocknął się i z trudem otworzył oko. Kiedyś już oberwał. Wtedy gdy chciał wywlec sprawę Kesslinga i jego machlojek w Centrali Handlu Zagranicznego, którą kierował. Zapewne tamtego gnoja pilnowały jakieś służby, ale na Boga, te czasy już minęły. Czyżby esbeckie męty miały interes, by FOZZ w dalszym ciągu służył wąskiej grupie ludzi?

Rozejrzał się jednym okiem po pokoju i zobaczył, że mężczyźni zrobili mu w mieszkaniu totalny kipisz. Przez otwarte drzwi zauważył, że najpewniej nie oszczędzili nawet pokoju chłopców i kuchni. Próbował wstać, ale przychodziło mu to z trudem. Oparł się na łokciu i wtedy to zobaczył... Czarno-białe zdjęcie wyrwane z albumu. Byli wtedy z chłopcami na Trafalgar Square, by obejrzeć bożonarodzeniową choinkę. Czy to była informacja dla niego, że jego dzieci mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie? Do cholery, kto wiedział, że zajmuje się tą sprawą? Przecież nawet chłopakom i naczelnemu z redakcji nic nie powiedział...

Wiedział Falzmann, kumple z huty, którzy wydrukowali artykuł w „Głosie Wolnego Robotnika”, i wiedziała Kinga. Tak, informował ją na bieżąco o sytuacji. Chciała, żeby najpierw on opublikował swój artykuł, bo uznała, że to jego materiał. Ona zaś na łamach „Nowej Polski” zamierzała się odnieść do przeczytanej w jego tygodniku treści i ewentualnie dorzucić swoje ustalenia. To był uczciwy układ, bo nie bardzo wypadało, by jego artykuł ukazał się u konkurencji, teraz jednak zaczął się intensywnie zastanawiać, czy przypadkiem Kinga nie chlapanęła czegoś postronnej osobie. Na przykład mężowi... Ale, do diabła, co to mogło obchodzić Grzeška Łyszkina? Jakaś aferka na szczeblu niemalże rządowym nie powinna go interesować, zwłaszcza teraz, gdy wiele się w Polsce zmieniło. Zerwał przecież ze służbami wiele lat temu, jeśli w ogóle FOZZ działał pod

ich auspicjami. A może jego podejrzenia były słuszne i młody Łyszkin przez cały czas współpracował z wywiadem wojskowym? Mógł także powiedzieć coś braciszce, ale nawet jeśli, to co z tego? Karola wydano ze służby, bo ku uciesze Kostka nie przeszedł przez komisję weryfikacyjną i wylądował na zielonej trawce.

Klęknął na dywanie i zaklął siarczyście. Ledwie mógł złapać oddech. Doczłapał do telefonu i wykręcił numer do brata.

– Ludwik... Posłuchaj, potrzebuję pomocy, ale nie chcę, żeby starzy się dowiedzieli. No i moi synowie. Przyjedź po mnie – wymamrotał.

– Kostek, zachlałeś pałę? Jest środek nocy – jęknął.

– Zostałem pobity, jest kiepsko. Proszę, wsiadaj do samochodu i zabierz mnie do siebie.

– Nie brzmi to dobrze, stary. Może rozsądniej będzie wezwać karetkę? – Ludwik momentalnie przestał posądzać brata o bredzenie w pijackiej malignie.

– Nie, nikt nie może wiedzieć... Dam radę, serio. Gdyby było bardzo źle, wezwałbym pogotowie.

– Jezu... Kurwa... Dobra, jadę. Będę pewnie za jakieś trzy godziny. W nocy nie powinno być ruchu.

– Dawaj, bracie – jęknął i rozłączył się.

Udało mu się podnieść i doszedł do wniosku, że żaden lekarz nie jest mu potrzebny. Nawet uśmiechnął się w duchu, bo mimo iż agresorzy zrobili mu rewizję i tak niczego nie znaleźli. Z prostego powodu – materiały o FOZZ-ie trzymał w piwnicy swojego ojca.

Pokuśtykał do łazienki i obmył twarz. Zasnęta krew nie schodziła tak łatwo, a każde mocniejsze dotknięcie policzka, oka czy nosa wywoływało nieopisany ból. Może rzeczywiście potrzebował lekarza? Postanowił jednak, że z pomocy medycznej skorzysta w Olsztynie, bo nikomu nie wpadnie do głowy, żeby go tam szukać.

Nie chciał się poddać, ale wciąż majaczyło mu przed oczami zdjęcie Jaśka i Pawełka. Zaczął się zastanawiać, czy aż tak daleko by się posunęli.

Gdy wychodził z łazienki, usłyszał dość głośne pukanie do drzwi. Wiedział, że nie jest to Ludwik, bowiem nawet helikopterem nie zdołałby tak szybko przybyć z Olsztyna. Postanowił, że nie będzie nikomu otwierał, gdy usłyszał:

– Proszę otworzyć! Policja!

Uznał, że nie ma wyjścia i musi ich wpuścić. Nie starał się nawet zgadywać, jakim cudem się tu znaleźli.

– Podobno zakłóca pan ciszę nocną... – powiedział jeden z umundurowanych funkcjonariuszy, gdy tylko Kostek otworzył drzwi. – Sąsiedzi się skarżyli...

Zdenerwował się, a potem stwierdził, że może dobrze się stało, iż ktoś wezwał gliny. Przynajmniej zostanie jakiś ślad w policyjnych aktach, że oberwał.

– Tak... Imprezę robię – burknął, bo pomyślał, że ma do czynienia z wyjątkowo mało spostrzegawczymi stróżami prawa. – Napadli mnie, pobili i zdemolowali mieszkanie... Dopiero co udało mi się podnieść z podłogi.

Sądził, że się przejmą, ale ich twarze nie zmieniły wyrazu. Wciąż były tak samo znudzone, jak w chwili, gdy im otworzył.

Weszli do środka i rozejrzeli się po pomieszczeniach, w których panował nieopisany bałagan. Nie snuli jednak teorii spiskowych, uznając, że byli to złodzieje, którzy szukali w domu Kostka jakichś cennych rzeczy, natomiast oberwał zapewne dlatego, że się im postawił.

– Musi pan zrobić obdukcję – powiedział oskarżycielsko jeden z policjantów.

– Zrobię, nie ma obawy. Czekam na brata. On mnie zawiezie do szpitala i tam dostanę odpowiednie dokumenty – wycedził.

Znudzony funkcjonariusz wyciągnął formularz przesłuchania, ziewnął, a potem usiadł przy stole, odgarniając porozrzucane przez napastników papiery.

– Proszę pański dowód – bąknął.

Kostek rozejrzał się za swoją saszetką, ale w takim bałaganie nie był w stanie jej dostrzec.

– Gdzieś tu jest. – Powiódł dłonią po pokoju.

– Będzie potrzebny – mruknął policjant.

Kostek miał ochotę strzelić go w twarz. Zachowywał się tak, jakby robił mu łaskę. Najwyraźniej niewiele się zmieniło w polskich służbach, nawet jeśli milicja zmieniła swoją nazwę.

– Gdy znajdę, to przywiozę razem z dokumentacją medyczną.

– Dobrze, to po kolei. Imię, nazwisko, adres i data urodzenia – wyrecytował i ziewnął.

Kostek z trudem cedził słowa, ale przez prawie dwie godziny opowiadał o napastnikach i całym zajściu.

– Ma pan jakichś wrogów? Kogoś, kto by panu źle życzył?

Zawahał się, bo nie miał pojęcia, jak głęboko sięgają macki tych, którzy nie chcieli dopuścić, by artykuł o FOZZ-ie się ukazał. Może powinien udawać głupiego?

– Jestem dziennikarzem, tropię różne afery... Nie mam pojęcia... Jakiś czas temu przeprowadziłem się do Polski z Wielkiej Brytanii. Może sądzili, że przywiozłem jakiś majątek – odparł. Chciał nawet wzruszyć ramionami, ale od razu poczuł ból pod żebrem.

Sądził, że policja będzie naciskała na zawiadomienie pogotowia, ale najwyraźniej przybyli funkcjonariusze mieli wszystko w głębokim poważaniu. Zanim opuścili jego mieszkanie, poprosił, aby wezwania kierowali na adres jego redakcji. Policjant z westchnieniem zrobił stosowną notatkę, a potem powiedział beznamiętnym tonem:

– Rozpytamy sąsiadów, może coś widzieli. A pan niech sprawdzi, co zginęło.

Pokiwał głową i pożegnał się ze znużonymi funkcjonariuszami. Kilka minut później zjawił się zdenerwowany Ludwik. Kiedy zobaczył brata, wcale się nie uspokoił. Przeciwnie, niemal wpadł w panikę.

– Oszalałeś?! Ciebie musi zobaczyć lekarz! Czy ci policjanci są ślepi?! – ryknął.

– Daj spokój, marzyli o spokojnej służbie, a tu im się taki Piotrowski napatoczył. Chcieli jak najszybciej skończyć czynności i wrócić do ciepłego komisariatu. Ofiara przestępstwa nie chciała pomocy medycznej, to im w to graj.

– Dobra, zawijamy się. Najpierw pojedziemy do Olsztyna i poprosimy Julię Ossowiecką, żeby cię obejrzała, a jeśli będzie to konieczne, umieści cię w swoim szpitalu. Już do niej dzwoniłem, chociaż nie mam pojęcia, czy wszystko dobrze zrozumiała, bo wyrwałem ją ze snu. W każdym razie powiedziała, żebyśmy do niej przyjechali. Zanim dotrzemy, może już oprzytomnieje.

Kostek pokiwał głową. Chciał spakować kilka rzeczy, ale w tym bałaganie mogłoby mu to zająć wieczność. Poprosił jedynie brata, by ten pomógł mu znaleźć saszetkę. Na szczęście nie zabrało to im zbyt wiele czasu, bo ta leżała na podłodze w przedpokoju, przykryta zrzuconą z wieszaka kurtką.

– Komu się naraziłeś? – zapytał Ludwik, gdy jechali już siódmką w stronę Olsztyna.

– Złodziejom państwowych pieniędzy. Podejrzewam, że PRL-owskie służby wyprowadzają z Polski gruby hajs. NIK już robi kontrolę. Ale... nie bardzo rozumiem, dlaczego oberwałem. Jeśli raport będzie niepomysłny dla nich, a zapewne będzie, i tak rozpęta się piekło.

– Kostek... – jęknął Ludwik. – Rozumiem, że taką masz robotę i zawsze zajmowałeś się niepopularnymi tematami, ale teraz wychowujesz dzieci. Kiedyś wszystko uchodziło ci na sucho, bo była Beata, ale teraz jesteś z tym sam.

– Gdy pobili mnie ci frajerzy od Kesslinga, nawet Beata była bezradna.

– I gówno mu zrobili. Sądzisz, że teraz będzie inaczej? – prychnął Ludwik.

– Braciszku, jeśli odpuścimy, w tym kraju będzie rządziła postkomuna pospołu z gangsterami. Pamiętasz aferę alkoholową? Przecież ci ludzie, którzy do tego dopuścili, powinni odpowiedzieć przed Trybunałem Stanu. Gangsterzy obłowili się co niemiara, bo dostali cynk, że jest furka w przepisach. Na granicy stały wielokilometrowe kolejki TIR-ów wypełnione po brzegi spirytusem Royal. Na każdej butelce zarabiali sześćset, siedemset procent. Uważasz, że nikt za to nie wziął pajdy? – powiedział Kostek.

– „Schnapsgate”. – Uśmiechnął się. – Kto o tym nie słyszał? Ale zrozum, teraz mamy w kraju burdel jakich mało. Wszystko się zmieniło. Państwowe staje się prywatne, prawo jest dziurawe jak sito, a każdy kradnie na potęgę. Taką mamy mentalność i upłynie wiele lat, zanim to się zmieni. Codziennie do Berlina wyjeżdżają tłumy ludzi, by okradać tamtejsze sklepy. Jumają wszystko, nawet telewizory i pralki. Gdyby je kupili legalnie i przywieźli do Polski, nikogo nie byłoby na nie stać. Niemcy są tak przerażeni aktywnością naszych złodziejasków, że w niektórych marketach zamontowali bramki z czujnikami. Fabryki najpierw są doprowadzane do ruiny przez ich zarządców, a potem ci sami ludzie wykupują je za bezcen i wtedy zamieniają się w rzutkich biznesmenów. Nie zatrzymasz tego. Teraz rządzi zasada: kto pierwszy ukradnie, ten lepszy.

– Najgorsze jest to, że to dawna nomenklatura, która zasiadała na dyrektorskich stołkach, najbardziej się obłowi. Sam kupiłbym taką fabryczkę za niewielkie pieniądze, ale to niemożliwe. Nic się w tym kraju nie zmieni, jeżeli komuchy obrosną w piórka i będą miały więcej forsę niż opozycja – powiedział Kostek.

– Przecież już zlikwidowali PZPR. I stworzyli nową lewicę – westchnął Ludwik.

– Pierdolone przechrzty... Bracie, prześpię się trochę. Może nie będzie mnie tak napięprzać w boku, jak nie będę zmieniał pozycji.

Przymknął powieki, ale nie był w stanie zasnąć. Nie tylko z uwagi na obolałą twarz i całe ciało, ale usiłował sobie przypomnieć twarze napastników. Analizował każde ich słowo, chociaż niezbyt wiele mówili. Nie był pewny, czy gdyby postawili przed nim kilku rzezimieszków, wybrałby właściwych. Poza tym zastanawiał się, kto mógł go sprzedać, i nie był w stanie odzepić się od Kingi. Ufał jej, ale obracała się w dziwnym towarzystwie, które z pewnością skorzysta z możliwości, które im dawał nowy ustrój. Byli krok przed innymi, a to mogło zmienić Polskę w sposób nieodwracalny.

Może naprawdę powinien się poddać? Gdzieś na górze dogadano się, jak ma wyglądać nowa Polska. To był czas nie tylko złodziejstwa w majestacie prawa, ale także dobry moment dla przedsiębiorczych. Dla innych okres przejściowy. W jego kraju żyli ludzie, dla których przemiany gospodarcze były szokiem. Nie potrafili się odnaleźć i nie było też nikogo, kto chciałby ich przez tę rewolucję przeprowadzić. Nastąpiła wolność. Jedni się nią zachłystnęli, inni stracili oddech. Niektórzy szybko wypłynęli na powierzchnię, ale byli też tacy, którzy się potopili. A on jedynie chciał, żeby ten bolesny proces transformacji był uczciwy. Okazało się jednak, że najwyraźniej wymagał zbyt wiele.

17.

Warszawa, 1991

– Tato, doskonale wyglądasz – stwierdził Krzysztof Wielopolski, patrząc na swojego ojca.

Był dumny, bo Szymon postanowił wystartować w wyborach do senatu i miał duże szanse, by się w nim znaleźć. Jego głównym hasłem wyborczym było wyeliminowanie starej gwardii z systemu władzy i rozliczenie esbecji za ich poczynania.

– Posłuchasz jeszcze raz? – zapytał niepewnie Szymon.

– Tato, robiliśmy próbę już cztery razy. Jesteś świetnie przygotowany.

– Wiem...

– Więc czym się martwisz? Że ktoś wypomni ci znajomość z Kesslingiem? Ojciec Eulalii usunął się w cień...

– Taaa... Ale najpierw wykupił połowę nieruchomości w Konstancinie – burknął.

– Daj spokój, to mój teść, nie twój. Nikt nie będzie się doszukiwał powiązań między wami, bo na dobrą sprawę każdy miał w rodzinie partyjniaka, esbeka czy wojskowego.

– Bardziej obawiam się Szczota...

– Karol mówił... – zaczął Krzysztof, ale stary Wielopolski mu przerwał.

– Wierzę Lewinowi, ale niepokoi mnie to, że zniknęły także akta sprawy prowadzonej przez Beatę Santorską. Nie zgodziłem się wówczas na współpracę, ale kto wie, co powypisywała w swoich raportach – westchnął.

– Pewnie je spalili, jak resztę. Podobno spotkała ich za to symboliczna kara.

– Dziwisz się? Z wymiaru sprawiedliwości pozbyli się garstki osób, reszta jest ze starego rozdania. Zanim nowe kadry wejdą do zawodu, takie rzeczy będą nagminne. Jak to się mawia: ręka rękę myje.

– A dla ciebie to lepiej, że te akta poszły z dymem. – Krzysztof się zaśmiał.

– Albo pewnego dnia ktoś mnie nimi zaszantażuje. Wiesz, co się wtedy czuje.

– Ale ty byłeś niewinny, a ja wręcz przeciwnie – pocieszająco dodał młody Wielopolski.

Szymek usiadł w fotelu i zakrył twarz rękoma.

– Byłem winny. Nie zbrodni, ale donosiłem.

– Zmusili cię...

– Wiem, ale kogo to obchodzi? Mam szansę na wygraną, bo ludzie wierzą w moją uczciwość. Ufają, że rozprawię się z tymi czerwonymi diabłami. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, nie będą oczekiwali ode mnie wyjaśnień. Po prostu mnie skreślą. A ja tylko chciałbym normalności... Nasze służby naszpikowane były ruskimi agentami, jeśli tu pozostaną, nic się w naszym kraju nie zmieni.

– Może służby same oczyszczą swoje szeregi z takiego elementu – odparł Krzysztof bez specjalnego przekonania.

– Ty nie rozumiesz, Krzyś. Oni przez lata wyznawali zasadę, że Polak i Rusek to dwa bratanki...

– Chyba Węgrzy. – Zaśmiał się.

– Nie, właśnie Sowieci. Zresztą nieważne i tak chodziło o jedno. O koryto.

– Uważasz, że wy jesteście inni? Tacy z was idealisci? Wam też chodzi o koryto, tato... Ilu jest takich polityków jak ty? Garstka. Ale pewnego dnia i ty będziesz musiał podjąć ich grę. Inaczej znikniesz z politycznej sceny szybciej, niż się na nią dostałeś.

– Wielkie pieniądze nigdy mnie nie interesowały, ale losy mojego kraju owszem.

– To masz w końcu swoją upragnioną wolność. – Krzysztof poklepał ojca po ramieniu i dodał: – Chodźmy, zaraz masz wiec.

I tym razem w auli uniwersytetu, którą wynajął sztab Szymona, czekało na kandydata mnóstwo ludzi. Nie byli to żadni wynajęci klakierzy, ale normalni wyborcy z kręgów akademickich.

Szymon mówił prawie dwie godziny, jednak nie koncentrował się jedynie na przeszłości i jej rozliczaniu, ale roztaczał przed zgromadzonymi wizję państwa sprawiedliwego i uczciwego. Mówił także o zabezpieczeniu narodowego majątku i krytykował niektóre pomysły Leszka Balcerowicza. Oczywiście, nie wszystkie, bo i on nie widział innych rozwiązań, jak te, które zaproponował Balcerowicz.

Jak zawsze po przemówieniu nastąpiła burza oklasków, a na korytarzu czekali na niego dziennikarze jednej z ogólnopolskich stacji telewizyjnych i

mnóstwo pismaków z rozmaitych tytułów, począwszy od „Trybuny”, a na „Nowej Polsce” kończąc.

Jakaś kobieta z rozpuszczonymi długimi włosami przecisnęła się przez tłum i wysunęła w jego stronę mały srebrny dyktafon. Pomyślał, że to fajne cacko bardzo przydałoby mu się w pracy. Najczęściej wymyślał swoje oracje podczas jazdy samochodem. Kiedy wracał do domu i usiłował zapisać swoje wywody, najczęściej już połowy nie pamiętał.

– Kinga Dargiewicz-Łyszkin, „Nowa Polska”. Czy słyszał pan o inspekcji Najwyższej Izby Kontroli w FOZZ-ie? – zapytała.

– Niestety, niewiele wiem na ten temat. Trzeba czekać na raport NIK-u.

– Dziennikarz, który zajął się tą sprawą, został brutalnie pobity. Jeśli zostanie pan senatorem, coś pan z tym zrobi?

– Dołożę wszelkich starań, by opinia publiczna dowiedziała się o ewentualnych nieprawidłowościach w FOZZ-ie, natomiast z tego, co wiem, nie istnieją dowody potwierdzające, jakoby napaść na pana Piotrowskiego miała związek z tą sprawą – powiedział dyplomatycznie.

– Czy będzie pan dążył do postawienia wiceministra finansów przed Trybunałem Stanu, jeśli podejrzenia dotyczące malwersacji w FOZZ-ie się potwierdzą? – ciągnęła dziennikarka.

– Powiedziałem pani, że musimy poczekać na wyniki kontroli, zaś sprawą Konstantego Piotrowskiego zajmują się już policja i prokuratura. Nie mam nic więcej do dodania w tej sprawie. – Szymona powoli zaczynała irytować dociekliwość redaktorki „Nowej Polski”.

Dziennikarka indagowała dalej, a on był coraz bardziej wściekły. Nie mógł przecież składać obietnic bez pokrycia, nie mając pojęcia, co tak naprawdę odkrył urzędnik skarbowy, a co było jego fantasmagorią. W środowisku nazywano go oszołomem, zaś prezes NIK-u jak na razie nie wypowiadał się w tej sprawie. Szymon wiedział, że chodzi o grubą aferę, ale musiał ważyć słowa, żeby nie zarzucono mu manipulacji faktami.

Jak ona się nazywała? Dargiewicz-Łyszkin? Na Boga, to musiała być córka Alicji i synowa Igora Łyszkinina. A jeśli tak, rychło może się dowiedzieć, że ostoja praworządności była zwykłym esbeckim donosicielem.

Postanowił odwiedzić Łyszkinów i porozmawiać z nimi. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinien się z nimi zadawać, ale musiał wiedzieć, czy zechcą mu zaszkodzić, czy jego ciemne sprawy zachowają dla siebie.

Zadzwoił do Hanki Lewinówny późnym popołudniem i wprosił się na herbatę.

– Czy to ci nie zaszkodzi? Towarzyska wizyta w takim domu? – zapytał z lekką drwiną Igor. – W końcu należymy do tych wyklętych.

– Właśnie w tej sprawie przychodzę. Gazetę twojej synowej czytają wszyscy... – powiedział z westchnieniem Szymon.

– Tak, jesteśmy z niej bardzo dumni – mruknął Igor. – Bądź spokojny, nikt się nie dowie o twojej przeszłości. Przynajmniej ode mnie. W końcu Szczot umoczył także nas. – Łyszkin w mig pojął, o co chodziło Wielopolskiemu.

– Lewin mówił, że nie ma raportów Szczota i... – nie dokończył.

– Nie ma, bo postarałem się, żeby zniknęły. Czy wszystkie, nie wiem, ale jeśli Karol sprawdził, to w resorcie ich nie ma.

– Martwi mnie jedna rzecz... W archiwach powinny się znajdować także raporty niejakej Beaty Santorskiej. Odmówiłem współpracy, ale zapewne jakieś notatki musiała sporządzić. – Szymon zdecydował się powiedzieć Igorowi i o tym, skrzętnie pomijając fakt, że sypiał z Beatą.

– Nie mogę wykluczyć, że ów człowiek coś wyniósł z resortu, zanim zabrano się za niszczenie akt tej sprawy. A reszta pewnie jest już kupką popiołu. – Wzruszył ramionami.

– A wiesz, co się dzieje ze Stefanem Szczotem?

– Nie mam pojęcia, ale mogę popytać. Przez długie lata był w swoim resorcie spalony, ale koniec lat osiemdziesiątych to był okres zawirowań i każdy myślał o miękkim lądowaniu. Nie wiem, może wrócił, choć myślę, że raczej poszedł na emeryturę. W końcu ma chłop swoje lata.

– Proszę, Igor, dowiedz się, co się z nim stało. Karol wypadł za burtę, ale wielu innych pozostało.

Szymon naprawdę obawiał się, że jego przeszłość ujrzy światło dzienne. Nie chodziło nawet o to, że musiałby zrezygnować z polityki, ale jako adwokat też byłby w pewnych kręgach skończony, a zwłaszcza we własnej partii, która w swojej nazwie miała i odniesienie do sprawiedliwości, i do demokracji.

– Nie obiecuję, że coś zdziałam. A o małą Kingę się nie martw, nie jest samobójczynią. I tak musi się co chwilę tłumaczyć ze swojego nazwiska, a raczej z nazwiska teścia. Nie zaatakuję cię, bo wie, że mógłbyś się odegrać.

– Ja? Przecież ja kompletnie nic o was nie wiem. A to, co kilka lat temu miało znaczenie, dzisiaj policzono by ci za plus.

– Możliwe... A o działalności Grzeška mało kto wie, bo pracował w komórce, która wymagała dyskrecji, a może raczej tajności. Ludzie ufają Kindze, przynajmniej na razie. Karol zaś nosi inne nazwisko.

– Ale o FOZZ-ie nie napisała... – westchnął.

– Czeka, aż sprawa się nieco wyjaśni. Wiesz, ona stara się być uczciwa. Jeśli nie jest czegoś pewna, nie publikuje tego. I może dlatego jest taka popularna. Zresztą... nie wiem, czy w ogóle cokolwiek napisze na ten temat. Nie chce odbierać laurów swojemu koledze, Kostkowi.

– Ktoś go pobił...

– Wypadki chodzą po ludziach – odparł enigmatycznie Igor i odwrócił wzrok.

Szymon nie chciał drążyć tematu, w końcu nie po to przyszedł do Łyszkinów. Jeśli nawet ta rodzina coś wiedziała o FOZZ-ie, nie zamierzał naciskać, by Igor zdradził mu jakieś pikantne szczegóły, bo w tym momencie stary Łyszkin był mu bardzo potrzebny.

Wyszedł z willi na Saskiej Kępie, wszedł do samochodu i udał się wprost do komitetu wyborczego. Jego ludzie mieli otrzymać najnowszy sondaż. Pewnie, że finalnie wiele mogło się zmienić, ale badanie opinii publicznej było w tym fachu nieodzowne.

Jak zwykle, tak i tego popołudnia w sztabie komitetu wyborczego wrzało. Młodzi chłopcy pobierali ulotki wyborcze i wyruszali w miasto. Jedna z kobiet rozdzielała plakaty, a człowiek odpowiedzialny za jego kampanię wyborczą sączył kawę i studiował sondaże.

– I jak wypadamy? – zapytał stremowany Szymon.

– Jak Miss Polonia przy wiejskiej babie. – Radek zarechotał. – Jest świetnie. Masz ten fotel w kieszeni, że tak powiem.

– Rewelacja. – Wielopolski zatarł ręce i powiedział cicho: – Słuchaj, Radek, w kampanii omijamy szerokim łukiem sprawę FOZZ-u.

– Na razie nie ma sprawy...

– No właśnie. A jednak ciągle ktoś o to pyta.

Radek machnął ręką.

– Tylko ta mała, chuda, z wielkimi cyckami. No ta synowa ruskiego aparatczyka. Pewnie przejęła się kumplem po fachu. Nie ma się czym przejmować. Jeśli będzie natarczywa, odpowiednie media przypomną jej o przeszłości teścia i powiązanego z nim Karola Lewina.

– Mówiłem, że masz zapomnieć o Lewinie – syknął. – A od dzisiaj także o Łyszkinach.

– Dajże spokój, brat Michnika był stalinowskim prokuratorem i nikt na to nie zwraca uwagi. Przecież chodzi tylko o to, żeby ta lalka się zamknęła.

– Może wkrótce teść przywoła ją do porządku. Nie chcę się w ogóle w to mieszać. Chodzi tylko o to, żebyśmy dyplomatycznie odpowiadali na pytania dotyczące FOZZ-u i pobicia Piotrowskiego. Żadnego wygrażania pięściami.

– Tak jest, panie senatorze. – Szef kampanii uśmiechnął się kolejny raz.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu, jeszcze nim nie zostałem – odparł Szymek.

– Panie senatorze, pan wie, że nie walczyłem w przegranej sprawie. Miałem kilka propozycji, ale wybrałem Szymona Wielopolskiego, bo wiem, że dostanie się do senatu.

– A ja myślałem, że wierzysz w mój program wyborczy. – Wielopolski także się uśmiechnął.

18.

Olsztyn, 1991

Kinga otworzyła drzwi i weszła po cichu do pokoju, w którym spał Kostek. Znajoma lekarka, która się nim opiekowała, powiedziała ściszym głosem:

– Proszę się nie martwić. Nic mu nie będzie. Po prostu śpi.

– Dziękuję – odparła cicho i podeszła do łóżka.

Pogładziła delikatnie włosy przyjaciela, nie chcąc go budzić zbyt gwałtownie, ale ten najwyraźniej jedynie drzemał, bo momentalnie zerwał się z łóżka.

– Spokojnie, Kostek. To tylko ja. – Uśmiechnęła się do niego.

Piotrowski sprawiał wrażenie, jakby ta wizyta wcale go nie ucieszyła. Nie przywitał się z nią, tylko zapytał ostro:

– Jak mnie tu znalazłaś?

– Boże, o co chodzi? Niepokoiłam się o ciebie. Dzwoniłam do twojego domu z milion razy, bo w redakcji powiedzieli mi, że jesteś na zwolnieniu lekarskim. No, a potem skontaktowałam się z twoimi rodzicami...

– Mówiłem im, żeby nie kłapali dziobami! – Zdenerwował się.

– Do diabła, Kostek! – Tym razem Kinga się rozzłościła. – Przecież to ja. Komuś innemu pewnie by nie powiedzieli, ale dlaczego mieli coś takiego przede mną ukrywać?

– Bo tylko ty wiedziałaś, że zajmowałem się sprawą FOZZ-u – wysyczał.

– Zwariowałaś do reszty? Komu miałam powiedzieć, że pracujesz nad tą sprawą? Poza tym ci ludzie mogą mieć wtyczki wszędzie. Jeśli nagabywałaś prezesa NIK-u czy kierownika zespołu pracującego nad sprawą FOZZ, to oznacza, że twoje dziennikarskie śledztwo nie było takie znów tajne. Nie rozumiem, jak możesz mnie o podobne rzeczy oskarżać!

– Może powiedziałaś mężowi albo Karolowi? – burknął.

– Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio widziałam Karola. Chyba w czasie Wigilii u Łyszkinów. A mój mąż? Co on ma do tego? – Kinga była coraz bardziej poirytowana.

– Nie wiem... – westchnął. – Już nic nie wiem. Tylko się zastanawiam. Przecież twój mąż był związany z WSI, to znaczy kiedyś z Zarządem II Sztabu Generalnego. A ja odkryłem, że w Radzie Nadzorczej siedzą dziwne

figury, niegdyś powiązane z tym resortem. No, może sam do tego nie doszedłem, ale spotkałem człowieka, który mi o tym powiedział. A potem dostałem w cymbał.

– Posłuchaj, Kostek... Jesteś opętany jakąś manią prześladowczą. Grześ porzucił Polskę i wywiad dawno temu. Teraz nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała z naciskiem. – Karol także jest już pod wodą, więc daruj sobie.

– Ja i tak opublikuję ten tekst – warknął Kostek. – I możesz to powiedzieć swojemu mężulkowi. Nagle i Lewin, i Łyszkin stali się właścicielami kilku lukratywnych nieruchomości i zakładów przemysłowych. Skąd niby mieli forszę?

– Dobrze wiesz, że państwowy majątek można teraz wykupić za kwotę dużo niższą od rynkowej. Amelia miała kasę za nasze udziały, a i Imhoffowie śpią na pieniądzach, Karol mógł skorzystać z ich hojności – prychnęła.

– No... A twój mąż? Ty zainwestowałaś w te wszystkie dobra? – zapytał ironicznie.

– Nie, Grześ chce mi udowodnić, że on także potrafi robić interesy... Wziął kredyt – odparła, ale czuła, że jej serce zaczyna łomotać.

– Dobra, nieważne. Ale na wszelki wypadek nie mów nikomu, gdzie jestem.

– Dobrze, ale Grześ...

– Proszę, Kinga, skończ pierdolić. Związałaś się z komuchem, tacy ludzie się nie zmieniają, a banki nie udzielają kredytów na piękne oczy! – warknął.

– Mam ci przypomnieć, kim była twoja małżonka? – wytknęła mu.

– Nie musisz, zdaję sobie z tego sprawę, ale między innymi właśnie dlatego także wiem, co teraz mówię. Beatą nigdy nie kierowała żadna ideologia. Ona po prostu chciała się dobrze urządzać. Nieważne czyim kosztem. Gdyby musiała to samo robić dla obecnej władzy, poszłaby jak w dym służyć nowym panom. I gdyby pojawiła się możliwość, żeby się nachapać, także nie miałyby obiekcji. Zrozum w końcu, że oni myślą inaczej. Zresztą gdyby ktoś podstawił ci pod nos coś, co mogłabyś nabyć za ułamek wartości i dzięki temu stać się bogatą kobietą, też byś skorzystała. U nas nigdy się nie zarabiało pieniędzy, u nas się kombinowało. Mentalność ludzka nie zmienia się z dnia na dzień.

– Nie wiem, nikt mi nie proponował zakupu wieżowca za jedną dziesiątą ceny – westchnęła. – Dobrze, że Grześ nie jest taki...

Kostek nie powiedział już ani słowa na temat Łyszkina. Poruszał tematy neutralne i nawet nie chwalił się wynikami swojego śledztwa. Po prostu przestał jej ufać i to zabolalo ją najbardziej, ponieważ nie zrobiła nic, co mogłoby owo zaufanie zawieść.

Po kilku godzinach wyszła od niego, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę Warszawy, przez całą drogę bijąc się z myślami. Kostek zwrócił jej uwagę na ważną kwestię. Skąd, u licha, Grzegorz wytrzasnął tyle kasy? Przecież banki nie dawały takich potężnych kredytów byle komu. Akty notarialne nie były jeszcze podpisane, ale z tego, co jej mówił, była to kwestia kilku tygodni. A może owe nieruchomości stanowiły zastaw pod pożyczkę? W końcu ich wartość rynkowa była dużo wyższa niż za nie zapłacił? Dlaczego więc robił z tego tajemnicę i nie chciał jej powiedzieć, który to bank okazał się taki hojny i na jakich zasadach udzielił kredytu? Gdyby nie mieli rozdzielności majątkowej, musiałyby się zgodzić na takie zobowiązanie, ale w tym przypadku Grzegorz formalnie nie musiał jej o nic pytać. Mówił o niespodziance, o tym, że niedługo nie będzie tylko mężem swojej żony... Ciągłe to powtarzał, jak mantrę, bo dla takiego macho sytuacja między nimi była nieznośna – ona była zamożna, on zdecydowanie mniej.

Wróciła do domu późnym wieczorem. Dzieci na szczęście spały, podobnie jak Grzegorz. Wzięła szybki prysznic i wsunęła się pod kołdrę. Przytuliła się do pleców męża i wciąż się zastanawiała, jak dobrze zna swojego partnera. Do diabła, ale przecież to był jej Grześ! Jedyne człowiek, który znalazł sposób na Amelię Imhoff. Nigdy nie uwierzyłaby, że mógłby zrobić jakiś przekręt i jeszcze napuścić oprychów, żeby skrzywdzili Kostka. Bez względu na to, jak zakończyło się małżeństwo jej przyjaciela z Natalią, młody Piotrowski należał do ich rodziny. Owszem, nie bardzo się lubili z Grzesiem, ale nigdy nie podejrzewałyby męża, iż jest w stanie skrzywdzić jej szwagra.

Nie mogła zasnąć. Wierciła się przez całą noc, a gdy nad ranem zaczęła wreszcie drzemać, rozdarła się Hanka. Jak zawsze w takich przypadkach Kinga momentalnie zerwała się z łóżka, ale poczuła na ramieniu dłoń Grzegorza.

- Pośpij sobie, kochanie, ja się zajmę tą cholera – powiedział cicho.
- Grześ... Bardzo cię kocham, wiesz? – szepnęła.
- Ja ciebie też, skarbie. Bardzo, bardzo mocno.

Położyła głowę na poduszce i pomyślała, że zupełnie niepotrzebnie się zagryza. Kostek był uprzedzony i bredził, a ona od razu zwątpiła w Grzegorza. Nie zasługiwała na tak dobrego męża.

Trzy miesiące później na łamach gdańskiego tygodnika Kostek opublikował artykuł o podejrzanych transakcjach FOZZ-u oraz ustaleniach Falzmanna i nawoływał polityków, żeby zajęli się tą sprawą. Wbrew obawom Piotrowskiego inne tytuły momentalnie podchwyciły temat, ale niestety, nie w taki sposób, w jaki by sobie życzył. Zarówno „Trybuna”, jak i „Wyborcza” niemal wyśmiały zarzuty młodego urzędnika, a tekst nazwano „donosikiem”. Co zabawniejsze, niedługo po ukazaniu się artykułu Falzmann został zwolniony z NIK-u za ujawnianie tajemnicy, a politycy udawali, że żadnej sprawy FOZZ-u nie ma.

Kinga wiedziała, że powinna coś zrobić. Wywołać burzę i napisać coś, co nie zdyskredytuje ani Kostka, ani człowieka, który wpadł na trop tej afery. Nie zadzwoniła jednak do byłego szwagra, wciąż nieco urażona jego podejrzeniami. Nie zamierzała pierwsza wyciągać do niego ręki.

Po kilku dniach usłyszała jego głos w słuchawce.

– Kinia, mocno się na mnie gniewasz? – zapytał.

– Trochę tak...

– Przepraszam, nie powinienem udzielać ci rad dotyczących męża. Sam ożeniłem się z esbeczką, a tobie prawię morały.

– W porządku, postaram się przełknąć tę gorzką pigułkę – odparła.

– Rozumiem, że wyjaśniłaś z mężem źródło pochodzenia pieniędzy? – zapytał Kostek i czar pojednania prysł.

Nie dopytywała męża o jego interesy. Nawet nie wiedziała dlaczego. Może ze strachu? A może była zbyt ufna? To prawda, Łyszkinowie byli ulepieni z innej gliny niż na przykład Dargiewiczowie, bo żyli w dwóch różnych światach. Ludzie w Polsce dorabiali się niekiedy w sposób, który na Zachodzie byłby nieakceptowalny. Tak jak na przykład właściciele Art-B. Ale czy w świetle obowiązującego w Polsce prawa byli przestępcami czy po prostu cwaniakami, wykorzystującymi dziurawe prawo?

– Tak, wyjaśniłam – bąknęła i zmieniła temat. – Pracuję teraz nad sprawą Art-B i usiłuję odgadnąć, kto ostrzegł Bagsika i Gąsiorowskiego przed aresztowaniem.

– Pewnie ktoś, kto siedział im w kieszeni. Mnie bardziej interesuje, jakim cudem dostali w takim szybkim tempie obywatelstwo izraelskie. Badałem ich przeszłość, nie mieli w rodzinie Żydów.

– Tak, to ciekawe. Mam pewien trop, ale...

– Ale oczywiście mi nie zdradzisz jaki. – Roześmiał się.

– Gdy się upewnię, o co chodzi, na pewno o tym przeczytasz w „Nowej Polsce”.

– Jakby co, to lubię czerwone róże. – Kostek nagle spoważniał. – No wiesz, mówię o tym na wypadek, gdybyś musiała przyjechać na mój pogrzeb.

– Nie gadaj głupstw! O tej sprawie, bez względu na kontekst, zrobiło się głośno. W Polsce już nikt nie morduje za pisanie prawdy...

– Jasne, najwyżej wmawia się opinii publicznej, że to bzdura i robi się z takich jak ja czy Falzmann wariatów – westchnął. – Obyś miała rację.

Musiała zakończyć rozmowę, bo tego dnia czekała ją randka z mężem. Tym razem Grześ zafundował jej weekend w hotelu Marriott, najbardziej luksusowym miejscu w Warszawie. I nie chciała wiedzieć, jakim cudem było go na to stać.

– To nad czym teraz pracujesz, pani redaktor? – zagadnął, gdy kelner postawił przed nimi przystawkę.

– Nad Art-B. Każdy już chyba wie, co i jak zrobili. Cisi wspólnicy, którzy wyłożyli gotówkę, pewnie pozostaną anonimowi, a rozpracowanie wszystkich spółek Bagsika i Gąsiorowskiego zajmie całe lata. Mnie interesuje, kto ich ostrzegł i za ile. A przede wszystkim, skąd wytrzasnęli obywatelstwo izraelskie – powiedziała i wsunęła do ust kawałek bagietki.

– A co to za różnica, kto ich uprzedził o nakazie aresztowania? Może jakiś policjant, który otrzymał za to sowite wynagrodzenie, może prokurator. Nie dojdiesz do tego nigdy w życiu, bo będziesz chyba jedyną osobą, której będzie zależało na tej wiedzy. No, może trafi się kilku oszołomów, takich jak Piotrowski... Zrozum, kochanie, strona sceny politycznej jest bez znaczenia. Jest takie powiedzenie, że tylko ryby nie biorą. A szary człowiek sobie myśli, że chłopcy naciągnęli banki, które okradały zwykłych ludzi. Bilans wyjdzie na zero. Pomyśl, jeśli goście wykupili osiemset spółek, w tym nawet mały szyb naftowy, to oznacza, że operowali miliardami. Proces będzie się ciągnął latami i być może ktoś zechce wyciągnąć stare gazety czy nagrania, na których Bagsik i Gąsiorowski strzelają miśki z najważniejszymi ludźmi w państwie. Wziął,

nie wziął, ale zamieszany był. Po co to komu? A z emigracji nikt ich nie ściągnie, ponieważ wszyscy wiedzą, że Izraelczycy nigdy nie wydają swoich obywateli. Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić, ale myślę, że nie ma w tym już żadnej tajemnicy, bo Palestyńczycy o tym wiedzą...

– O czym?

– Że Art-B pomogła opuścić Związek Radziecki sześćdziesięciu tysiącom Żydów, a może raczej sfinansowała ich podróż do Izraela. Ci ludzie musieli mieć jakieś państwo-przystanek, żeby Palestyńczycy nie dowiedzieli się o tym exodusie. Dziewulski się tym zajmował. No, ale trudno przemycić tyle ludzi, żeby nikt się nie dowiedział.

– A dlaczego chcieli się ukryć? Sądzisz, że wypompowali swój upadający kraj, żeby umościć sobie bezpieczne gniazdko w Izraelu, a większość z nich to tacy Żydzi jak ja czy ty?

– Musieli zrzec się swojego majątku, a poza tym gdyby dysponowali pieniędzmi, nie potrzebowaliby sponsora w postaci Art-B – odparł Grzegorz.

– Nie żartuj, takimi oświadczeniami można sobie podetrzeć... – Nie dokończyła zdania. Uznała, że nie może używać paskudnego języka w miejscu, gdzie kolacja kosztowała tyle, ile wynosiły najniższe pensje w Polsce, i mając na sobie sukienkę Versace. Zapytała w końcu: – Dlaczego wywołałoby to popłoch wśród Palestyńczyków?

– Przecież za miedzą przybyłoby tyle osób, ile mieszka w średniej wielkości mieście. Chłopaki pomogli, więc nagroda ich nie ominęła – odparł Grzegorz.

– Ale przecież firma została – kontynuowała rozmowę Kinga, bo sprawa wydała się jej bardzo interesująca. Wciąż zachowywała się jak dociekliwa dziennikarka, mimo że jadła posiłek z małżonkiem.

– Ktoś się zaopiekuje społeczką. Ogołoci ze wszystkiego, bo kto będzie hochsztaplerów żałował, i znowu kilka osób zasili listę najbogatszych. – Łyszkin machnął ręką.

Pokręciła głową.

– Cholera, człowiek tyra przez całe życie, ciuła funt do funta, płaci podatki, ubezpieczenia, a tu proszę... fortuny wyrastają z niczego – powiedziała z westchnieniem Kinga.

– Taka jest rzeczywistość. To kapitalizm po polsku. Twardy, dziki i bezwzględny. Zrozum, budżet państwa był pusty, brakowało kapitału, więc

należało go stworzyć. Podobno nazywają to mechanizmem akumulacji pierwotnej...

– Powiedz to tym, którym pozamykano PGR-y i teraz całymi dniami koczują pod budkami z piwem, bo nie mają co ze sobą zrobić – burknęła.

– Kochanie, dawniej też tam koczowali. A pewnie kiedy im ten PGR zamykali, wynieśli stamtąd wszystko, co się dało i czego się nie dało. Kto małuczki, częstuje się małym, wielki sięga po większe.

Grzegorz opowiadał o tych wszystkich machlojkach, jakby stanowiły coś naturalnego. Im dłużej go słuchała, tym bardziej była zszokowana. On nie używał słowa „grabież” czy „kradzież”, po prostu ludzie kombinowali jak mogli, nie zważając ani na prawo karne czy administracyjne, ani na to moralne. Może gdyby wychowała się w Polsce, może gdyby nie wiedziała, jak wiele czasu, energii i nerwów kosztuje prowadzenie dużej firmy, miałaby więcej zrozumienia dla takich spraw...

Po chwili przypomniała sobie, że gdyby nie Amelia Imhoff, „New Lady” już dawno przestałaby istnieć. Córka Chełmickiego nie tylko wpompowała w wydawnictwo pieniądze, ale także wprowadziła plan naprawczy, który wyciągnął ich firmę na prostą. Uśmiechnęła się pod nosem i powiedziała:

– Cholera, niekiedy szkoda mi Amelii. Gdyby pewnego razu nie wbiła sobie do głowy jakiejś chorej myśli, mogłybyśmy zostać koleżankami i razem zawojować świat. Jakaż ta miłość do Karola musiała być destrukcyjna...

– Amelia miała wiele problemów sama ze sobą, ale rzeczywiście inteligencji, zmysłu do interesów i chłodnej kalkulacji nigdy jej nie brakowało. Nawet mi to imponowało.

Pomyślała z goryczą, że teraz, gdy ona została właścicielką firmy, namawiał żonę, by zrezygnowała z jej prowadzenia i zmieniła się w kure domową.

– Właśnie, Grzegorz... Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał, ale posiadanie takiej firmy, nieruchomości, no i w ogóle zarządzanie sporym kapitałem wymaga ogromnej wiedzy i doświadczenia. Jak sobie z tym poradzisz? – zapytała niepewnie.

– Zatrudniłem menedżerów. Zaufani ludzie. Nawet jeśli coś ukradną i tak sporo dla nas zostanie. – Wzruszył ramionami.

Przewróciła oczami. On mówił serio.

– A skąd wiesz o tej akcji z Żydami? Pisały o tym gazety? – zagadnęła.

– Nasze nie... Kochanie, to, że odszedłem z resortu, nie oznacza, iż nie mam z nikim stamtąd kontaktu.

– A czy to prawda, że WSI, a wcześniej Dwójka ma coś wspólnego z wyprowadzaniem pieniędzy z FOZZ-u? – wypaliła Kinga. Niby od niechcienia, jakby to było zupełnie naturalne, że chce o czymś takim pogadać.

To była chwila. Bardzo krótka. Grzegorz był niegdyś zawodowcem, ale widocznie wyszedł z wprawy, bo ów ułamek sekundy wystarczył, by odgadła, iż jej ukochany małżonek nie tylko wie więcej na ten temat niż mówi, ale nawet ma z całą tą sprawą związek. A więc Kostek mógł mieć rację. Kiedy słuchała, co opowiadał przyjaciel, wydawało się jej to kompletnym absurdem, ale właśnie przed chwilą zmieniła zdanie.

– Nie ma... To znaczy nie wiem, ale o niczym takim nie słyszałem – powiedział pewnym głosem. Zbyt pewnym. Kłamał jak z nut.

– W porządku, to i tak sprawa Kostka, nie moja. – Machnęła ręką, jakby kompletnie przestało ją to interesować.

Wpadła na inny pomysł – odmówi podpisania aktów notarialnych, dopóki mąż nie wyzna jej prawdy. A może będzie miał to w nosie i załatwi to tak, żeby wszystko należało do niego? W końcu nie musiał się z nią niczym dzielić... W takim razie będzie udawała, że rozpracowuje FOZZ. Wtedy na pewno zmięknie. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli Kinga Dargiewicz-Łyszkin chce się do czegoś dokopać, to dokopie się na pewno.

19.

Warszawa, 1991

Karol był wściekły. Grzesiek trząsał portkami przed Kingą, jakby miał pięć lat i bał się starego. Nie rozumiał tego. Dawał tej dziwce złoty pałac, a ona grymasiła. Gdyby jemu baba tak podskakiwała, rzuciłby ją na łóżko i przypomniał jej, kto rządzi w domu. Jak Łyszkin dogodzi żonie, ta podpisze wszystko i nawet nie będzie pytała, jakie korzyści z tego odniesie.

Dopóki żył z Amelią, tak właśnie robił. Uwielbiał mieć nad nią władzę. Pani Imhoff była piękna, zgrabna i piekielnie bystra. On nie mógł się z nią porównywać. Kiedy więc czuł, jak jej ciało się poddaje, a ona błaga, żeby tylko ją kochał, wydawało mu się, że ta kobieta pójdzie za nim nawet do piekła. Do tego była równie zdeprawowana, co on. I wykręciła mu najgorszy numer świata. Chwilami nawet imponowała mu jej odwaga. Niewielu zdecydowałoby się rzucić rękawicę Lewinowi. A najbardziej chore było to, że owo zło ukryte w anielskim ciele podniecało go najbardziej. Dlatego przez sześć lat od niej uciekał i karał ją chłodem, kochankami, a wreszcie obojętnością, bo pragnął mieć władzę absolutną, a z panią Imhoff mogło się to okazać niemożliwe.

A jednak informacji o jej ślubie nie przyjął dobrze, chociaż udawał, że jest zupełnie inaczej...

Daria była młoda, piękna, miała jędrne, ładne ciało i była w chuj głupia. Łykała każde kłamstwo, ubierała się jak bożonarodzeniowa choinka, a w łóżku była do niczego. Owszem, miała trochę sprytu do robienia kasy, ale działała w czasach, gdy wystarczyła umiejętność czytania i pisanie, żeby się wybić w biznesie. Niekiedy myślał, że posiadanie butik z luksusowymi ciuchami brzmi dumnie, ale kiedy Daria rozmawiała z kontrahentami, odnosił wrażenie, że jest zwykłą bazarową handlarą. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle z nią zamieszkał. Chyba chciał dopiec Amelii. Dopóki łąziła za nim jak pies i zebrała o wybaczenie, miał jedynie jednonocne kochanki. Kiedy jednak Amelia przestała to robić, postanowił na stałe związać się z Darią. Był niemal pewny, że pani Imhoff wpadnie do jego domu niczym burza i zrobi awanturę, ale nic takiego nie nastąpiło. Natomiast kilka miesięcy później zaczęła się spotykać z osiem lat młodszym frajerem, Wojtkiem Sadło.

Prowadzili przedziwną grę. Fascynującą, wkurzającą, podniecającą. Czekala na jego ruch, więc przyszedł jej powiedzieć, że pan Sadło to menda jakich mało. Potem były jej odwiedziny u Darii, później zaś ich spotkanie w jej butik, na które szykowała się chyba od piątej rano. Pragnął, żeby płaszczyła się przed nim, by mógł poczuć, że wciąż za nim szaleje, ale ona zamiast tego przysłała mu zaproszenie na ślub. Suka! Musiał pójść. Gdyby nie skorzystał z zaproszenia, byłoby to jednoznaczne z kapitulacją i Amelia by triumfowała. Zacisnął więc zęby i syknął do siebie: „Po moim trupie, pani Imhoff”.

Kiedy w dniu ślubu Amelii zobaczył Darię wystrojoną w złotą sukienkę i złote pantofle, nie wytrzymał. Nie należał do mistrzów elegancji i dobrego gustu, i też czasami przesadzał z ostentacją, ale to, co ujrzał, go przerosło.

– Zwariowałaś?! – zapytał ostro. – Wyglądasz jak bombka na choinkę.

Daria przejrzała się w lustrze.

– Myślisz, że mnie pogrubia? – zapytała zatrwożona.

– Nie chodzi o fason, tylko o kolor. Pojechało cię? To eleganckie przyjęcie i doniosła uroczystość, a nie dyskoteka w remizie. Załóż coś innego.

Bez jednego słowa Daria wyszła do sypialni i zaczęła się przebierać. Pomijając fakt, że Amelia nie założyłaby takiej kiecki nawet na bal przebierańców, nigdy by nie dała za wygraną od razu. Musiałby zedrzeć z niej tę sukienkę. Od razu pomyślał o tym mydłku Sadle: „Przecież ona usmaży jego klejnoty na śniadanie”.

– Misiek, gotowy jesteś?! – krzyknął.

– Nie całkiem. I nie mów do mnie Misiek. Zwłaszcza przy obcych. – Mikołaj wysunął głowę ze swojego pokoju.

– Dobrze, nie będę. I pośpiesz się, twoja matka wychodzi za mąż, Misiek... – Zarechotał.

– Daję im rok – zawyrokował syn Karola.

Lewinowi od razu poprawił się humor. Tyle mógł wytrzymać.

Kwadrans później opuścili ich mieszkanie, wsiedli do auta i podjechali przed urząd stanu cywilnego. Amelia wyglądała prześlicznie, a różnica wieku pomiędzy nią a jej mężem była niezauważalna. Tak, pani Imhoff zawsze stawiała na spokojną elegancję. Jej suknia była idealna w swojej prostocie, a kiedy panna młoda szła korytarzem, nie opinała jej siedzenia jak druga skóra, ale doskonale falowała na kształtnych pośladkach Amelii.

Nie zrobił na nim wrażenia monotony ton urzędnika ani wypowiedane nienaturalnym głosem formułki czy ascetyczny wystrój sali urzędu.

Cokolwiek by mówić o klekach, ich śluby były bardziej widowiskowe. Właściwie to mógłby wziąć ślub kościelny, bo miał nawet bierzmowanie. Teraz mógł mieć w dupie przełożonych.

Po uroczystości w urzędzie pojechali do ładnie udekorowanego dworku i dopiero wówczas goście zaczęli składać młodej parze gratulacje i wręczać prezenty. On obarczył tym zadaniem Darię. Miał w dupie, co obciachowego dla nich kupi.

Zanim nadeszła jego kolej, zdążył się spocić, mimo że na dworze temperatura oscylowała w granicach zera. Podszedł do Amelii i popatrzył jej w oczy.

– Więc jednak to zrobiłaś – westchnął.

Odwróciła wzrok i odparła cicho:

– Nie złożysz mi życzeń?

Cmoknął ją w policzek, uśmiechnął się sztucznie i oznajmił gromko:

– Wszystkiego najlepszego.

Podobne słowa skierował do Wojtka Sadło, a potem ku zdziwieniu Amelii mocno go przytulił. Pani Imhoff nie mogła jednak wiedzieć, że w tym samym czasie szepnął do ucha nowożeńca:

– Pamiętaj, jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię. Pokiwaj głową, jeśli zrozumiałeś.

Odsunął się od mężczyzny, wygładził mu poszetkę w kieszonce, a potem popatrzył na niego zimnym wzrokiem. Wojciech Sadło pokiwał głową, a jego twarz wyrażała wszystko oprócz radości.

Na sali, gdzie odbywało się wesele, Lewin usiłował robić dobrą minę do złej gry. Stał się wręcz duszą towarzystwa przy swoim stole. Nie chciał się upić, bo obawiał się, że gdy puszczą mu po alkoholu hamulce, przefasonuje twarz temu gogusiowi.

Znał takich jak on. Zwykli donosiciele, którzy chcieli w ten sposób coś zyskać albo dokuczyć sąsiadowi. Dawniej nieraz otrzymywał informacje, że jakiś facet ma w garażu drukarnię, a potem się okazywało, że jedyne, co w nim stało, to syrenka kupiona na raty. Z kumplem, na którego naskarżył, znali się od podstawówki. Po prostu Wojciech Sadło był zwykłą mendą.

W pewnej chwili coś mu strzeliło do głowy. Podszedł do młodej pary, przeprosił Wojtka, że zakłóca im rozmowę, i poinformował, że musi pilnie pomówić z Amelią o ich synu. Ten idiota nie odważył się zaprotestować, a panna młoda pobladła i przerażona poszła za Karolem.

– Boże, co z Miśkiem? Myślałam, że siedzi koło ciebie zadowolony... Cały czas się śmiał... No, mówże! – jęknęła.

– Przestań panikować, nic mu nie jest. Chcę, żebyś trochę odpoczęła od tej szopki. Okryj się czymś, przespacerujemy się.

– Wariat! – Roześmiała się i poszła do szatni, by wziąć stamtąd swoje nowe futerko z szynszyli.

– Mąż ci kupił? – zapytał.

– Nie, sama sobie kupiłam. Do tego celu nie jest mi potrzebny mąż.

– A do jakiego? – zapytał zupełnie poważnie.

– Wiesz, przez całe młodsze życie chciałam kogoś pokochać. Tak na zabój. Ale to przyniosło mi tylko kłopoty. Teraz chcę, żeby mnie ktoś kochał, a czyż mężczyzna może dać lepszy dowód swojej miłości niż zaproponowanie małżeństwa? – powiedziała z westchnieniem i chyba zgodnie z prawdą.

– Zależy, ile ma kasy. – Zaśmiał się nieszczercze.

– Spisaliśmy intercyzę, więc to bez znaczenia.

Lewin milczał, ponieważ jego teoria spiskowa, jakoby Sadło związał się z Amelią dla jej kasy zdeponowanej w Szwajcarii, właśnie upadła.

Szturchnęła go łokciem.

– Jakby co, przyjdę do ciebie lizać rany.

– Pięknie wyglądasz, naprawdę... – Odwrócił się do niej i pocałował ją w usta. Nie broniła się. – A może ja będę je lizał?

Odsunęła się gwałtownie i zaczęła krzyczeć.

– Wynoś się, rozumiesz?! Wracaj do tej swojej wieśniary i grubej fury!

– Przepraszam, nie powinienem – powiedział z żalem w głosie, ale wcale nie było mu przykro. Chciał się przekonać, czy już jej zobojętniał. Na szczęście nie, Amelia jedynie chciała wygrać tę rundę. Zastanawiał się tylko, dokąd ich to wszystko zaprowadzi.

Od tamtego czasu Amelia unikała go jak zarazy. Teraz jednak nie mógł dłużej zastanawiać się nad poczynaniami pani Imhoff i własnymi uczuciami, bo Grzesiek siedział naprzeciwko niego i panikował.

– Nie rozumiem, nawet jeśli rozpęta się burza, nawet jeśli dojdą, że jedna ze spółek należy do ciebie, to co? Przesłałeś kasę pośrednikowi, a że okazał się draniem... Grzegorz, gównu ci zrobią.

– A skąd niby wytrzasnąłem tyle kasy, co, cwaniaczku? – zapytał z drwiną.

– No ty akurat masz sytuację idealną... Żona wyłożyła. Niech napisze, że ci pożyczyła, i tyle.

– I tyle? Mam poprosić Kingę, żeby oświadczyła, jakoby dała mi dwa miliony baksów? – jęknął.

– Nie dwa miliony, tylko najwyżej osiemset tysięcy. Reszta leży sobie spokojnie na numerycznych kontach, do których nie dojdą, choćby stanęli na głowie.

– Nie pójdzie na to.

– Posłuchaj, Grzegorz... Musisz jej powiedzieć. Wiesz dlaczego?

Pokręcił przecząco głową.

– Zaczęła ostro węszyć wokół FOZZ-u. Nawet spotkała się z Falzmannem kilka razy.

– Ktoś śledzi moją żonę? – zachnął się Grzegorz.

– Nie twoją żonę, tylko Falzmana, durniu. No a jeśli za daleko zajdzie, w końcu oberwie w dziób, jak jej były szwagier – powiedział Karol.

– Twierdziłeś, że nie masz ze sprawą pobicia Piotrowskiego nic wspólnego! – warknął Łyszkin.

– Mówiłem, że nie pobiłem tego kmiota ani tego nie zleciłem. Posłuchaj, ja naprawdę mam w dupie pismaków. W razie czego pójdę do Amelii, w ostateczności do Imhoffów i wytłumaczę się, skąd miałem forszę. Ale za innych nie ręczę. Nam nic nie zrobią, ale innym mogą. Nikt nie będzie ryzykował, bo w grę wchodzi zbyt duża kasa.

Łyszkin potarł dłonią twarz.

– Ja pierdołę, w co ja wdepnąłem...

– W grubą forszę, kuzynie. Stare kadry nas ochronią, ale innym nie dadzą taryfy ulgowej, więc przywołaj swoją lalunię do porządku.

– Rozwiedzie się ze mną...

– No i chuj z nią. Teraz będziesz miał więcej dup niż Casanova. A Kinga na pewno nie będzie chciała posłać za kratki ojca swoich dzieci.

– Nie chcę się z nią rozwodzić – powiedział z naciskiem Łyszkin.

– No to zmusz ją, żeby zrobiła, co jej każesz, i tyle. Zobaczysz, pomendzi, postęka i wróci. Nie ma takiej baby, której nie zmiękłaby rura przy takim szmalu.

– Dostanę po pysku – mruknął.

– Bądź mężczyzną, do kurwy nędzy! Za dwa miliony baksów dałbym sobie nawet nos połamać. Napierdalałeś mudzahedinów w Afganistanie, a boisz się własnej starej?

Chyba podziałały te mało subtelne słowa, bo Grzesiek w jednej chwili przestał się martwić.

– Masz rację. Jak się jej nie podoba, niech sobie idzie do diabła. – Zerwał się z krzesła i w bojowym nastroju ruszył w stronę drzwi.

Lewin miał w dupie, co piszą gazety, które przeczytało jakieś dziesięć tysięcy osób. Zwłaszcza że pies z kulawą nogą się całą sprawą nie zainteresował. Ten oszołom Falzmann pisał do posłów, a gdy ci go olali, wysłał nawet list do episkopatu, by wierchuszka kościelna zainteresowała się aferą. Na szczęście i oni go zignorowali. W sumie nie mieli wyjścia, bo sami umoczeni byli aż po koloratki, nie wspominając już o niechlubnej przeszłości niektórych z nich. Nie mogli dopuścić, by ich owieczki, a może raczej dojne krowy, dowiedziały się, ilu duszpasterzy służyło PRL-owi, bo zgubiły ich skłonności do dzieci, hazardu, wódy, dziwek i młodych kleryków.

Jednak ta mała Dargiewicz była strasznie narwana, jej gazetę czytał prawie każdy dorosły Polak i mogła oberwać. A tego Lewin nie chciał. Nie dlatego, że żał mu było tej wścibskiej baby, ale Łyszkin ją kochał i musiał coś zrobić, aby jego ukochana nie skończyła w Wiśle, obciążona betonowymi bucikami.

Wyszedł z lokalu, zostawiając kelnerce suty napiwek, i udał się do budki telefonicznej. Wykręcił numer do znajomego notariusza i upewnił się, że nazajutrz zostaną z Łyszkinem właścicielami majątku, który nabyli za ułamek jego wartości.

20.

Warszawa, 1991

Kostek przyjechał do Warszawy, gdy tylko dowiedział się, że Falzmann nie żyje. Oficjalnie mężczyzna zmarł na zawał serca, ale Piotrowski nie wierzył w taką wersję wydarzeń. Wpadł jak burza do biura Kingi i zasapany zapytał:

– Zamordowali go, prawda?

– Nie mam pojęcia – powiedziała ze łzami w oczach. – Widziałam go trzy dni temu. Nic mu nie było.

– Wiesz coś więcej?

Potaknęła.

– Pojechał na spotkanie ze znajomym. Chyba z Kornelem Morawieckim. Pewnie chciał porozmawiać z nim o tym, że nikt się nie interesuje sprawą FOZZ-u, a kontrola NIK-u ślimaczy się niemożliwie. Zasłabł, więc Morawiecki zawiózł go do szpitala. Okazało się, że to zawał. Wyszedł z niego, ale za dwa dni dostał kolejnego. I po chłopie...

– Więc to przypadek, Kinga? Słuchaj, czytałem, że Rosjanie wynaleźli już taki specyfik, który wywołuje zawał.

– Myślisz? Ale przecież FOZZ to nasza afera.

– Kochana, WSI naszpikowana jest ruskimi agentami jak dobra kasza skwarkami, jak mawiał Pawlak. Poza tym na pewno coś odpalają koleżkom z KGB.

– Nie za daleko idziesz? – Kinga próbowała go stopować.

– Nie wiem, ale ta śmierć nie daje mi spokoju. Pojadę do jego żony, podpytam. Jeśli ona mi powie, że nie ma żadnych podejrzeń, odpuszczę.

– Trzeba dotrzeć do kogoś z NIK-u, przecież badają tę sprawę, mają notatki... Śmierć Falzmana niczego w tej materii nie zmienia. – Kinga również zastanawiała się nad tym, czy pozbycie się z tego świata jednego urzędnika coś zmieniło w sprawie FOZZ-u.

– NIK pary z pyska nie puszcza. Cholera wie, czy śmierć Michała komuś pomoże – mruknął.

– Jeśli nie spróbujemy docisnąć NIK-u, nigdy się o tym nie przekonamy. Tylko wiesz, Kostek, ja zaczęłam się trochę bać. Ciebie skatowali, Falzmann nie żyje... Ja mam dwoje dzieci.

– Ja też, ale ty przynajmniej masz w domu byłego komandosa – westchnął.

– Grześ nigdy nie był komandosem. – Wydeła usta.

– Ale biegał po Afganistanie z karabinem, a ja? Najwyżej za Jaśkiem i Pawełkiem.

– Koszuś, może daruj sobie już ten temat. To naprawdę robi się niebezpieczne.

Piotrowski uderzył pięścią w blat jej biurka.

– Nie zastraszą mnie! A ty byłaś korespondentką wojenną, nieraz narażałaś życie, a teraz wymiękasz?

– Nie miałam dzieci, zrozum. A tobie nie zmieniła się optyka, gdy na świat przyszli twoi synowie? Poza tym coraz bardziej odnoszę wrażenie, że jesteśmy jakimiś szaleńcami, którzy chcą rzucić rękawicę całemu systemowi. Tu panują dziwne układy, których za cholerę nie rozumiem. Niby komuna ludziom dopiekleła, stary reżim upadł, a jednak przymyka się oko na pewne numery. To jakaś siatka powiązań, bliższych i dalszych, a każdy chomikuje jakieś haki w szufladzie. Wszyscy biorą w łapę albo kradną, a o sprawiedliwość muszą upominać się wariaci. – Kinga, urodzona i wychowana na Zachodzie, nie rozumiała, jak wielkie spustoszenie poczynił w umysłach Polaków poprzedni ustrój.

– Kinga, ja się tutaj urodziłem i mieszkałem aż do osiemdziesiątego drugiego. I też nie rozumiem tych układów, umów i konszachtów.

– Widzisz, a mój mąż uważa, że wszystko jest OK – mruknęła pod nosem.

– Coś się dzieje? – zapytał.

– Nie, po prostu on się pewnymi sprawami w ogóle nie przejmuje...

Kostek nie bardzo jej dowierzał. Pomyślał, że Kinga musi być tak samo ciężko, jak jemu, gdy żył z Beatą. W Anglii Łyszkin się nieco ucywilizował, a może bardziej przystosował do zasad i norm tam obowiązujących, ale tutaj najwyraźniej powrócił do dawnych obyczajów. Nie zamierzał jednak ciągnąć Kingi za język. Jeśli chciałaby z nim na ten temat porozmawiać, zrobiłaby to. Jak dotychczas.

Piotrowski zrezygnował z wizyty u żony Falzmanna, bo doszedł do wniosku, że nie wypada nachodzić wdowy w kilka dni po śmierci ukochanego męża. Postanowił, że najpierw powęszy w Universalu, bo ta centrala handlu zagranicznego dziwnie często pojawiała się w notatkach Falzmanna. Przypomniał sobie Majkę Staśko i pomyślał z przekąsem, że

resortowe dziecię otrzymało resortową posadkę. Polubił jednak tę rockmankę, bo zdawała się mieć zupełnie inne podejście do pewnych spraw niż jej krewni. I chyba źle się czuła we własnej skórze, a może raczej w swojej rodzinie. Kochała dziadka, swoich piekielnych wujków i nic nie mogła poradzić na to, że ci w swojej pracy zajmowali się różnymi paskudnymi rzeczami.

Wjechał na trzecie piętro i udał się wprost do sekretariatu jednego z dyrektorów. Tego, który podpisał pożyczkę dla Paxtona, będąc jednocześnie jej pełnomocnikiem. Nie spodziewał się, iż dostanie się do jego gabinetu z marszu, ale stwierdził, że zapisze się do niego na spotkanie i wówczas zada mu kilka trudnych pytań.

Na korytarzu natknął się na Majkę.

– Kostek? Co ty tu robisz? – zapytała zdziwiona, zamiast się przywitać.

– Idę do sekretariatu dyrektora Bojarskiego.

– Przyszedłeś do mnie?

– Nie... – Roześmiał się. – Do Bojarskiego. Jesteś jego sekretarką?

– Tak, bo na sekretarkę prezesa mam za niskie kwalifikacje. – Zachichotała, a potem dodała: – Dyrektora nie ma, dlatego wyszłam na ploteczki do księgowości. Jutro będzie, ale zastrzegł, że nie będzie rozmawiał z dziennikarzami. Mam ich nie wpuszczać, a na namolnych nasyłać ochronę. Odkąd NIK węszy wokół naszej firmy, mój szef zrobił się bardzo nerwowy.

– Szkoda... że go nie ma. – Przygryzł wargę.

– Może ja ci w czymś pomogę? – zapytała słodko.

– Pewnie, załatw mi kopię umowy z firmą Paxton z Liechtensteinu. – To był żart i nawet nie przyszło mu do głowy, że Maja może potraktować jego słowa poważnie.

– Jasne. A to pilne? – zapytała.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Byłabyś w stanie to zrobić? – zapytał, szczerze zdziwiony.

– Pewnie. I tak zaraz odchodzę. Nagrywam solową płytę – pochwaliła się.

– Boże, Maja, gratuluje.

– Na razie nie wiem, czy jest czego. Wujcio mi to finansuje i przyrzeka, że wylansuje mnie na gwiazdę, ale myślę, że na to jestem już za stara.

– Przestań, wyglądasz jak nastolatka, zwłaszcza kiedy żujesz gumę. – Roześmiał się.

- Dzięki, Kostek. Słuchaj, długo będziesz w Warszawie?
- Nie wiem, może dwa, może trzy dni. Zależy jak długo pozwolą mi tu zostać.
- I gdzie nocujesz?
- Dostałem dietę na dwugwiazdkowy hotel. – Wyszczrzył zęby.
- A zjemy razem kolację? Niekoniecznie w domu dziadków.
- Do Marriotta czy Victorii cię nie zaproszę – powiedział ze smutkiem.
- Zwariowałaś? Ja do Marriotta? Wystarczą zapiekanki.
- No nie, aż tak źle ze mną nie jest.

Wgapił się w Majkę i zastanawiał, czy dziewczyna go podrywa, czy po prostu go polubiła. Dawniej można było w mig się zorientować, czy z jakiejś znajomości wyjdzie romans czy przyjaźń. Teraz wydawało mu się, że świat stanął na głowie. Można było sypiać z kumplem, a na kolację chodzić z kochankiem.

– Świetnie, zatem gdzie i kiedy? – Uśmiechnęła się. I kolejny raz nie potrafił rozszyfrować, czy z czułością, czy tak po prostu.

Siedzieli w niewielkim lokalu, których teraz było mnóstwo, i raczyli się hamburgerami. Wewnątrz nieco zalatywało starym, przepalonym tłuszczem, co próbowano zniwelować chińskimi kadzidełkami z drzewa sandałowego. „Burger i kadzidełka – idealne połączenie Wschodu i Zachodu” – pomyślał z przekąsem i przeklął w duchu, że wybrał knajpę, w której nigdy wcześniej nie był.

– Śmiesznie tu. – Majka rozejrzała się po dziwacznym urządzonej wnętrzu. Wyglądało tam tak, jakby właściciel nie mógł się zdecydować, czy lokal ma być urządzonej nowoczesnie czy przypominać chińską knajpę.

– Nie znam warszawskich wyszynków. Jeśli ci się nie podoba, możemy pójść gdzie indziej – wydukał nieco zawstydzony.

– A to randka? – zapytała z lekką drwiną w głosie.

Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć.

– Sam się nad tym zastanawiam – powiedział dość bezradnie.

– Jesteś ode mnie starszy, powinieneś wiedzieć. – Roześmiała się trochę sztucznie.

– W takim razie to nie jest randka. W życiu bym nie zabrał dziewczyny na randkę do takiego miejsca. – Puścił do niej oko.

– Zatem rozumiem, że gdy następnym razem pójdziemy do miłszego lokalu, będzie to coś znaczyło – powiedziała zupełnie poważnie.

– Następnym razem, gdy będę w Warszawie, ty wybierzesz knajpę.

– O nie, nie, tak nie będzie. Może jestem wyluzowana, ale nie aż tak, żeby zapraszać faceta na randkę. Dobrze, Kostek, nie gadajmy już o tym. Mam dla ciebie kilka kwitów, ale pamiętaj, nie dostałeś ich ode mnie. Właściwie jak na tak duże transakcje, tych dokumentów było w segregatorze jak na lekarstwo, ale ja się nie znam. Może tak powinno być.

– Czytałaś je? Jest tam coś niepokojącego? – dopytywał.

– A po co? Jestem tylko sekretarką, której mama załatwiła pracę. I tak nic bym z nich nie zrozumiała. Ja jestem od robienia kawy, odbierania telefonów i stania przy kserokopiarce.

Wziął od Majki plik kartek i wcisnął do teczki. Miał ochotę zajrzeć do nich od razu, ale po pierwsze, byłoby to nieodpowiedzialne, po drugie, nie wypadało lekceważyć swojej partnerki przy stole, nawet jeśli ich spotkanie było czysto koleżeńskie.

Nie poprzestali na kolacji. Poszli jeszcze na dyskotekę, gdzie drinki kosztowały jakieś kosmiczne kwoty. Dlatego sączył jednego przez niemal godzinę. Może to i lepiej, bo musiał pilnować swojej aktówki, w której spoczywały kopie być może bardzo ważnych dokumentów. Dużo szcudrzej potraktował Majkę, która po kilku godzinach była już kompletnie pijana.

Wyszli z dyskoteki około drugiej nad ranem, a on się zastanawiał, czy dobrym pomysłem jest odwożenie Majki na Saską Kępę w stanie alkoholowego upojenia. Z tego, co wiedział, Staśko często nie wracała na noc do domu dziadków. W końcu była dorosła i nie musiała się z takich rzeczy tłumaczyć. Powiedziała mu nawet, że właśnie z tego powodu nie wróciła do rodziców, ponieważ ci wciąż traktowali ją jak małe dziecko.

Wreszcie zabrał ją do swojego pokoju hotelowego, położył do łóżka, a sam zapalił lampkę przy biurku i zaczął studiować dokumenty dostarczone mu przez Majkę. Kwity nie dotyczyły jedynie firmy Paxton, ale także pewnej spółki z Liechtensteinu. Jedna z umów, opiewająca na kwotę ośmiuset tysięcy dolarów, miała pół strony. Jakby kuzyn pożyczał drugiemu kuzynowi sto baksów. Całą transakcję przeprowadzał jakiś makler z Berlina, Tacek. I tutaj pełnomocnikiem spółki był dyrektor Bojarski. Ten sam, który podpisywał się jako przedstawiciel Universalu. Czyli znowu to samo, co z Paxtonem. Pod spodem znalazł dokument założycielski spółki z

Liechtensteinu i zamarł. Głównym udziałowcem i prezesem był zamieszkały w Londynie... Grzegorz Łyszkin.

A więc to dlatego Kinga nie chciała pisać o FOZZ-ie. I dlatego oberwał. Zaczął intensywnie się zastanawiać, czy jego przyjaciółka o tym wiedziała, tylko nie chciała mu o tym powiedzieć, czy może wciąż żyła w błogiej nieświadomości. Ale przecież Kinga nie była głupią dziewczyną... Kurując się w mieszkaniu uroczej Julii Ossowieckiej, doszedł do wniosku, iż pani redaktor z „Nowej Polski” jest w tym umoczona po uszy, zwłaszcza gdy zaczęła zajadle bronić swojego męża. Potem jednak sama nękała Falzmanna, który być może z tego powodu musiał się pożegnać ze światem. Zatem jak, do cholery, było? Wiedziała i chroniła męża czy nie miała o niczym pojęcia?

Teraz już się sam dowiedział, skąd Łyszkin wziął pieniądze, by wykupić kilka wartościowych nieruchomości i sporej wielkości zakład przemysłowy. Nawet jeśli nabył je po okazyjnej cenie, ponieważ taki był mechanizm przejmowania majątku państwowego, to i tak nie kosztowało to kilka setek. Dargiewiczowie także nie dysponowali podobnymi oszczędnościami, chyba że sprzedaliby część swoich udziałów w londyńskiej „New Lady”, a tego po przebojach z Amelią Imhoff nie zrobili na pewno.

Miał ochotę od razu zadzwonić do Kingi i zapytać ją wprost, o co w tym wszystkim chodzi, ale zrezygnował. Wciąż nie był pewny swojej przyjaciółki. A potem pomyślał o Majce. Kompletnie nieświadoma podrzuciła mu kwity, które być może nie pogrążyłyby jej wujków i dziadka, ale na pewno wywołałyby burzę w mediach. Ludzie nie byli idiotami i w mig zorientowaliby się, że za całą sprawą stoją dawne służby PRL-u i ich prominentni przedstawiciele. Łyszkinowie i Staśkowie znaleźliby się w centrum uwagi i w ogniu krytyki.

Ludzie związani z wywiadem wojskowym musieli mieć wciąż ogromne wpływy, jeśli nawet politycy z drugiej strony barykady nie chcieli zająć się sprawą. Falzmann zginął po rozmowie z premierem Bieleckim. Nie podejrzewał, oczywiście, premiera o maczanie palców w tej zbrodni, ale nie miał pojęcia, kto jeszcze był przy tej dyskusji. Niedługo potem dociekliwy urzędnik stracił życie, bo usunięcie go z NIK-u na niewiele się zdało. Facet był po prostu uparty.

Majka przebudziła się około dziewiątej i wyglądała jak kupka nieszczęścia. Miała rozmazany makijaż i potargane włosy. Sięgnęła po stojącą na stoliku butelkę wody mineralnej i wypła duszkiem niemal wszystko.

– Mamy kaca, panno Staśko? – zapytał ze śmiechem.

– Straszego. Wiesz, podobno w taki sposób moja mama poznała ojca. Zabrał ją pijaną do siebie, a rano już był zakochany – odparła.

Roześmiał się i powiedział:

– Nie obawiaj się, nie zakochałem się.

Wstała z tapczanu i podeszła do lustra.

– Nie dziwię się – jęknęła. – Nie bierz mojego gadania na poważnie.

– Nie biorę – mruknął już zupełnie poważnie. – Doprowadź się trochę do porządku, musimy pogadać.

Tak, postanowił zachować się fair w stosunku do Majki. Za nic nie chciał, by siostrzenica Grzegorza Łyszkińki kiedyś wyrzucała sobie, że przez głupotę pogrzyżyła swoją rodzinę. Kiedyś zrezygnował z tropienia machlojek Kesslinga z uwagi na Szymona Wielopolskiego, teraz był gotów wyłączyć ze swojego dziennikarskiego śledztwa Grześka. I nie zrobiłby tego dla Kingi, ale dla tej kobiety, która mimo słusznego już wieku, wciąż pozostała naiwnym dzieciuchem.

Po jakiejś godzinie Majka już nie była w tak frywolnym nastroju, jak wówczas, gdy rozmazana i z kołtunem na głowie opowiadała o namiętnej miłości swoich rodziców. Siedziała na tapczanie i zanosila się płaczem, dukając jedynie od czasu do czasu:

– Co ja zrobiłam? Dlaczego ja ci to dałam, zamiast wcześniej przeczytać? Ale ze mnie cholerna idiotka!

Podszedł do niej w końcu i objął ją ramieniem.

– Majka, wiesz, że jestem strasznie zajadły na komuchów, ale nie chcę ich ścigać kosztem osób zupełnie niewinnych. Taka jest Polska. Senator Wielopolski, który znany jest ze swojej niechęci do starej nomenklatury, jest blisko związany z twoim wujem Karolem i prędzej dałby wyrwać sobie paznokcie, niż go skrzywdził. Jego syn ożenił się z córką prominentnego dyrektora CHZ i odpuściłem, bo nie chciałem niszczyć jego rodziny. Ten facet i tak miał kłopoty, ale cieszyłem się, że to nie ja wbiłem ostatni gwóźdź do jego trumny. Kochasz swoich wujków, bo cię rozpieszczali i dbali, żebyś nie robiła głupstw, nie chcę ich obsmarować. Właśnie z uwagi na ciebie.

Przemawiał jak dobry ojciec do skrzywdzonego dziecka. Ta kobieta naprawdę miała twarde orzechy do zgryzienia. Kochała wolność, swobodę i nie cierpiała starego systemu, a jednak większość jej rodziny stanowiły osoby o bogatej przeszłości. Musiała zagryzać się jak on, gdy związał się z Beatą. On nie rozumiał swojej pierwszej małżonki, ona jego także, ale kochali się i to była ich największa tragedia.

– Kostek... – Pociągnęła nosem. – Wiesz, ja zawsze im dokuczałam. Ale nigdy nie robili z tego powodu afery. Po prostu mieliśmy inne systemy wartości. Ja nasiąknęłam tymi, które wpoił mi ojciec. Matka dużo podróżowała z racji swojego zawodu, więc czas spędzałam głównie z tatą. Wywieziono go kiedyś do łagru na Syberię i przez to nienawidził Stalina i bolszewickiego systemu, który stworzył. A moja matka, jak popiła, lubiła recytować *Parowóz dziejów* Broniewskiego. Moja babka nie zostawiała suchej nitki na PZPR-ze, a mój dziadek jedynie prosił, by nie obrzucała błotem rządu w miejscach publicznych.

– Wiem, o czym mówisz. Myślę, że dla nich wyciąganie państwowych pieniędzy nie jest ani naganne, ani dziwne. Wychodzą z założenia, że jeśli oni się nie obłowią i nie zbudują majątku na gruzach Polski Ludowej, zrobi to ktoś inny.

– A ja się tak cieszyłam, że moi krewni obrośli w piórka i mogli sobie pozwolić na założenie wytwórni płytowej. Taka byłam szczęśliwa, że znowu będę mogła śpiewać i nie jest mi do tego potrzebny stały zespół. – Majka wytarła chustką nos.

– No to nagraj tę płytę. Jesteś zdolna i pięknie śpiewasz. Niby rockowo, a jednak lirycznie. Szkoda, żeby taki talent się zmarnował.

– Wiesz, moja babcia i mama zdobyły serca swoich mężów jednym utworem. Starym i niemodnym. To była *Uliczka w Barcelonie*. Jeśli kiedyś będziesz słuchał mojej płyty i znajdzie się na niej ta piosenka, wiedz, że śpiewam ją tylko dla ciebie. Jesteś dobrym człowiekiem i masz wielkie serce, Kostek.

Chciał dodać, że oprócz tego jest grubo starszy od Majki, ma dwóch diabłów zamiast synów, a jego oszczędności, które przywiózł z Anglii, topnieją w zastraszającym tempie. Majka Staśko na pewno nie była dla niego. A może raczej on nie pasował do tej kobiety. Szczerej, pogodnej i wcale nie tak naiwnej, jak pierwotnie sądził. Stała w moralnym rozkroku i nie wiedziała, co z tym począć. On, niestety, nie był w stanie jej niczego doradzić. Wolał jednak, gdy opowiadała o swoich dylematach, bo to było

uczciwe. Zupełnie inaczej niż Kinga, która kreowała się na jedyną sprawiedliwą. Uwielbiała Wałęsę, Okrągły Stół uważała za epokowe wydarzenie, bo dzięki upadkowi systemu w Polsce runął mur berliński i cała socjalistyczna Europa, a nie potrafiła powiedzieć mu wprost i szczerze, że nie ruszy na łamach swojej gazety afery FOZZ-u, bo chce za wszelką cenę ochronić swojego męża.

– Chodź, Majka, zawiozę cię do domu, bo pewnie twoi dziadkowie obgryźli sobie już wszystkie paznokcie. Ja niebawem wracam do Gdańska i dalej będę dążył do tego, by niektórzy ludzie trafili za kratki, ale twojej rodziny nie ruszę. I zrobię to dla ciebie.

– Nie zostawiaj mnie samej... Jesteś jedyną osobą, z którą mogę o pewnych sprawach porozmawiać bez krygowania się, udawania idiotki i w ogóle...

– Muszę, Majka. W Gdańsku zostawiłem całe swoje życie. Rodzinę, pracę... Tam jest moje miejsce.

– Wiem... Po prostu będzie mi ciebie brakowało.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić. – Poklepał ją po ramieniu.

– A będę mogła kiedyś cię odwiedzić? – zapytała jak mała dziewczynka, która pyta matkę, czy może kupić sobie lody.

– Pewnie. Poznasz moich synów. Obawiam się jednak, że gdy to już nastąpi, nigdy więcej do mnie nie przyjedziesz. – Uśmiechnął się smutno.

– Założę skórę, glany i łańcuchy, a potem zagram im na gitarze i zaśpiewam moje najlepsze numery. Będą zachwyceni. Gorzej z sąsiadami, ale w sumie co nas to obchodzi.

– Tylko uprzedź mnie o swojej wizycie, posprzątamy trochę – powiedział bez przekonania.

Majka mogła do niego przyjechać, nie miał nic przeciwko temu, jednak w jego życiu pojawiła się osoba, która mogła mieć z tym problem – Julia Ossowiecka. Spokojna, zrównoważona pani doktor po ciężkich przejściach, która nienawidziła komuchów z taką samą zaciętością, co on, a do której ostatnio bardzo się zbliżył.

21.

Warszawa, 1991

Grzegorz Łyszkin wrócił do swojego mieszkania w bojowym nastroju. Rozejrzał się po nieco zagraconym wnętrzu i uśmiechnął się, ponieważ zobaczył oczami wyobraźni ich nowy, duży i elegancki dom, który zamierzał wybudować dla swojej rodziny. Kinga niekiedy sarkąca na ciasnotę i wieczny bałagan, ale nie chciała zamienić ich nory na dom rodziców, co kilkakrotnie jej proponowali. Starzy Dargiewiczowie zamieszkali w przepastnej, chociaż nieco podupadłej willi, gdy tymczasem oni gnieździli się w trzech niewielkich pokojach. Kinga jednak chciała sama zarobić na swój domek. Teraz już nie będzie musiała, bo on niedługo postawi jej taki, o jakim nawet nie śniła.

– Dzieci śpią? – zapytał żonę, zaglądając do dużego pokoju.

– Tak, nie mogły się doczekać tatusia, ale w końcu padły – powiedziała dość chłodnym tonem. – Nie wiem, gdzie ty łazisz do tak późnej pory. Masz kochankę?

– Nie mam – odparł z westchnieniem, bo nawet o tym nie myślał. Nie tylko dlatego, że wciąż kochał Kingę, ale teraz miał inne sprawy na głowie.

– Jadłeś?

– Tak... Jutro mamy spotkanie u notariusza. Musisz podpisać kilka dokumentów – powiedział spokojnie, jakby chodziło o nabycie starego samochodu.

– Jakich?

– Nie martw się, nie obciążylem hipoteką naszego mieszkania. Wiesz, że kupiłem kilka nieruchomości i zakład przemysłowy. Jesteś moją żoną, więc zostaniesz współwłaścicielką tych dóbr. Chciałbym także, abyś podpisała umowę pożyczki, której udzieliłaś mi... jakiś czas temu. – Starał się, żeby jego głos brzmiał niemal beztrosko.

– Nie. – Usłyszał zimny głos żony.

Przymknął powieki i zaklął w duchu. Właśnie czegoś takiego się spodziewał. Popatrzył na Kingę i powiedział ostro:

– Właśnie, że tak. Jutro pojedziesz ze mną do tego cholernego notariusza i podpiszesz wszystko, co ci każę. Jeśli nie zrobisz tego dobrowolnie, zaciągnę cię tam siłą.

– Nie dość, że jesteś złodziejem, to jeszcze mordercą. Zapomnij, że mnie w to wciągniesz. Za kilka dni wypuszczam artykuł, który wstrząśnie tym krajem, a ty i Karolek możecie się pożegnać ze swoją fortuną. No cóż, już miałeś witać się z gąską, ale niestety...

– Niczego nie wydrukujesz! – ryknął.

– Nawet jeśli ja tego nie zrobię, uczyni to ktoś inny.

– Naprawdę chcesz, żebym poszedł siedzieć? Dziękuję, droga żono! – warknął. Nie była to do końca prawda, bo nie sądził, by coś takiego mu groziło, ale musiał powstrzymać Kingę. O pozostałych nie zamierzał się martwić.

– Zrobisz ze mną to samo, co z Falzmannem? – zapytała z drwiną w głosie.

– Nie mam z tym nic wspólnego! – zaczął krzyczeć. – To miał być fundusz dla wszystkich, by kiedyś powrócić do władzy. Okazało się jednak, że każdy ciągnie w swoją stronę i kasa wpada do kieszeni dawnych prominentów. Nie skorzystałbym ja czy Karol, obłowiliby się inni. W grę wchodzi potężne pieniądze, przy których znikają wszelkie hamulce. Nie pozwolę, żebyś opublikowała chociaż słowo, bo boję się o ciebie. Nie rozumiesz, durna kobieto, że tu nie chodzi o kradzież radia z auta? Nie możesz pojąć tym swoim angielskim rozumem, że inaczej ten kraj dźwignie ktoś inny? A może sądziłaś, że stanę się nikim i będziesz mogła mi skakać po głowie? Mam dość bycia przystawką Dargiewiczów i swojej ambitnej żony. Jeśli nie podpiszesz tych aktów notarialnych, trudno, płakać nie będę, że odrzuciłaś mój szczodry prezent. Jeśli nie zawrzesz ze mną umowy na pożyczkę, może będę miał kłopoty, może nie. Ale jeśli wydrukujesz chociaż słowo o FOZZ-ie, problem będziesz miała ty. Nie pozwolę na to, żeby moje dzieci były zastraszane albo straciły matkę! Jesteśmy, kurwa, w Polsce, a nie w pierdolonym Londynie, więc zejdź na ziemię, księżniczko, jeśli nie chcesz, żeby twój syn i twoja córka zostali sierotami. Jesteś w tym systemie, tkwisz w nim po uszy, więc skończ pierdolić, że jestem złodziejem i mordercą! Jeśli nie wiesz, o jaką stawkę się tu gra, to nie zasiadaj do stołu, tylko rób, co mówię!

Przestał nad sobą panować. Nigdy wcześniej nie mówił w ten sposób do żony. Powoli jednak zaczynał mieć dość jej naiwności. Badała przekręty i skomplikowane machinacje, jednak nie mogła pojąć, że albo się wejdzie do tego systemu, albo do końca życia będą ciułać grosz do grosza, a i tak pewnego dnia staną się nikim. Posiadanie gazety brzmiało dumnie i mogło

przynieść kokosy, jeśli stało się po właściwej stronie. Nic nie było czarno-białe i oczywiste i ni w ząb nie pasowało do zasad, które Kinga przywiozła ze sobą z Wysp Brytyjskich.

– Cały czas pracowałeś dla nich? – zapytała cicho.

– Tak. I poniekąd dla nas – odparł już nieco spokojniej. Jeśli to miała być godzina szczerości, musieli wyjaśnić sobie pewne kwestie raz na zawsze.

– A zatem mnie okłamałeś? Oszukiwałeś mnie przez sześć pieprzonych lat! – syknęła.

– Musiałem. To tajne służby, więc jak sama nazwa wskazuje, nie mogłem chlapać jęzorem na prawo i lewo – burknął.

– Jestem twoją żoną, a ty mnie oszukałeś, Grzegorz! Tajne srajne, ale mogłeś powiedzieć, że nie odkleiłeś się od starego reżimu.

– No to teraz już wiesz, a ja chcę wiedzieć, czy mi pomożesz, czy nie. – Łyszkin postawił sprawę jasno.

– Dobrze, podpiszę tę umowę pożyczki, ale nie chcę żadnych fabryk, magazynów i innego gówna. I... nigdy więcej nie chcę cię widzieć, panie Łyszkin.

– Mamy dzieci, nie zapominaj o tym. Ale jest także dobra wiadomość: jeśli się ze mną rozwiedziesz, oddam ci połowę tych dóbr. Zobacz, jaki jestem hojny – odparł z jadowitą słodyczą.

– Więc tak chcesz mi zamknąć usta? Albo majątek i cisza, albo bieda i ojciec moich dzieci w więzieniu?

– Mniej więcej tak to wygląda. Nie zapominaj o najważniejszym... O swoim życiu.

– Masz w dupie moje życie! – Kinga nagle zaczęła płakać.

Jeszcze nie tak dawno podszedłby do niej i ją przytulił, ale wiedział, że nie może zmięknąć, jeśli chce doprowadzić sprawę do końca. Nie mógł się już wycofać, nawet gdyby chciał, ale za wszelką cenę musiał chronić Kingę. Nawet jeśli od niego odejdzie.

– Nie, ono jest dla mnie najważniejsze. Kiedyś to zrozumiesz. Może mi wybaczysz, może nie, ale będziesz żyła – powiedział i wstał z krzesła. – Bądź gotowa przed dziewiątą. O dziewiątej trzydzieści mamy spotkanie w kancelarii notarialnej i nie możemy się spóźnić.

Ojciec powiedział mu kiedyś, że są drogi, z których nie można zawrócić. Dodał także, że jeśli człowiek przestaje wierzyć w system, który go stworzył, a nie może się z niego wymiksować, ponosi największą karę. On także nie mógłby się wycofać, chyba że poszedłby do prokuratury i rozpętał

piekło. Problem w tym, że jedynie jego rodzina by się w nim znalazła, a inni nadal wykorzystywaliby kruchość nowej Rzeczypospolitej.

Po powrocie od notariusza, kiedy niania już skończyła pracę, Grzegorz postanowił nieco udobruchać swoją małżonkę. Podszedł do niej, wsunął palce w jej gęste włosy i szepnął:

– Pojutrze mamy naszą randkę. Już nie mogę się doczekać.

– To koniec, Grześ.

Wstała z kanapy, a potem weszła do sypialni, wyciągnęła spod łóżka przepastną walizkę, którą przywieźli z Londynu, i zaczęła się pakować. Stał za nią i powiedział:

– Jeśli będziesz mi utrudniała kontakt z dziećmi, nie będziesz musiała niczego publikować, żeby...

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Grozisz mi?

– Próbuję cię przekonać, żebyś się uspokoiła.

– Nie rozumiesz, że nie chcę być już z tobą? Dzieci zostaną przy mnie, każdy sąd wyda taki werdykt, ale jesteś ich ojcem, one cię kochają i nie wyobrażam sobie, bym mogła je krzywdzić, ograniczając wasze kontakty. Ach, zapomniałam, że te wasze sądy są do dupy. Na szczęście te brytyjskie wciąż mają coś wspólnego ze sprawiedliwością – powiedziała hardo.

– Nie chcę, żebyś ode mnie odchodziła. Kocham cię... bardzo.

– Naprawdę? To dlaczego robiłaś wszystko, żeby cię zostawiła? Grześ, byłaś miłością mojego życia, przez całe lata kochałam tylko ciebie, ale muszę spojrzeć prawdzie w oczy... Nie doczekałam się wzajemności. Ożeniłaś się ze mną tylko po to, by robić te swoje dziwne malwersacje. Byłam tylko narzędziem, drogą do celu. Nie mogę i nie chcę się dłużej oszukiwać.

– Naprawdę uważasz, że ożeniłem się i spłodziłem z tobą dwoje dzieci, bo wiedziałem, co się wydarzy za sześć lat? Po to zniszczyłem życie Amelii Imhoff, która mogła mi pomóc w tym wszystkim i zrobiłaby to bez mrugnięcia okiem? Nie dlatego, że mnie kochała, broń Panie Boże, ale ona kocha forszę. Więc błagam, Kinga, nie rań mnie bardziej niż na to zasłużyłem.

– Nie wiem, Grzegorz... Ja już nic nie wiem. Zaczynam się gubić, przestaję odróżniać, co jest dobre, a co złe. Nie mam pojęcia, co jest

prawdą, a co kłamstwem. Zawsze widziałam świat, w którym ludzie nazywali rzeczy po imieniu i poruszali się według określonych reguł, a teraz trafiłam do miejsca, które chwilami przypomina Dzikie Zachód. Tutaj nie obowiązują żadne zasady, wszystko zależy od sprytu i znajomości. Są jednak granice, Grześ, których ja nie jestem w stanie przekroczyć. Nawet dla ciebie.

– Jesteś moją żoną – wycedził.

– Wiem, dlatego nie zamierzam cię pogrążyć. Zwłaszcza że postarałam się, abym i ja poniekąd weszła do tego mrocznego świata. Ale nie zrobię ani jednego kroku więcej.

– Wybuduję dla nas piękny dom... Nasze dzieci pójdą do najlepszych szkół w tym kraju...

– Mam to gdzieś – burknęła, po czym włożyła kolejne ubrania do walizki.

Dopiero gdy za Kingą i dziećmi zamknęły się drzwi, dotarło do niego, że właśnie stracił rodzinę. Żona powiedziała mu, że nie może zrobić już ani jednego kroku naprzód. On znalazł się w odmiernej sytuacji – nie był w stanie zrobić kroku w tył.

Jadąc następnego dnia do biura swojej mocno rozbudowanej firmy, był wściekły jak osa. Nawet nie potrafił czuć zadowolenia, gdy wchodził do budynku, a wszyscy kłaniali mu się w pas. Usiadł za biurkiem i nie zdążył przejrzeć notesu, gdy do gabinetu weszła jego sekretarka. Postawiła przed nim kubek kawy i położyła świeże gazety.

– Przyszli kandydaci do agencji ochrony – oznajmiła.

– Prawda, to dzisiaj. Niech Flisak się tym zajmie – burknął.

– Oczywiście, panie prezesie, ale mówił pan, że sam chce rekrutować kandydatów.

– Ale już nie chcę! – warknął.

– Ciężka noc? – zapytała słodko.

– Taaa... Dzień, noc... – Potarł dłońmi twarz.

Podeszła do niego i dotknęła jego ramienia.

– Mogę panu jakoś ulżyć?

– Ciekawe jak – mruknął bardziej do siebie niż do niej.

Zsunęła dłoń i zaczęła wodzić palcami po jego torsie, a po chwili jej ręka znalazła tuż koło jego rozporka. Odkąd stał się właścicielem pokaznego

majątku i kupił sobie wypasione auto, małolaty uganiały się za nim jeszcze bardziej niż wówczas, gdy pracował w służbach. Wtedy jednak był młody i przystojny, teraz dziewczyny leciały na jego kasę. Schlebiało mu, że podrywają go kobiety, które mogłyby być jego córkami, tym razem jednak bezczelność jego pięknej i zgrabnej sekretarki rozwścieczyła go. Chwycił ją z całej siły za nadgarstek. Jęknęła. Sądziła, że to część gry wstępnej.

– Jeszcze raz to zrobisz, a wypierdolę cię z roboty, zanim zdążysz powiedzieć „panie prezesie”. A teraz wynoś się do siebie i rób, co do ciebie należy – syknął przez zęby.

Dziewczyna zrobiła się purpurowa na twarzy, bo jakkolwiek mogłaby znieść odmowę, tak nie spodziewała się od zazwyczaj bardzo sympatycznego szefa takich słów. Nie ośmieliła się jednak nic powiedzieć, tylko bez słowa wyszła z jego gabinetu. Powinien ją zwolnić, ale za cholere nie chciało mu się szukać kolejnej sekretarki. Zapewne zgłosiłoby się mnóstwo młodych kobiet. Problem tylko w tym, że jedna byłaby bardziej tępa od drugiej i znowu musiałby zatrudnić nie tyle najbardziej kompetentną, ale najmniej głupią, a potem tłumaczyć jej wszystko od początku.

22.

Warszawa, 1991

Szymon Wielopolski jechał do swojego biura senatora RP w nie najlepszym nastroju.

Jakiś czas temu otrzymał list od Falzmanna, w którym mężczyzna domagał się stanowczo, by zajął się sprawą FOZZ-u. A on musiał ów niepokojący list wyrzucić do kosza z uwagi na Lewina, który dał mu do zrozumienia, że ma z tym coś wspólnego. I tak właśnie zamierzał zrobić. Nie tylko dlatego, że nigdy nie chciałby zaszkodzić człowiekowi, który był dla niego niczym brat, ale był mu winny przysługę. Tak samo, jak Igorowi Łyszkinowi. Wiedział, że powinien chociaż przyjrzeć się tej aferze, zwłaszcza iż Falzmann już nie żył i Szymona nie opuszczało dziwne uczucie, że ów człowiek pozostawił po sobie testament, zaś jego wykonanie powierzył senatorowi Wielopolskiemu, który uchodził za człowieka prawego i uczciwego. Tymczasem on musiał udawać, że niczego nie otrzymał i nie ma pojęcia, o co chodzi z aferą wokół FOZZ-u.

Kolejna sprawa, która zepsuła mu humor, to kolacja u Kesslingów, na którą zostali zaproszeni z Zosią poprzedniego dnia. Nie zabrakło na niej także Krzysia, Eulalii i ich dwójki dzieciaków. Miało być radośnie, familijnie. Ot, zwykłe spotkanie rodzinne. Tymczasem Kessling, gdy nieco już wypił, zaczął mu sugerować, by wkręcił się do komisji senackiej zajmującej się przekształceniami własnościowymi. Po prostu teść Krzyska pragnął, by Szymon informował go na bieżąco o planowanych wnioskach, ustawach i przepisach. Oczywiście, stanowczo odmówił. Nie po to chciał zostać senatorem, by robić jakieś przekręty, ale pragnął zmieniać swój kraj, o który kiedyś walczył w powstaniu. I tak sprawa FOZZ-u spędzała mu sen z powiek, zwłaszcza gdy nagle zmarł na serce człowiek, który ją wykrył. Raporty mówiły o zawale serca, ale nie odbyła się żadna sekcja zwłok i Wielopolski nie był pewny, czy nie zaniechano jej celowo.

Wszedł do budynku, na którym dumnie zawisała złota tablica z wygrawerowanym napisem, że w tym miejscu znajduje się biuro senatora Szymona Wielopolskiego, należącego do jednej z najbardziej radykalnych partii w polskim parlamencie. Nie zdążył nawet przywitać się ze swoim sekretarzem, bo jakiś starszy mężczyzna, siedzący na krześle w

sekretariacie, zerwał się na równe nogi i oznajmił, że musi natychmiast z nim porozmawiać.

– Proszę pana, oczywiście, chętnie pana wysłucham, ale sam pan rozumie, że jestem człowiekiem niezwykle zajęтым. Proszę zapisać się na spotkanie u mojego asystenta. Przyjmuję w każdy czwartek pomiędzy dwunastą a szesnastą – wygłosił standardową formułkę.

– Myślę, że powinien mnie pan przyjąć teraz – mruknął mężczyzna i poprawił okulary.

– Pan wybaczy, ale nie może mi pan dyktować, jak powinien wyglądać mój rozkład dnia – rozżłościł się Szymon.

Wiele razy spotykał zdesperowanych ludzi, którzy liczyli na jego pomoc, ale z reguły nie byli tacy bezczelni jak ten mężczyzna. Nie zamierzał tego tolerować.

– Proszę wybaczyć, panie senatorze. – Mężczyzna wyciągnął dłoń w jego kierunku. – Powinienem się przedstawić, bo chyba mnie pan nie pamięta. Nazywam się Stefan Szczot.

Wielopolski już wyciągał rękę, gdy ta nagle zawisła w powietrzu. Jego sekretarz patrzył z uwagą na rozgrywającą się scenę i Szymon wiedział, że musi coś zrobić: albo przywitać się ze Szczotem i zaprosić do swojego gabinetu, albo nakazać wezwanie ochrony budynku. Stefan był jednak zbyt pewny siebie, by mógł sobie pozwolić na zastosowanie drugiego wariantu. Uścisnął więc dłoń mężczyzny i uśmiechnął się sztucznie.

– Rzeczywiście, nie poznałem pana. Oczywiście, proszę wejść. Porozmawiamy.

Kiedy za Szczotem zamknęły się drzwi, nie był już tak miły. Nie zaproponował gościowi ani kawy, ani nawet tego, by usiadł w skórzanym klubowym fotelu.

– Czego chcesz ode mnie, Szczot? – warknął.

– Gratuluję wygranej – powiedział z udawaną słodyczą. – Piękny to kraj, kiedy w opozycji mamy takich ludzi jak pan, senatorze.

– Nie bardzo rozumiem... – Szymek wciąż był nieprzyjemny.

– Gdyby pana wyborcy dowiedzieli się, że współpracował pan z SB, mogliby pana znienawidzić. W końcu pana hasłem wyborczym było... Niech sobie przypomnę... Aha, zero tolerancji dla wasali Moskwy. Za to pana pokochali.

– Dobrze wiesz, szubrawcu, że zmusiłeś mnie do tej współpracy! – syknął Szymek. – Zresztą ludzie, na których donosiłem, wiedzą o tym. I

rozumieją, przed jakim stanąłem wyborem.

– Chciałby pan, żeby świadectwo moralności wystawił panu były oficer NKWD i niemiecka konfidentka? Brawo! – Szczot zaklaskał.

– A więc dlatego żadnej mojej teczki nie było w archiwach SB... – westchnął Szymon.

– To już pan wie... Najpierw pan sprawdził, co? Nie było to trudne, w końcu Karol Lewin był szychą w tym resorcie. Jaka szkoda, że nie przeszedł na komisji weryfikacyjnej i musiał założyć agencję ochrony i sklep z pistolecikami. Niedługo się nacieszy swoją firmą, bo zapewne nie ma pojęcia o jej prowadzeniu. Nie wie, że w swój biznes należy inwestować, a nie kupować za pierwsze zarobione pieniądze mercedesa i ciuchy z butiku? – odparł z drwiną Stefan.

Zapewne Szczot nie miał pojęcia o udziale Karola w aferze FOZZ i o tym, że Lewin miał teraz tyle pieniędzy, iż mógł kupić sobie nawet kilka mercedesów. A jeśli ten obrzydliwy gnojek o tym nie wiedział, oznaczało to, że działał na własną rękę. Wystarczyłoby, żeby teraz Wielopolski wykręcił numer do Lewina i miałby problem z głowy. Nie zamierzał jednak prosić Karola, by uciszył Szczota, bo jego przybrany brat zapewne zechciałby się pozbyć szantażysty raz na zawsze, a Wielopolski podobnych metod nie uznawał, nawet jeśli od wielu lat życzył Stefanowi wszystkiego najgorszego.

– Więc czego chcesz ode mnie, człowieku? – powiedział znękany głosem i usiadł za biurkiem.

– Dostaniesz propozycję udziału w komisji przekształceń własnościowych. Wyrazisz na to zgodę, a potem będziesz mi referował, co i za ile jest do sprzedania. I nie interesuje nas drobnica, ale wielkie firmy.

– Was? – zdziwił się Szymon, bo był przekonany, że Szczot działał w pojedynkę.

– Tak, mamy taką małą grupę, która chciałaby nieco zarobić, póki jest czas. I ty nam w tym pomożesz. Informacja to obecnie potężna broń.

– A jeśli się nie zgodzę? – zapytał bez większej nadziei.

– No cóż, panie senatorze, każda gazeta rzuci się na taki kasek. Ci po prawej, bo mieli w swoich szeregach farbowanego liska z gębą pełną frazesów, a ci z lewej pośmieją się trochę z idealistycznych postulatów waszej partii. – Szczot był bardzo pewny siebie.

– Ile mam czasu, aby przemyśleć, czy poddać się szantażowi? – zapytał jadowicie. Pragnął, żeby mężczyzna jak najszybciej opuścił jego biuro.

Musiał się zastanowić, co dalej.

– Ależ brzydko to pan nazywa, senatorze. Przecież to wy krzyczycie z trybun, żeby otworzyć archiwa i zajrzeć do każdej teczki...

– I tak większość spaliliście, gnojki.

– No i co z tego? – Wzruszył ramionami. – Chcieliśmy ulżyć porządnym ludziom. Zresztą sąd uznał, że nie był to taki straszny czyn. I tak na marginesie, ja w tym udziału nie brałem. Już szybciej pański przyrodni brat.

– Sądy... – westchnął. – One też powinny zostać oczyszczone z waszych sługusów...

– Ależ panie senatorze, przecież była komisja weryfikacyjna. Nie wierzy pan w skuteczność komisji, za którą optowała pańska partia?

– Niech już pan idzie, muszę się zastanowić.

– Dobrze, pójdę. Proszę tylko pamiętać, że jeśli coś mi się stanie, mój adwokat od razu pokaże pana teczkę komu trzeba. Morderca i kapuś... To nie brzmi dobrze.

– Nikogo nie zamordowałem, gnoju! – ryknął w końcu zdesperowany Szymek.

– A w dokumentach jest coś innego napisane... Są nawet zdjęcia... Kto panu uwierzy?

Kiedy Stefan wypowiedział ostatnie zdanie, opuścił jego gabinet. Jednak słowa, które rzucił mu w twarz przed wyjściem, wciąż kołatały w głowie Szymona. Kto mu uwierzy? Do cholery, chyba tylko najbliżsi. Sam by nie uwierzył, gdy teraz ktoś się gęsto tłumaczył, że raporty SB zostały sfabrykowane. Nawet jeśli pomacha przed nosem zdjęciem z nagrobka prawdziwej Barbary Doleckiej i tak ludzie powiedzą, że nie jest to żaden dowód. Dla nich najważniejsze będzie, że donosił. Nieważne na kogo ani dlaczego. Ludzie od razu go osądzą.

Wstał zza biurka, podszedł do okna i popatrzył na swoje miasto. Gdy przyjechał tutaj w czterdziestym piątym, by odnaleźć Emila Lewina, Warszawa była zrównana z ziemią. Ci, którzy mieli im pomóc, po wojnie wzięli ich w kolejną, wieloletnią okupację. Krajem rządzą zdrajcy i podnóżki Moskwy, a kiedy wreszcie pękła tama, okazało się, że wraz z nią wylało się szambo. Art-B, FOZZ czy powstające w Polsce grupy mafijne to był czubek góry lodowej. Zwykli ludzie nie mieli pojęcia, co się dzieje. Cieszyli się, że to koniec Polski Ludowej i teraz będzie już tylko lepiej. Pomyślał, że zapewne tak się stanie, chociażby dlatego, że zniesiono embarga, a zagraniczny kapitał pchał się do kraju drzwiami i oknami.

Jednak gdzieś pośrodku przez cały czas będzie płynął rynsztok. W tej wielkiej masie nie da się wyłapać wszystkich, jak to nazwał Szczot, farbowanych lisków, a ci, którzy znaleźli się w tej samej sytuacji, co Szymon, będą musieli wejść do gry, w której nigdy nie chcieli uczestniczyć.

Musiał z kimś porozmawiać i pierwsza osoba, która przysłała mu do głowy, to Krzysiek. Młody Wielopolski zjawił się godzinę później i był zdenerwowany, ponieważ przez telefon głos ojca brzmiał co najmniej grobowo. Szymon wiedział, że nikt nie zrozumie go lepiej niż jego syn, który sam kiedyś zmagił się z szantażystą.

– Tato, nie wiem, co mógłbym powiedzieć. Przykro mi... Zwłaszcza że ty naprawdę chciałeś zmienić ten kraj. I takich ludzi Polska potrzebuje – powiedział Krzysztof, gdy ojciec opowiedział mu o wizycie Szczota.

– Krzyś, ale mam wybór: albo odpuścę sobie naprawę Rzeczypospolitej, albo się zeszmacę... – westchnął.

– Pamiętasz proces mój i Eulalii. Uniewinnili mnie, a jednak ta sprawa ciążyła mi jak kamień u szyi. Byłem winny i powinienem pójść siedzieć. I chyba wtedy, gdy odbijaliśmy tego faceta ze szpitala, gdzieś podświadomie chciałem, żeby mnie złapali. Siedziałem w areszcie jako polityczny, więc to nie zaszkodziło mojej karierze, ale ta pokuta była dla mnie wybawieniem.

– I przekonałeś się, że Eulalia kocha cię naprawdę. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie mógłbym marzyć o lepszej żonie. I to jest teraz dla mnie najważniejsze. Moja rodzina. Mam gdzieś, czy ubecy dalej będą rządzić tym krajem, mam w nosie te polityczne gierki teczkami, a nawet to, jak te bydlaki okradają państwowe mienie, bezpardonowo i przy cichym przyzwoleniu nowej władzy. Chcę robić swoje, wybudować w końcu dom i cieszyć się, że mam piękną i mądrą żonę oraz dwoje fantastycznych dzieci. Tato, nie zamierzam kopać się z koniem. Lubię patrzeć w lustro i nie czuć do siebie wstrętu. Rozumiesz?

Pokiwał głową. W tym, co mówił jego syn, nie było rezygnacji, ale nadzieja, ponieważ od jakiegoś czasu Krzysiek mógł zasypiać spokojnie i bez dręczących go wyrzutów sumienia.

I wtedy Szymon podjął decyzję, chociaż nie zamierzał na razie informować o tym syna. Napili się herbaty, umówili na niedzielny obiad, a potem pożegnali, jakby wcześniej w ogóle nie odbyli przykrew rozmowy. Kiedy został sam, wziął słuchawkę do ręki i wykręcił numer do Radka, szefa swojej kampanii wyborczej.

– Pan senator – ucieszył się. – Jak miło, że wciąż pan o mnie pamięta.

– Radziu, mam sprawę. Załatw mi najlepszy czas antenowy w telewizji. Najszybciej jak to możliwe.

– Jakaś aferka? – zapytał podekscytowany Radek.

– Można tak powiedzieć – odparł z westchnieniem, a potem odłożył słuchawkę.

23.

Warszawa, 1991

Amelia Imhoff-Sadło każdego mogła się spodziewać w swoim sklepie, ale na pewno nie Alicji Dargiewicz. Była tak zszokowana tym faktem, że zapomniała, iż właśnie zaszczycił ją swoją obecnością największy wróg.

– Możemy gdzieś porozmawiać? – zapytała Alicja.

– Nie wiem, możemy?

– Mam do ciebie bardzo konkretne pytanie i mam nadzieję, że mi odpowiesz wprost i bez żadnych gier. Więc?

– Chodźmy na kawę – zaproponowała Amelia. – Naprzeciwno jest taka sympatyczna cukiernia.

– Idealnie. – Dargiewiczowa uśmiechnęła się promiennie.

– Tylko powiem swojej pracownicy, że wychodzę, i wezmę torebkę – oznajmiła Amelia.

Zzerała ją ciekawość, co też, u licha, może chcieć od niej ta kobieta. Może sielanka jej krnąbrnej córeczki i Grzegorza się skończyła, a Alicja podejrzewała Amelię i swojego zięcia o romans?

Weszły do kafejki, w której apetycznie pachniało ciastem i świeżo mieloną kawą. Usiadły przy oknie, udekorowanym dość ładnymi zasłonkami, i zamówiły kawę.

– Proszę zatem pytać – powiedziała Amelia i uśmiechnęła się sztucznie.

– Chciałabym kupić dworek Chełmickich...

– To nie pytanie. – Amelia zmarszczyła brwi.

– Wiem, że dziedzicysz po Julianie, ale trudno powiedzieć, jaki jest stan prawny tej posiadłości. Sprawdziałaś to?

– Taki tu burdel, że sama nie wiem. Złożyłam wniosek do sądu, ale ciągnie się to w nieskończoność. Powiem szczerze, też nie za bardzo się tą sprawą interesuję, bo nie mam czasu, a na prowincję i tak nie zamierzam się przeprowadzać. Jeśli więc przysłaś, by złożyć mi ofertę, to muszę cię rozczarować...

Amelia nie miała pojęcia, dlaczego tak zupełnie normalnie gawędzi sobie z Alicją Dargiewicz. Może dlatego, iż ta kobieta właściwie nic jej nie zrobiła, a ona w jakimś dzikim szale przez całe lata usiłowała ją zniszczyć.

– Więc ta spółka, która jest teraz właścicielem dworku w Chełmicach, to nie ty? – Alicja była szczerze zdziwiona.

– Nie... Ale jakim cudem jakaś spółka mogła kupić mój dom? – jęknęła.

– Ta Polska to naprawdę zdziaczałe państwo. Zapewniam cię, że nie ja się za tą szemraną transakcją kryję.

– Hm... Cholera, to już głupia jestem. Ta spółka to jakiś „Krzak and przyjaciele”. W ewidencji widnieje adres, udziałowcem jest zagraniczna firma, a stanowisko prezesa piastuje facet, o którym nikt nic nie wie. Oczywiście pod wskazanym adresem stoi puste biuro i jest zamknięte na głucho. – Alicja chyba również postanowiła wyzbyć się zwyczajowej złośliwości.

– To jakiś dowcip? Przecież ta posiadłość należy mi się jak psu miska. I kto, do cholery, chciałby kupić coś takiego? To ruina, która wymaga ogromnych nakładów, żeby mogła wyglądać jak kiedyś.

– Niestety, to nie jest dowcip, ale może zleć sprawę adwokatowi. Nawet jeśli nie odzyskasz domu, to dostaniesz odszkodowanie. Z tego, co wiem, w księgach wieczystych znajdują się jakieś dziwne zapisy. Niby właścicielem był PGR, ale jest także informacja, że do Chełmickiego należała ziemia, na której stoją te wszystkie zabudowania. W takim stanie prawnym teoretycznie nie można było tego kupić, w praktyce, jak widać, wszystko jest w tym kraju możliwe – westchnęła Alicja.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Jutro znajdę rzutkiego adwokata, a kiedy już odzyskam dom, odsprzedam ci go – powiedziała Amelia. – Wiesz, chciałam mieć tę posiadłość, bo pragnęłam podarować ją Karolowi. Jako symbol, że i on był wnukiem Antoniego. A teraz... on ma nową kobietę, ja męża. Wszystko się posypało.

– A ja myślałam, że za bardzo za sobą szalejecie, aby definitywnie się rozstać – westchnęła.

– Wykręciłam mu gruby numer – mruknęła.

– Ja też, a jednak mi wybaczył...

– Nie rozmawiajmy już o tym. Lewin to przeszłość – wydukała drżącym głosem.

Alicja Dargiewicz się uśmiechnęła. Twarz miała pokrytą siateczką zmarszczek, ale wciąż posiadała dziewczęcy urok. Wysunęła dłoń i pogłaskała Amelię po policzku.

– Oj, chyba to nie jest przeszłość.

– Więc co mam zrobić, żeby go odzyskać? – Nie miała pojęcia, dlaczego postanowiła powiedzieć prawdę największemu niegdyś wrogowi. Kiedy inni pytali o Karola, udawała, że łączy ich tylko syn, a teraz nagle się otworzyła.

– Nie wiem, Amelio. Słabo znam Karola. Ale znam Grzegorza. Jeśli obaj są tak samo uparci, musisz znaleźć coś, co sprawi, że będziesz mu potrzebna. Teraz Lewin i mój zięć, chociaż nie wiem, czy długo nim pobędzie, obrośli w piórka. Pewnie każda młoda dziewczyna chce ich złowić, by nie martwić się o pieniądze, ale ty jesteś krok przed nimi. Bo masz coś, czego nie mają ani one, ani Grzegorz z Karolem... Ogromną wiedzę zdobytą w zagranicznych korporacjach. I nie rozumiem, dlaczego zajmujesz się takimi gównami, jak butiki czy sklepiki z chińskim barachłem.

– Chyba pierwszy raz powiedziałaś mi coś miłego – stwierdziła Amelia.

– Wcześniej nie było okazji. – Roześmiała się i dodała: – Pamiętasz, kiedy moja córka przygotowała plan wprowadzenia na rynek plotkarskiego pisma? Gdybyś tego nie zablokowała, „New Lady” już by nie istniało. Nieważne, jakie intencje tobą kierowały, uratowałaś moją firmę. I kapitałem, i rozsądnymi decyzjami. Ja... Wiesz, jak prowadzi się spółkę rodzinną, człowiek niekiedy kieruje się emocjami i niezdrowymi dla biznesu pobudkami.

– Wiem coś o tym – prychnęła. – Chciałam wydać fortunę, żeby zadowolić człowieka, który ma mnie gdzieś.

– Oj, myślę, że jesteś w błędzie, ale... nie rób mu takich prezentów. A teraz muszę lecieć, zostawiłam wnuki pod opieką sąsiadki. Kobięcina już pewnie wyrwała sobie wszystkie włosy z głowy.

– Alicjo... – niemal bezgłośnie powiedziała Amelia, gdy Dargiewiczowa szykowała się do wyjścia z kawiarni. – Przepraszam.

– Ja ciebie też, Amelio. Zawsze widziałam w tobie jedynie sukę, która chce mi odebrać firmę.

– Bo właśnie to chciałam zrobić...

– Ale paradoksalnie uratowałaś ją.

Amelia nie pozwoliła, by Alicja zapłaciła za kawę, a potem wróciła do swojego kantorka pozbawionego okna i pomyślała, że chciałaby jeszcze kiedyś zasiąść w fotelu prezesa jakiejś dużej spółki. Do tego jednak potrzebowała nie tylko dużego kapitału, ale także koneksji, bo w Polsce nadal rządziły układy i układziki.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, z ulgą zdjęła pantofle na wysokim obcasie i od razu naląła sobie do kieliszka martini. Usiadła w fotelu i sączyła trunka, nie zwracając zbytniej uwagi na kręcącego się po kuchni Wojtka.

– Robię lazanie! – krzyknął.

– Cudownie – odparła od niechcienia.

Jej mążzonek wyjrzał z kuchni i zapytał:

– Wszystko w porządku, kochanie?

– W jak najlepszym – powiedziała bezwiednie i dodała: – Chciałabym mieć własne wydawnictwo, ale nie jakieś gówno, tylko wielką, rozbudowaną redakcję i kilka ogólnopolskich tytułów.

– Więc dlaczego się za to nie weźmiesz?

– Mam kilkaset tysięcy franków zdeponowanych w Szwajcarii, ale nie wiem, co tu się będzie dalej działo i czy przypadkiem nie będę musiała wyprowadzić się do Niemiec albo Szwajcarii, a wtedy... Na Zachodzie taka kwota nie robi tak dużego wrażenia.

– A kredyt? – zagadnął.

– Wiesz, kochanie, jakie jest teraz oprocentowanie? Musiałabym być samobójczynią. Zresztą czym go zabezpieczę?

– No właśnie tym, co masz w Szwajcarii. Chętnie bym ci pomógł, ale wszystko włożyłem w interesy z ping-pongami i źródło nieco mi wyschło. A szkoda, bo mam na oku coś naprawdę potężnego...

– To znaczy? – Amelia od razu się zainteresowała, bo nie chciała wydawać zdeponowanych w Szwajcarii pieniędzy ani też robić zastawu na lokacie. Chyba że miałaby okazję w szybkim tempie je pomnożyć. Gdyby zainwestowała w porządne wydawnictwo, na zyski musiałaby poczekać pewnie z kilka lat.

– Czy to ważne? I tak nie mam kasy...

– Ja mam, opowiadaj.

– Poznałem jednego faceta, który zarządza firmą zajmującą się połowem ryb. Wiesz, taka niby państwowa, ale już prawie prywatna. W każdym razie jest do wyjęcia kilkadziesiąt trawlerów. Za śmieszne pieniądze, jakieś pięć tysięcy dolarów za sztukę. Na Zachodzie za takie coś dostałbym w najgorszym razie piętnaście tysięcy. Nawet znalazłem kontrahenta w Danii, który chętnie to kupi. Mógłbym stać się pośrednikiem, ale obawiam się, że ten dyrektor, jak zwącha biznes, sam dogada się z Duńczykami.

– A skąd wiesz, czy to nie jakieś szroty? – zapytała podejrzliwie.

– Będę miał niedługo wycenę rzeczoznawcy. Polskiego i duńskiego. Tylko nie wiem, do czego mi to potrzebne. Byłem w banku, ale nie bardzo chcieli ze mną rozmawiać, bo trawlerzy jeszcze nie są moje i nie mogą stanowić zabezpieczenia – odparł ze smutkiem.

– Wiem, że jesteśmy małżeństwem, ale ile bym mogła na tym zarobić?

– Przecież mówię...

– Wojtuś, pytam, ile mi odpalisz? – Roześmiała się.

– Twardy z ciebie negocjator, Amelio. Połowę. Jak to w małżeństwie.

Przeliczyła w myślach kwotę i pomyślała, że suma, którą by zarobiła, pozwoliłaby jej otworzyć wydawnictwo z prawdziwego zdarzenia. Nie chciała być konkurencją Kingi, która poszła w dziennik, ale pragnęła mieć własne modowe pisma, dzięki którym pokazałaby Polkom, że elegancja nie ma nic wspólnego z przepychem i ostentacją.

– Wojtek, jak można wysłać pieniądze do tej firmy z trawlerami? Na konto tej państwowej firmy czy tej nowej spółki?

– W tym problem, że facet chce gotówkę. Nie wiesz, jak to się teraz w Polsce załatwia? On spisze łodzie na straty, a kasę weźmie dla siebie.

– Słuchaj, pokaż mi te wyceny. Jeśli rzeczywiście te statki są warte piętnaście tysięcy albo więcej, wejdę w ten interes. I podzielimy się po połowie.

– Jesteś cudowna, Amelio. I cholernie mądra – powiedział Wojtek, a potem przyniósł z kuchni foremkę z lazanią.

Prawdę mówiąc, była paskudna, ale doceniła starania małżonka i nawet pozwoliła mu w nocy na więcej niż zazwyczaj, bo w końcu będzie miała okazję zarobić konkretne pieniądze.

24.

Warszawa, 1991

Lewin korzystał z życia jak mógł. Drogie knajpy, małolaty w kusych kieckach, a nawet kokaina, która zaczęła gościć na stołach częściej niż wóda. Miał świadomość, że narkotyki to równia pochyła, więc starał się sięgać po podobne używki sporadycznie. Może gdyby był młodszy, szedłby na całość co sobotę, ale wolał nie przesadzić.

Daria, która wcześniej lubiła mu ciosać kołki na głowie, teraz zajęła się wydawaniem jego pieniędzy. Nie stopował jej, bo był coś winny tej kobiecie. W okresie przejściowym to ona utrzymywała jego, teraz nadszedł czas spłacić stare długi.

W niedzielę nad ranem wrócił do domu po kolejnej libacji. Mikołaj spędzał weekend z matką i jej szemranym mężem, a Daria spała spokojnie w ich sypialni. Popatrzył na nią przez chwilę. Miała idealne ciało, w tej chwili prawie nieprzykryte, bo była pełnia lata i panowały nieziemskie upały. Pomyślał, że przydałaby się klimatyzacja, a potem klepnął Darię w pośladek i powiedział:

– Posuń się, kochanie...

Zamruczała przez sen, a później jakby się ocknęła i usiadła na łóżku.

– Kurwa, Karol, cuchniesz damskimi perfumami na kilometr.

– Pewnie, przecież przez całą noc siedziałem przy stoliku z kurwami. Moi kontrahenci lubią się zabawić, a nikt nie zajmie się nimi lepiej niż profesjonalistki...

– A ty korzystałeś z ich usług? – zapytała płaczliwie.

– A po co, jak mam takie ciało w domu...

Zaczęła go pieścić, ale odsunął jej dłoń.

– Rybko, padam na pysk. Te imprezy firmowe mnie wykończą...

Skłamał. Nie pierwszy raz zresztą. Daria przestała go pociągać w dniu, w którym zobaczył Amelię w świetnie skrojonej ślubnej sukni. Owszem, gdy był na mocnym rauszu albo zażył trochę „śniegu”, obracał jakieś panienki, których następnego dnia nawet nie pamiętał, ale na trzeźwo nie mógł się kochać nawet z Darią.

Stwierdził, że gdyby w takim stanie wrócił do domu, gdy mieszkała w nim jeszcze Amelia, ta zrobiłaby mu najpierw karczemną awanturę, a

potem doprowadziła do takiego stanu, że miałyby ochotę robić to z nią do wieczora. Młodziutka Daria mogłaby czyścić buty dużo starszej Amelii.

„Idioto, pozwoliłeś, żeby wyszła za innego” – skarcił się w duchu, a potem odwrócił plecami do Darii i zasnął.

Po przebudzeniu wcale nie czuł się zrelaksowany. Bolała go głowa, miał kaptura w ustach, a przede wszystkim dobijało go to, że nazajutrz będzie musiał pojechać do swojej firmy i palić głupa. Nie znał się na biznesie, więc cokolwiek podsuwali mu menedżerowie, brał za dobrą monetę. Czuł, że go dymają. Miał do tego nosa z racji swojego fachu, ale nawet nie wiedział, jak im udowodnić winę.

Nikommu nie ufał, oprócz Łyszkina, ale i ten znał się na prowadzeniu firmy jak kura na pieprzu. Owszem, proste interesy typu „tanio kupić, drogo sprzedać” nie nastęrczały mu kłopotów, w końcu nie był idiotą, ale ta cała inżynieria finansowa należała do dziedzin, o których nie miał pojęcia. Wiedział, kto byłby idealny na stołek dyrektora zarządzającego, ale postanowił, że nigdy nie poprosi Amelii o pomoc. Gdyby była sama, nie wahałby się ani minuty, ale teraz... Miałyby patrzeć na nią codziennie w biurze i zastanawiać się, co robiła w nocy, leżąc w łóżku ze swoim młodym i przystojnym mężem? Aż wzdrygnął się na myśl, że robiła z Wojciechem Sadło to samo, co z nim i wpuszczała tego ćwoka w najciemniejsze zakamarki swojej intymności.

Pod wieczór wrócił Mikołaj.

– I jak ci minął weekend? – zagadnął Karol w nadziei, że Misiek zacznie mówić o awanturach, które wybuchają pomiędzy świeżo upieczonymi małżonkami.

– Dobrze, pojechaliśmy do stadniny na konie – odparł. – Lekcje odrobiłem.

– Z tym obszcymurem byliście?

– Z Wojtkiem, tato – westchnął Mikołaj. – Tak, byliśmy we troje. On jest bardzo miły dla mamy. Dla mnie zresztą też.

– Fałszywa menda – mruknął pod nosem, bo wciąż mu się zdawało, że Wojciech Sadło ukrywa jakieś mroczne tajemnice.

Nie zamierzał go jednak szpiegować, ten rozdział musiał już zamknąć. Problem w tym, że te kolejne, które otwierał, wcale mu się nie podobały tak, jak wcześniej sądził. Owszem, duże pieniądze potrafiły

zrekompensować mu wiele rzeczy, ale czuł, że porusza się teraz w świecie, który jest mu kompletnie obcy. Nie miał już takiej władzy jak kiedyś. Wtedy wszyscy się go bali, teraz odnosił wrażenie, że jest inaczej, i to nie dawało mu spokoju.

– Na kiedy umówiłeś się znów z matką?

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Mama z Wojtkiem jadą we wtorek do Szwajcarii, a potem do Danii. Obiecała, że kiedy wróci, kupi mi nowy plecak do szkoły. Taki wypasiony. Adidasa albo Pумы – pochwalił się syn.

– Też ci mogę taki kupić – odparł bezwiednie. – Odrabiają podróż poślubną?

– Tato... – Mikołaj zaczął się niecierpliwić. – Jak chcesz, to zadzwoń do mamy i sam zapytaj.

– Nie będę do niej dzwonił. Jeszcze ten Sadło odbierze...

– No i co z tego? Nie wiem, o co ci chodzi, bo mama mówi o Darii same dobre rzeczy...

To rozzłościło go jeszcze bardziej.

– W sumie masz rację, to matka żyje z tym... człowiekiem, nie ja – odparł zupełnie spokojnie, mimo że w środku wszystko się w nim gotowało.

Nie miał pojęcia, dlaczego tego samego wieczoru pokłócił się z Darią i nawrzeszczał na syna. Potem ochłonął, przeprosił Miśka, upił się i zaciągnął Darię do łóżka, by tam się z nią pogodzić. Jednak jego dziewczyna nie była Amelią i nie potrafiła wczuć się w mroczną zabawę, w którą kiedyś tak bardzo lubił się bawić z panią Imhoff.

Nie zadzwonił do Amelii ani tamtego dnia, ani następnego. Jednak kilka tygodni później ona to zrobiła. Był pewny, że chodzi o zebranie rodziców, które miało się odbyć w następnym tygodniu. Mylił się jednak.

– Karol... – wymamrotała. – Czy możemy się jakoś zobaczyć?

– Coś się stało, Amelio? – Naprawdę się zaniepokoił. Jeśli chciała się z nim widzieć, to zapewne nie po to, by rzucić się mu w ramiona. – Jesteś w sklepie?

– Nie, jestem w domu. Przyjedź do mnie, jeśli możesz. Najszybciej jak to możliwe.

– Ten twój fagas będzie? – burknął.

- Nie, będę sama i muszę z tobą porozmawiać.
- Dobrze, będę za godzinę – odparł, a po chwili zerknął w lustro i dodał:
- Może za dwie.

Musiał się ogolić, wziąć prysznic i włożyć najlepsze ciuchy. Będą sami, tego frajera pewnie gdzieś wywiało na dłużej. Może nie powinien już zgrywać niedostępnego, jeśli Amelia ciągle chodziła mu po głowie? Mógł mieć teraz każdą, ale chciał właśnie ją. Dotychczas obawiał się, że kiedy zaciągnie Amelię do łóżka, znowu otworzy przed nią serce, a ona go perfidnie wykorzysta, ale w tym momencie było mu wszystko jedno. Chciał jej, bo żadna nie była w stanie jej zastąpić. A potem... Kurwa, no właśnie, co potem? Nie miał zielonego pojęcia.

Wskoczył pod prysznic, podczas golenia zaciął się ze cztery razy, a później założył koszulkę polo od Lacosty, wranglery i mokasyny od Salamandra. Dorzucił do tego pasek Dolce, okulary Porsche i był gotowy, żeby stanąć przed obliczem Amelii Imhoff i... nie wypuści jej z wyrka przez następny tydzień.

A jeśli Sadło wyjechał tylko na chwilę? A co tam, najwyżej zastrzeli gnoja i schowa do szafy. Teraz już jej nie odpuści, nawet jeśli będzie go to kosztowało kilka miesięcy sercowych katuszy.

Popatrzył kolejny raz w lustro. Był gotowy. Jeszcze jak gotowy. Na to, by jej wybaczyć. Nie wiedział tylko, co Amelia z tym zrobi. Zechce dać im szansę czy naprawdę kocha swojego męża? Wiedział, że gdy tylko weźmie ją w ramiona, będzie mógł sam odpowiedzieć na pewne pytania.

Nie wziął jej jednak w ramiona i nie kochał się z nią. Może dlatego, że gdy ją zobaczył, poczuł coś zupełnie innego niż pożądanie.

25.

Gdańsk, 1991

Kolejny raz to zrobili. Zaprosili na kolację kobietę, z którą zamierzali go wyswatać. A właściwie nie tylko na kolację, ale na cały weekend. Tym razem ofiarą starych Piotrowskich została Julia Ossowiecka.

– No, ale czego ty chcesz? – burczał Błażej, gdy Kostek okazał niezadowolenie ich podchodami. – Pielęgnowała cię jak sanitariuszka w lazarecie, no i jest całkiem, całkiem. I teście też fajne, a nie takie, jak ta stara czarownica od Moniki.

– Tato, jeśli będę chciał spędzić z Julią trochę czasu, to zadzwonię do niej i zaproponuję spotkanie. Przecież dobrze się poznaliśmy i nawet polubiliśmy – westchnął Kostek i wziął od matki kolejny półmisek. Gabriela Piotrowska przygotowała tyle jedzenia, że mogłoby się przy ich stole pożywić kilku roślących chłopów. – Mamo, do diabła, dla kogo ty tyle żarcia narobiłaś?

– Pewnie, ty byś postawił szklanę z paluszkami i krakersy! Niech sobie nie myśli, że jesteśmy biedni...

– Mamo, przecież to córka Ossowieckich – jęknął. – A oni dobrze wiedzą, że żadni z nas krezusi.

– No tak, człowiek się stara, stoi przy garach i tak mu dziękują. – Naburmuszona Piotrowska wydeła usta.

– A właściwie jak to zrobiliście? Tak po prostu, ni z gruszki, ni z pietruszki do niej zadzwoniliście i zaprosiliście do siebie? Czy może znowuż nagadaliście, że jestem w depresji? – dopytywał Kostek, ponieważ wstyd mu było, że rodzice go tak nachalnie swatają.

– Co ty, Kostek, za głupich nas masz? – obruszył się Błażej. – Nina wspomniała, że Julia przyjeżdża na jakieś sympozjum do Gdyni, tośmy zaproponowali, żeby się u nas zatrzymała. Kiepeła pracuje.

To wyglądało już lepiej. W końcu nie było niczym dziwnym, że zaoferowali nocleg córce przyjaciół, mimo że wcześniej tego nie robili.

Julia przyszła pod wieczór, dzierżąc niewielką walizkę i bukietik kwiatów, które wręczyła Gabrysi, czym od razu zapunktowała u niedoszłej teściowej. Przywitała się wylewnie z Błażem, a potem cmoknęła Kostka w policzek i powiedziała:

– Witaj, Kostuś. A gdzie twoi chłopcy? – zapytała.

– Witaj, moja droga, i wejdź do pokoju. Mama przygotowała kolację... A chłopcy są na basenie, przyjdą za jakieś dwie godziny.

– Zaraz kolację. – Gabriela zaczęła się krygować – Ot, mała przekąska, bo pewnie jesteś głodna po tylu godzinach siedzenia.

Mała przekąska składała się z sałatki, patery z wędlinami, półmiska pieczonych mięs i nieśmiertelnych grzybków w occie. Do tego Piotrowska podała śledziki, czym zdenerwowała swojego męża, bo uznał, że jeśli Kostek i Julia mają się potem całować, to będzie im jechać z ust.

– Zagryzą ciastem i po kłopotcie. A jak wychylą kilka kieliszeczków wódeczki, to już nic nie będzie czuć. – Gabrysia machnęła ręką.

– Ale na cholereę ci te śledzie? Poza tym to elegancki dom i podamy wino – oznajmił Błażej, który zawsze zajmował się w domu organizowaniem alkoholu.

– Elegancki? – prychnęła. – A Julka to księżna Yorku czy jak?

– Lekarzem jest, a to są dystyngowane osoby...

Tego było trzeba matce Kostka, którą wciąż uwierał niegdysiejszy romans Błażeja z doktor Marią.

– Nie mów, że z Maryśki taka elegantka – prychnęła. – Sam mówiłeś, że wódę wlewała w siebie jak, nie przymierzając, ruski żołdak.

– Tylko zimą, kiedy nie grzali. Dla rozgrzewki – oznajmił wyniośle ojciec.

– A ty jej do tej rozgrzewki nie wystarczałeś? – zadrwiła Gabriela.

– Już nie rób ze mnie takiego lowelasa, Gabryniu – odparł ojciec skromnie, ale chyba tym razem uszczypliwość żony sprawiła mu przyjemność.

– Ty chyba lowelasa na oczy nie widziałeś.

– Ty za to widziałaś... Jak świnia niebo. Swoją drogą, ten twój mrożonkowy gach to musiał być zimny jak nieboszczyk. Ciągłe w chłodni... I pewnie co noc sprawdzałaś, czy jeszcze żyje.

– On był dyrektorem – odparła z godnością Gabrysia.

Julia zerkała spanikowanym wzrokiem na Kostka.

– Tak, kochana, to moi starzy. Ojciec zaraz zacznie opowiadać, jak co noc dogadzał matce – szepnął Kostek do ucha Julii.

– O, Boże – jęknęła i lekko pobladła. Może nie wiedziała, jak ma się zachować.

– Ale rzuciłaś dyrektorka od mrozonek, bo się za moimi harcami stęskniłaś, figlarko. – Puścił oko do żony, która momentalnie zrobiła się czerwona jak burak, bo właśnie wyszli z kuchni i zasiedli do stołu.

Kostek postanowił ukrócić te przekomarzania, przypominając rodzicom coś, o czym najchętniej chcieliby zapomnieć.

– Prawda, kiedyś nawet łazienkę zdemolowali...

– Dobra, dobra, nie opowiadaj już tych swoich banialuków – zrugął go Błażej i w końcu zwrócił się do Julii: – To o czym było to sympozjum?

– O hemoroidach i nowoczesnych metodach leczenia... – wypaliła Julia.

Trzymany na widelcu kawałek mięsiva zatrzymał się w drodze do ust Błażeja. Piotrowski odłożył widelec i wydukał:

– To może winka naleję?

– Nie piję wina. – Uśmiechnęła się.

– Należałaś do Sodalicji Mariańskiej? – zapytała Gabrysia.

– Nie, po prostu wolę czystą. – Julia uśmiechnęła się nienaturalnie.

Matka posłała w kierunku Błażeja triumfalny uśmiech, po czym szepnęła do niego:

– A widzisz, doktorka i wódę piję.

– Gabryska, jakbyś musiała ludziom w tyłki zaglądać, to też byś łoła dla kurazu – odpowiedział cicho Błażej.

Kostek posłał mu mordercze spojrzenie, bo rodzicom kiepsko wychodziła ta konspiracja przy ich gościu.

Zaraz przeszli jednak na neutralne tematy, potem zahaczyli o politykę i było całkiem przyjemnie, dopóki nie wrócili chłopcy, którzy od progu zaczęli się kłócić, który wygrał wyścig na sto metrów.

– Żywiołowi ci twoi synowie – powiedziała Julia, nieco przerażona awanturą chłopców.

– A jak kiedy, Julcia. Czasem im się hłuzdy przestawiają, ale normalnie to są grzeczne, że mucha nie siada – pocieszył ją Błażej.

O synach Kostka można było powiedzieć wiele dobrego, ale na pewno nie to, że byli grzeczni. Jakkolwiek kiedyś Monika rozpływała się nad chłopcami, nazywając ich cudownymi dziećmi, tak Julia patrzyła na Jasia i Pawełka z lekką grozą.

– Może Julka prześpi się u mnie, a chłopcy niech zostaną u was? – zaproponował Kostek. – Jutro zabrałbym naszego gościa na starówkę.

– No, synek, dobrze gadasz. To co, po maluszku, coby się wam różniej do domu wracało.

Kostek był pewny, że ojciec już widzi w swojej wyobraźni obrączkę na palcu Julii. Oczywiście, on musiałby ją wsunąć na dłoń kobiety.

Zdawało mu się, że Julia doznała ulgi, gdy opuścili dom rodziców. Nie miał pojęcia, czy to z powodu niektórych tekstów ojca, czy może razili ją zachowanie chłopców. Kobieta nie знаła zbyt dobrze starych Piotrowskich, mimo że przyjaźnili się z jej rodzicami, za to była w świetnej komitywie z Ludwikiem. Może dlatego, że mieszkali w jednym mieście i częściej się widywali. A może była taka sztywna, bo w dzieciństwie często oddawano ją pod opiekę Apolonii Ryszewskiej?

– Słuchaj, Kostek... – powiedziała w pewnym momencie. – Może zostawię u ciebie manatki i pójdziemy na plażę?

– Pewnie, ale zaraz będzie zmierzchać.

– Nie szkodzi, chcę posłuchać szumu morza.

– Dobrze – odparł.

Siedzieli razem na piasku i niewiele mówili. Zresztą Julia należała do osób małomównych i chyba wolala pomilczeć niż pleść androny. Dotknął jej dłoni i powiedział cicho:

– Przepraszam za moich rodziców.

– Nie żartuj, oni są jak rodzina. A rodziny się nie wybiera...

Dziwnie się poczuł po tych słowach. Owszem, niekiedy wstydził się za ojca, gdy ten zaczynał rzucać dowcipami z erotycznym podtekstem, ale wszyscy go lubili. Właśnie za poczucie humoru. Tymczasem Julia nie doceniła jego żarcików.

– Powiesz mi, dlaczego rozwiodłaś się z mężem? – zapytał chyba tylko dlatego, by cisza między nimi nie trwała zbyt długo.

– Nie wiesz? Doniósł na mnie i na ojca. Zresztą... żyliśmy ze sobą, a jakby obok siebie. Może dlatego, że on bardzo chciał mieć dzieci, a ja nie.

Czerwona lampka momentalnie zapaliła się w głowie Kostka. Julia nie lubiła dzieci, a on miał ich dwoje i zapewne minie kilka lat, zanim pójda na swoje. Żałował, że tak się sprawy mają, ponieważ Julia bardzo mu się podobała.

– Ja mam synów... – wymamrotał.

– Już prawie odchowanych. – Uśmiechnęła się.

Kamień spadł mu z serca. Może nie było tak źle, jak sądził. Objął Julię, a po chwili zaczął muskać ustami jej twarz. Powiało romantyzmem, a Kostek pomyślał, że w końcu trafiła mu się normalna, spokojna i mądra kobieta. Może to była recepta na udany związek? Bez szaleństw, uniesień i

pożądania, które odbiera człowiekowi rozum. Z Beatą to było wariactwo, ciągły niepokój i emocje sięgające zenitu. Monika, kompletnie uzależniona od matki, sprawiała wrażenie osoby, która nigdy nie ma własnego zdania. Nawet nie skontaktował się z nią po powrocie. To nie miało sensu, a mogło wywołać niepotrzebne emocje. Nie zamierzał do niej wracać, a może słuszniej byłoby powiedzieć „do nich”, czyli do Moniki i jej upiornej mamusi. Z Natalią też nie wyszło dobrze. Może dlatego, że gdy ją poznał, patrzył na nią przez pryzmat jej stosunku do chłopców. Kiedy zastanawiał się nad swoim drugim małżeństwem, myślał sobie, że chyba nigdy tak naprawdę nie kochał Natalii. Pewnie gdyby obdarzył ją prawdziwą miłością, walczyłyby o nią aż do końca. A on pewnego dnia się poddał.

Julia była inna niż jego poprzednie kobiety. Zaczęli od przyjaźni, a to dobrze wróżyło na przyszłość.

Tę noc spędzili razem i niestety Kostek kolejny raz musiał przyznać, że nie czuł takiego szaleństwa zmysłów jak przy Beacie. A może po prostu się zestarzał i jego libido nieco wyhamowało.

– I co teraz będzie? – zapytał, gdy obudził się rano i spostrzegł, że Julia bacznie się mu przygląda.

– Nie wiem... – Wzruszyła ramionami i zaczęła się bawić włosami na jego torsie. – Nie chcę się śpieszyć. Przywykłam do samotnego życia i jest mi z tym dobrze. Czuję się wolna, bo mogę robić, co chcę. Nie, nie jestem spontaniczną wariatką, która wsiada do samochodu i jedzie przed siebie, bo nic jej w domu nie trzyma. Lubię mieć wszystko zaplanowane, poukładane.

– Właśnie tego potrzebuję, bo moje życie przypomina dom wariatów. Ciągłe w pędzie, raz pracuję w ciągu dnia, raz nocą. Dobrze, że rodzice są na miejscu, bo nie wiem, co zrobiłbym z chłopcami.

– Oni potrzebują stabilizacji. Może wówczas będą mniej rozpuszczeni – westchnęła.

Nie lubił, gdy ktoś krytykował jego synów. Owszem, zdawał sobie sprawę, że do aniołów nie należą, ale wkurzało go, gdy ktoś go w tym względzie pouczał. Kochał ich całym sercem i był gotów bronić jak lew swojego stada. Sam należał do mężczyzn nieco postrzelonych, a spontaniczność, której tak nie lubiła Julia, stanowiła jego chleb powszedni. Zapewne wynikało to z charakteru jego pracy. Cóż z tego, że zaplanował sobie dzień w redakcji, gdy nagle dzwonił telefon, bo coś ciekawego się

wydarzyło i należało odłożyć wszystko na bok, a potem jechać na miejsce zdarzenia, niekiedy bardzo daleko. Musiał tylko wykonać telefon do rodziców, a potem wsiadał do samochodu i podążał za sensacją. Taka osoba jak Julia mogłaby wprowadzić w jego życiu jakiś porządek, by po powrocie do domu się wyciszył, uspokoił i cieszył rutyną dnia codziennego.

Zaterkotał telefon. Podniósł słuchawkę. Po drugiej stronie odezwała się Maja Staśko. Czasami do niego dzwoniła, więc nie zdziwił się specjalnie, aczkolwiek kobieta wybrała wyjątkowo niefortunny moment, bo właśnie układał sobie życie. Co prawda na razie w myślach, ale był to na pewno dobry początek.

– Cześć – zaszczębiotała Maja. – Jak się miewa najlepszy dziennikarz w Polsce?

– Daj spokój, daleko mi jeszcze do tego.

– Ja tam w ciebie wierzę, chociaż wiem, że zepsułam ci dobry temat – westchnęła.

– Nie mów tak, odpuściłbym go sobie także z uwagi na Kingę. W końcu byliśmy rodziną.

– Pewnie podkochiwałaś się w niej – zażartowała.

– Zwariowałaś? – Zaczął się śmiać. – Nie idź tą drogą, Maju.

– U nas to chyba taka tradycja. W końcu Karol był na zabój zakochany w mojej matce. Wiem, trochę siara i patologia, ale cóż, przynajmniej coś się działo.

– Już jej współczuję – mruknął. – A jak twoja płyta?

– Nagrywam i nagrywam, i ciągle nie jestem zadowolona z efektu. Słuchaj, Kostek, czy ja ci nie przeszkadzam? – zapytała w końcu. Chyba wyczuła jego powściągliwość, bo z reguły, gdy dzwoniła, paplał jak nakręcony.

– Mam gościa – odparł enigmatycznie.

– To kończę... Wiesz, właściwie dzwonię, bo mam sprawę. Za dwa tygodnie przyjeżdżam do Gdańska. Takie tam służbowe sprawy. I pomyślałam...

– Jasne, wpadaj – oznajmił.

Ucieszył się, że zobaczy tę wariatkę. Miała w sobie coś z dziecka i Kostek czuł się przy niej młodziej, niż wynikało z jego metryki. A on potrzebował niekiedy poczuć się chłopcem.

Zakończyli rozmowę i Kostek zwrócił się do Julii:

– Przepraszam, to moja postrzelona znajoma.

– Chyba bardzo ją lubisz – stwierdziła beznamiętnie.

– Tak, lubię ją. Jest taka zwariowana. Ale cóż można wymagać od piosenkarki rockowej. W dodatku tak ekscentrycznej, że chciała nagrać dla mnie numer sprzed ponad sześćdziesięciu lat. – Przewrócił oczami.

– Może kocha się w tobie...? – zasugerowała Julia.

Skłamałby, gdyby powiedział, że nigdy mu to nie przyszło do głowy. Powiedział jednak coś innego, bo po prostu zależało mu na Julii.

– Nie... Nie kocha się we mnie. To dzieciuch, chociaż skończyła trzydziestkę.

– Takie dzidzie-piernik też się zakochują – mruknęła.

Nie spodobało mu się to określenie Majki, ponieważ zupełnie do niej nie pasowało. Owszem, ubierała się dość ekscentrycznie, wpadała na dziwne pomysły, ale należała do bardzo bystrych osóbek i szanował ją za jej lojalność w stosunku do bliskich. Nawet do tego cholernego Karola Lewina, który teraz sfinansował jej nagranie płyty. Maja była pięknym dzikim ptakiem, usiłującym poukładać sobie pewne rzeczy w głowie i sercu. Cenił sobie jej szczerść, gdy z przejściem opowiadała, jak bardzo pogardzała zajęciem swoich wujków i poglądami dziadka, a jednocześnie niemożliwie ich uwielbiała. Bez żenady mówiła o tym, jak straszyla znajomych wpływowymi krewnymi i jak się wściekała, gdy próbowali wyciągać ją ze szponów nieuczciwych kochanków. Teraz była im za to bardzo wdzięczna.

– A może zmienimy temat? – mruknął.

– Pewnie, w końcu trochę głupio leżeć w łóżku z jedną, a rozmawiać o innej – powiedziała zupełnie spokojnie.

Pomyślał, że gdyby na miejscu Julii była Beata Santorska, po takim telefonie zamieniłaby mu przynajmniej trzy godziny życia w piekło.

Tak jak zaplanowali, udali się na starówkę, mimo że zrobiło się chłodno, a z nieba siąpił deszcz. Wcale nie miał ochoty na spacer przy takiej pogodzie, ale dla Julii trzymanie się planu było święte.

Pod wieczór, gdy Ossowiecka szykowała się do powrotu do domu, ojciec przywiózł Jaśka i Pawła. Zamienił kilka słów z Julią, poprosił, by przekazała pozdrowienia dla rodziców, a potem poklepał Kostka po ramieniu i powiedział:

– Dobra robota, synek.

– Skąd wiesz? – zakpił Kostek.

Błazej przysunął się do syna i szepnął mu do ucha:

– Chyba nie jesteś aż tak stary... Ja z matką...

– Tato, wszystko było jak należy – powiedział równie cicho i nieco zawstydzony.

Piotrowski potarł dłonie.

– Dobra nasza – oznajmił i kłaniając się w pas Julii, opuścił dom syna.

Zapewne był przekonany, że niebawem dojdzie do mariażu tej pary. Przynajmniej tak uważał do następnej soboty, bo wówczas pojawiła się u niego Kinga, by wypłakać mu się w ramię po rozstaniu z mężem. Tego jednak Błażej Piotrowski nie wiedział i gdy ujrzał Kingę wychodzącą z łazienki, owiniętą jedynie ręcznikiem, dopisał sobie resztę historii.

Nie miał pojęcia, że poprzedniego dnia, gdy Kinga zapukała do jego drzwi, wyglądała, jakby wpadła pod autobus. Miała potargane włosy, zero makijażu i ubrana była w dresy. Grzesiek zabrał dzieci na weekend, co w takim wypadku nie było niczym szczególnym, jednak Kinga bardzo to spotkanie przeżyła. Powiedziała, że jej mąż bardzo się zmienił. Wcale się nie dziwił, wielka forsa potrafiła każdemu namącić w głowie, a teraz Łyszkini należał do bardzo zamożnych ludzi. Kostek nie potępiał ludzi bogatych i przedsiębiorczych. Wręcz przeciwnie, uważał, że właśnie takie osoby są siłą napędową zrujnowanej Polski, ale Grzegorz po prostu okradł dogorywające państwo. Gdyby nie należał do tak zwanej starej nomenklatury, nigdy by mu się to nie udało, i chyba ten fakt najbardziej mierzył Piotrowskiego.

Kiedyś oczami wyobraźni widział ludzi dawnych służb i partyjnych kacyków na ławie oskarżonych, ale jego wizje się nie sprawdziły. Stara władza urządziła się w nowej Polsce zupełnie dobrze, uważając, że część majątku narodowego po prostu im się należy. Większość osób przymykała na to oko, uznając, że nie są w stanie tego zmienić albo nie mieli pojęcia, jak powstają w Polsce wielkie fortuny. Być może nawet imponowało im, że ktoś może się dorobić ogromnego majątku w tak krótkim czasie. Żyli w socjalistycznej bańce i nie zdawali sobie sprawy, że owe imponujące dobytki pochodzą z przekrętów, malwersacji albo polegają na wykorzystywaniu luk prawnych. Problem w tym, że o owych lukach wiedzieli tylko nieliczni, a to już trąciło mafią.

26.

Warszawa, 1991

Kinga Dargiewicz-Łyszkin z przerażeniem patrzyła na rodziców, którzy przygotowywali się do wyjścia z domu.

– Co wy robicie? – zapytała ze zgrozą.

– Wychodzimy... Chcemy połączyć po starówce – odparła zupełnie spokojnie Alicja.

– Ale zaraz Grzesiek ma przyjść po dzieci – jęknęła.

– No i co z tego? – Alicja wzruszyła ramionami. – Chyba sobie poradzisz. Torba jest przygotowana, tylko załóż im sweterki i Pawełkowi zmień spodenki na długie, bo nie jest dzisiaj zbyt upalnie, a Grzegorz chce ich zabrać do zoo.

– Nie o to chodzi – burknęła Kinga. – Nie chcę się z nim spotkać.

– Córeczko... – powiedział ciepło Sergiusz. – To jest twój mąż, ojciec twoich dzieci, a my nie jesteśmy twoją piątą kolumną.

– Niedługo nie będzie już moim mężem – warknęła.

– Ale ojcem twoich dzieci pozostanie na zawsze – odparła matka i chwilę potem rodziców już nie było w domu.

A ona miała na sobie wypchane na tyłku i kolanach dresy, włosy związane w niedbały kucyk, a na białej koszulce plamy po soku marchewkowym. Chciała chociaż zmienić ten nieszczęsny podkoszulek, żeby nie zaprezentować się jak flejtuch, ale gdy podeszła do schodów, nie weszła na górę, tylko usiadła na jednym z nich. Hania bawiła się w kojcu, Przemek budował samochód z klocków, a ona siedziała wgapiona w jeden punkt i drżała na samą myśl, że po kilku tygodniach znowu zobaczy Grzegorza.

Nie prosił jej o spotkanie, przez telefon rozmawiali jedynie o dzieciach, a ona, durna, chciała biec do sypialni, żeby się przebrać i pokazać się Grześkowi z jak najlepszej strony. Nie miała pojęcia, czy siedziała tak beczynn timer przez kwadrans czy krócej, kiedy usłyszała dzwonek. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy podchodziła do drzwi. W końcu je otworzyła, ale nawet nie spojrzała na męża.

– Wejdz, muszę tylko zmienić spodenki Przemkowi i założyć obojgu sweterki – powiedziała spokojnie, mimo że wszystko w niej drżało.

Nie mogła darować Grzegorzowi tego, co zrobił, a jednak jej głupie serce wciąż krwawiło. Ta rozłąka była dla niej gorszym przeżyciem, niż pierwotnie sądziła. Pewnego dnia stwierdziła, że nie powinna oceniać siebie zbyt surowo i dać trochę czasu uczuciom, które choć stygły, stawało się to zdecydowanie zbyt wolno.

Wzięła do ręki przygotowane przez matkę spodenki Przemka i zaczęła go ubierać. Kątem oka widziała, że Grzegorz rozsiada się na krześle w modnych dżinsach i bielutkiej jak śnieg koszulce polo. Na nogach miał beżowe mokasyny, a zapach Paco Rabanne wypełnił cały pokój. Pomyślała, że gdy wsiada tak ubrany do swojego luksusowego bmw, zapewne wszystkim okolicznym pannom spadają majtki.

– Nie chcę tych spodni! – wrzasnął nagle Przemek, po czym odsunął się od niej i zaczął tupać. – Nie chcę, nie zakładaj ich!

– Przemuś, jest chłodno, zmarzniesz – powiedziała do syna znękanym głosem.

– Nie chcę i już! – upierał się malec.

Usłyszała stanowczy głos Grzegorza:

– Zakładaj te spodnie, kawalerze! I nie mów tak do mamy, bo przetrzepię ci skórę!

Chłopca chyba zdziwił ostry ton ojca, bo bez słowa pozwolił się przebrać.

– Dzięki – wymamrotała.

– Nie ma za co, nigdy nie powinien tak się zachowywać w stosunku do ciebie – odparł spokojnie Grzegorz.

– No, książę gotowy. Jeszcze księżniczka Hanna.

– Kinga, posłuchaj, dzieci przebywają głównie z tobą i dziadkami. Chyba czas, żebyśmy dołożył się do ich utrzymania – powiedział Łyszkin zupełnie spokojnym głosem.

– Radzimy sobie, ale oczywiście, jak chcesz się dorzucić, nie ma sprawy.

Wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów i położył na stole. Nie liczyła, ile tego było, ale na pierwszy rzut oka mogłaby za tę kwotę utrzymać przez miesiąc całą afrykańską wioskę.

– Nie przesadzaj. – Wydeła usta. – Sąd nie przyzna mi takich alimentów, wolę się nie przyzwyczajać.

– Jaki sąd? – burknął.

– A gdzie orzeka się rozwody? – odparła zimno.

– Nie dostaniesz ode mnie rozwodu – powiedział stanowczo.

– Dlaczego? – Popatrzyła na niego niemal błagalnie.

Z jednej strony, była zdecydowana zakończyć swoje małżeństwo, z drugiej – pragnęła, żeby Grzegorz zebrał o wybaczenie i błagał, żeby go nie zostawiała.

– Nie chcę, żeby jakiś frajer wychowywał moje dzieci. Zapomnij.

– Mogę zamieszkać z kimś bez rozwodu – syknęła.

– Proszę bardzo, ale wtedy dzieci przeniosą się do mnie.

– Chyba żartujesz?! – Kinga zaczęła robić się zła, bo nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Nie żartuję, nie dostaniesz ode mnie rozwodu.

– W końcu dostanę! – krzyknęła. – A jeśli będziesz mi to utrudniał, poproszę o zwrot pożyczki!

– To nie są twoje pieniądze – warknął.

– Serio? Twoje też nie... A może spotka mnie to samo, co Falzmanna albo Kostka? W końcu ożeniłeś się ze mną tylko z powodu tej forsy... Widać, że jest ona dla ciebie najważniejsza. Ważniejsza nawet ode mnie i dzieci.

– Będę udawał, że tego nie słyszałem. – Głos Łyszkiina mógłby chyba zmrozić piach na pustyni.

– Dlaczego się kłócicie? – zapytał nagle Przemek.

– Nie, kochanie, skąd, tak tylko sobie żartujemy – powiedziała zupełnie bez przekonania Kinga.

Grzegorz podszedł do niej i przytulił mocno. Zbyt mocno.

– Zobacz, Przemuś, nic się nie dzieje.

Chłopiec się uspokoił i powrócił do układania klocków.

– Puść mnie – powiedziała cicho.

Jej słowa wywołały odwrotny skutek, bo Łyszkin jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. Czuła jego zapach i oddech na szyi.

– Nie dostaniesz rozwodu – szepnął jej do ucha. – I nie zabierzesz mi dzieci do Anglii. Poza tym na pewno się dogadamy, mimo że przed chwilą bardzo mocno mnie zraniłaś.

Wyplątała się z jego uścisku.

– Okłamałeś mnie. Przez cały czas mnie oszukiwałeś. Nie wybaczę ci tego...

– Kinga, nie bądź dzieckiem. Pracowałem w resorcie, który wymagał ode mnie zachowania tajemnicy.

– Wiesz, o czym mówię, nie rób ze mnie idiotki!

Zirytowała się, mimo że się starała, by jej głos brzmiał spokojnie, a nawet czule. Nie chciała, żeby Przemek znowu się zdenerwował. I tak musiała codziennie opowiadać mu bajki, dlaczego ojciec już z nimi nie mieszka.

– Przepraszam, masz słuszość, ale to nie jest powód do rozwodu. Nie łajdaczę się, opiekuję się dziećmi lepiej niż ty i na każdym kroku udawniałem ci, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Może to, co zrobiłem, jest naganne, a nawet nielegalne, ale nie ma nic wspólnego z nami. A ty wytoczyłaś najcięższe działo.

– Grzesiek, masz teraz forszę, pozycję... możesz mieć każdą. Nie jestem ci już do niczego potrzebna. Podpisałam kwity, żebyś w razie draki nie poszedł siedzieć, i przestałam pisać cokolwiek na temat FOZZ-u. Zrobiłam to dla ciebie, więc teraz ty zrób coś dla mnie i daj mi ten cholerny rozwód.

– Masz kogoś? – zadrwił. – Pewnie chcesz wykorzystać fakt, że Kostek jest już wolnym człowiekiem. Idealna para, tropiąca paskudnych komuchów.

– Kostek to mój przyjaciel, odwal się od niego – burknęła.

– W porządku, ale jeśli pewnego dnia oznajmisz, że chcesz z nim być, zabiję go – powiedział takim tonem, jakby chodziło o kupno mleka w sklepie.

– Jesteś chorym bandziorem, wiesz? Nie dość, że złodziej, to jeszcze masz zadatki na mordercę. A może to wcale nie Amelia załatwiła małżonka, tylko ty?

Dobrze, że w pokoju były dzieci, bo chyba by ją uderzył.

– Wiesz, w sumie pomyślałem sobie, że żona powinna mieć jakieś obowiązki wobec męża. Na przykład w łóżku. Może przyjdę któregoś dnia i odbiorę to, co mi się należy? W końcu jeśli jestem takim strasznym człowiekiem, mogę zostać także gwałcicielem własnej żony.

Poddała się. Usiadła na krześle i powiedziała cicho:

– Grzegorz, co się z tobą stało? Przecież to niemożliwe, żebym cię w ogóle nie znała.

– Znasz mnie, ale ciągle próbujesz sobie wmawiać, że jestem potworem. Tak, zrobiłem źle. Nie jestem święty, ale, do cholery, nie rób ze mnie takiego gnoja – odparł, a potem podszedł do kojca i wziął na ręce Hanię.

– Moja śliczna dziewczynka zobaczy dzisiaj żyrafę. Przemcio, a tobie podobają się żyrafy czy wolisz słonie? – zapytał ze śmiechem.

– Ja wolę himbotamy – oznajmił dumnie chłopiec.

– Dobra, to poszukamy jakichś himbotamów, a potem pójdziemy na lody.

Po chwili już ich nie było. Kinga myślała, że zwariuje. Dzieci zawsze stanowiły dla niej bezpieczny azyl. Kiedy były przy niej, nie myślała o swoim nieudanym małżeństwie. Podobnie było w redakcji – zajmowała się sprawami gazety i w tym wirze pracy nie miała czasu, żeby się nad sobą rozczulać. A teraz została kompletnie sama, zaś po Grzegorzu pozostał jedynie zapach Paco Rabanne.

Pobiegła na górę i wyciągnęła z szafy torbę. Spakowała kilka rzeczy, zmieniła koszulkę, a potem napisała krótki list do rodziców, że wyjeżdża do Gdańska i wróci zeń nazajutrz.

Nie była zakochana w Kostku. Od zawsze łączyły ich relacje koleżeńskie i zawodowe. Nie jechała teraz do niego, żeby rzucić się w jego ramiona, ale musiała się czymś zająć. Potem prychnęła pod nosem, bo przypomniała sobie słowa męża o Piotrowskim. Może jednak tliły się w Grzegorzu jakieś uczucia do niej i chciał kontynuować małżeństwo nie tylko dlatego, by ochronić swój majątek? Może naprawdę ożenił się z nią, bo ją kochał, a nie dlatego, by otrzymać rezydencję w Wielkiej Brytanii i zrobić skok na kasę? Może miał słuszną i krzywdziła go pewnymi podejrzeniami, ale jego oszustwo sprawiło, że zupełnie straciła do niego zaufanie. Uznała, że jeśli okłamał ją raz, robił to bezustannie i w każdej sprawie.

Późnym popołudniem dotarła do Kostka. Wcześniej, oczywiście, zadzwoniła do niego i usłyszała jedynie: „Przyjeżdżaj”. Najpierw płakała mu w klapę, złorzecząc systemowi, który nauczył całe pokolenia ludzi, że okradanie własnego państwa nie jest czymś złym, a potem nagle usiadła wyprostowana na kanapie, wytarła łzy i oznajmiła:

– Przyjechałam do ciebie, żeby nie gadać i nie myśleć o Grzegorzu. Porozmawiajmy lepiej o robocie.

– Kamień z serca, bo na samarytanina się nie nadaję, a moje wcześniejsze związki pokazują, że lepiej moich rad nie słuchać.

– Widujesz się z kimś teraz? – zapytała.

– Tak, mam kogoś. To nad czym teraz pracujesz? – zapytał Kostek.

– E, przyjacielu. „Mam kogoś” i to wszystko? Opowiadaj mi tu jak na spowiedzi. To pewnie ta lekareczka z Olsztyna. Fajna babka. Stonowana, miła i konkretna. I całkiem ładna.

– Nie ma co opowiadać, dopiero się poznajemy. Tak, to fajna babka.

– Mówisz to takim tonem, jakbym zapytała, czy lubisz śledzie. – Zaśmiała się.

– À propos śledzi, ojciec zmył matce głowę, że podała rolmopsy na kolację. Stwierdził, że jeśli nam będzie z ust zalatywało rybami, czar romantyzmu pryśnie.

– Kocham Błażeja. – Zachichotała. – Miłością absolutnie ślepą. Ale jak znam życie, Gabrynia postawiła na stół coś jeszcze.

– Jak zobaczyłem, ile tego narobiła, to myślałem, że Julia ma przyjechać z dziesięcioma kumplami z symposium.

– Wiedziałam – westchnęła.

Kostek nagle spowaźniał i powiedział cicho:

– Kinga, zanim zaczniemy rozmawiać o robocie, muszę cię przeprosić. Ale to bardzo, bardzo...

– Jezu, Kostuś, za co? – Nieco się wystraszyła. Nie tyle tym, co powiedział Kostek, ale jego tonem głosu. Grobowym wręcz.

– Posłuchaj, moja informatorka wyniosła kilka kwitów z Universalu. I była tam umowa pożyczki... Zresztą trudno nawet nazwać to umową, bo dłuższe są w agencjach ratalnych, gdy kupujesz telewizor. To oczywiście dlaczego... Te kwity nie miały żadnego znaczenia, bo pieniądze i tak miały rozplynać się we mgle. Problem w tym, że właścicielem jednej ze spółek, do której wpłynęły pieniądze, był twój mąż...

– Wiem. – Kinga spuściła głowę, bo wciąż było jej wstyd za Grzeška. A najbardziej dlatego, że jemu nie było ani trochę.

– I dlatego go zostawiłaś? – zapytał.

– Tak. Może nawet nie poszło o samą aferę, ale on mnie, Kostek, przez cały czas oszukiwał. Myślę, że ożenił się ze mną tylko po to... No wiesz, żeby mieć stały pobyt na Wyspach.

– Chyba żartujesz? Wiesz, że brzydzę się tymi machlojkami, które zubażają nasz kraj, ale to, co mówisz, jest cholernie niesprawiedliwe. Facet, nawet ostatni drań, nie byłby w stanie udawać uczuć przez tyle lat.

– Pamiętaj, że był dobrze wyszkolonym agentem.

– No nie, naprawdę przesadzasz. Owszem, zrobił coś paskudnego i w dodatku zataił to przed żoną, ale na pewno nie dlatego się z tobą ożenił. To absurd!

Kostek mówił zupełnie serio, a jej ulżyło. Tak bardzo potrzebowała wierzyć, że bez względu na to, co zrobił Łyszkin, darzył ją szczerym uczuciem. Przynajmniej do niedawna.

– Niech ci będzie, a teraz powiedz, za co chcesz mnie przepraszać. Chyba nie za mojego szacownego małżonka?

– Nie, ale kiedy zobaczyłem te kwity, pomyślałem... Pomyślałem... – Kostkowi pewne słowa nie mogły przejść przez gardło.

– Że mam z tym coś wspólnego i wiedziałam o tej kasie Grześka od samego początku... I dlatego nie chcę drukować nic o FOZZ-ie, tak?

– Właśnie. Przepraszam, Kinia. Nigdy nie powinienem w ciebie zwątpić.

– Sama bym tak pomyślała. Nie ma tematu, Kostek. Nie gniewam się, chociaż nie powiem, żebym była tym zbudowana – odparła ze smutkiem w głosie i zapytała cicho: – To dlatego, prawda? Dlatego zostawiłeś FOZZ? Przeze mnie?

– Jeśli to cię pocieszy, to nie tylko z uwagi na ciebie.

– Boże, a na kogo jeszcze? Nie mów, że ty też masz w swoim bliskim otoczeniu kogoś takiego jak ja.

– Nie... – Machnął ręką. – Nigdy nie znałem nikogo tak wpływowego. To z uwagi na osobę, która mi to dostarczyła.

– No to teraz już musisz mi zdradzić, kto to był. Przecież nikomu nie powiem.

– Majka Staśko. Nie miała pojęcia, co mi daje... Przyrzekłem, że tego nie wykorzystam, ale wiesz, jak to jest. Po nitce do kłębka. Dlatego podjąłem decyzję, że odpuszczam.

– A ja cały czas węszyłam...

– Tak, a ja cię podejrzewałem o taką mistyfikację. Jeszcze raz przepraszam.

– Zamknijmy ten temat. Opowiem ci, nad czym pracuję – powiedziała stanowczo Kinga, ale gdzieś w głębi duszy było jej przykro, że Kostek w ogóle o czymś podobnym pomyślał.

– Słyszałeś o firmie Elektromax?

– Każdy w Polsce słyszał.

– Wiesz, dla mnie to jest jakaś firma z szyldem „Wielki przekręt” – mruknęła.

– Rozpracowujesz ją? – Kostek zmarszczył brwi.

– A nie powinnam? – zdziwiła się Kinga, bo odkąd zajęła się tym przedsiębiorstwem, wiedziała, że dokopie się do jakiegoś szwindlu w wykonaniu jej szefów.

– Posłuchaj, ich ochroniarze to byli milicjanci i esbecy. Podobno jak ktoś nadeptnie im na odcisk, potrafią być bezwzględni. Kiedyś rozmawiałem z

gościem, który robił coś dla nich i nie dostał za to ani grosza. Namawiałem go, żeby do sądu z tym poszedł, bo ten brak płatności rozłożył mu firmę na łopatki. Powiedział, że z nimi lepiej nie zadzierać i nie będzie się z nimi procesował ani też nie zamierza się upominać o zapłatę.

– Więc jakim cudem są ludzie, którzy chcą jeszcze z nimi kooperować? Jeśli ktoś nie płaci, to po co robić dla niego cokolwiek? – zapytała Kinga ze zdziwieniem, bo akurat o tym nie słyszała. Może dlatego, że skupiła się na zupełnie innych źródłach ogromnego zysku tej firmy.

– A skąd ludzie mają to wiedzieć, jak cały czas biorą nowych? W końcu wielka firma, co rusz ich reklamy w telewizji pokazują, to sądzą, że Pana Boga za nogi złapali. W dodatku wszędzie mają dupochrony. W policji, sądach, nawet prasa ich nie tyka, jak zauważyłaś – westchnął Kostek.

– To ja ich dotknę.

Kinga zacisnęła zęby. Nie potrafiła zrozumieć, jak można prowadzić działalność rabunkową przy otwartych kurtynach i nikt na to nie reagował. A jeśli ktoś miał ochotę ich obsmarować, był zastraszany. Opuściła FOZZ, ale tej sprawy nie zamierzała, bowiem wpadła na trop, który mógł pogрузić tę bandycką firmę.

– Kinga, proszę, nie ruszaj tego. Masz dwoje małych dzieci...

– Kostek, nie bądź tchórzem. – Wydeła usta.

– Kiedyś ja ci tak powiedziałem... – mruknął.

– Widać musimy się nawzajem dopingować, tchórze. – Uśmiechnęła się, a po chwili pokazała mu język, żeby Kostek przypadkiem nie wziął jej słów na poważnie.

– Wiesz, że nim nie jestem i nieraz oberwałem z powodu wściubiania nosa w sprawy, o których nikt nie chciał pisać, ale to są ludzie, którzy mają powiązania ze służbami, a kto wie, pewnie nawet mają swoich ludzi w rządzie.

– Ja też mam powiązania ze służbami. – Wyszczrzyła zęby. – Ale Grzesiek już mi nic nie sprzedaje... Szkoda, bo gdyby nie on, o wielu sprawach nie miałabym pojęcia.

– Pewnie, tylko gdy napisałaś o operacji „Most”, inna gazeta nie pozostawiła na tobie i twoich informatorach suchej nitki – wytknął jej.

– Tak, nie przemyślałam sprawy, bo oprócz tego, co powiedział Grzesiek, nie miałam niczego więcej. Mogłam chociaż dotrzeć do jednego z tych, co go ewakuowano ze Wschodu. Ale to tak idealnie pasowało mi do ucieczki Bagsika i Gąsiorowskiego do Izraela... – Machnęła dłonią, chociaż w

istocie popełniła błąd, publikując artykuł o tajnej operacji przerwania rosyjskich Żydów na Bliski Wschód.

– Kinga, czym innym jest nagonka w prasie, a co innego oberwać jak ja. Uwierz, trzy tygodnie dochodziłem do siebie.

– Przynajmniej się zakochałeś... – westchnęła.

– Od razu widać, że brakuje ci chłopca. Kobieto, jak przekręcałem się na bok, to wydawało mi się, że za chwilę padnę trupem, a gdy kichałem, odnosiłem wrażenie, że rozsadza mi mózg. Zapewniam cię, że o żadnych amorach wtedy nie myślałem. Zresztą ja chyba nie jestem w Julii jakoś szczególnie zakochany. To znaczy podoba mi się i lubię ją, ale nie czuję żadnego niepokoju w sercu ani motyli w brzuchu.

– Może za stary jesteś na motyle – zażartowała.

– Nie wiem... W każdym razie ja ci mówię, nie bierz się za to. Właściwie to ci rozkazuję.

– Oszalałeś? Nawet Grześkowi na to nie pozwalałam.

– A właśnie! W takim razie pogadam z nim i on cię zmusi, żebyś odpuściła.

– Na pewno. Przestań panikować, Kostek, będę bardzo ostrożna – zapewniła.

Spędzili miły wieczór, a nawet opróżnili dwie butelki wina.

Nazajutrz Kinga weszła do wanny pełnej piany, ze świadomością, że nie musi się śpieszyć i żadna z jej pociech nie przeszkodzi w tej cudownej czynności, jaką była kąpiel. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak. Wcześniej Grzesiek zajmował się dziećmi, gdy ona wylegiwała się w kąpieli, ale mieszkając u rodziców, nie ośmielała się poprosić o to mamę czy ojca. I tak bardzo jej pomagali, a mieli już swoje lata i powinni raczej spędzać je na błogim lenistwie i w spokoju.

Pewnego dnia Grzegorz przywiózł klucze od ich mieszkania Alicji i oznajmił, że sam tam mieszkać nie będzie. Ich gniazdko stało puste, a oni oboje rozpierzchli się po Warszawie. Nie chciała wracać do siebie nie tylko z uwagi na pomoc, jaką otrzymywała od rodziców, ale także dlatego, by nie czuć przejmującej samotności. Przecież każdy przedmiot przypominałby jej o czasach, gdy byli ze sobą tacy szczęśliwi.

Wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem i z turbanem na głowie, gdy zobaczyła w drzwiach kompletnie skonsternowanego Błażej Piotrowskiego.

Na szczęście chłopcy zadekowali się już w swoim pokoju i nie musieli patrzeć, jak paraduje w negliżu.

Ją także wmurowało i ledwie zdołała wydukać powitanie. Błazej zmierzył ją od stóp do głów, a potem zajrzał do salonu. Spojrzał na dwie puste butelki po winie, których Kostek nie zdążył sprzątnąć, a potem uśmiechnął się głupawo.

– No ładnie... Wiedziałem, że wy się macie ku sobie – powiedział.

– Nie, to nie jest tak, jak pan myśli – zaprzeczyła gwałtownie.

Po chwili Kostek pokiwał głową na znak, że w pełni się z nią zgadza.

– Ja też tak gadałem Gabryśce, jak się dowiedziała o Biedaszewskiej – mruknął. – Byle tylko ten twój kacap nie nadział na kozik mojego Kostka. – Po chwili zwrócił się do syna: – A tobie mało było, jak oberwałeś od jakichś oprychów?

– Tato... – jęknął Kostek. – My naprawdę jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– To jeszcze gorzej. Masz taką fertyczną kobitkę w chałupie i tak nic...? Ej, chyba cię w szpitalu Gabryśce podmienili.

27.

Warszawa, 1991

– Tato, na pewno chcesz to zrobić? Przecież to może być koniec twojej politycznej kariery – powiedział Krzysiek Wielopolski, zawiązując ojcu krawat.

Za dwie godziny miał się rozpocząć w TVP program, w którym Szymon Wielopolski zamierzał wystąpić. Nie było to niczym dziwnym, politycy często odwiedzali ten przybytek, ale tym razem pan mecenas, który niedawno dostał mandat do Senatu RP, postanowił ujawnić całą prawdę o sobie, a potem zdać mandat i powrócić do pracy w kancelarii.

– Tak, jestem już zbyt stary i zmęczony, żeby walczyć – odparł stanowczo Szymon. – Polityka, synu, to jedno wielkie gówno.

– I dlatego chcesz to zrobić? Wiedziałeś od samego początku, że to tylko teatr. A kto lepiej odegra swoją rolę, ten wygrywa.

– Synu, chciałem uczciwie pracować dla Polski, ale nie pozwalają mi na to – jęknął.

– Mówiłeś, że ta cała Nela z Londynu odkryła mistyfikację z Barbarą Dolecką. Może ona by się wypowiedziała?

– Po co? Niech osądzą mnie ludzie i historia – powiedział z rezygnacją Szymon.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer. A potem kolejny. Zadzwoił nawet do Łyszkinów i Kostka Piotrowskiego. Poprosił, aby włączyli telewizory o osiemnastej, gdy rozpoczynał się program *Godzina z politykiem*.

– A może nie powinieneś składać mandatu?

– Okłamałem ludzi, którzy na mnie głosowali. Moich wyborców. I za to muszę ponieść odpowiedzialność polityczną. Nie chcę być taki jak inni.

– A jeśli ludzie ci wybaczą?

– Nigdy się pewnie tego nie dowiem...

– Możesz... Startując w kolejnych wyborach. Jeśli wyrzucą cię z partii, wystartujesz jako kandydat niezależny.

Krzysztofowi żal było ojca. Poza tym uważał, że nadawał się do sejmu czy senatu, ponieważ był uczciwy i zależało mu na ojczyźnie, czego nie można było powiedzieć o wielu jego kolegach.

– Nie chcę, Krzyś. Szczot mnie pokonał. Teraz marzę jedynie o tym, żeby spędzić starość w towarzystwie mamy i was. A może ty byś wystartował?

– Tato, jak będę miał ochotę unurzać się w gównie, to pójdę do chlewu. – Roześmiał się i dodał: – I tak po pewnym czasie znalazłby się ktoś, kto wywłókłby sprawę tego wypadku pod Nieporętem. Znowu by się zaczęła polka galopka.

– Zatem pozwól mi to rozegrać po swojemu.

Wyszli z domu i ruszyli w kierunku samochodu Krzysztofa. Szymon zatrzymał się i popatrzył na swój mikroskopijny ogródek. Zosia bardzo o niego dbała i pewnie dlatego jej rabaty kwiatowe wyglądały bajecznie. Ich działka nie była duża, jak na przykład u Kesslingów, ale jemu wystarczała. Lubił latem pić kawę w ogrodzie i czytać gazetę. Pomyślał, że był kompletnym idiotą, angażując się w działalność polityczną. Po co mu to było?

Udawał chojraka, ale w głębi duszy czuł niewymowny lęk przed powiedzeniem prawdy. Czym innym było przyznanie się do błędu bliskim, a czym innym mówienie o tym ze świadomością, że będzie tego słuchać ze dwa albo trzy miliony ludzi. Chciał jednak zostać zapamiętany jako człowiek honoru. Pragnął dać przykład wszystkim tym, którzy podobnie jak on byli szantażowani przez jakieś esbeckie świny i musieli robić rzeczy, na które wcale nie mieli ochoty.

Jak zwykle w telewizji na korytarzach panował rozgardiasz. Pracownicy biegali w tę i w tę, w garderobach kręcili się makijażyści i fryzjerzy, a prezenterka dopytywała, czy jest zdecydowany, żeby popełnić publiczne harakiri.

– Pani Jagodo, muszę to zrobić. Tak będzie uczciwie.

– Panie Szymonie, ludzie na pana liczą, a pan chce ich tak zostawić? Sama na pana głosowałam i niech mi pan wierzy, mam w nosie to, że pan trzydzieści lat temu dał się złamać bezpiece. Niechże pan poczeka ze złożeniem mandatu.

– Odszedłem z partii...

– No i co z tego? Nie liczy się partia, ale pan. Zrobi się sondaże i zobaczymy, co ludzie pomyślą o pana wyznaniu. Jeśli spadnie na pana ostra

krytyka, wówczas pożegna się pan z fotelem senatora. To pan zdąży zrobić zawsze.

– Mój syn mówi mi to samo – westchnął.

– I dobrze mówi.

– Ale proszę się nie chwalić, że mnie pani powstrzymała, bo wyrzucą panią z telewizji. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie zamierzam, panie senatorze. Chociaż miałabym ochotę powiedzieć panu, żeby pan w ogóle nie wspominał o swojej przeszłości. Po co to komu?

– To ma być ważny przekaz, by otworzyli wszystkie archiwa. Przynajmniej te, które jeszcze nie zostały puszczane z dymem. Nie zależy mi na wsadzaniu tych ludzi do więzień czy narażaniu ich na powszechny ostracyzm, ale obawiam się, że takie rzeczy będą miały wpływ na naszą rzeczywistość jeszcze przez wiele lat. Ile takich teczek jest ukrytych w domach byłych prominentów? Ile ludzi jeszcze będzie musiało się ześwinić, żeby ich wstydlive tajemnice nie wyszły na jaw? Jak można być niezależnym politykiem, jeśli ktoś ma na niego haki i wymachuje nimi za każdym razem, gdy chce odnieść jakąś polityczną korzyść?

– Myśli pan, że to coś da? – Publicystka machnęła ręką i zerknęła na zegarek. – Za kwadrans wchodzimy. Idę sprawdzić, czy w studiu wszystko gra.

Szymon czuł, że się poci, a to nie będzie zbyt dobrze wyglądało w telewizji. Wstał przed lustro umieszczonego w jednej z garderób telewizyjnych i wyszedł na korytarz. Zatrzymał jakąś młodą kobietę, idącą energicznie ze skrytem pod ręką.

– Przepraszam, czy mogę dostać szklankę wody? – zapytał cicho, bo czuł, jakby za chwilę miał się udusić.

– Oczywiście, a w garderobie nie ma nikogo?

Pokręcił przecząco głową. Usłyszał, jak kobieta mówi do niego, że za chwilę podeśle kogoś z butelką mineralnej, a potem świat zawirował mu przed oczami.

– Co panu jest?!

Jakieś głosy docierały do niego jak zza ściany. Poczł ucisk w piersiach, jakby ktoś przygniatał go ciężkim butem, a potem ból tak okropny, że z trudem łapał oddech. Po chwili nie czuł już nic.

Ocknął się w szpitalu, podłączony do jakichś przedziwnych urządzeń. Nie czuł już bólu, ale miał wrażenie, jakby ktoś odebrał mu wszystkie siły. Najpewniej miał zawał. Tak bardzo chciał w świetle kamer powiedzieć swoją historię i mieć to z głowy. Od chwili, gdy ocknął się w zrujnowanej kamienicy, cały zakrwawiony, aż do dnia, gdy zjawił się u niego Stefan Szczot i próbował go szantażować.

Odwrócił głowę i zobaczył za szybą Zosię, Krzysia z Eulalią i Karola Lewina. Zamrugał na znak, że powrócił do świata żywych, i przyjrzał się lepiej Karolowi. Lewin płakał.

28.

Warszawa, 1991

Amelia Imhoff z pewnością nie należała do osób naiwnych. Wręcz przeciwnie, w stosunku do ludzi, z którymi prowadziła interesy, była bardzo nieufna. Nie inaczej stało się w przypadku męża. Zwłaszcza po ostrzeżeniu Karola. Sprawdzała każdą transakcję, pilnowała, żeby nie zostać oszukaną, a nawet zawarła intercyzę przedmażeńską. Nie oponował, nie wyrzucał jej braku zaufania, tylko bez szemrania pomaszerował do notariusza, żeby podpisać stosowne dokumenty.

Ich spółka prosperowała zupełnie nieźle i ani razu nie przyłapała swojego współnika na kantowaniu. Niekiedy myślała sobie, że to właśnie dlatego zdecydowała się na ślub z nim. Nie kochała go, jak Karola Lewina, ale mu ufała i traktowała jak przyjaciela. Właściwie jedyne, jakiego miała w Polsce. Karol to była zupełnie inna historia. Ten człowiek mógł jej pomóc w potrzebie, ale równie dobrze zniszczyć jej życie, jeśli miałby na to ochotę. I chyba to było najgorsze – Lewin nie tylko zniewolił ją emocjonalnie, ale dzierżył w ręku jej los.

Kiedy Wojtek zaproponował jej interes z trawlerami do połowów dorsza, także wszystko sprawdziła. Nie tyle z uwagi na podejrzenia w stosunku do męża, ale obawiała się, że ktoś zechce oszukać jego. Wnikliwie analizowała wyceny rzeczoznawców, które nieco się od siebie różniły, ale nie na tyle, by wzbudzić jej podejrzenia. Co więcej, pojechali z Wojtkiem do portu, by obejrzeć łodzie, a nawet rozmawiali z dyrektorem przedsiębiorstwa, który po przemianach ustrojowych został prezesem prywatnej spółki. Wcześniej zaś postanowił wydrenować państwową firmę, by móc ją później wykupić za bezcen, a przy okazji obłowić się co niemiara.

Kontrahenta z Danii sprawdziła bardzo pobieżnie, ponieważ uznała, że jeśli zostaną właścicielami kutrów, będą mogli sprzedać je potem komukolwiek. I tak odbiór towaru miałyby nastąpić po wpłacie środków. Czy to na konto, czy w gotówce.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zatrudnić kogoś z agencji Karola Lewina. Pracowali w niej ludzie z dawnych służb, więc posiadali odpowiednie kontakty, chociażby w policji, i potrafili poruszać się w świecie krętaczy, pokątnych biznesów, a nawet wiedzieli, komu i ile

wręczyć łapówki. Nie chciała jednak z tego korzystać, ponieważ była pewna, że jej sprawą zainteresuje się sam Karol i dowie się, ile pieniędzy Amelia jest w stanie zarobić na tym interesie.

Tymczasem pewnego dnia jej mąż zniknął. Nie martwiłaby się może tak bardzo, gdyby nie to, że w dniu, w którym zaginął, był w posiadaniu wszystkich pieniędzy, które Amelia Imhoff zdołała zaoszczędzić przez lata. Była pewna, że Wojtkowi stało się coś złego, dlatego zgłosiła zaginięcie na komisariacie, ale jedyną osobą przejętą losem pana Sadły była ona sama.

Tknięta złym przeczuciem, kolejny raz udała się do Pucka. Poszła do firmy, która miała jej odsprzedać po okazyjnej cenie trawler, i poprosiła o rozmowę z prezesem nowo utworzonej spółki. Wtedy spotkali się w salce konferencyjnej zakładu, a dyrektor Zenon Jaskólski potwierdził wszystkie słowa Wojtka i wciąż był zainteresowany tym dealem.

Amelia czekała w sekretariacie, popijając paskudną kawę, i przez cały czas stuknęła obcasem o posadzkę, co chyba irytowało sekretarkę, bo co chwilę posyłała jej pełne dezaprobaty spojrzenie. W końcu w drzwiach pojawił się ów człowiek i Amelia ze zgrozą stwierdziła, iż nie jest to ten sam mężczyzna, który wcześniej z nimi rozmawiał.

– Pani do mnie? – zapytał zdziwiony.

– Nie wiem – wybełkotała.

Jej urok był ponad wszystko, więc zamiast ostrej odpowiedzi usłyszała śmiech mężczyzny.

– Zatem proszę wejść, za chwilę ustalimy, czy pani mnie szuka.

Czuła, że ma nogi jak z waty. Prezes nazywał się Zenon Jaskólski, ale kiedy ostatnio się widzieli, był łysym, niskim mężczyzną z okazałym brzuchem. Tymczasem ten, który zaprosił ją do gabinetu, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i mimo słusznego wieku bardzo gęstą ciemną czuprynę.

– Proszę pana, czy tutaj pracuje jeszcze jakiś Zenon Jaskólski? – zapytała pobladła.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo... Ale wie pani, zatrudniamy wiele osób, może trafił się jakiś człowiek o takim samym nazwisku, jednak w otoczeniu moich najbliższych współpracowników nikogo takiego nie ma.

Amelia zakryła twarz rękoma. Prezes Jaskólski podszedł do niej, położył dłoń na jej ramieniu i zapytał:

– Czy pani dobrze się czuje?

– Nie, to znaczy tak... Przepraszam – wydukała w końcu. – Czy pan coś wie o sprzedaży trawlerów przez waszą firmę?

Mężczyzna uniósł brwi.

– Owszem, pozbywamy się czasem wyeksploatowanego sprzętu, ale obecnie nie mam nic takiego do wzięcia.

Pokazała mu wyceny. Zenon Jaskólski założył okulary i zaczął czytać. Po kilku minutach odłożył dokumenty i orzekł:

– Ta wycena nie dotyczy żadnego z moich trawlerów. Nie mamy takich modeli. Owszem, podobne, ale nie te. Poza tym, o ile się na tym znam, a z racji tego, że pracuję tu od trzydziestu lat, mogę rzec, iż nieco orientuję się w temacie, do każdej z tych kwot należałoby dołożyć kilka zer. Nie wiem, kto pani robił te wyceny, ale to jakiś kanciarz. Ma pani dane tej instytucji, proszę złożyć zażalenie. Raczej nie kupi pani takiego statku w podobnej cenie. Chyba że kradziony i na czarnym rynku albo po pożarze.

To nie były złe wiadomości, ale tragiczne. Była już prawie pewna, że Wojtek nie padł ofiarą oszustwa, ale sam brał w tym czynny udział, by wyciągnąć od niej kasę. Łysy grubas mógł być kimkolwiek, nawet cieciem.

Instytucja, która firmowała wycenę swoją pieczęcią, orzekła, że rzeczoznawca wymieniony w dokumentacji nigdy u nich nie pracował, a kwity są po prostu sfalszowane. A ona, idiotka, tego nie sprawdziła. Jedyne fakt istnienia firmy przygotowującej wyceny.

Nawet nie pamiętała, jak wróciła do Warszawy. Była zdruzgotana. To, co trzymało ją przy zdrowych zmysłach, to kasa, która rekompensowała jej beznadziejne życie osobiste. Przez prawie godzinę siedziała skulona w fotelu i nie miała pojęcia, co począć. A potem doszła do wniosku, że nie ma wyjścia i musi wszystko opowiedzieć Karolowi. Jeśli istniał człowiek, który byłby w stanie odnaleźć Wojtkę i wkręcić jego przyrodzenie w imadło, to tylko on.

Chciała być opanowana i rzeczowa, ale gdy tylko Lewin przekroczył próg jej mieszkania, przytuliła się do niego i zaczęła szlochać. Z trudem wydobywała z siebie słowa, mimo że Karol nie nazwał jej naiwniaczką, nie wyrzucał, że zignorowała jego ostrzeżenie, tylko głaskał po głowie, dłoniach i poił ją whisky.

Gdy dojrzała do końca opowieści, orzekł:

– Nie martw się, Amelio, niedługo odrobisz straty. Ja ci to umożliwię. Znajdę tego gnoja, bądź pewna, ale obawiam się, że możesz już nie odzyskać swoich pieniędzy. A przynajmniej zajmie to trochę czasu.

– Karol... – Pociągnęła nosem. – Zawsze byłam niezależna finansowo i tylko to trzymało mnie przy życiu. Tylko to miałam, bo całą resztę ty miałeś w swoich rękach. Jeśli jeszcze materialnie mnie ubezwłasnowolnisz, chyba palnę sobie w łeb...

Wyciągnął dłonie i ujął jej twarz.

– Amelio, nawet gdyby mnie tu nie było, za kilka lat odkułabyś się i stała się jeszcze bogatsza. Problem polega na tym, że ty mnie wcale do tego nie potrzebujesz. To ja potrzebuję ciebie.

– Nie rozumiem... – wymamrotała.

– Posłuchaj, wiesz, że teraz dobrze mi się wiedzie, bo kupiliśmy z Łyszkinem kilka nieruchomości i zakładów przemysłowych. Problem w tym, że to nie jest nasza działka. Kurwa, po prostu nie znam się na tym. Mogę wytropić człowieka, zmusić go do mówienia, ale o prowadzeniu takiego biznesu nie mam pojęcia. Musisz mnie wszystkiego nauczyć. Nawet tego, jak powinienem się ubierać i zachowywać. Nie wiem, jak się poruszać w światku wielkich finansów i dużych kontraktów, a nawet nie mam pojęcia, ile zdołali ukraść moi menedżerowie, odkąd to wszystko kupilem. Ja się nadaję, by kierować jedynie naszą firmą detektywistyczno-ochroniarską, ale nie mam pojęcia, co zrobić z resztą. Jesteś najlepsza, wiem o tym. Masz wiedzę i doświadczenie i to jest coś, czego dzisiaj potrzebuję. Poza tym podpiszemy umowę, zgodnie z którą pożyczylaś mi pieniądze. Kwotę, którą ukradł ci ten drań.

– Musisz wyprać co nieco. – Amelia w mig pojęła, o co chodzi.

– Tak, i prawdę powiedziawszy, zniknięcie tych pieniędzy idealnie się w to wpasuje. Jasne, że lepiej byłoby je mieć, ale teraz i tak nie możemy niczego zrobić. Ale przysięgam, ten koleś zapłaci za to, co ci zrobił. Zajebię skurwysyna, masz na to moje słowo – wycodził.

– Nie, Karol, nie zrobisz tego. Jednemu mężowi już pomogłam odejść na tamten świat. Znajdź go i zniszcz mu życie tak, jak on zrobił to mnie.

– Masz słuszność, śmierć tej gnidy mogłaby być dla niego wybawieniem – westchnął i dodał oficjalnie: – W takim razie, pani Imhoff, dyrektor zarządzająca, witam na pokładzie.

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od wielu dni. I nie dlatego, że będzie mogła codziennie widywać Karola, ale nadszedł w końcu czas, by miała

szansę się wykazać. Będzie miała władzę wręcz nieograniczoną i wcale nie zamierzała wykorzystać tego przeciwko Karolowi.

– A jeśli podejmę decyzję, która ci się nie spodoba? – zapytała.

– Poproszę, żebyś ją zmieniła – odparł cicho.

– Jeśli będę się upierała, to co się stanie...? – Oddech Amelii robił się coraz szybszy.

– Na biurku jeszcze tego nie robiliśmy.

– Więc tak chcesz grać?

– Właśnie... Więc najpierw przywołam cię do porządku, a dopiero potem wyjaśnisz mi, dlaczego masz rację – odparł, uśmiechając się do niej czule.

– To coś nowego...

– Powiedziałem ci, pod pewnymi względami jesteś nieoceniona. I mam nadzieję, że wszystkiego mnie nauczysz.

– W porządku. Zatem na sam początek pozbądź się tego błyszczącego garnituru, nie tuninguj swoich aut i zdejmij ten obrzydliwy sygnet. I pamiętaj, duże pieniądze lubią hałas, te największe – ciszę. Niech nikt nie wie, ile naprawdę masz kasy. Nie zatrudniaj kumpli, bo będą oczekiwali od ciebie pobłażliwości dla ich błędów, nie sypiaj z sekretarką, bo pewnego dnia to wykorzysta, a jeśli dorwiesz jakiegoś polityka, spotykaj się z nim dyskretnie. Żadnych fotek do gazet, żadnych wywiadów. Pewnego dnia nikt nie będzie wiedział, kim naprawdę jesteś i jakim potencjałem dysponujesz. Ludzie będą gadać, snuć domysły, ale żaden z nich nie będzie ci mógł zaszkodzić. Wyrzucaj każdego, kto zdefrauduje chociaż złotówkę. Nie brataj się z bandziorami i miej porządek w księgach. Prowadź firmę w zachodnim stylu, a nie po polsku. Wszystkiego cię nauczę i wszystko ci pokażę. A wiesz dlaczego?

– Bo mnie lubisz. – Roześmiał się. – No i jak by nie patrzeć, jesteśmy rodziną. Łączy nas syn.

– Nie – odparła. – Bo mi zaufałeś. W końcu chcesz podpisać ze mną umowę pożyczki, której nigdy ode mnie nie otrzymałeś.

Karol podniósł się z fotela i powiedział:

– Muszę iść, jeśli chcę jak najszybciej dopaść tego drania. Widzimy się jutro w biurze i najpierw pojedziemy na zakupy. Wybierzesz dla mnie takie ubrania, jakie uznasz za właściwe. Począwszy od slipek, a na spinkach do mankietów kończąc.

– Oczywiście. A potem... nie poznasz siebie w lustrze. – Uśmiechnęła się i dodała: – Tak, Karol, idź już. I dopadnij tego gnoja. Niech wie, że z

Amelią Imhoff i Karolem Lewinem się nie zadziera.

– Ostrzegalem go...

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Kiedy? Niczego mi nie powiedział.

– Na waszym ślubie. Złożyłem mu życzenia, a potem obiecałem, że go zabiję, jeśli cię skrzywdzi.

– Tak bardzo ci na mnie zależy? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Amelio... Jesteś matką Mikołaja. Dałaś mi coś, co jest dla mnie najcenniejsze i najważniejsze w życiu.

– Więc tylko o to chodzi... – Spochmurniała.

– Nie, ale myślę, że nie muszę ci tego mówić. Znamy się na tyle długo i tak dobrze, że nie musimy używać słów...

Widziała chochliki w jego oczach. Bawił się z nią. Nienawidziła go za to i paradoksalnie właśnie to w nim kochała najbardziej. Karol nigdy nie pękał.

– A może ja potrzebuję to usłyszeć? – spróbowała raz jeszcze. – Powiedz, że jestem dla ciebie ważna... Że Daria się nie liczy.

– Nie – odpowiedział krótko. – Niczego takiego nie powiem.

– Dlaczego?

– Bo chcę, żebyś pewnego dnia już nie musiała o to pytać.

– Karol, przepraszam, że ci nie uwierzyłam. Sądziłam, że jesteś zazdrosny i dlatego mówisz takie rzeczy o tym...

– O tym kutasie – dokończył za nią. – No jasne, że byłem zazdrosny, ale znasz mnie i powinnaś wiedzieć, że nie zagrałbym w ciemno.

– Ale pozwoliłeś, żebym za niego wyszła – jęknęła i znowu zaczęła płakać.

– Sądziłem, że tego nie zrobisz, ale chęć dowalenia mi była silniejsza od rozsądku. Taka jesteś, Amelio. Znam to uczucie doskonale, bo też taki jestem.

– Nie wiem, dlaczego tak się zachowujemy...

– Ale ja wiem. – Roześmiał się.

– To powiedz...

– Nie żartuj, Amelio... To nas nakręca. I cholernie podnieca. Wiem, że wpuszczam diabła do swojej firmy, ale ja cholernie lubię bawić się ogniem.

– Kiedy był już przy drzwiach, odwrócił się i dodał z kpiarskim uśmiechem: – Z tym zaufaniem do ciebie to nie przesadzaj. Podpiszemy także drugi kwit, który spocznie głęboko w moim sejfie. Oświadczysz w

nim, że oddałem ci pożyczkę co do jednej marki i co jednego szwajcarskiego franka.

Puścił do niej oko i chwilę potem wyszedł z mieszkania.

29.

Gdańsk, 1991

Stała w bieliźnie przed otwartą szafą i wgapiała się w jej czeluść, jakby miała zobaczyć w niej ducha. Maja w dniu swojego wyjazdu do Gdańska przeżywała istne katusze, bo nie miała pojęcia, jak powinna się ubrać. Jasne, że spotkanie biznesowe wymyśliła, by mieć pretekst, ale w końcu była ekscentryczną piosenkarką i nie musiała na takie okazje zakładać kostiumu. Jeśli wybierze mniej formalny strój, da się go obronić.

Najlepiej czuła się w spranych T-shirtach, wytartych džinsach i skórzanych butach, które zakładali rasowi motocykliści. Kostek jednak powiedział jej, że dużo lepiej prezentuje się w ołówkowych spódniczkach, szpilkach i klasycznych bluzkach. Nienawidziła każdego z elementów takiej garderoby. Połączenie obu stylów nie wchodziło w grę. Pomyślała, że jeśli nie podejmie rychło decyzji, dotrze do Piotrowskiego w środku nocy.

Do pokoju weszła babka Hanka, dzierżąc dwa kubki z pachnącą kawą.

– Pomyślałam, że ci się przyda – powiedziała i postawiła kubek na stoliku. Sama usiadła na łóżku i wnikliwie przyglądała się wnuczce.

– Dzięki, babciu – odparła bezwiednie, wciąż wgapiając się w szafę. – Już niedługo się mnie pozbędziecie. Jeśli płyta dobrze się sprzeda, wpłacę na mieszkanie. Resztę dołożą mi Karol i Grzesiek.

– Trochę się martwię, że nagle zrobili się tacy bogaci. Mam nadzieję, że nie zostali gangsterami.

– No coś ty, babcia. To teraz stateczni biznesmeni – zapewniła gorliwie Majka, ale głos jej nieco drżał.

Nie potrafiła kłamać, ale tym razem musiała się wysilić, żeby Hanka Lewinówna nie nabrała podejrzeń. Co prawda trudno było nazwać Grzegorza i Karola gangsterami, ale swoją kasę zdobyli w sposób nie do końca legalny. Obawiała się, że dla jej babci i dziadka wychodziło na jedno.

– Igor się martwi. Wiesz, on nigdy nie gonił za pieniędzmi...

– Wiem, babcia, ale czasy się zmieniły. Nie masz forsy, jesteś nikim. – Wzruszyła ramionami.

– Tak, świat bardzo się zmienił... – westchnęła Hanka Lewinówna i wypaliła: – Dla Kostka tak się stroisz?

Poczerwieniła i nawet nie zamierzała zaprzeczać, ponieważ odpowiedź twierdzącą miała wymalowaną na twarzy.

– On mnie woli w kostiumie i czółenkach, a ja lepiej czuję się w dżinsach. – Majka przygryzła wargi.

– Kochanie, czy ty wiesz, w co się angażujesz? Kostek Piotrowski to oszalały prawicowy ekstremista, który takich jak twój dziadek czy wujkowie najchętniej wysłałby do obozów pracy – powiedziała ciepło.

– Ożenił się z Santorską, esbeczką, więc chyba nie jest z nim aż tak źle, babciu – burknęła.

– Taaak... Santorska mogłaby podać rękę Amelci Karolowej. Ten sam typ.

– Czyli mężczyźni kłamią, gdy mówią, że lubią kobiety uległe, dobre i miłe. – Majka się roześmiała.

– Mówią to, co dyktuje im rozum, ale ten zawsze przegra z sercem. Majeczko, mam nadzieję, że to zauroczenie przejdzie ci jak każde poprzednie. Ty nie potrafisz być taka jak Beata Santorska czy Amelia Imhoff. Jesteś zbyt szczerą, a mężczyźni zawsze to wykorzystują. Igor naprawdę musiał się natrudzić, żebym w ogóle zaczęła go zauważać, ty sama prosisz się o kłopoty.

Maja słyszała opowieść o szalejącym z miłości dziadku z tysiąc razy.

– Babcia, to było jakieś sto lat temu. – Zachichotała nerwowo, żeby nie pokazać, iż w pełni zgadza się z babką.

– Ale pewne rzeczy się nie zmieniają. Majeczko, naprawdę sądzisz, że to coś wyjątkowego?

– Wiesz, babciu, nigdy się tak nie bałam...

– Na Boga, a czego ty się boisz? – zdumiała się.

– Pierwszy raz w życiu boję się, że mężczyzna mnie odepchnie. Nigdy wcześniej nie miałam podobnych dylematów. Obawiałam się raczej tego, że wpadną wuj Karol z wujem Grzegorzem i pogonią mi adoratora. – Uśmiechnęła się smutno.

– Nie możesz się bać, wnusiu. A jeśli chcesz mojej rady, po prostu bądź sobą. W zwyczajnym życiu maski opadają i wtedy związki się rozlatują, bo okazuje się, że pokochaliśmy zupełnie innego człowieka, niż nam się wydawało. Jeśli pragniesz spędzić z tym mężczyzną resztę życia, musi wiedzieć, jaka jesteś. Poznać swoje wady i zaakceptować je, a wtedy jest szansa, że będziecie kiedyś taką parą jak ja i Igor. Jest nam razem dobrze i najbardziej się boję chwili, gdy w końcu któreś z nas odejdzie z tego świata.

– Wy z dziadkiem to nawet na tamtym świecie się odnajdziecie – powiedziała cicho Majka.

– Może, o ile tam coś jest. Twój dziadek twierdzi, że nic. – Hanka zachichotała i dodała: – To stary komunista.

Nagle Majka usiadła obok babki i zapytała:

– Wyobrażasz sobie Karola na moim ślubie z Kostkiem?

– Na razie chyba nie muszę sobie tego wyobrażać. – Hanka się przeżegnała.

– Ja też o tym nie myślę. Zbyt bardzo się boję... Wiem, ja znowu swoje. Ale masz rację, nie będę udawała kogoś, kim nie jestem.

– To samo powiedział twój dziadek, gdy szedł mnie uwieść, ale nie bardzo mu się to udało, bo do teatru przyszedł Emil. Igor sądził, że to mój kochanek i się wściekł.

– Ja nie będę stosowała podobnych forteli.

– To był przypadek, a nie fortel, ale masz słuszość, gierki przynoszą efekty tylko na krótką metę.

Jechała swoim nowym autem, niedużym renault, i słuchała radia. Na jej nadgarstku połyskiwała ciężka srebrna bransoletka. Mimo wielogodzinnych przymiarek skończyło się na zwykłej koszulce i džinsach. Z tą różnicą, że T-shirt był nowy, a spodenki kończyły się tuż za pośladkami. Na stopy wsunęła rzemieńne sandały. Na motocyklowe botki i skórę było zdecydowanie za ciepło. Do swojej torby wrzuciła jedynie bieliznę i podkoszulek na zmianę.

Tego, co przeżywała, zanim jeden z synów Kostka otworzył jej drzwi, nie byłaby w stanie opisać. I w końcu usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza, a potem ujrzała chłopca o twarzy tak słodkiej i ładnej, że za sam wygląd należałoby mu odpuścić wszystkie złe uczynki.

– Cześć, nazywam się Maja Staśko. Jest twój tata? – Uśmiechnęła się szeroko.

Jego twarz rozpromieniła się w jednej chwili.

– O rany, to pani jest tą piosenkarką! Jak tata opowiadał, to myśleliśmy, że kituje. Ale fajosko! Ja jestem Paweł. Ale mam jeszcze brata Jaśka. Obaj wyglądamy tak samo.

– Wiem, tata mi mówił – odparła Maja i chwilę potem wkroczyła z podekscytowanym Pawłem do mieszkania.

Kostka zastała w kuchni. Zbliżała się pora kolacji, a Piotrowski postanowił tego dnia usmażyć naleśniki. Rozczulił ją ten widok.

– Cześć, Majeczko. Przepraszam, że tak się prezentuję, ale widzisz, muszę robić za kucharkę. – Kostek był uśmiechnięty i jakby nieco zawstydzony, że zastała go przy garach.

– Kiedy byłam mała, to ojciec wymyślił zabawę naleśnikową. Każde z nas musiało wylać jakiś kształt z ciasta, a potem zgadywaliśmy, co autor miał na myśli. Byłam straszną cholera. I właściwie głównie zajmował się mną ojciec, bo mama jako korespondentka latała po świecie. Nie żebym narzekała na spaprane dzieciństwo, mama mnie kochała, ale dla mnie widok faceta w kuchni jest czymś naturalnym. – Podeszła do Kostka i ucałowała go w oba policzki.

– Pozałatwiałaś swoje sprawy? – zapytał.

– Jakie sprawy...? – Od razu pożałowała swoich słów. Była kompletną idiotką. Przecież dwa tygodnie wcześniej wmawiała Kostkowi, że będzie w Gdańsku służbowo i wpadnie do niego przy okazji.

Przygryzła usta i Kostek chyba spostrzegł, że skłamała, ale nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie, więc powiedział jedynie:

– Moich czortów byś na taką zabawę nie namówiła.

– A chcesz się założyć? – odparła dumnie.

– O co?

– Nie wiem, może o butelkę dobrej whisky?

– Dobrze. – Roześmiał się.

Majka wkroczyła do pokoju chłopców i po chwili wyszli z niego razem. Pierwszy do patelni podszedł Jasek i zaczął mazać esy-floresy.

– Ty głupku, jak to dżemem posmarujesz? – zapytał złośliwie Paweł.

– Tego zjem z samym cukrem. No, zgaduj, cwaniaczkę.

Paweł przyglądał się dziwnej siateczce i oznajmił nagle:

– Małpa?

– Głupi jesteś jak but z lewej nogi. To Myszka Miki – powiedział dumnie Janek.

– Ty chyba Myszkę Miki nie widziałeś. Patrz na mistrza. Dawaj ciasto i zdejmij z patelni to swoje nie wiadomo co.

Wbrew temu, co sądził Kostek, chłopcom spodobała się ta zabawa, mimo że nie byli już maluchami. Ot, jak wszyscy mężczyźni i oni uwielbiali rywalizację.

Wieczorem Maja zagrała i zaśpiewała bliźniakom kilka szlagierów i w końcu Kostek orzekł:

– Teraz idziecie spać. Jutro rano odwiozę was do dziadków.

– A musimy jechać? – zapytał Jasiek.

– Przecież lubicie tam jeździć. Odbiorę was w niedzielę.

– No tak, ale teraz jest Majka – odparł Jasiek i chciał jeszcze coś dodać, ale Paweł szturchnął go łokciem i coś szepnął bratu do ucha.

– Zawsze gdy tak robią, zaczynam się bać...

Po chwili usłyszeli głos Jaśka:

– Pewnie, że nas zawieź. U dziadka Błażeja i babci Gabryni jest bardzo fajnie. A przyjedziesz po nas z Majką?

– Nie wiem, czy Maja tak długo zostanie... – powiedział niepewnie i spojrzał błagalnym wzrokiem na swojego gościa, jakby obawiał się, że zaraz chłopcy zmienią zdanie.

– Zostanę. O ile wasz tata mnie nie wyrzuci.

– E, tata nigdy nie wyrzuca dziewczyn z domu. Następnego dnia zawsze są – wypalił Jasiek.

Kostek niemal od razu zrobił się purpurowy, a serce Majki zatrzymało się na krótką chwilę. Czyżby człowiek, który ją tak zauroczył, był kobieciarzem i będzie dla niego jedynie przygodą?

Dostała miejsce w jego sypialni, on tymczasem przespał się w salonie na kanapie. Tego wieczoru, z uwagi na obecność chłopców, nie liczyła na nic więcej, ale miała nadzieję, że nazajutrz będzie zasypiała przytulona do Kostka.

Późnym rankiem, gdy się obudziła, w domu nie było nikogo. Wzięła prysznic, założyła dzinsy i świeży podkoszulek i czekała na powrót gospodarza. Gdy usłyszała, że przekręca klucz, stała przy oknie i patrzyła na obskurne podwórko.

– Przepraszam, że cię zamknąłem, ale to niebezpieczne czasy – powiedział niepewnie.

Odwróciła się i nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego. Kostek nie należał do mężczyzn, za którymi kobiety oglądają się na ulicy, ale zapisałyby duszę diabłu, byleby był jej. On także stał w jakimś bezruchu i przyglądał się swojemu gościowi. Nie potrafiła niczego wyczytać z jego

spojrzenia. Powinna coś zrobić. Podejść do niego, przytulić się albo go pocałować, a ona nie mogła się ruszyć.

Najpewniej Kostek myślał o tym samym, bo chwilę potem wpadli sobie w ramiona i w dzikim pośpiechu zaczęli zdejmować z siebie ubrania. Nie dotarli nawet do sypialni, kochając się na dywanie w salonie, jakby czekali na tę chwilę całe wieki i każda sekunda była dla nich cenna.

Nie zobaczyła gdańskiej starówki, nie zamoczyła stóp w Bałtyku i nie zdawała sobie sprawy z mijającego czasu. Niewiele mówili, niczego sobie nie obiecywali ani nie snuli planów na przyszłość i to dobijało Majkę. Chciała, żeby wyznał jej swoje uczucia, jeśli takowe istniały, albo powiedział, że nie może bez niej żyć... A jednak Kostek, jeśli coś mówił, nie dotyczyło to ich wspólnej przyszłości.

W niedzielę o poranku, gdy otworzyła oczy, bawił się jej piersią. Uśmiechnęła się do niego i zapytała:

– Dzisiaj znowu będziemy cały dzień leżeli w łóżku?

– Nie, skarbie. Musimy pojechać do rodziców po chłopców. W końcu im to obiecałaś. A przy okazji zjemy obiad.

– Poznam twoich rodziców? – Przeraziła się, bo nie przewidziała takiego scenariusza. Nie miała odpowiedniego stroju, w którym mogłaby się pokazać Piotrowskim.

Zaczął się śmiać.

– Majeczko, oni nie gryzą.

– Ale ja mam tylko dzinsy i podkoszulkę – jęknęła.

– Mogę ci pożyczyć swój garnitur. – Puścił do niej oko. – Nie przejmuj się, to nie przyjęcie zaręczynowe.

– Wiem, ale chciałabym, żeby mnie polubili, a wyglądam jak... bardzo frywolna panienka.

– A nie wystarczy ci, że ja cię lubię? – zagadnął.

– A lubisz?

– Pewnie, i zaraz ci to udowodnię. – Roześmiał się i zaczął ją laskotać.

Nie miała wyjścia i w końcu pojechała na spotkanie z rodzicami Kostka w stroju zupełnie nieodpowiednim na taką okazję. Chłopcy bardzo ucieszyli się na jej widok, ale Piotrowscy na początku byli bardzo powściągliwi. Przez dłuższą chwilę wgapiali się w nią, jakby miała co najmniej dwie głowy, a potem zniknęli za drzwiami kuchni i zamknęli je, jakby za chwilę

miała zionąć ogniem piekielnym. Zapewne o niej plotkowali, ale Kostek powiedział, żeby się tym kompletnie nie przejmowała. Łatwo mu było mówić. On przynajmniej znał jej rodzinę, a ona?

Kostek popchnął ją delikatnie do pokoju, ale zanim do niego weszła, zerknęła w lustro wiszące w przedpokoju i zamarła. Oczy jej błyszczały, miała nabrzmiałe od pocałunków usta i każdy dureń domyśliłby się, że spędziła ostatnie dwa dni w łóżku z mężczyzną.

– Pójdę do nich, bo chyba są w szoku. Chłopcy dotrzymają ci towarzystwa – powiedział do niej i musnął ustami jej policzek.

Ci od razu zasypali ją pytaniami o jej koncerty i jak się nagrywa płyty.

– Jeśli chcecie, załatwię wam bilety na koncert albo wejściówkę do studia nagrań. Będziecie mogli wszystko zobaczyć.

– Naprawdę?! – krzyknęli niemal równocześnie.

– Pewnie, właścicielem wytwórni jest mój wujek – pochwaliła się.

– Majka, a ty zamieszkaś z nami? – wypalił Paweł.

Struchlała, bo nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Pewnie, że chciałyby zamieszkać z Kostkiem i dla niego gotowa byłaby znieść tych dwóch energicznych chłopców, ale do tego była jeszcze bardzo daleka droga, jeśli w ogóle taka istniała.

– Jesteś fajniejsza niż Julia. Ona zachowuje się, jakby kij połknęła.

– Że co? – wyrwało się Majce.

– Dziadek zawsze tak mówi, jak ktoś się rzadko uśmiecha – objaśnił jej Jasiek.

Nie chodziło jej o uśmiech czy jego brak, ale o fakt istnienia jakiejś Julii.

– Nie znam Julii – bąknęła.

– Dziadek mówi, że to baba ojca i zostanie naszą matką. – Jasiek nawet nie zdawał sobie sprawy, że właśnie w tym momencie odarł Majkę ze złudzeń. – Ale ciebie lubimy bardziej. Może ty byś została babą taty?

30.

Warszawa, 1991

Grzegorz Łyszkin był pod wrażeniem pracy Amelii Imhoff i jej wiedzy. Co prawda wciąż traktowała go chłodno, ale była im bardzo potrzebna i nawet nie ośmieliłby się w tej kwestii postawić Karolowi. Uświadomiła mu także, jakie ma braki. Podejrzał, że będzie się uczył prowadzenia dużego biznesu przez jakieś następne dwadzieścia lat. To naprawdę było bardziej skomplikowane, niż to sobie wcześniej wyobrażał, mimo że do głupców nie należał.

Po południu przyszedł do niego Karol, rozsiadł się w fotelu i zapalił papierosa.

– Grzesiek, musisz mi pomóc odnaleźć tego typa...

– Najpierw dowiedzmy się, co się stało z jego nieruchomościami i interesem. Jeśli jest tak, jak mówisz i facet ewakuował się do Niemiec, komuś musiał powierzyć swój biznes.

– Gównu, nie biznes. Już dawno prowadzi go ktoś inny. Człowiek, który kupił od niego dom i szklarnie, powiedział, że nabył to wszystko po okazyjnej cenie, bo poprzedni właściciel popadł w długi – oznajmił Karol.

– Słuchaj, jeśli ktoś pożycza dużą kasę, a nie ma zabezpieczenia, zapewne robi to w półświatku. Znasz tam kogoś?

– Tak, jeden mój kumpel ze służby dorobił się na Schnapsgate. I został królem podziemia. Nie wiem czy całego, ale wpływy ma spore.

– Spotkaj się z nim. Ten cały Sadło musiał mieć podobne kontakty. I powinniśmy też pogadać z tym facetem, którego tak paskudnie załatwił – odparł Łyszkin.

– Słuchaj, Grzesiek... Nie przeszkadza ci to, że Amelia została dyrektorem zarządzającym? – zapytał niepewnie Karol.

– Zwariowałaś? To był najlepszy pomysł, na jaki mogłeś wpaść. Nawet Kinga i moja teściowa, mimo całej niechęci, chwaliły pod tym względem Amelię.

– Właśnie, a co z Kingą? Ciągłe się dąsa?

– Kinga chce się ze mną rozwieść... – westchnął. – Ale nie próbuje mi utrudniać kontaktów z dziećmi. Tyle dobrego.

– Pierdoli, a nie soli... Daj spokój, nie znam baby, która rozwiodłaby się z facetem, którego kocha, w imię jakichś z dupy wziętych zasad. Wróci. – Grzegorz lubił, kiedy Lewin tak przekonująco wypowiadał się na ten temat. Potrzebował jakiejś nadziei, a jego żona jak na razie była nieprzejednana i nie zostawiała mu złudzeń.

– Ona uważa, że jestem złodziejem.

– No i co z tego? Kobiety kochają nawet morderców.

– Myśli, że ożeniłem się z nią tylko dlatego, żeby dostać rezydenturę.

– Idiotka – mruknął Karol. – Mogłeś w tym celu związać się z każdą.

– Kinga nie jest idiotką, tylko idealistką.

– Jeden chuj. Dobra, idziemy do Łysego. Czas wytropić tego gagatka. Nie mogę sobie pozwolić, żeby jakiś typek tak po prostu ograbiał moją kobietę.

– Jesteście razem? – zdziwił się Grzegorz, ponieważ nic na to nie wskazywało. Karol nadal mieszkał z Darią, a z Amelią rozmawiał jedynie na tematy zawodowe. Przynajmniej przy nim.

– Nie. Wybaczyłem jej, ale musi minąć trochę czasu, zanim zaufam jej na nowo.

– Karol, kurwa, minęło tyle lat...

– Widzisz, a ja wciąż kocham tę sukę – odparł Lewin i podniósł się z fotela.

Grzegorz musiał przyznać, że odkąd Amelia zajęła się ich spółką, Karol zmienił się diametralnie. Nosił dobrze skrojone garnitury, stonowane krawaty i w końcu przestał zakładać białe skarpetki do czarnych pantofli. Łyszkini spędził dużo czasu w Europie Zachodniej i potrafił się ubrać, ale Lewin, gdy obrósł w piórka, zaczynał przypominać króla Cyganów, a nie poważnego biznesmena. Teraz wyglądał zupełnie inaczej.

Wsiedli do ich służbowego mercedesa z przyciemnianymi szybami i pojechali do jednej z knajp, gdzie stołował się kumpel Karola, Łysy. Najzabawniejsze było to, że facet miał bardzo bujną czuprynę i jego ksywa pasowała do niego jak pięść do oka.

Mężczyzna przywitał się wylewnie z Karolem, a potem zaprosił ich do stolika.

– Sadło... Jasne, że pamiętam typa. Wisiał Karasiowi kupę szmalu. To hazardzista.

Lewin zagwizdał.

– To teraz już wiem, dlaczego szmal się go nie trzymał. Wyjebał w kosmos własną żonę na kilkaset tysięcy baksów. Tak się jednak składa, że ta kobieta to matka mojego syna.

– No, to nie wróżę mu zbyt długiego żywota. – Łysy zarechotał. – Oddał mi kasiorę, więc osobiście nic do niego nie mam. Z tego, co wiem, innym też zwrócił wszystko.

– Miał z czego – wycedził Lewin.

– Posłuchaj, to długo nie potrwa. Facet aż się trzęsie, gdy widzi karty. Zaraz wszystko utopi i znowu zacznie pożyczać od gangusów.

– Tylko że on najpewniej prysnął za granicę.

– Przecież możesz to sprawdzić. Lemoniada został zweryfikowany pozytywnie i teraz pracuje w UOP-ie. Może ci sprawdzić rejestry straży granicznej, uprawnienia ma.

– Lemoniada? Przecież on napierdalał swoich aresztantów jak jakiś psychol.

– No wiesz, jaka komisja, taka weryfikacja. Ja się sam zwolniłem, bo nie zamierzałem tłumaczyć się jakimś frajerom z każdego srania.

– Posłuchaj, Łysy, gdyby Sadło pojawił się w Warszawie i szukał lokali, gdzie gra się o wysokie stawki, daj mi znać.

– Nie ma sprawy. Zjecie ze mną?

– Innym razem, stary. Mój brat ma dzisiaj występ w telewizji, chciałbym to zobaczyć. Jest senatorem.

– O kurwa, dobrze się ustawieś, Lewin. Zresztą widać po tobie.

Ani Grzegorz, ani też Karol nie zamierzali mówić Łyseму, że Szymon Wielopolski był dla nich równie przydatny, co widelec do jedzenia barszczu. Z prostej przyczyny – przyszywany brat Lewina nigdy nie zrobiłby nic, co byłoby niezgodne z prawem. Chyba że musiałby chronić swoich bliskich. Karol nie miał do niego żalu, od lat stali po dwóch stronach barykady i starali się nie wchodzić sobie w drogę. Jeśli jednak działo się coś niedobrego, zawsze mogli na siebie liczyć.

Grzegorz nie zamierzał oglądać wystąpienia senatora Wielopolskiego, ale Lewin nalegał. Łyszkin nie miał nic ciekawszego do roboty, więc się zgodził, ale kiedy nadeszła pora programu *Godzina z politykiem*, puszczone jakiś przedpotopowy film.

– Co jest, do chuja? – zirytował się Karol.

– Może pomyliłeś daty?

– No coś ty, Szymek dzwonił do mnie trzy godziny temu. Gdyby mi o tym powiedział miesiąc czy tydzień temu, mógłbym coś pojebać, ale on rozmawiał ze mną dzisiaj.

Po jakiejś godzinie sprawa się wyjaśniła, bo w domu Lewina zaterkotał telefon. Dzwonił Krzysiek, syn senatora, i przekazał Karolowi okropne wieści... Grzesiek nigdy wcześniej nie jechał tak szybko jak wówczas, gdy podwoził Lewina do szpitala MSWiA. Jego kuzyn należał do twardych facetów, ale tym razem kompletnie się rozkleił. Powtarzał, że Szymek nie może tak po prostu umrzeć.

– Poczekać na ciebie? – zapytał Łyszkin, gdy z piskiem opon zatrzymał się przed wejściem do szpitala.

– Nie. Nie mam pojęcia, jak długo tu zostanę. Ale jeśli możesz, zadzwoń do Amelii, żeby zostawiła u siebie Miśka na noc i jutro odwiozła go do szkoły. Nie chcę prosić o to Darii.

– Nie martw się, zajmę się tym.

– Tylko nie mów jej, że ten Sadło to hazardzista i pożyczał hajs od gangusów. Powiem jej o wszystkim, jak już znajdziemy tego parszywego szczura.

– Leć – odparł krótko Grzesiek.

Kiedy dotarł do siebie, wykonał telefon do Amelii. Mimo że od jakiegoś czasu pracowali razem, głos pani Imhoff wciąż był zimny jak lody Antarktydy.

Nie był w stanie wysiedzieć w pustym i nieco bezosobowym mieszkaniu. Wziął ze stołu kluczyki i pojechał do rodziców, a tam dowiedział się, że Majka, odkąd wróciła z Gdańska, prawie nie wyściubia nosa ze swojego pokoju, tylko leży na łóżku i beczy.

– Może ma okres – zawyrokował i sięgnął po pieczoną nóżkę kurczaka, która została z obiadu.

– Nie, pojechała do chłopaka i coś poszło nie tak...

– To może trzeba mu mordę obić? – Wzruszył ramionami.

Igor popatrzył na niego w wyrzucie.

– Grzegorz, Maja skończyła trzydziestkę, nie musisz już załatwiać za nią pewnych spraw.

– Jasne, ale pogadać z nią chyba mogę. Wiadomo, co to za frajer pompka?

Hanka odwróciła wzrok, a potem powiedziała z westchnieniem:

– Kostek Piotrowski.

– No, to na pewno spuszczę mu łomot, i zrobię to z największą przyjemnością. Przecież on się do niej zbliżył, żeby coś wywęszyć. Chce za wszelką cenę zniszczyć mnie i Karola – obruszył się młody Łyszkin.

– A masz coś na sumieniu, synu? – zapytał zimno Igor. – Odszedłeś ze służby i nagle stałeś się bardzo bogatym człowiekiem. Chciałbym wiedzieć, jak to zrobiłeś. Jak również to, dlaczego Kinga od ciebie odeszła.

– Tato, ja już jestem dojrzałym facetem. Nie muszę się chyba tłumaczyć przed rodzicami ze swoich poczynań – burknął.

– Ale Majce chcesz życie układać – wytknęła mu Hanka.

– Pewnie, że nie musisz. Ale fakt, że masz już sporo lat życia za sobą, nie oznacza dojrzałości. Wiem, że ci odbiło od nadmiaru kasy, ale masz małe dzieci i one cię potrzebują mieć w domu codziennie, a nie od święta.

– To Kinga ode mnie odeszła. Może w każdej chwili wrócić, ale mam dość kajania się przed nią. Jedyne, co przed nią zataiłem, to fakt, że nie odszedłem ze służby. Jeżeli uważa, że to jest powód do rozwodu, to nic na to nie poradzę – skłamał. Zrobił, co mógł, żeby pogodzić się z żoną. Nie zamierzał jednak żebrać co chwilę o wybaczenie i słuchać jej obelg.

– A więc o to poszło... – westchnął Igor.

– Tak. I nie martw się, tato, przejdzie jej. A teraz pójde pogadać z Majką.

Wszedł po schodach i zapukał do pokoju siostrzenicy. Nie odpowiedziała, więc wparował do środka. Majka leżała na tapczanie, z głową nakrytą poduszką, a w tle leciała jakaś kompletnie dołująca muzyka. Usiadł przy niej i powiedział:

– On chciał cię tylko wykorzystać.

Zdjęła z głowy poduszkę i popatrzyła na niego z niechęcią.

– Sama się dałam wykorzystać. Wlazłam mu do łóżka, chociaż jest z inną. Nie wiem, czego się spodziewałam. Jestem stara i durna. Nigdy się niczego nie nauczę.

– Jeśli ma babę, a sypia z inną, to chyba nie jest za bardzo w niej zakochany.

Uśmiechnęła się w końcu.

– Naprawdę tak myślisz?

– Sam jestem facetem. Kinga ode mnie odeszła, a ja nie potrafię zrobić tego z kimś innym, bo zależy mi tylko na niej. Natomiast Kostek Piotrowski to szemrany typek. Węszy wokół naszej rodziny i bardzo chce nam zaszkodzić. Może i lepiej, że wam nie wyszło.

– Wujek, mylisz się. Owszem, odkrył, że jesteś właścicielem spółki, której Universal pożyczył grubą forszę z poręczeniem FOZZ-u, ale wiesz, co zrobił? Odpuścił tę sprawę. Powiedział, że z pewnością ona i tak wypłynie, ale nie chce przykładać do tego ręki. Zrobił to dla mnie i dla Kingi.

Zrobiło mu się głupio. Zwłaszcza że koleś nie poddał się nawet wówczas, gdy ostro oklepano mu twarz.

– W takim razie się pomyliłem. Nawet nie wiem, który raz w życiu – powiedział cicho. – Jeśli taki zajadły prawicowiec zrobił to dla ciebie, to uwierz, jesteś dla niego ważniejsza niż myślisz.

– To dlaczego mnie nie zatrzymał, nie powiedział, że mu zależy?

– Pewnie nie wie, jak z tego wszystkiego wybrnąć. Nie martw się, Majka, on wróci – odparł, mimo że wcale nie był pewny, że tak będzie. Pamiętał jednak chwilę, gdy Karol z przekonaniem zapewniał go, iż w końcu pojedna się z żoną. To pomagało. Przynajmniej na krótko.

Nie miał pojęcia, co mu strzeliło do głowy, ale pojechał do mieszkania, które kiedyś dzielił z Kingą. Nie miał kluczy, więc tym bardziej było to bez sensu, ale zobaczył, że w oknie pali się światło. Zaparkował auto i wszedł na górę. Zadzwonił do drzwi i otworzyła mu Kinga. Była sama i miała bardzo smutną minę.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– A ty?

– Tęsknię za iluzją – westchnęła.

– Mogę wejść? Potęsknimy razem.

Siedzieli na kanapie kilka metrów od siebie i nic nie mówili przez dłuższy czas.

– Naprawdę ożeniłem się z tobą, bo cię kocham – powiedział w końcu.

– Wiem, przepraszam. Jestem nikczemnego wzrostu, ważę pięćdziesiąt kilo, słowa są moją jedyną bronią.

– Nadal chcesz rozwodu? – zapytał ze ściśniętym gardłem. Miał dość walki o żonę.

– Tak, Grześ. Przestałam ci ufać. A bez zaufania nie ma niczego.

– A nie wywieziesz dzieci za granicę?

– Nie. W każdym razie nie zrobię tego bez porozumienia z tobą. – Głos Kingi był monotony i pełen rezygnacji.

– Dobrze, w takim razie nie będę ci pewnych rzeczy utrudniał. Złóż pozew, a ja się zgodzę na rozwód. Na twoich warunkach. Co do dzieci, myślę, że się dogadamy – odparł.

– Dziękuję – wymamrotała.

– A możesz coś dla mnie zrobić?

Popatrzyła na niego pytająco.

– Po prostu przytul się do mnie ostatni raz.

Przesunęła się i położyła głowę na jego kolanach. Zawsze tak robiła, gdy było jej źle albo borykała się z jakimś problemem. Zaczął ją głaskać po włosach. Najczęściej wtedy zasypiała, a on wstawał z kanapy i okrywał ją kocem. Teraz też tak zrobił, a potem wyszedł z ich pierwszego wspólnego polskiego mieszkania. Idąc w stronę parkingu, zastanawiał się, jak mógł to wszystko tak spieprzyć. Dopiero teraz zrozumiał szczeniackie zachowanie Majki. W tym momencie on także miał ochotę wrócić do domu, nakryć głowę poduszką, włączyć dołującą muzykę i poczekać, aż minie ten nieznośny ból, który odczuwał w swojej duszy.

31.

Gdańsk, 1991

Kiedy Kostek Piotrowski przywiózł do domu rodziców Maję Staśko, nawet ojcu odebrało mowę. Przywitał się z nią nieporadnie, podobnie zresztą jak matka. Zaprošili gościa do salonu, w którym już siedzieli bliźniacy, a po chwili zawołali go do kuchni.

– Synek, ja tam wtrącać się nie chcę, ale trzy baby w trzy tygodnie? Przecież z tego wyniknie jakaś chryja. Co to za jedna? Przecież to jakaś małolata – powiedział teatralnym szeptem Błażej Piotrowski, gdy już zostali sami.

– To się nazywa kryzys wieku średniego – zawyrokowała Gabriela Piotrowska. – Wiem, bo ojciec też to miał.

– O patrz, jaka znawczyni! Ty też miałaś taki kryzys. Nawet dwa razy.

– Przyjechała z Warszawy, udzieliłem jej noclegu – powiedział wymijająco.

– Pewnie. Razem z obsługą. Przecież widać po was, coście wyprawiali – zawyrokował Błażej.

– Specjalista! – prychnęła matka i dodała: – Ona się w tobie kocha, Kostek.

– Myślisz? – zapytał idiotycznie.

Do tej pory zastanawiał się, czy Maja traktuje go poważnie czy tylko potrzebowała faceta do łóżka. W końcu nagrała swoją solową płytę i nie usłyszała piosenki, którą miała zaśpiewać z myślą o nim.

– Ja też tak kiedyś patrzyłam na twojego ojca. Jak spłoszona łania – oznajmiła.

– Łania to może, ale bynajmniej nie spłoszona. Od razu wiedziałem, co ci tam po głowie chodzi.

– Ot, stary dureń. Mnie chodziło? A kto mnie wywlókł na pustynię?

– Jakoś się specjalnie nie opierałaś. Chyba że o barak komendanta. – Ojciec zarechotał.

– Dobra, nie gadaj już o tym. Lepiej naradzmy się, co z nią zrobić. – Matka spoważniała. – W Olsztynie Julia, tutaj ten Stasiek...

– Nie zapominaj o tej cycatej Amerykance... – dorzucił Błażej.

– Synek, w coś ty się władował? – Matka złożyła ręce jak do modlitwy.

Zdenerwował się.

– Jestem z Julią, Kinga to moja stara, dobra kumpela, z którą nigdy mnie nic nie łączyło, mimo waszych usilnych starań... – zaczął, ale nie dokończył zdania, bo nie miał pojęcia, jak określić relację z Majką.

Uwielbiał ją i czuł się przy niej swobodnie. Nawet chłopcy ją polubili, chociaż zapewne wynikało to bardziej z faktu, że panna Staśko była popularną piosenkarką. A jednak miała w sobie coś, co rozkładało go na łopatki. Była boleśnie szczera, a poza tym przypomniała mu, co to jest prawdziwa namiętność. Od czasów Beaty nigdy nie czuł podobnej fascynacji kobietą w fizycznym wymiarze.

– A w Staśku się kochasz – dokończył za niego Błażej.

– Tato, proszę... Chodźmy do pokoju, bo trochę głupio, że tak siedzimy zamknięci w kuchni.

Zaraz spostrzegli jednak, że ich gość wcale się nudzi, tylko prowadzi ożywioną konwersację z bliźniakami.

– Zobacz, polubili ją. Pewnie dlatego, że są prawie w jej wieku – błysnął dowcipem ojciec.

– Tato, ona ma trzydzieści trzy lata – westchnął.

– No, to mogłaby być ich matką, gdyby w podstawówce się jej pierwsza randka udała – mruknął i zwrócił się do Majki. – Ma pani do nich podejście. Normalnie to oni się ciągle kłócą.

– To nic nadzwyczajnego. Rodzeństwo tak ma – odparła.

– To może walniemy po kieliszeczku? – zagadnął.

– Panie Błażeju, bardzo dziękuję, ale dzisiaj wracam samochodem do Warszawy.

– E, to szkoda, ale następnym razem to mi pani nie odmówi?

– Mam na imię Majka, nie żadna pani. – Roześmiała się.

– Jest pani piosenkarką? To pewnie ciągle pani siedzi na walizkach? Zupełnie jak mój Kostuś – wtrąciła się Gabrysia i po chwili się poprawiła: – Jesteś piosenkarką?

– Tak, niedawno wyszła moja solowa płyta.

– Staśko, Staśko... Znałam kiedyś człowieka o takim nazwisku... – Gabriela zaczęła intensywnie myśleć.

– Gabryśka to każdego chłopca znała z imienia i nazwiska – powiedział Błażej. – A twoi rodzice nie pochodzą z Wileńszczyzny?

– Tak, tato był saksofonistą w Wilnie, a mama korespondentką wojenną. Pracowały razem z Nelą przez jakiś czas.

– Ej, to ty jesteś od tego ruskiego oficera... Nie żebym coś miał do niego. W końcu uratował Nelkę i nawet jej przysposobił Żydka na męża. Gabryśka chciała go kiedyś poderwać, żeby mi krwi trochę napsuć.

– Stary osioł – burknęła jego żona.

– Nie, całkiem miły facet z tego Igora, chociaż czerwony. I taki stary jeszcze nie był – odparł Błażej z rubasznym uśmiechem.

– O tobie mówię! – warknęła.

– Dziadek nie mówił nic o pani Gabrieli, ale może babki się bał. – Majka parsknęła śmiechem.

– Pewnie tak. Pilnowała go jak żandarm, ale nie dziwota, bo za moją Gabrynią to wszyscy latali jak wściekli. Ale koniec końców wybrała mnie.

– Ludzie popełniają błędy i potem cierpią przez całe życie – odcięła się Piotrowska.

Rodzice podokuczali sobie, chłopcy nawet nie pokłócili się przy stole i nadszedł czas pożegnania.

Podjechali przed dom Kostka i wysiedli z samochodu.

– Chłopcy, idźcie na górę, ja pożegnam się z Mają – powiedział Piotrowski.

– Pamiętaj, Majka, co nam obiecałaś – przypomniał jej Jasiek.

– Pamiętam, pamiętam. Niedługo nagrywam drugą płytę, to będzie okazja.

Bliźniacy zostawili ich samych, a on nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć Majce. Był w związku z Julią. I zdradził ją. A Maja dowiedziała się o jej istnieniu od Jaśka. Znalazł się naprawdę w paskudnym położeniu.

– Dziękuję za wszystko – wydukała i cmoknęła go w policzek.

– Maja... – zaczął, ale przerwała mu.

– Nic nie mów, Kostek. Sama się o to prosiłam – powiedziała i wsiadła do samochodu, a potem powoli wyjechała z parkingu i zniknęła mu z oczu.

32.

Warszawa, 1991

Śmierć prezesa Najwyższej Izby Kontroli, profesora Waleriana Pańki, wstrząsnęła Kingą. Podobno zginął w wypadku pod Radomskiem, bo rzekomo jego auto pękło na pół, oszczędzając pasażerów siedzących na tylnym siedzeniu... To, w jaki sposób doszło do tego tragicznego wypadku, było przedmiotem licznych spekulacji, ale tak jak Kostek nie wierzył w naturalny zgon Falzmanna, tak teraz Kinga miała masę wątpliwości. A może nawet pewność, że kraksa nie była dziełem przypadku.

Nigdy nie była zwolenniczką teorii spiskowych, ale musiałaby być ślepa i głucha, żeby nie zauważyć dziwnego zbiegu okoliczności. Oto raport na temat grabieżczej instytucji, którą był FOZZ, został przygotowany, a prezes NIK-u miał go przedłożyć parlamentarzystom. Czekał na swoje wystąpienie w sejmie, a dzień przed tą datą doszło do wypadku.

Siedziała wpatrzona w jeden punkt i zastanawiała się, czy i ona z Kostkiem nie zginęliby w jakichś tajemniczych okolicznościach, gdyby nadal drążyli temat FOZZ-u. Bardziej niż kiedykolwiek poczuła obrzydzenie do swojego męża. Mogła zrozumieć, że Grzegorz chciał być bogaty. Ludzka rzecz. Gdyby bardzo się postarała, byłaby w stanie usprawiedliwić jego uczestnictwo w tym przekręcie, ponieważ według wielu drenowanie Polski nie należało do czynów godnych potępienia. W końcu większość pieniędzy i tak wracała do kraju w postaci zagranicznego kapitału i budowała jego dobrobyt. To było pokłosie po starym systemie, w którym oszukiwanie państwa stało się bez mała sportem narodowym. Kiedy jednak zaczęli z tego powodu ginąć ludzie, sprawa zaczęła bardzo mocno cuchnąć. Nie mogła tego ani zrozumieć, ani usprawiedliwić, ani zaakceptować. Czuła obrzydzenie na myśl, że jej mąż brał w tym udział. Nie przyjmowała do wiadomości, że z Karolem wykorzystali jedynie okazję i gdyby oni się nie obłowili, zrobiłby to ktoś inny.

W dniu, w którym spotkali się z Grzegorzem w ich starym mieszkaniu, zaczęła mieć wątpliwości. Byli rodziną, dzieci ledwo odrosły od ziemi, a Łyszkin dobrze sobie radził w roli męża i ojca. Pewnie, że nie było idealnie i często się kłócili o jej zaangażowanie w pracę zawodową, ale potrafili się dogadać. Kinga po rozkręceniu nowej gazety starała się częściej przebywać

z dziećmi w domu, a Grzesiek przestał jej suszyć głowę, że nie poświęca się wystarczająco intensywnie rodzinie. Rozumiała go, ponieważ w Londynie wszystko wyglądało inaczej. Wydawnictwem kierowali rodzice i brat, trzymali je w ryzach, a ona mogła udzielać się w pracy sporadycznie, bo wiedziała, że jej rodzina pilnuje, by ta cała maszynaria chodziła bez zarzutu. W Polsce było zupełnie inaczej. Kierowała redakcją samodzielnie i musiała wszystkiego dopilnować. Najpierw wynajmu lokalu, potem remontu, a kiedy „Nowa Polska” ruszyła pełną parą, czuwać nad tym, by wypłynąć ze swoją gazetą na szerokie wody. Jednak gdy poukładała w firmie podział obowiązków, częściej bywała w domu.

Obudziła się wówczas w środku nocy. Leżała przykryta włóchatym kocem, który przywiozła z Londynu, i czuła się przeraźliwie samotna. Pomyślała, że największym jej marzeniem byłby powrót do starych czasów, gdy z Grzegorzem uczyli się życia we dwoje, potem we troje, a na końcu ich mała gromadka liczyła cztery osoby. Szukała powodu, żeby odpuścić sobie rozwód. To był jej mąż, Grzegorz Łyszkin, miłość jej życia i nade wszystko pragnęła, by tak pozostało. Zagryzała się od środka, szukała motywacji, gdy nagle okazało się, że kolejna osoba pożegnała się z życiem, bo grzebała w sprawach, w których Grzesiek brał czynny udział. W tym momencie nie było już odwrotu, a ona straciła nadzieję na spędzenie reszty życia z ukochanym.

– Pani prezes, przyszedł Kostek Piotrowski, przyjmie go pani? – zapytała Iwona, wchodząc do jej gabinetu.

– Oczywiście – odparła Kinga i po chwili już witała się z przyjacielem.

– Nawet nie pytam, czy słyszałaś o wypadku – powiedział.

– Dlatego przyjechałaś? – zapytała.

– Nie. Maja Staśko obiecała moim chłopcom, że będą mogli zobaczyć studio nagrań i takie tam...

– Takie tam? – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Kinga, przestań. Jestem z Julią Ossowiecką, a z Mają pozostajemy w przyjaźni. To znaczy może nie tak... – Kostek się plątał w swojej opowieści.

– Oj, Kostuś. Może ty wcale nie chcesz być z Julią, tylko z Majką? – zagadnęła.

– Posłuchaj, kiedyś Majka obiecała chłopcom wizytę w wytwórni i od tej chwili wiercili mi o to dziurę w brzuchu. Panna Staśko nie jest dla mnie. Ona jest młoda, piękna i popularna. Żyje jak nomadka, bo może sobie na to

pozwolić. Ja jestem stary, obciążony dwoma rozwodami i bliźniakami z piekła rodem. Potrzebuję mądrej, poukładanej kobiety, i taka jest Julia – powiedział stanowczo.

– Ale serducho wyrywa się do zakręconej wariatki. – Roześmiała się, a potem spoważniała. – Kostek, ludzie giną przez tę aferę. Kompletnie nie wiem, co robić.

– Kinga, ustaliliśmy, że odpuszczamy. Teraz na pewno sprawą zajmą się inni dziennikarze, bo ta śmierć jest grubymi nićmi szyta. Bardziej nawet niż zawał Falzmana. Musisz się przygotować na najgorsze, jeśli wyjdzie na jaw, że Grzegorz brał w tym udział. Wiem, że w świetle kilku miliardów dolarów jego kasa to kropla w morzu i jest mało prawdopodobne, żeby zasiadł na ławie oskarżonych, ale gazety będą miały używanie. Staniesz się kompletnie niewiarygodna – powiedział grobowym tonem Kostek.

Była tego w pełni świadoma, a jednocześnie kompletnie bezradna. Jeśli cokolwiek napisze bez wplątywania w to siebie i męża, poczuje się jak cholerna hipokrytka, ale milczenie w świetle tego, co się wydarzyło, wydawało się jeszcze gorszym rozwiązaniem.

– Więc co mam zrobić? To dziennik, a śmierć osoby na tak eksponowanym stanowisku jest newsem dnia...

– Zajmij się tylko śmiercią szefa NIK-u. Pojedź do prokuratora, spróbuj coś wyciągnąć od policjantów, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, i od osób, które przeżyły wypadek. W samochodzie jechała żona prezesa, na pewno nie będzie niczego ukrywać, ponieważ będzie jej zależało na wyjaśnieniu sprawy. Możemy napisać, że ta tajemnicza śmierć może mieć związek z FOZZ-em, bo nad tym pracował i miał mieć wystąpienie w sejmie. To nie jest żadna tajemnica. Nikt ci nie każe pisać, że twój mąż także skorzystał na tym bandyckim procederze, a ty w związku z tym postanowiłaś od niego odejść. To twoje prywatne sprawy. Poza tym, Kinga, takich firm jak twojego męża założono mnóstwo. Ogarnięcie tego jest niemożliwe. W świetle prawa Grzegorz nie popełnił przestępstwa, bo zawsze może powiedzieć, że interes mu nie wyszedł, a zagraniczny kontrahent go oszukał. Nie on musiał być czujny, ale osoby, które udzieliły pożyczki, i ci, co ją poręczyli... – Kostek tłumaczył jej proste rzeczy, ale dla niej sytuacja nie prezentowała się tak różowo, bez względu na to, jak bardzo chciałyby w to uwierzyć.

– Dobrze, jadę na miejsce wypadku, a potem do pani prokurator. Nie mogę zjawić się na miejscu ostatnia...

– Jadę z tobą. Przecież ja też muszę coś napisać – westchnął Kostek.
– Ty nie musisz mieć takich dylematów – mruknęła Kinga.
– Muszę, z uwagi na Majkę. Nie mogę zachować się wobec niej jak świnia. Jeśli Łyszkin odpowie za to, co zrobił, nie chcę brać w tym udziału.
– Naprawdę ją lubisz. – Uśmiechnęła się smutno.
– Nie lubię jej – odparł, a po dłuższej chwili dodał: – Dostałem kompletnego świra na jej punkcie. Naprawdę czuję się jak gość z kryzysem wieku średniego, który ugania się za małolatami. Taką diagnozę postawiła mi matka.

– Dlatego postanowiłeś udowodnić wszystkim dookoła, łącznie z sobą samym, że jesteś poważnym facetem, który połączył swoje życie ze stateczną panią doktor. Zastanów się, czy przypadkiem nie krzywdzisz Julii. To fajna kobieta i chyba nie zasłużyła sobie, by być antidotum na twoje złamane serce – delikatnie powiedziała Kinga.

– Nie skrzywdzę Julii, a o Majce zapomnę. Jedźmy już.

Na miejscu wypadku kłębiły się już tłumy dziennikarzy, nie tylko prasowych. Stacje telewizyjne i radiowe ściagały się, by dowiedzieć się jakichś szczegółów. I już głośno artykułowano, że śmierć prezesa NIK-u ma związek z jego wystąpieniem w sejmie, gdzie miał przedstawić aferę FOZZ-u.

– Zaczynam się bać... – powiedziała cicho do Kostka.

– To przestań, bo właśnie przemawia prokurator – szepnął do niej.

Rzecznik prokuratury jak zawsze wygłosił formułkę, że wszystko należy wyjaśnić i czekają na ekspertyzy biegłych. Służbowa lancia szefa NIK-u zderzyła się z jadącym z naprzeciwka samochodem, w wyniku czego pękła na pół. Nie dowiedzieli się niczego nowego. Momentalnie pojawiły się teorie spiskowe, ale w istocie niewiele można było powiedzieć i napisać bez specjalistycznych ekspertyz.

Kostek wyjechał z Warszawy, a burza medialna nie cichła. Kinga postanowiła sama dokończyć artykuł. Udała się więc do komendy, gdzie pracowali policjanci, którzy jako pierwsi znaleźli się na miejscu zdarzenia. Jako dziennikarka miała swoich informatorów i dość szybko ustaliła nazwiska i stopnie tych mężczyzn. Pojechała więc do nich, chociaż nie była pewna, czy w ogóle zechcą z nią rozmawiać. Musiała jednak spróbować.

Wróciła do redakcji późnym popołudniem, z niczym. Policjanci nic jej nie powiedzieli i zapewne już nikomu nic nie przekażą. Wykręciła numer do Kostka.

– Oni nie żyją – powiedziała krótko.

– Kto? – Kostek chyba był zajęty czymś innym i nie bardzo wiedział, o czym mówi Kinga.

– Policjanci, którzy zjawili się jako pierwsi na miejscu zdarzenia.

– Przecież eksperci się upierają, że to był wypadek – zdziwił się Kostek.

– Dlaczego ktoś miałby ich mordować?

– Podobno to nie morderstwo, ale wypadek – wydukała, wciąż wstrząśnięta wiadomością o śmierci policjantów. – Utopili się na rybach.

– Że co? – Kostek najwyraźniej doznał szoku podobnego do tego, który przeżyła ona, dowiadując się o tym zdarzeniu.

– Słyszałeś. Utopili się, łowiąc ryby. W stawie, który miał siedemdziesiąt centymetrów głębokości. Nawet mój Przemek miałby problem, żeby utonąć w takiej sadzawce – wycedziła.

– Kurwa, Kinga, ci ludzie zaraz wymordują pół świata! Albo i cały. Zostaną tylko karaluchy – westchnął Kostek i odłożył słuchawkę.

Posiedziała jeszcze chwilę, a potem ogarnęła ją wściekłość. Nie rozumiała, jak można uwierzyć, że śmierć prezesa NIK-u była dziełem przypadku, podobnie jak utonięcie policjantów niemalże w kałuży. Jak miał wyglądać ten kraj, jeśli dopuszczano do takich historii? Raport nie zaginął i prokuratora zajęła się FOZZ-em, więc może to był jedynie sygnał dla tych, którzy chcieliby zbyt głęboko kopać? Przestępcy mogli zaakceptować fakt, że jacyś pracownicy FOZZ-u trafią za kratki, ale zapewne nie życzyli sobie, by prokuratura prześwietlała kogoś jeszcze. Zwłaszcza że niektóre z tych osób były teraz statecznymi, zamożnymi i znanymi biznesmenami.

Wykręciła numer do Hanki Lewinówny i poprosiła o aktualny adres Grzegorza. Kiedy go otrzymała, chwyciła torebkę i kluczyki do auta, a po kilku minutach już pędziła w stronę Mokotowa, gdzie jej mąż uwił sobie gniazdko. W tym momencie miała w nosie, czy oprócz niego ktoś się tam jeszcze plątał. Grzesiek miał teraz pieniądze, jeździł luksusowym autem i ubierał się w najlepsze marki. Znalezienie fajnej młodej laseczki było w jego przypadku prostsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Zobaczyła, że na strzeżonym parkingu stoi jego bmw i weszła do klatki nowo wybudowanej plomby, którą umieszczono pomiędzy dwoma zgrzebnymi blokami. Wyglądało to nieco groteskowo, bo nowoczesny

budynek pasował do otoczenia jak pięść do nosa i jedynym jego atutem była czysta i nowa fasada.

Zadzwoiła do drzwi, obgryzając skórki przy paznokciach, co zawsze było objawem jej zdenerwowania. W takich sytuacjach potrafiła okaleczyć się do krwi.

Dawno nie widziała swojego męża tak zdziwionego. Nigdy wcześniej Kinga go nie odwiedzała i nawet nie chciała poznać jego adresu, a teraz nagle i bez uprzedzenia pojawiła się u niego.

– Kinga? Wejdz – powiedział.

Mieszkanie było ogromne, przestronne i luksusowo, choć minimalistycznie urządzone. W niczym nie przypominało ciasnej kawalerki Grzeška. Było jeszcze coś, co różniło te mieszkania – w tym obecnym nie było czuć życia. Sprawiało wrażenie zimnego i bezosobowego niczym pokój hotelowy.

– Jesteście mordercami! Słyszysz?! Nie jesteście tylko gangsterami w białych kołnierzykach, ale dopuszczacie się zbrodni! To KGB czy WSI? No, odpowiedz! – Rzuciła się na niego z pięściami, gdy tylko zamknął za nią drzwi.

Złapał ją za nadgarstki i wykręcił ręce.

– Zamknij się! – syknął.

– Pewnie, potrafisz mnie tylko uciszać! Ale twój czas się kończy, bo inni tego nie zostawią! Oddaj mi umowę pożyczki, nie chcę ci pomagać i nie chcę brać w tym udziału, nawet jeśli miałbyś zgnieć w więzieniu! – Kinga szlochała i wyrzucała z siebie słowa, jakby chciała wykrzyczeć całą złość, ból i niemoc.

– Uspokój się natychmiast! – krzyknął i puścił jej ręce.

Bez słowa podszedł do okazałego biurka stojącego pod oknem i usiadł na krześle. Włączył komputer, napisał kilka zdań i uruchomił drukarkę. Nie miała pojęcia, co robił, więc patrzyła zapłakana na zabiegi męża i tępo wsłuchiwała się w stukot igłowej drukarki Olivetti. Po chwili Grzegorz wyciągnął z szuflady pióro i pieczętki, które przystawił na dokumencie. Potem zaś złożył swój zamaszysty podpis.

– Nie mogę pozbyć się tej umowy, żeby nie pozostał po niej ślad. Ale tu masz oświadczenie prezesa zarządu i głównego udziałowca, że zwróciłem ci forszę co do grosza. Nikogo nie zamordowałem i nikomu nie zlecałem czegoś podobnego. Nie wiem, kto za tym stoi, bo ja w tym układzie jestem tylko płótką. Nie jestem także niczym cynglem. – Podał jej papier i

wycedził: – A teraz się wynoś i nigdy więcej do mnie nie przychodź z podobnymi oskarżeniami.

– Wycofaj się – poprosiła.

Przewrócił oczami.

– Ty naprawdę jesteś głupiutka. A jesteś w wieku, kiedy już nie powinnaś sobie na to pozwalać. Jestem z tego oficjalnie wymiksowany, dzięki umowie z tobą, ale ślady i tak już pozostawiłem. Co, mam oddać swoją firmę na skarb państwa? Pójść do prokuratury, NIK-u i wszystko wyśpiewać? Tak to sobie wyobrażasz? Mam dzieci, rodziców, siostrę... Mam dla kogo żyć. Kiedyś dodałbym jeszcze ciebie, ale teraz już przestało mi na tobie zależeć. Chciałaś rozwodu, dostaniesz go, a teraz zejdziesz mi z oczu.

Słowa Grzegorza docierały do niej jak przez gruby mur. W tym, co mówił, była pewna słuszność. To oczywiste, że jeśli jej mąż chciałby się zachować uczciwie, skończyłby jak Falzmann, szef NIK-u i dwóch nieszczęśliwych policjantów.

– Grzegorz... – powiedziała cicho. – Wyjedźmy stąd. Wracajmy do Anglii. Przepisz wszystko na Karola i uciekajmy z tego kraju. Odetnij się od tej całej historii. W Londynie otworzymy coś własnego, niekoniecznie wydawnictwo. Proszę, Grześ. Wiem, że nie możesz cofnąć czasu, ale błagam, nie brnij w to.

– Nie zostawię Karola. Obaj w to wdepnęliśmy i obaj musimy w tym tkwić. Kinga, nie mogę tego tak po prostu rzucić w diabły i zostawić Lewina samego z tym gównem. Nie bój się, ta sprawa będzie się ciągnęła latami, nikt nie dopuści, żeby rozwikłano ją do końca. Beknie za to kilku dyrektorów, szkoda zmniejszy się stukrotnie i pies z kulawą nogą nie będzie drażył dalej tego tematu – stwierdził już nieco spokojniej.

– Powiedz chociaż, że żałujesz – jęknęła.

– Tak, żałuję. Lepiej się czułem w swoim poprzednim wcieleniu, gdy służyłem Polsce. Teraz też mógłbym to robić, ale jak długo? Aż wyszkolą nowe kadry? Zresztą nieważne. Kiedyś ojciec mi powiedział, że są drogi, z których nie można zawrócić. Ja znalazłem się na jednej z nich.

– Możesz zrobić to, co powiedziałam – odparła cicho i wyszła z mieszkania Łyszkina.

Schowała papier do skrytki samochodowej, włożyła kluczyk do stacyjki, ale nie przekreśliła go. Oparła głowę o kierownicę i zaczęła płakać. Chyba pierwszy raz w życiu znalazła się w sytuacji, z której nie było dobrego

wyjścia. Tak, chciała stąd wyjechać. Z kraju, którego nie rozumiała. Może kiedyś będzie tu normalnie, ale teraz rządziły nim jakieś ukryte siły, które dla własnych korzyści gotowe były na wszystko. Grzegorz mógłby zginąć, gdyby zaczął mówić. Tak to działało. Gdyby jednak wyjechał i pozbył się wszystkiego, co ma, na przykład przepisując swoje aktywa na Lewina, ich rodzina mogłaby ocaleć. Odzyskałaby męża, a jej małeństwa ojca, Grzegorz zaś znowu mógłby poczuć się wolny. Gdyby tylko się zgodził...

Niestety, podjął inną decyzję i tym razem to ona znalazła się na drodze bez powrotu. Sama nie mogła stąd uciec, bo jej dzieci potrzebowały ojca, ale nie była w stanie tkwić w małżeństwie, w którym każdego dnia wybuchałyby kłótnie. O system wartości, o zasady, o prawość, o jej wiarygodność jako redaktora naczelnego „Nowej Polski”... Każdą śmiercią osoby związanej z FOZZ-em obciążałaby Grzegorza bez względu na to, czy miał z nią coś wspólnego, czy nie. Tak, to był prawdziwy koniec ich wielkiej miłości i kochającej się rodziny.

Otarła łzy i przekręciła klucz. Musiała się uspokoić, bo za kilkanaście minut miała zobaczyć swoje dzieci. Hania jeszcze niczego nie rozumiała, ale Przemus od razu zapytałby, dlaczego płacze albo z jakiego powodu ma smutną minę. Dla nich musiała być silna i wyglądać tak, jakby jej życie było jednym wielkim pasmem radości i sukcesów.

Była już dojrzałą kobietą i z niejednego pieca chleb jadła, a teraz znowu wylądowała pod opiekuńczymi skrzydłami rodziców, bo bez nich nie dałaby rady. Pomyślała, że już nic dobrego jej w życiu nie czeka, oprócz synka i córki, którzy mogli pomóc przetrwać jej ten straszny czas.

Weszła do domu uśmiechnięta i od razu wzięła na ręce Hanię. Przytuliła ją mocno, a potem pogłaskała synka po włosach. Alicja siedziała w fotelu i czytała gazetę. Popatrzyła na nią znad okularów.

– Jest aż tak źle? – zapytała cicho. – Niczego nie da się już uratować?
Pokręciła przecząco głową i mocniej przytuliła córkę.

33.

Warszawa, 1992

Karol Lewin wszedł do jej gabinetu bez pukania, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. A to oznaczało, że jakaś decyzja podjęta przez Amelię mu się nie spodobała. Nawet się domyślała która.

– Dlaczego zwolniłaś Luizę? – zapytał rozzłoszczony. – Moją sekretarkę... Nawet tam wściubiasz nos.

– Spała z tobą, to wystarczający powód – powiedziała, odrywając się od bilansu i rachunku zysków i strat za poprzedni rok, które przyniósł księgowy. Odchyliła się na swoim fotelu, bawiła się piórem i patrzyła na Karola śmiejącymi się oczami.

– Jesteś zazdrosna, wiem, ale to była dobra pracownica. Poza tym spałem z nią raz czy dwa... – burknął.

– Gdybym była zazdrosna, suszyłabym ci głowę o Darię Szalc, prawda? – Uśmiechnęła się obłudnie. Oczywiście, że zwolniła Luizę, bo sypiała z Karolem. Tak, zrobiła to również z zazdrości, ale owo „również” miało w tym przypadku duże znaczenie.

– Szkoda, że nie możesz być dyrektorem w moim domu – mruknął pod nosem i dodał: – Więc, co ci, kurwa, strzeliło do głowy, żeby ją wyrzucić?

– Posłuchaj, to, że z nią spałeś, jest tylko jednym z problemów. Drugim jest to, że ta mała zdzira opowiada o tym każdemu, kto chce jej słuchać. Myślisz, że się domyśliłam? Nie, Karol, ja to usłyszałam. Nie tylko to zresztą. Uważa, iż z tego powodu może rozstawiać ludzi po kątach i grozić im zwolnieniem. Wyobrażasz to sobie? Twoja sekretarka czuje się tutaj jak specjalista do spraw zasobów ludzkich i pani prezes w jednym.

– Przywróć ją do pracy – syknął.

Podniosła się z fotela i podeszła do niego.

– I jak to będzie wyglądało? Pomyśl... PR-owo do dupy.

– Więc ty ją przywrócisz – powiedział, ale Amelia wyczuła, że złość mu już przeszła.

– W życiu, stracę reputację. – Uśmiechnęła się słodko i zaczęła rozpinać guziki w jego koszuli.

– Co robisz? – zapytał idiotycznie.

– Powiedziałeś, że jeśli nie będziesz się zgadzał z jakąś moją decyzją, w inny sposób pokażesz mi, kto tu rządzi.

– Ej, ej... – Z głupawym uśmiechem odsunął się od niej. – Nie rób tego...

– Dlaczego? – jęknęła. – Przecież między nami tak iskrzy, że za chwilę podpalimy całą firmę.

– Amelio, wybaczyłem ci. Długo mi to zajęło, ale w końcu się stało. Nadal jednak ci nie ufam...

– Możesz pieprzyć sekretarkę, a mnie nie? Boisz się, prawda?

– Tak, Amelio, boję się.

– Dobrze... – Machnęła ręką. – Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, żebyś mi zaufał. Popatrz na wyniki za ostatni kwartał. Nie chcę tu urządzić polowania na czarownice, ale twój poprzedni menedżer albo był leniem, albo ignorantem, albo... okradał cię.

– Nadal tu pracuje. Jest kierownikiem działu sprzedaży. – Lewin się zamyślił.

– Już nie. Dzisiaj wręczyłam mu wypowiedzenie bez świadczenia pracy, odebrałam kluczyki do samochodu i kazałam zrobić obiegówkę. Jutro mam spotkanie z kilkoma kandydatami...

– Jak dobrze, że tu jesteś. – Uśmiechnął się szeroko. – Grzesiek to widział?

– Nie, nie było go u mnie. Jak by to powiedzieć, unikamy się. – Odwzajemniła uśmiech.

– Ja mu powiem, jak świetnie się spisałaś. Premia będzie adekwatna.

– I tak świetnie mi płacicie. Dziękuję...

– Za co, Amelio? Jesteś najlepsza i mam dużo szczęścia, że pracujesz właśnie dla mnie. Właściwie dla nas.

– Dałeś mi szansę. Męczyłam się jako zwykła handlarza. Ta firma to wyzwanie. Codziennie rano budzę się i myślę, że powinnam być wdzięczna temu bydlakowi. A wiesz coś o nim?

– Na razie schował się skutecznie, bo z kraju nie wyjechał. Przynajmniej tak twierdzi straż graniczna. Ale znajdę go, przysięgam.

– Nie wiem, czy jest sens. I tak już pewnie nie ma tej forsy...

– Znajdę go i przyprowadzę jak psa na smyczy do twojego gabinetu. A ty zrobisz z nim, co będziesz chciała. – Wyszczerył zęby.

– Na pewno będę chciała, żebyśmy jak najszybciej się rozwiedli – wycedziła.

– Twoja sprawa, nie wtrącam się. A przy okazji... gdy będziesz rekrutować kierownika działu handlowego, może znajdziesz mi nową sekretarkę? Zgodzę się nawet na sześćdziesięcioletnią starą pannę, byleby była sprytna i robiła dobrą kawę. Muszę spadać. Podjadę do Szymona. Już całkiem wydobrzał i znowu gada o występie w telewizji. Chce się przyznać do współpracy z SB – westchnął Lewin.

– Pogadaj z Kingą albo Alicją. Niech napiszą o tym w „Nowej Polsce”.

Uniósł palec.

– Dobra myśl. Wyjdzie na jego, a nie będzie narażony na kolejny zawał.

Karol Lewin był już przy drzwiach i naciskał klamkę, gdy Amelia powiedziała:

– I pozbądź się tej kobiety z domu.

Odwrócił się gwałtownie.

– Ona jest w porządku – mruknął.

– Aha... To w takim razie życzę ci, żebyś przekonał Szymona do swojego pomysłu. Będzie i wilk syty, i owca cała.

Nie powiedział niczego więcej, a ona dostała szału, bo Karol wciąż mieszkał z Darią Szalc i nie zamierzał tego zmieniać. A najbardziej rozzłościła się na siebie, że w ogóle mu coś podobnego powiedziała.

Nazajutrz z grona kandydatów wybrała najprzystojniejszego. Na szczęście był także kompetentny, mimo że jego konkurenci posiadali odrobinę wyższe kwalifikacje. Dariusz Molenda był za to wysoki, dobrze zbudowany i młody. Miał trzydzieści pięć lat, ciemne włosy i wywołał istny popłoch wśród dziewcząt zatrudnionych w dziale handlowym. Miał jeszcze jedną zaletę – potrafił się podlizywać.

Sekretarkę znalazła kilka dni później. Ładną, zgrabną i z kilkuletnim doświadczeniem. Zadziwiła tym Karola, ale biedaczek nie miał pojęcia, że owa dziewczyna jest zadeklarowaną lesbijką. Sekretarka prezesa zarządu musiała mieć prezencję, by kokietować przybyłych gości, ale tym razem Amelia wolała dobrze się zabezpieczyć.

Pan Darek łąził za nią jak wierny pies, co trochę ją irytowało, ale uwielbiała patrzeć, jak Karol się denerwuje, gdy widzi ich razem. Na jednym ze spotkań roboczych oznajmił:

– Wkurwia mnie ten goguś. Molenda, menda... Mogłabyś go wyjechać?

– Karol... „Kierownik działu handlowego budzi moje zastrzeżenia i dobrze byłoby, żebyś rozważyła jego zwolnienie”. Tak masz mówić, panie prezesie. – Roześmiała się.

– Dobra, niech będzie. Ten człowiek budzi moje zastrzeżenia i chciałbym go relegować ze stanowiska i z firmy. No... a poza tym mnie wkurwia. – Wyszczrzył zęby.

– Zazdrosny? – zapytała słodko.

Podszedł do niej i pogłaskał ją po pośladku.

– Kapitalnie wyglądasz w tej spódniczce i szpileczkach – szepnął.

– Masz na mnie ochotę? – zapytała zduszonym głosem. – I dlatego jesteś zazdrosny?

Odsunął się od niej i powiedział:

– Mam, i nie jestem zazdrosny. Facet mnie wkurwia.

– Jest dobry w tym, co robi. Może jedynie odstawię go od piersi? – zapytała niewinnie.

– Już dobrze... Byleby się nie kręcił za często po naszym korytarzu. Słuchaj, Amelio... Daria jest bardzo dobra dla mnie, ale...

– Ale cię wkurwia – dokończyła za niego.

– Właśnie. Denerwuje mnie w niej wszystko. Jak mówi, jak chodzi, jak śpi... Chwilami myślę, że wybuchnę, a potem sobie przypominam, iż to dzięki niej przetrwałem okres przejściowy. Nie chcę się okazać skończonym skurwielem... Co radzisz?

– Zapłać jej. Łatwiej przeżywać rozpacz, mając okazałe konto w banku. Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał... Może na początku była tobą zauroczona, ale teraz? Misiek niekiedy powie co nieco. Lubi być kochanką prezesa, wozić się dobrą furą i wydawać krocie na swoją drogą, chociaż nieco krzykliwą garderobę. Dzięki tobie stała się kobietą luksusową. – Już się cieszyła w duchu, że pozbędzie się swojej największej konkurentki.

– Ale co mam jej powiedzieć? Że mi się znudziła? Że jej nie kocham? Oprócz ciebie nigdy nie byłem z nikim w stałym związku. Nie znam się na porzucaniu kobiet, którego niczego złego mi nie zrobiły – jęknął. – Myślisz, że sto tysięcy dolarów wystarczy?

– Oszalałeś? Tyle nie dostają nawet żony po dwudziestu latach małżeństwa. Wystarczy połowa tej sumy. Powiedz, że wracasz do matki swojego dziecka, bo tak będzie lepiej dla Mikołaja. – Amelia mówiła zupełnie spokojnie.

– A może ty wpadniesz do mnie i to załatwisz? – zapytał z rozpaczą w głosie, chociaż pewnie zdawał sobie sprawę z tego, jak idiotyczny był to pomysł.

– Jasne, już biegnę – prychnęła. – Karol, rozczarowujesz mnie.

– I naprawdę chwilę potem wbijesz do mnie z walizkami? – zapytał z ironią.

– Nie, zrobię to wówczas, gdy będę pewna, że zaufałeś mi na nowo – odparła. – Chcę, żeby było jak kiedyś...

– A jeśli nie będzie?

– No cóż... Wystarczy, że mi zaufasz. Z całą resztą sobie poradzę. – Uśmiechnęła się do niego i dodała: – Jutro o siedemnastej jest wywiadówka. Teraz twoja kolej.

Skończyła pracę, gdy było już ciemno, mimo że dochodziła osiemnasta. Podeszła do okna i wpatrywała się w uliczny zgiełk. Straciła całą forszę i musiała zaczynać wszystko od początku, ale dawno nie czuła się taka szczęśliwa. Robiła to, co kochała i na czym dobrze się znała, a przede wszystkim codziennie widywała Karola. A on mógł w końcu zobaczyć, jak bardzo się stara i jaki jest dla niej ważny. Wierzyła, że pewnego dnia skruszy mur, który ich dzielił, a który pewnego dnia, prawie jedenaście lat temu, między nimi postawiła. Nie miała pojęcia, czy gdyby mogła cofnąć czas, zrobiłaby to samo. Może nie odważyłaby się na ten krok i niebawem świętowałyby z Karolem rocznicę ślubu? Niestety, na tę chwilę wciąż drugi człon jej nazwiska brzmiał „Sadło” i musiała zrobić wszystko, by się go pozbyć. Miała nadzieję, że Karol dotrzyma danego jej słowa i pewnego dnia przyprowadzi do niej tego obłudnego drania.

34.

Warszawa, 1991

Alicja weszła do pokoju Szymona Wielopolskiego i wciąż nie mogła przywyknąć, że ten starszy pan to ten usmarkany chłopiec, który rwał się do walki w powstaniu, uratował życie jej synowi i zaopiekował się niesamowitym psem, Ziutkiem.

– Aldona... – Uśmiechnął się do niej. – Zawsze pozostaniesz dla mnie Aldoną.

– W czasie powstania byłam już Ewą. – Roześmiała się. – Aldona zawsze mi się podobało, ale nazwisko już nie.

– Z czym do mnie przychodzisz?

– Był u mnie Karol. Długo rozmawialiśmy...

– Bardzo się przejął moim zawałem – westchnął.

– Tak, dlatego nie chce, by kolejny raz coś podobnego cię spotkało. Przyniosłam ci do autoryzacji artykuł, który chcemy wydrukować w „Nowej Polsce”. Ciebie ominie konieczność wygłaszania mowy przed kilkumilionową widownią, a cel zostanie osiągnięty. Chcę tylko wiedzieć, czy dobrze to przemyślałeś. Ja, Hanka i Igor wybaczyliśmy ci dawno temu, inni ludzie nie mają prawa cię oceniać.

– Alicja, ja już podjąłem decyzję. Nie chcę żyć w ciągłym strachu, że ten gnojek to opublikuje. Wtedy będę bez szans. Jeśli sam się przyznam, przynajmniej te teczki stracą moc. Igor mówił, że posprzątał, ale byłem pewny, iż Szczot coś sobie zachował, żeby pewnego dnia mnie zniszczyć. – Szymon naprawdę był zdecydowany, ale ten cholerny zawał z kilkutygodniową rehabilitacją odsunął jego plany w czasie.

– W takim razie przeczytaj to szybciej niż inni – westchnęła Alicja i podała Szymonowi treść artykułu, który miał się ukazać następnego dnia.

Zerknął na podpis i uśmiechnął się, widząc podpis Neli Domosławskiej.

– Nela... Ależ ja się w niej kochałem – powiedział.

– Ona w tobie też. Inaczej nie byłaby taka zdeterminowana, żeby odnaleźć prawdziwą Barbarę Dolecką.

– Przeczytam później. I zadzwonię do ciebie, gdy będę gotowy.

– Dobrze... Przepraszam, Szymek. Wiem, że Emil był dla ciebie najważniejszą osobą w życiu.

– Jakież to paradoks. Lewin był złym człowiekiem, a jednak, gdy zaginałem w getcie, zaryzykował życiem, żeby mnie odnaleźć w kanałach. Wiesz, on nigdy na mnie nie krzyknął, nie ukarał mnie... Dał mi szansę i zastąpił mi rodziców. Kiedy jednak dowiedziałem się, co robił innym, znienawidziłem go. Może dobrze, że wtedy zginął, bo nie umiałbym sobie poradzić z moimi ambiwalentnymi uczuciami. Masz, Alicjo, moje wybaczenie.

Zacisnęła usta, jakby nie chciała się popłakać. Już dawno jej wybaczył, ale wiedział, że Alicja Dargiewicz czekała na te słowa bardzo wiele lat.

Po jej wyjściu przeczytał artykuł napisany przez Nelę. Rzetelny, uczciwy, a jednocześnie z przesłaniem, że podobne teczki będą kiedyś wpływały na kształt rządów, wyniki wyborów i ludzkie postawy. Kochana Nela, która nie cierpiała donosicieli i poprzedniego reżimu, napisała najlepszą mowę obrończą, z którą kiedykolwiek spotkał się na sali sądowej. Pomyślał, że byłby z niej świetny adwokat.

Nazajutrz Zosia przyniosła mu najnowszy numer „Nowej Polski”. Kinga Dargiewicz zamieściła nawet jego zdjęcie, by nikt nie miał wątpliwości, o kim jest obszerny artykuł pod tytułem *Uwikłany*. Nie musiał go czytać, zrobił to poprzedniego dnia, i właśnie zamierzał przejść do innych tekstów, gdy zadzwonił telefon, a potem kolejny, zaś po kilku godzinach pojawiło się przed jego domem kilku reporterów. Nie porozmawiał z nimi. Nie miało to sensu. Zresztą cóż mógłby im powiedzieć oprócz tego, że wszystko, co napisano w „Nowej Polsce”, jest prawdą. Nie zamierzał już kandydować, bo czuł, że nie powinien. Wydawało mu się, że nagle postarzał się o dziesięć lat. Był tym wszystkim zmęczony, postanowił więc nie udzielać się również w kancelarii. Teraz prowadził ją Krzysztof i nawet nie trzeba było zmieniać nazwy, która brzmiała „Wielopolski i syn”. Wierzył głęboko, że kiedyś Łukaszek zastąpi swojego ojca i dziadka, i nazwa pozostanie.

– Zosiu! – krzyknął.

Zjawiła się niemal od razu.

– Coś się stało? – zapytała przerażona. Od chwili zawału trzęsła się o niego bezustannie.

– Przepraszam, nic mi nie jest. Pomyślałem tylko, że chciałbym gdzieś wyjechać.

– Na zawsze? – Zofia Wielopolska miała panikę w oczach.

– Nie. – Roześmiał się. – Na tydzień, może dwa. Do Zakopanego.
– Od kilku lat cię o to prosiłam, ale wiecznie byłeś zajęty obalaniem komuny. Całe szczęście, że ta w końcu upadła.

– Chodź, musimy opracować plan wycieczki – odparł, nie odnosząc się do słów żony.

Pomyślał, że musi minąć całe pokolenie, by mógł coś takiego powiedzieć. Miał problemy w Polsce Ludowej i Trzeciej Rzeczypospolitej. Dla niego nic się nie zmieniło, oprócz sytuacji gospodarczej. Nie miał pojęcia, kto jest kim i czy podejmuje decyzje samodzielnie czy ktoś wymachuje przed nim teczkami. Tak, akta SB stały się w Polsce najsilniejszą walutą.

35.

Warszawa, 1992

Mała cukiernia znajdowała się w jednej z cichych uliczek Żoliborza. Kiedy Kinga Dargiewicz do niej weszła, pomyślała, że niebawem właściciel będzie musiał chyba zwinąć swój interes, bo było w niej niemalże pusto. Kto miałby tu przychodzić, kiedy była prawie w ogóle niewidoczna?

Usiadła przy stoliku i zamówiła kawę i szarlotkę. Czekwała na kogoś i miała nadzieję, że ów człowiek nie stchórzy i zjawi się niedługo po niej. W końcu do lokalu wszedł około sześćdziesięcioletni mężczyzna i od razu wiedziała, że właśnie na niego czeka, bo ten rozglądał się nerwowo, jakby nagle ktoś miał go zastrzelić. Pomachała do niego, chociaż w kawiarni było zaledwie kilka osób i w dodatku same pary, ale obawiała się, że spanikowany mężczyzna jej nie zauważy.

Usiadł naprzeciwko niej i wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą przetarł zroszone potem czoło, mimo że na dworze panowała wczesnowiosenna aura. Po chwili wyjął zza pazuchy kilka kartek i podał Kindze.

– Widzi pani? Wprowadzono liczne obostrzenia na zachodniej granicy – wymamrotał.

– To chyba dobrze... Więc jak Elektromax to obchodzi?

– Dość prosto. Zachodnia granica to nie południowa, przewożą spirytus tamtędy... Ten przepis zna niewiele osób.

– I dlatego grubą forszę zarabiają nieliczni – westchnęła.

– Tak. Niech mnie pani posłucha... Przyszedłem na to spotkanie, bo uwiera mnie to, że gangsterzy uważani są za poważnych przedsiębiorców. Mają w kieszeni kilku posłów, senatorów, policję i sądy. Są nietykalni. Ale jeśli rozpęta się medialna burza, w końcu ktoś zareaguje. Nikt nie wie, jacy to szubrawcy.

– Oj, niektórzy wiedzą. Wykonali usługę, a pieniędzy nie zobaczyli – odparła.

– Ale jakoś nikt się nie upomina. Ciekawe dlaczego? – Mężczyzna chyba bardziej sobie zadał to pytanie niż Kindze.

– Po prostu jak ktoś się burzy, przyjeżdża do niego kilku smutnych panów i tłumaczy, że popełnia błąd. – Kinga wydeła usta.

– Przecież to jakieś mafijne układy! Pruszczyk zakładał pierwsze kantory, był senatorem, likwidował Art-B, a teraz trzęsie Elektromaxem. Jeden człowiek zrobił tyle przekrętów, że mógłby nimi obdzielić ze dwadzieścia osób albo i lepiej. A jednak nic mu nie jest. Myślę więc, że ktoś trzyma mu nad głową parasol ochronny.

– Prezesem Elektromaxu jest ktoś inny – zauważyła.

– Tak, ale niech pani prześledzi życiorys tego, pozał się Boże, prezesa i kilku innych ważnych panów na wysokich stanowiskach. Byli wychowankowie domów dziecka, z marginesu społecznego. Bez wykształcenia i doświadczenia. Naprawdę uważa pani, że mają kompetencje, żeby rządzić takimi ogromnymi spółkami?

Nie odpowiedziała, bo знаła nawet takich dwóch. Gdyby nie Amelia Imhoff, pewnie przygoda Grzegorza i Karola z dużą firmą bardzo szybko by się zakończyła. Tyle że oni nie byli słupami. I mieli na to podkładkę. Była przekonana, że podobną umowę, jaką ona zawarła z Łyszkinem, podpisała także Amelia. Teoretycznie wszystko grało.

– Pracuję nad tym – odrzekła enigmatycznie.

– Kiedy ma się ukazać pierwszy artykuł? – zapytał mężczyzna.

– Nie wiem jeszcze. Może za tydzień, dwa...

– Będę czekał, pani Dargiewicz. Będę czekał. Nienawidzę donosicielstwa, ale złodziei i bandziorów jeszcze bardziej – powiedział mężczyzna, po czym wyszedł z lokalu, nawet nie zamawiając kawy.

Tak, to była sprawa, która miała wstrząsnąć polską opinią publiczną. Kolejna wielka firma, dziecko transformacji, okazała się wydmuszką i była zwykłym bandyckim przedsiębiorstwem, które zbijało forszę na luce prawnej i na tym, że nie płaciło kontrahentom. I nikt z tym nic nie zrobił.

Zresztą inne afery także nie znalazły swojego finału przed obliczem sprawiedliwości. Tajemnicze zgony osób, które zajmowały się FOZZ-em, sprawiły, że ludzie zaczęli się bać i nie chcieli się narażać, by drażyć temat. Toczyło się śledztwo, dyrektor stracił stołek, ale do tej pory nikt nie był w stanie policzyć, ile pieniędzy wypłynęło z Polski. Niektórzy mówili nawet o kilku miliardach dolarów. Powiedzieli o tym jej i nie chcieli nikomu więcej, by pewnego dnia nie umrzeć na zawał, zginąć w wypadku czy utopić się płytkiej sadzawce.

Afera Art-B także nie budziła już emocji, bo główni podejrzani siedzieli spokojnie w Izraelu i korzystali z uroków życia. Pewnie nie tylko wdzięczność kierowała Izraelczykami, ale także wypchane forszą walizki,

które prezesi firmy ze sobą zabrali. Do tej pory nie ustalono źródła przecieku. A może wcale nie chciano go odkryć.

Prosto z kawiarni Kinga pojechała do swojego biura. Weszła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Miała przed sobą stos dokumentów i notatek, które powinny utopić kolejny pasożytniczy twór. Pracowała nad tym przez wiele miesięcy. To pozwalało jej nie myśleć o Grzegorzu. Wiedziała, że powinna złożyć papiery rozwodowe, ale wciąż nie miała odwagi tego zrobić. Obiecała sobie, że gdy wypuści serię porażających artykułów o Elektromaxie, pójdzie do Krzysztofa Wielopolskiego, syna Szymona, i zatrudni go do sprawy. Nie chciała prania brudów i bezpardonowych zagrywek z uwagi na wspomnienia o ukochanym, który byłby mężem prawie idealnym, gdyby nie oskubał państwa na kilkaset tysięcy dolarów. Nawet w najczarniejszych myślach nie przypuszczałyby, że zdolny jest zrobić taki przekręt. W dodatku oszukując nie tylko ją, ale także swoich rodziców, którzy byli przekonani, że Karol z Grzegorzem zbudowali swoje imperium za komercyjne kredyty. A może jedynie udawali, bo cóż mogli zrobić? Grzegorz nie był już małym chłopcem, którego można było przełożyć przez kolano i zlać pasem.

Biuro opustoszało. Ludzie śpieszyli się do swoich żon i mężów. Przetarła oczy i stwierdziła, że na nią także ktoś czeka. Dwoje słodkich dzieciaków, które lada moment przywiezie do domu Dargiewiczów ich tata. Nie chciała się z nim spotkać, bo za każdym razem pękało jej serce, że tak fatalnie zakończyła się ich miłość.

Pogasiła światła i zjechała windą na dół, pożegnała ochroniarza i wyszła tylnym wejściem na kompletnie ciemny parking. Pomyślała, że przydałaby się dodatkowa latarnia, bo jedna, która tam stała, ciągle szwankowała, a wówczas trudno było po zmierzchu trafić nawet do własnego auta. Słabe światło docierające z holu biurowca pomogło jej odnaleźć drogę do samochodu. Wyciągnęła z kieszeni kluczyki i już miała włożyć je do zamka, gdy poczuła, że ktoś zachodzi ją od tyłu, zatyka usta ogromną dłonią odzianą w rękawiczkę, a potem wciąga do stojącej nieopodal furgonetki.

Wewnątrz agresor wypuścił ją z rąk. Złapała oddech i od razu zaczęła krzyczeć, jednak chwilę potem otrzymała potężny cios w twarz.

– Zamknij mordę, suko. – Usłyszała chrapliwy męski głos. Była pewna, że nigdy wcześniej nie spotkała tego człowieka.

Jęknęła, bo ból był porażający, a po chwili poczuła na ustach słodki smak krwi, która zaczęła sączyć się z jej nosa i rozciętej wargi.

Nie musieli jej zbyt długo namawiać, żeby zamilkła. Domyślała się także, dlaczego została uprowadzona. Była gotowa oddać im wszystkie materiały i odpuścić sobie artykuły, nad którymi pracowała tyle czasu, bo chciała i musiała żyć. Miała dzieci i zamierzała podczas rozwodu wywalczyć całkowitą opiekę nad nimi. Rodzice byli już starszymi ludźmi, nie zajęliby się jej potomstwem, a Grzegorz... był panem prezesem, woził się limuzyną i ubierał w drogie garnitury. Niekiedy myślała z przekąsem, że teraz, gdy obaj z Karolem stali się nierozłączni, podzielili się Amelią, która podobno królowała na ich włościach.

Nie miała gwarancji, że darują jej życie, gdy odda im materiały. W końcu mogła pójść na policję czy do prokuratury. Na pewno znalazłaby kogoś nieprzekupnego, dlaczego więc mieli ryzykować? Wyrzucała sobie, że lekkomyślnie trzymała je wszystkie w redakcji i mimo ostrzeżeń Kostka w żaden sposób nie zabezpieczyła się na podobne okoliczności. Nawet Grzesiek jej mówił, że tam, gdzie są wielkie pieniądze, znikają skrupuły i puszczają hamulce.

Wpadła w panikę i wymamrotała:

– Dlaczego zostałam porwana?

– Włożyłaś paluch tam, gdzie nie potrzeba. Węszysz, korumpujesz naszych ludzi, nękaś posłów i senatorów. Miarka się przebrała, pani redaktor – odparł mężczyzna z chrapliwym głosem. – Wiemy już, kto nas sprzedał. Spotkaliście się w przytulnej kafejce, tylko facet nawet kawy nie zamówił. I już nie zamówi. Zniknął.

– To nie duch, żeby zniknął – burknęła.

– A widzisz, nie jesteś na bieżąco. Mamy taki preparat, który sprawia, że ludzie znikają, a może lepiej pasowałyby słowa „rozpuszczają się” – zadrwił.

Teraz już wystraszyła się na dobre. Zaczęła krzyczeć, uderzać nogą w drzwi furgonetki, ale kolejny raz poczuła ogromną łapę na ustach. Tym razem napastnik trzymał w dłoni chusteczkę nasączoną czymś, co sprawiło, że po chwili straciła świadomość.

Ocknęła się w jakimś obskurnym piwnicznym pomieszczeniu o powierzchni budy dla psa i o wysokim sklepieniu. Pod sufitem znajdowało się okienko, przez które wdzierał się do wnętrza wąski strumień światła. Leżała na jakimś cuchnącym sienniku, a oprócz tego w pomieszczeniu było pusto, nie licząc wiadra, które chyba miało posłużyć jej jako toaleta. Czuła suchość w gardle, a głowa bolała ją tak, jakby ktoś wiercił w niej młotem pneumatycznym. Podobnie było z twarzą. Nosa chyba nie miała złamanego, ale czuła, że jedno oko ma spuchnięte, bo mało co przez nie widziała. Miała tak bardzo obolałe ciało, że nie zastanawiała się, co może ją czekać i jak powinna to rozegrać, żeby wyjść cało z tej historii.

Po jakichś dwóch godzinach do wnętrza wszedł rosły mężczyzna w kominiarce. Trzymał mały taboret, postawił go na betonowej posadzce i usiadł na nim. Wypełnił swoją posturą niemal całą przestrzeń, wręcz czuła zapach jego potu.

– Gdzie są te kwity? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– W redakcji – odparła zgodnie z prawdą.

Spoliczkował ją, bo nie uwierzył, że była na tyle głupia, żeby trzymać tak kompromitujące materiały we własnym biurze.

– Nie kłam – wycedził.

– Możemy od razu tam pojechać i sam zobaczysz. Bierzcie, co chcecie, tylko mnie nie zabijajcie. Mam dwoje dzieci, a mój teść to bardzo wpływowy człowiek. Nie podaruję wam, jeśli mnie zamordujecie. Cała redakcja wiedziała, czym się zajmuję, nie ujdzie wam to na sucho. A tak... Przecież możemy się dogadać. Jeśli zginę, rozpęta się piekło. Zabezpieczyłam się na taki wypadek. Gdy zniknę, ktoś inny opublikuje te materiały. – Mówiła wolno i z wielkim trudem.

– Kostek Piotrowski? Ten frajer niczego się nie nauczył? Ale my nie jesteśmy tak subtelni, jak ci od FOZZ-u.

– Nie, on mnie prosił, żebym tego nie ruszała – jęknęła.

– No widzisz, jaka ty głupia jesteś. Mogłaś posłuchać starszego kolegi po fachu.

– Mogłam... Ale naprawdę wszystko mam w biurze. W torebce miałam klucze do mojego gabinetu. Od osiemnastej na dole jest tylko jeden ochroniarz. Czasami ktoś siedzi dłużej. Wasze papiery leżą w szufladzie biurka. Po prawej stronie, na dole. Nie jest zamknięta na klucz.

– Nie macie dyżurnego, który siedzi w nocy i czeka na łakome kąski? – zapytał.

– Siedzi w domu, pod telefonem. Jeśli coś się dzieje, jedzie na miejsce zdarzenia... W redakcji jest pusto. Ten złoty klucz jest od mojego gabinetu.
– Kinga nie zamierzała zgrywać chojraczki. W tym momencie miała w nosie wszystkie przekręty świata.

– Pewnie zrobiłaś kopie. Gdzie są?

– Nie robiłam kopii – wydukała. – Skłamałam...

Nie uwierzył jej, ale stwierdził, że jeszcze tego wieczoru spróbują dostać się do biura „Nowej Polski” i sprawdzić, co takiego wywęszyła pani redaktor. Wzruszyła ramionami – mogli zabrać wszystko.

– Jeśli nas oszukałaś, pamiętaj, że wszystko o tobie wiemy. Masz dwoje małych dzieci, a mężulek puścił cię kantem. W sumie nie dziwię się. Teraz może mieć każdą podfruwajkę w tym mieście. One lecą na dobre fury, a za kilka fajnych ciuchów są gotowe rozkładać nogi na każde zawołanie. Wiem, kim jest Grzesiek Łyszkin. Z nim bym nie zadzierał, ale w tej sytuacji...

– Nie mamy rozwodu – jęknęła zdesperowana.

– No i co z tego? – Mężczyzna wzruszył ramionami.

Zaczęła płakać. Oni naprawdę wszystko o niej wiedzieli. Niestety, o poczynaniach jej męża również. Stała się dla niego nikim i nawet nie będzie próbował jej odszukać. A tylko on byłby w stanie to zrobić.

– Mój synek ma na imię Przemek. Jest strasznym rozrabiaką i lubi budować z klocków Lego. Ostatnio nauczył się jeździć na dwóch kółkach... Hania jest jeszcze malutka. Jest śliczna i słodka. A mój mąż na pewno nie chciałby mojej śmierci, nawet jeśli żyłby z inną kobietą. – Kinga usiłowała wzbudzić w tym zbirze jakieś ludzkie uczucia albo przynajmniej uzmysłowić mu, że popełnił duży błąd.

Nie widziała twarzy oprawcy, więc nie miała pojęcia, czy zadziałało. Podniósł się z taboretu i powiedział:

– Przyniosę ci trochę wody i kanapkę. A wieczorem sprawdzimy twoją prawdziwość.

– Chcę mi się pić, nie jestem głodna – wymamrotała.

– Musisz jeść, bo trochę tu posiedzisz. A potem pomyślimy, co dalej z tobą zrobić.

Powiedział to takim tonem, że nie miała już wątpliwości. Nigdy już nie zobaczy ani swoich dzieci, ani rodziców i rodzeństwa, ani Grzegorza... Była redaktorem naczelnym i właścicielką jednego z najpopularniejszych dzienników. Jej zniknięcie za chwilę stanie się bardzo głośne. Jeśli

pozostawią ją przy życiu, firma Elektromax może już zwijać żagle. Kiedy zniknie na zawsze, nie będzie żadnych dowodów na to, że została uprowadzona. Nawet Grzegorz i Igor przy swoich wpływach będą bezradni. Jeśli przeżyje, do końca życia będą ścigać jej oprawców, wykorzystując nawet swoje koneksje wśród rosyjskich służb.

Cholerny kraj, w którym wszystko było możliwe. Żałowała, że tu przyjechała. Zniszczyła swoją rodzinę, narażała jej członków na nieprzyjemne historie i musiała żyć podszyta strachem, bo nigdy nie było wiadomo, komu nadepnęła na odcisk. Gangsterzy prowadzili swoją działalność w światłach jupiterów, politycy byli skorumpowani albo zastraszeni, a ludzie z dawnych służb robili to samo, co kiedyś, tylko teraz zeszli do podziemia. Wystarczyło, że odeszła od Grzegorza, a wszystkie mające coś na sumieniu męty przestały się z nią liczyć.

W Londynie miała wszystko idealnie poukładane. Kochających rodziców, brata, który gotów był oddać za nią życie, a jej małżeństwo przypominało sielankę. Była taka szczęśliwa, ale szukała wyzwania. I tylko jedna sprawa mąciła jej radość – wydawało się jej, że Grzegorz niezbyt dobrze czuje się w Anglii. Pragnęła go uszczęśliwić tą przeprowadzką, a kiedy to się wydarzyło, straciła go.

Była zachłanna na życie, wciąż szukała nowych afer, a skończyła w brudnej celi, z której mogła się wydostać jedynie w czarnym worku. Jeśli naprawdę rozpuszczali niewygodnych ludzi w kwasie, nikt nie odnajdzie jej ciała, a jej bliscy będą odwiedzali pusty grób, tak jak kiedyś nagrobek jej matki. Tylko wówczas Alicja Dargiewicz się odnalazła, mogiłę zlikwidowano, a niedoszła zmarła uciekła za granicę. Miała na tyle dużo instynktu samozachowawczego, żeby stąd zwać. A ona, chora idiotka, na własne życzenie wlała do paszczy lwa.

Skuliła się w kłębek na brudnym materacu i wgapiała się tępo w okienko, aż zrobiło się kompletnie ciemno. Miała nadzieję, że ci dranie dostaną się do jej biura, nie mordując przy tym nikogo, a potem... Mogła się jedynie modlić. Problem jednak polegał na tym, że nie była wierząca i nie potrafiła tego robić. Znała jedynie *Zdrowaś Maryjo*. Zaczęła powtarzać formułkę niczym mantrę i dzięki temu nieco się uspokoiła. Prosiła nieznaną jej siłę, by ocaliła jej życie. Potem jednak, gdy zerknęła na swój elektroniczny zegarek i zobaczyła, że zbliża się dwudziesta, modliła się jedynie o lekką śmierć. Lada chwila te bandziory dostaną się do redakcji, zdobędą dokumenty i Kinga straci ostatni atut. Nie będzie im już potrzebna i nadal

będą mogli puszczać swoje reklamy w telewizji bez obaw, że ktoś odkryje ich brudne sprawy.

Naprawdę wychowała się w innym świecie, bo nie wyobrażała sobie, aby tak bandycka firma mogła się bezczelnie bogacić na oczach całej Polski i nikt nie był zainteresowany, by im w tym przeszkodzić. Ile jeszcze takich firm było? Szemranych, wykorzystujących luki prawne, które powstawały na ich użytek, okradających zwykłych Polaków, którzy z podziwem na nich patrzyli. Zapewne zazdrościli im, że właściciele mieli łeb na karku i wykorzystali przemiany ustrojowe, nie mając pojęcia, iż dokładają do tego własną cegielkę.

36.

Warszawa, 1992

W firmie Karola Lewina i Grzegorza Łyszkina zapanowała cisza. Personel biura zakończył pracę, a na posterunku pozostali jedynie prezesi. Nawet Amelia już opuściła biurowiec. Była tytanem pracy, ale nie mogła siedzieć po nocach, bo na zmianę zajmowali się Mikołajem.

Jeśli chodzi o Darię, Amelia trafiła w punkt. Jego kochanka rozstała się z nim bez płaczu i hysterii. Kiedy usłyszała, że na odchodne dostanie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, miała minę, jakby pragnęła od razu spakować walizkę i się wynieść.

Wybaczył Amelii, a teraz nadszedł moment, że na nowo zaczął jej ufać. Nie miał przed nią żadnych tajemnic i był gotowy, by znowu stali się rodziną. Nie chciał jednak rzucać się na nią jak głodny pies na kość. To było jeszcze przed nimi. Pragnął, żeby poczuła, że jest dla niego ważna nie tylko w łóżku i w firmie, ale w całym życiu. Tak, chciał z nią spędzić resztę swoich dni i nawet przestał mieć ochotę na jednonocne kochanki.

Karol potarł oczy i kolejny raz wziął do ręki gazetę z artykułem o Szymonie Wielopolskim. To było dobre posunięcie, jeśli Szymek zdecydował się do wszystkiego przyznać. Komentarze w większości prasy czy stacji radiowych i telewizyjnych były dość pozytywne. Na nowo rozgorzała dyskusja o otwarciu archiwów, by już żaden polityk nie stał się przedmiotem szantażu. To był niezły pomysł, szkoda tylko, że nierealny. Najważniejsze akta zostały głęboko ukryte albo zniszczone. Pewnie, że jeszcze wiele dokumentów zostało, ale mnóstwo z nich spoczywało w sejfach i pancernych szafach, by pewnego dnia mogły posłużyć jako narzędzie nacisku.

Zaterkotał jego telefon komórkowy. Wkurzało go to ustrojstwo, bo wielkością przypominało cegłę i było cholernie nieporęczne. W dodatku notorycznie zapominał, by owo urządzenie naładować. Był człowiekiem starej daty, dla niego telefon miał kabel i stał w jednym miejscu.

Po drugiej stronie usłyszał głos kumpla, który teraz pracował w UOP-ie. Lewin nie miał pojęcia, jakim cudem przeszedł weryfikację, ale miał to w nosie.

– Co tam? – zapytał.

– Mam adres tego kolesia.

– Znakomicie. Podyktuj – odparł krótko Karol.

Zapisał na żółtej karteczce dane i schował do kieszeni. Podziękował kumpłowi, informując jednocześnie, że w nagrodę przyjmie do agencji ochrony jego brata, i rozłączył się. Podszedł do sejfu, wbił szyfr, po czym otworzył go i wyciągnął z niego pistolet, berettę z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Włożył ją za pasek spodni i wyszedł z pokoju. Udał się wprost do Grzeška i powiedział od progu:

– Mamy Stefana Szczota. Weź klankę.

Łyszkin jak na komendę wstał zza biurka i wyciągnął z szuflady broń. Chyba przypomniały mu się stare czasy i znów mógł się poczuć jak kiedyś, gdy pracował w wywiadzie. Jego kuzyn chyba męczył się w garniturze i za biurkiem, nawet jeśli owo odzienie kosztowało majątek.

Szedł szybkim krokiem, a za nim Łyszkin. W pewnej chwili Grzegorz zatrzymał się i zapytał:

– Lewin, kto to jest, kurwa, Stefan Szczot?

„Cóż za finezja” – pomyślał z przekąsem Karol, gdy zatrzymali samochód przed małym zakładem oferującym sprzątanie biur i hoteli. Szyld informował, iż firma nazywa się „Szczotka”, co mogło nawiązywać zarówno do nazwiska jej właściciela, jak i do tego, czym się zajmują.

Tym razem nie wzięli limuzyny, tylko starego opla rekorda. Łyszkin narzekał na ciasnotę, odór tanich fajek i walające się butelki po rozmaitych trunkach.

– Kto tym jeździ? Przecież ten samochód wygląda, jakby ktoś w nim nocował – marudził.

– To auto tego kolesia z ochrony. Nie jęcz, nie jedziemy nim do Zakopanego, tylko na inną dzielnicę – odparł Karol. – Szybko załatwimy sprawę i wracamy.

– A właściwie czym ci się ten facet naraził? Bo jakoś nie uzyskałem odpowiedzi – zagadnął.

– Szantażował teczkami Wielopolskiego. Twój stary niedokładnie posprzątał...

– A, to ten straceniec. Chcesz go zabić? Karol, kurwa, nawet mi tego nie mów. W końcu i tak to wypłynęło. Burza trwała raptem tydzień, a ty

będziesz miał tego śmiecia na sumieniu. – Grzegorz próbował odwieść kuzyna od pomysłu popełnienia zbrodni.

– Nie chcę go zabijać, na chuj mi to? Ale koleś musi wiedzieć, że ze mną nie należy zadzierać. Chcę zobaczyć, jak będzie srał po nogach, gdy wepchnę mu lufę do ust.

– Myślisz, że o tej porze jeszcze pracuje?

– Z tyłu ma małe mieszkanie. Wszystko w jednym. Niekiedy się zastanawiam, czy to nie jest głupi pomysł, żeby zrobić w gabinecie łazienkę z prysznicem. W końcu kanapę już mam.

– Tak i będziemy non stop siedzieć w firmie. Jakoś mi się nie uśmiecha.

– Odkąd wasz rozwód został przesądzony, spędzasz trzy razy więcej czasu w firmie niż ja – zakpił Lewin.

– Dzieciaki dostają dwa razy w tygodniu – mruknął pod nosem.

– I godzisz się na to? Naprawdę zrobiła się z ciebie miękka faja...

– Dobra, skończ pieprzyć. Jesteśmy na miejscu.

Zaparkował samochód przy krawężniku. Lewin wysiadł i podszedł do zakratowanych drzwi. Były zamknięte na głucho. Wszedł do ciemnej, obskurnej bramy i po kilku minutach odnalazł tylne drzwi, które wiodły do mieszkania Szczota. W oknach paliło się światło, zatem to bydłę musiało być w środku. Karol stwierdził, że Stefan nie należy do wygranych tego świata. Najpierw wyrzucono go ze służby, a gdy chciał zrobić to samo, co Lewin, zamiast miliona dolarów otrzymał artykuł w gazecie, w którym nazwisko Szczota odmieniano przez wszystkie przypadki. Zapewne wzmianka o grupie chcącej przejąć udziały w największych polskich spółkach była równie prawdziwa, co pożyczka, której udzieliła Lewinowi Amelia Imhoff.

Drzwi prowadzące do mieszkania wyglądały, jakby za chwilę miały wylecieć z futryny. Lewin nie bawił się w pukanie, tylko otworzył je kopniakiem. Pomyślał, że się strasznie zestarzał, bo poczuł ból nogi od biodra aż po stopę. Zaklął siarczyście, a potem wyciągnął zza paska pistolet. Nie zdążył jednak wejść na pokoje, bo jedno z drzwi się otworzyły i stanął w nich kompletnie zaskoczony Szczot.

– Dzień dobry – powiedział ze śmiechem Karol, po czym uderzył Stefana w twarz. Musiało zabołeć, bo Lewin dzierżył w dłoni pistolet.

– Kurwa, Karol, co ty wyprawiasz? – jęknął Szczot i zatoczył się do obskurnej kuchni.

– Włóż do środka i odmów zdrowaśkę, bo zaraz przywitasz się ze świętym Piotrem. Teraz wszyscy zrobili się wierzący, pewnie ty też co niedzielę maszerujesz do kościółka – powiedział ostro Lewin.

Blefował, nie zamierzał zabić Szczota, bo dla tego śmiecia życie mogło się okazać gorszą karą. Tak jak powiedział to Grzegorzowi, włożył lufę pistoletu do ust Szczota i syknął:

– Zaczepiłeś niewłaściwą osobę.

Szczot zaczął bełkotać, więc Lewin wysunął lufę z jego ust i przystawił do czoła.

– Co tam stękasz, śmieciu?

– Posłuchaj, byłem pod kreską. Wszyscy oficerowie coś dostali, ale mnie wykluczyli. Popatrz na siebie, jeździsz mercem, ruchasz młode laski, a ja... Mam tylko to, co zostało po mojej matce. Jestem schorowany, mam jakieś dwadzieścia lat więcej niż ty i zobacz, jak muszę żyć. Mamy kilka biur, w których sprzątamy, ale to gówniane pieniądze... Nie mam kontaktów, żeby dorwać coś większego. Błagam, nie zabijaj mnie. Już mi niewiele życia zostało. Stara mnie zostawiła, dzieci nie chcą znać...

– Naprawdę masz chujowe życie Szczot – westchnął Lewin. – Więc potraktuj to jak przysługę. Po co masz się męczyć?

Lewin spostrzegł mokrą plamę na spodniach Stefana. I od razu poczuł się lepiej, bo ten stary pryk był już wystarczająco mocno wystraszony, jeśli popuścił w majtki. Odbezpieczył broń, żeby dodać dramatyzmu sytuacji i przetrzymać Stefana jeszcze przez kilka minut w niepewności. Szczot zakrył twarz rękoma i zaczął łkać.

– Błagam, proszę. Ja... Wiem, gdzie jest Sadło. Wszystko ci powiem. Tak, teraz wszystko powiem. Ten gnojek i hazardzista ukrywa się w Piasecznie. Nadal przegrywa majątek w karty. Spotykają się na zapleczu lokalu Cichy Zakątek...

Lewin odłożył broń.

– Cichy Zakątek za chwilę może być bardzo głośny. Dobra, śmieciu, daruję ci życie, ale nie próbuj więcej takich numerów, bo następnym razem nie będę taki miłosierny. Jeśli nie dorwę Sadła, też będę niepokieszony. Swoją drogą, ciekawych masz znajomych...

– Pożyczyłem mu kasę. Wszystko, co miałem, bo obiecał, że zarobię na tym sto procent. Oskubał jakąś bogatą Niemrę. Mówił... mówił, że jest starą rurą, ale dobrze się trzyma i nawet lubi ją posuwać...

Kolejny raz Szczot otrzymał cios w twarz.

– Mówisz o mojej kobiecie, bydlaku! – syknął.

– Jezu, nie wiedziałem. Przepraszam, naprawdę nie miałem pojęcia. On się z nią nawet ożenił...

– Wiem, kurwa. I przestań mówić głupoty. Gdybyś nie wiedział, kim jest Amelia, nie miałbyś też pojęcia, że poluję na tego gnoja. Na pocieszenie ci powiem, że skończy gorzej niż ty. Idź się przebierz, cuchniesz szczynami. I zmień sobie nazwisko na Szczoch.

Wyszedł z obskurnego mieszkania i wsiadł do samochodu. Mieli z Grzegorzem do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Nie tego wieczoru, bowiem gry o wielkie stawki odbywały się w Cichym Zakątku w soboty. Musiał poczekać.

Wrócili przed firmę tylko po to, żeby zostawić starego opla i przesiąść się do swoich limuzyn. Ten dzień jednak nie miał się jeszcze zakończyć. Przed szlabanem zobaczyli bowiem samochód Dargiewiczów. Grzesiek od razu wpadł w panikę. Nie wziął ze sobą telefonu, ani w biurze, ani w domu go nie było, więc jeśli teściowie pofatygowali się aż tutaj, musiało się wydarzyć coś naprawdę złego.

– Co jest, do cholery? – zapytał bardziej siebie niż jego Łyszkin.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Może chcą cię namówić na pogodzenie się z żonką.

– Nie... Musiało się stać coś znacznie gorszego.

Właściwie wyskoczył z samochodu, zanim na dobre go zatrzymał. Lewin przekręcił kluczyk, żeby wyłączyć silnik, i obserwował sytuację. Sergiusz Dargiewicz wymachiwał rękami, a Alicja płakała. Wyszedł z auta na wypadek, gdyby był potrzebny i usłyszał:

– Nigdzie jej nie ma, nie odbiera telefonu, a do jej redakcji ktoś się włamał. To znaczy mieli klucze, ale zakneblowali ochroniarza i uwięzili w kotłowni... Nie wiemy, co robić i gdzie jej szukać.

Nawet w słabym świetle reflektorów Lewin widział pobladłą twarz Grzegorza.

– Wiecie, nad czym ostatnio pracowała? – zapytał.

Lewin pomyślał, że Łyszkin musiał mieć krzyż pański z tą małą, chudą śwędzidupą. Zawsze musiała wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Nie mamy pojęcia. Jej pracownicy też nie wiedzą. Mówili, że odkryła jakąś aferę, poza tym była bardzo tajemnicza... – łkała Alicja. – Dzieciaki zawieźliśmy na Saską Kępę, ale nie wiemy, co dalej robić.

– Piotrowski... – wybełkotał Grzegorz. – On na pewno wie. Mówili sobie o takich rzeczach. Macie do niego telefon, do jego starych, brata, kogokolwiek?

– Nie...

– A kto może znać numer do niego, adres, cokolwiek? – dopytywał Łyszkin. Moment paniki i osłupienia już mu minął i przestawił się na tryb działania.

– Majka... – powiedział Karol. – Musi mieć do niego jakiś kontakt. Nie tak całkiem dawno jego synowie byli z nią w studiu nagrań.

– No tak, jak mogłem o tym zapomnieć. Przecież złamał Majce serce. Jedźcie na Saską Kępe. Wezmę swój samochód i zaraz tam będę – powiedział Grzegorz.

Lewin nie zastanawiał się ani chwili.

– Jadę z tobą.

Wsiadł do mercedesa Łyszkin i z piskiem opon ruszyli sprzed firmy. Grzegorz prowadził tak, jakby jechał do pożaru. Nie zważał na światła ani przejścia dla pieszych.

– Na pewno możesz prowadzić? – zapytał.

– Mówiłem jej... Tyle razy jej powtarzałem, żeby nie ruszała afer, gdy w grę wchodzi duże pieniądze. Dlaczego jej nie spralem, nie wywiozłem...? Chciała, żebyśmy wrócili do Anglii i ratowali naszą rodzinę, ale ja wybrałem szmal. Nie chcę już ani pieniędzy, ani prezesury. Chcę, żeby ona przeżyła. Dlaczego nie zgodziłem się na ten cholerny wyjazd? Dlaczego pozwoliłem jej odejść? Dlaczego jej nie pilnowałem? – jak katarynka powtarzał Łyszkin.

– Grzesiek, uspokój się. Dowiemy się, nad czym pracowała i uruchomimy wszystkie znajomości. Znajdziemy ją. Przysięgam.

– Ale czy żywą... – Łyszkin wpadł w panikę.

– Jeśli ją uprowadzili, czegoś od niej chcieli. Pewnie tych papierów, po które przyszli do redakcji.

– No właśnie, i już je mają... A ona nie wróciła.

– Zawsze w takich przypadkach trzeba się upewnić, czy nigdzie nie ma kopii. Wiesz, jak w amerykańskich filmach. W razie podejranej śmierci jakiś adwokat czy notariusz, czy chuj wie kto odpala bombę i pogrąża porywaczy. Zanim zechcą ją zabić, najpierw to sprawdzą, a zatem mamy kilka dni. Poza tym na pewno wiedzą, czyją jest żoną i nie odważą się na tak drastyczny krok. Trzeba tylko się z nimi dogadać...

W willi na Saskiej Kępie panowała grobowa wręcz cisza. Nawet dzieciaki nie dokazywały, bo pora była późna i poszły spać.

Grzegorz wykrecił numer do Kostka Piotrowskiego, zamienił z nim kilka zdań i z minorową miną odłożył słuchawkę.

– Rozpracowywała Elektromax... Niech to szlag!

37.

Warszawa, 1992

Grzegorz Łyszkin nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak się bał. Zdążył już przywyknąć, jak takie sprawy załatwia się w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych i był przerażony. Przysłowie mówiło, że pieniądze szczęścia nie dają, a on dotkliwiej niż inni się o tym przekonał. Co z tego, że rozpęta piekło i usunie z tego świata sprawców, jeśli Kingi i tak mu nikt nie zwróci? Jeśli wciąż żyła, mógł mieć nadzieję. I tylko to mu pozostało.

Przyrzekł sobie, że jeśli odnajdzie Kingę żywą, przepisze swoje udziały na Karola i zabierze całą rodzinę do Anglii albo gdziekolwiek, ale na pewno nie zostanie w Polsce. I Kinga też na to nie pozwoli, nawet jeśli zmieniłaby zdanie i chciała pozostać w Warszawie.

Dotarły do niego słowa Karola:

– Mandaryn... On wie o nich więcej niż ktokolwiek inny.

– Robi biznesy z ping-pongami? – zapytał Grzegorz.

– Nie, sprzedaje młode dupeczki do niemieckich burdeli. Mówi na nie mandarynki i stąd ksywa.

– Wiesz, gdzie go znaleźć? – zapytał niemal rozpaczliwie.

– Zapewne siedzi teraz w swoim klubie nocnym z gołymi dupami. Ten burdel nazywa się Black Cats. Teraz wszyscy nadają takie nazwy, żeby brzmiały światowo.

Może nazwa była światowa, ale o klubie nocnym Mandaryn nie można było tego powiedzieć. Nocą, gdy paliły się jedynie przytłumione kinkiety, a parkiet oświetlały lampy stroboskopowe, nie było widać plam na kanapach i obdartej tapety.

Mandaryn wraz kumplami i jakimiś dwiema panienkami siedział w jednej z łóż i pałaszował stek z frytkami. Łyszkin stwierdził, że ten facet żre na okrągło i przed otyłością chroniła go jedynie siłownia, w której spędzał mnóstwo czasu. Przywitali się i poprosili o rozmowę na osobności. Nie oponował, w końcu byli kumplami, i po kilku minutach znaleźli się na zapleczu klubu. Mandaryn wprowadził ich do pokoju, w którym cuchnęło alkoholem i starym jedzeniem. Oprócz biurka stały tam także czarne kanapy obite pluszem. Grzesiek wolał się nie zastanawiać, skąd pochodzą białe plamy dekorujące siedziska.

Zaproponował im kreskę, ale odmówili. Powiedzieli, z czym przychodzą. Mandaryn przesunął dłonią po kompletnie łysej głowie, zapalił jointa i orzekł:

– Panowie, nie mogę tak wparować do nich bez niczego, bo gównu mi powiedzą. Muszę dać im gwarancję, że ta kobieta się od nich odczepi...

– Od razu wywożę ją za granicę – zapewnił Łyszkin. – I daję słowo honoru, że nic nie wypłynie. Przynajmniej ze strony jej gazety.

– Jest jeszcze jeden, który koło nich węszy. Jarek Ziętara. Ale on już dostał wyrok śmierci...

Grzegorz struchlał, bo Kingę mogło spotkać dokładnie to samo. Po chwili powiedział stanowczym tonem:

– Mandaryn, powiedz swoim kumplom, że jeśli coś się stanie mojej żonie, już się mogą zacząć bać. Wkurzyli niewłaściwego człowieka, który ma bardzo zdeterminowanych znajomych. Jeśli nie chcą mieć do czynienia z oficerami z ramienia KGB, niech lepiej podadzą miejsce pobytu Kingi Dargiewicz-Łyszkin.

– Myślę, Grzesiek, że jeśli ośmielili się uprowadzić twoją żonę, mają szersze plecy od ciebie – spokojnie odparł Mandaryn.

– Dobra, skończ pierdolić, tylko dzwoń do swoich koleżków – zirytował się Lewin. – Bo zaraz będziecie tu mieli wojnę. Powiedz im, że ta śmierć im się po prostu nie opyla.

– Nie wiem, kto to zlecił. To może potrwać – odparł Mandaryn i kolejny raz zaciągnął się jointem. Miał spowolnione ruchy i totalną obojętność wymalowaną na twarzy.

– Dzwon i mnie nie wkurwiał – burknął Lewin. – Nagroda cię nie minie...

– Jaka? – zapytał beznamiętnie.

– Dostaniesz teczkę takiego jednego. Szyszka w Ministerstwie Finansów. Możesz mieć spokój ze skarbówką... Twoim koleżkom też się przyda.

– Nazwisko? – zapytał Mandaryn.

– Jarosik.

– O, panie. Dobra, dzwonię. – Od razu sięgnął do telefonu.

Łyszkin nie miał pojęcia, że Lewin zostawił coś sobie na czarną godzinę, chociaż na jego miejscu zrobiłby dokładnie tak samo. Musiał mieć asa w rękawie i właśnie go wykorzystał, żeby odnaleźć jego żonę.

Nie spał, nie jadł i nie mył się. Siedział w domu, wgapiony w aparat telefoniczny i czekał na telefon od Karola. Co chwilę podnosił słuchawkę, by sprawdzić, czy jest sygnał albo patrzył na wyświetlacz komórki, czy się nie rozładowała.

Minął cały następny dzień i noc, a on nawet nie zmrużył oka. Około północy nie wytrzymał i zaczął wydzwaniać do Karola, ale ten nakazał mu, by przestał panikować i czekał na sygnał. Odłożył słuchawkę i podpalił kolejnego papierosa. Właściwie nie robił niczego innego, tylko przypalał jednego od drugiego.

Ojciec chciał przy nim być, ale odmówił. Nie miał zamiaru słuchać, jaki błąd popełnił. To już się stało. W tym momencie najważniejsze było życie Kingi. Nic się więcej nie liczyło. A z wyrzutami sumienia musiał się uporać sam.

Telefon zadzwonił w końcu około trzeciej w nocy. Na dworze było jeszcze ciemno, a miasto było pogrążone we śnie. Jechali niemal pustymi ulicami w kierunku Modlina. Dostali dokładną lokalizację miejsca, w którym przetrzymywano Kingę. Podobno żyła.

Podjechali przed jakiś zrujnowany zakład przemysłowy. Karol wyciągnął ze skrytki latarkę, przypominającą maczugę, i omiół snopem światła obejście. Niegdyś produkowano tu świece, teraz budynek wyglądał jak z koszmarów. Powybijane szyby ziejące czarną pustką, porzucane sprzęty walające się po podwórzu, porzucane pręty zbrojeniowe, a wreszcie grobowa cisza panująca dookoła. Pokryte rdzą brama wjazdowa i furka były zamknięte na kłódkę, która wyglądała na nową, i to dawało Grzegorzowi nadzieję, że nie zostali oszukani.

– Ciemno jak w dupie u Malinowskiej – burknął Karol. – Kurwa, czym my przetniemy tę cholerną kłódkę?

– Przejdziemy przez płot – zawyrokował Łyszkin.

– Zwariowałeś? On ma ze trzy metry – prychnął Karol.

– Nie marudź, nie jesteś aż tak stary.

– Łatwo ci mówić, dla ciebie to nie pierwszyzna, ja głównie siedziałem na dupie w ciepłym biurze.

– Ja też ostatnio czas spędzałem na kanapie albo w samochodzie.

– Przy tej swojej małej żolzie, Hance, wyrobiłeś sobie krzepę. Poszukam jakiejś dziury w płocie. Na pewno jakaś jest od strony lasu. Teren nie jest duży, znajdziemy raz-dwa – powiedział Karol.

– Dobra, ty szukaj dziury, ja przeleżę przez płot.

Rozdzielili się i nie byłoby w tym niczego szczególnego, gdyby nie to, że Lewin zabrał jedyną latarkę, jaką mieli, i Łyszkin musiał uważać nie tylko na to, żeby bezpiecznie sforsować ogrodzenie, ale także na porozrzucane po obejściu graty. Jeszcze tego brakowało, żeby stracił życie w tak idiotyczny sposób.

Pokonanie ogrodzenia nie nastęczyło mu trudności, ale kiedy już to zrobił, bardzo uważnie stawiał kroki, żeby nie nadzieć się na coś.

– Kinga! – rozdarł się na całe gardło, gdy zbliżył się do budynku. Bez Karola i latarki nawet nie próbował do niego wchodzić.

Odpowiedziała mu cisza.

Krzyknął kolejny raz i usłyszał jakieś dudnienie dobiegające z budynku. Nie był jednak pewny, czy owego dźwięku nie wydaje Lewin. Wokół wałało się pełno zardzewiałych płyt, nie wiadomo do czego potrzebnych, i Karol mógł nadepnąć na jedną z nich. Po chwili zobaczył snop światła.

– Słyszałeś? – zapytał zdyszany Karol.

– Tak. Nawet myślałem, że to ty.

– Nie, to nie ja. Włazimy do środka i zawołamy jeszcze raz.

Nie musieli forsować drzwi wejściowych, bo ich nie było i zaraz znaleźli się w zrujnowanym budynku. Zaczęli na zmianę wykrzykiwać imię Kingi, by po chwili zamilknąć. I kolejny raz usłyszeli głucho dudnienie, jednak głośniejsze niż poprzednio.

– Tak, to z budynku! Szukamy!

Idąc przez sporych rozmiarów halę produkcyjną, zaglądali w każdy zakamarek, ponieważ nie byli w stanie zlokalizować, skąd się wydobywa ów dudniący łoskot.

– Wydaje mi się, że tu powinna być jakaś piwnica, bo słychać ten hałas jakoś z dołu. Albo już mi się pieprzy w głowie – powiedział Karol.

– Dlatego trzeba zaglądać wszędzie.

Przemierzali budynek, niemal biegnąc, i w końcu dotarli do drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące w dół. Zeszli po nich i kolejny raz krzyknęli imię Kingi.

– Tutaj! Tu jestem! Błagam, proszę mi pomóc! – Usłyszeli histeryczny kobiecy głos, a potem dźwięk, jakby ktoś walił pięściami w stalowe płyty.

Dotarli pod właściwe drzwi, ale pojawił się ten sam problem, co w przypadku bramy. Wejście do wnętrza zamknięte było na kłódkę.

– Niech to szlag! – syknął Łyszkin i krzyknął: – To ja, kochanie! Już nic ci nie grozi! Zaraz cię stąd wyciągniemy!

– Grześ... – Usłyszał szloch żony.

– Ty zostań tutaj, a ja wrócę do samochodu i przyniosę coś, czym będziemy mogli to gównem otworzyć – zarządził Karol i chwilę potem zniknął w czeluści korytarza, zabierając ze sobą latarkę.

Łyszkin przywarł do drzwi.

– Kochanie, Karol poszedł po narzędzia do samochodu. Zaraz wróci i będziesz wolna.

– Grześ... Przyjechałeś po mnie. – Kinga zanosila się płaczem. – Myślałam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę. I naszych dzieci...

– Umierałem z niepokoju – powiedział do niewielkiej szpary w drzwiach.

– Oddałam im, co chcieli, ale i tak mnie nie wypuścili. Czy oni tu są? – zapytała.

– Nie, kochanie. Nikogo nie ma i żaden z nich tu nie przyjedzie. A jeśli ktoś obcy się przypałęta, zastrzelę go od razu. Nie bój się, skarbie. I nie płacz. Zaraz stąd wyjdiesz. I wiesz co, zgadzam się.

– Na co? – zapytała z żalostí w głosie.

– Zostawimy wszystko w cholerę i wrócimy do Londynu. Nie chcę firmy, mercedesa i szytych na miarę garniturów. Chcę was.

– Boże... A ja chciałam się z tobą rozwieść... – Kinga znowu zaczęła płakać.

Musiła być naprawdę w fatalnym stanie psychicznym, jeśli każde wypowiedziane przez niego zdanie wywoływało u jego żony kolejny spazm płaczu.

Po jakichś dziesięciu minutach zjawił się Karol. Jedyne, co udało mu się znaleźć, to klucz do kół samochodowych. Wcisnęli go w wąską szparę i pociągnęli. Kłódka trzymała się nieźle, ale za to odpadła sztabka, do której przymocowano zamknięcie. Pociągnęli kolejny raz i drzwi się otworzyły.

– O kurwa! – syknął Lewin, omiatając światłem latarki pomieszczenie.

Łyszkin jednak nie zwrócił uwagi ani na poplamiony materac, ani na wiadro na nieczystości. Przytulił Kingę i pozwolił, by szlochała w jego ramionach.

– Tak się bałam... Tak się bałam... – bełkotała.

– Chodźmy stąd – zarządził i wtedy Lewin skierował latarkę na Kingę.

Wyglądała strasznie. Na twarzy i włosach miała zakrzepłą krew, spuchnięte oko, które przybrało niemal czarny kolor, i strup na ustach.

– Zabiję ich! – syknął Grzegorz.

– Na razie wydostaniemy się z tego bunkra – oznajmił Karol i nakazał, by Grzegorz i Kinga poszli pierwsi.

Oddał Łyszkinowi latarkę i ruszyli w stronę wyjścia.

Kinga była tak przerażona, że na wieść, iż zamierzają zabrać ją do szpitala, wpadła w histerię.

– Nie, błagam, oni mnie tam znajdują! Wszędzie w Warszawie mnie znajdują! Ja muszę do dzieci, ja muszę je jak najszybciej wywieźć z kraju. Błagam, nie chcę do szpitala...

– Dobrze, kochanie. Zawiozę cię na Saską Kępę. Będziesz ze wszystkimi. Nawet Mateusz i Natalia przylecieli, gdy tylko dowiedzieli się o twoim zniknięciu. Zaraz znajdziemy lekarza, który przyjedzie i opatry cię na miejscu.

– A dzieci? A moi rodzice? Też tam są? – dopytywała.

– Tak, mówię ci, że wszyscy, których kochasz, tam są i czekają na ciebie.

– Jestem do niczego. Kiedyś się tak nie bałam, a teraz... Kiedyś nie bałam się, że kogoś zostawię, gdy coś mi się stanie, a teraz tak chciałam żyć... Tak bardzo chciałam żyć.

Łyszkin objął ją ramieniem, ale bał się ją pocałować, żeby nie sprawić żonie niepotrzebnego bólu.

– Kochanie, proszę, nie odchodź ode mnie. Postaram się być najlepszym mężem na świecie – powiedział cicho.

– Nie chcę od ciebie odchodzić i nigdy nie chciałam. Boże, Grześ, żyj jak chcesz i rób, co chcesz, tylko mnie kochaj – załkała.

Zanim dotarli do Warszawy i willi Łyszkinów, prywatny lekarz już na nich czekał. Niezwłocznie zabrał się za opatrywanie ran na twarzy Kingi. Uspokoił zatrwożoną rodzinę, że pacjentce nic nie będzie, chociaż przez pewien czas będzie wyglądała paskudnie, jednak dla wszystkich zgromadzonych najważniejsze było, że żyła.

Sergiusz podszedł do Grzegorza i uściskał go.

– Dziękuję. Gdyby nie ty...

– Gdyby nie Karol, nie odnalazłbym jej – powiedział cicho.

Kilka dni później Grzegorz siedział w gabinecie kuzyna.

– Posłuchaj, Karol, nie będę ci co pięć minut dziękował, bo sam wiesz, jak wiele dla mnie znaczy to, co zrobiłeś – powiedział.

– Jaki, kurwa, patos. Skąd ty się urwałeś, Łyszkin? Zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

– Jeśli będziesz w potrzebie, przylecę od razu.

– Potrzebuję jeszcze ostatniej przysługi... Pomóż mi dorwać tego chujka, Wojtka Sadło.

– Nie ma sprawy, sobota jest już pojutrze. Myślisz, że zdołasz coś z niego wycisnąć?

– Chyba tylko tłuszczyk, bo Sadło lubi zajadać swoje problemy. O tym, co się z nim stanie, zadecyduje Amelia. Może go nawet zabić.

– Może lepiej nie... – mruknął Łyszkin, bo w przypadku Amelii wcale nie wykluczał podobnego scenariusza. Zmienił temat. W końcu Wojciech Sadło kompletnie nic go nie obchodził. – Posłuchaj, Karol... Chciałbym część udziałów przepisać na Amelię. Nie, nie kombinuj. Nie czuję niczego niewłaściwego do niej. Po prostu jestem jej coś winien, bo za te udziały u Dargiewiczów powinna dostać dużo więcej kasy.

– Rób, jak uważasz, ale powiedziałem już, że mogę cię spłacić. Nie od razu, ale w ciągu kilku lat na pewno.

– Nie chcę tych pieniędzy, bo one poróżniły mnie z Kingą. Chcę, żeby wiedziała, jak mało dla mnie znaczy forsa, a jak wiele ona i dzieci.

– Kurwa, Łyszkin, nie bądź frajer...

– Już podjąłem decyzję. Jutro idziemy do notariusza. Chciałem tylko zapytać, czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zrobił z Amelii współwłaścicielkę – odparł.

– Kocham ją i zamierzam się z nią ożenić, więc absolutnie nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście, nie dostanie pakietu kontrolnego, żeby się jej w główce nie poprzewracało. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Zawsze ją kochałeś, idioto. Oboje jesteście ostrymi graczy, pasujecie do siebie.

– A ja słyszałem, że to przeciwności się przyciągają. Nieprawda, nas kręci to samo. Walka o władzę. Nawet w związku. Dlatego mimo upływu lat ta baba mnie tak rajcuje – westchnął.

– Wracam do rodziny. Teraz potrzebują mnie bardziej niż kiedykolwiek – powiedział Łyszkin i wstał z fotela.

Był już przy drzwiach, gdy Lewin zapytał:

– Serio, Łyszkin? Chcesz być znowu goły i wesoły?

Odwrócił się i uśmiechnął półgębkiem.

– Zapomniałeś o funduszu awaryjnym na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych? – zapytał jadowicie.

– Cwany skurwysyn. – Lewin pokręcił głową i nic więcej nie powiedział, tylko uśmiechnął się pod nosem.

38.

Warszawa, 1992

Lewin stanął w drzwiach gabinetu Amelii Imhoff i powiedział:

– Mam coś dla ciebie.

Po chwili wepchnął do środka jej małżonka. Aż się podniosła z fotela, była tak zszokowana widokiem człowieka, który najpierw się z nią ożenił, a potem oskubał ze wszystkich pieniędzy. Podeszła powoli do mężczyzny i syknęła:

– Ty parszywy gnoju! Sądziłeś, że ci się uda tak po prostu zawinąć mój majątek i żyć spokojnie w ukryciu?

– Wiedziałem, że wciąż kochasz tego ubeka – burknął Sadło.

Uderzyła go w twarz.

– To ma być twoje usprawiedliwienie?

Karol przyglądał się tej scenie z nieopisaną uciechą. Zapytał w pewnej chwili ze słodyczą w głosie:

– Podać ci pogrzebach, kochanie?

Popatrzyła na niego i poprosiła:

– Czy możesz mnie zostawić samą z tym... z nim?

Nie dyskutował, a to oznaczało, że zaczął jej ufać. Nareszcie. Bez protestu opuścił jej gabinet. Zaraz po wyjściu Karola mąż Amelii zaczął płakać, a nawet klęknął przed nią, błagając, by Karol odwołał wyrok śmierci na niego. Przypomniała sobie życzenia, które skierował do niego Karol w dniu ich ślubu. Wystraszył się Lewina. I bardzo dobrze.

– I jak zamierzasz oddać mi pieniądze, śmieciu? – zwróciła się do Wojtka.

– Posłuchaj, spłacę cię. Nie wiem, kiedy i jak to zrobię, ale oddam co do grosza... – Sadło się jękał i widać było, że jest jeszcze bardziej przerażony niż wówczas, gdy razem z nimi był Lewin.

– Gównu oddasz... Zobacz, zostawiłeś mnie z niczym. Nawet z butiku musiałam zrezygnować, bo ogołociliśmy na ten kutrowy deal także nasze konta firmowe. No i popatrz na mnie. Odkułam się. Oczywiście, nie odrobiłam jeszcze wszystkich strat, ale jestem na dobrej drodze ku temu. A ty? Jak spożytkowałeś moją forszę? Przegrałeś w karty. Kraść też trzeba

wiedzieć po co. Jesteś zerem i zerem pozostaniesz. A teraz siadaj i pisz! – powiedziała ostro.

– Dobrze, napiszę ci, że pożyczyłem od ciebie te pieniądze. No i że oddam – wybełkotał.

– Nie, to mi gówno da. Napiszesz, że to ty stoisz za porwaniem redaktor naczelnej i właścicielki „Nowej Polski”, Kingi Dargiewicz. Zrobiłeś to dla okupu.

– Co?! Ja nie mam z tym nic wspólnego! – Sadło prawie dostał histerii.

– Teraz już tak. Podyktuję ci, żeby twój list był wiarygodny. Zacznij od nagłówka: „list pożegnalny”.

– Jezu, w co ty mnie chcesz zrobić? Ja naprawdę nic nie wiem na ten temat... – powtarzał przerażony Wojtek, zwłaszcza gdy usłyszał, jak ma brzmieć nagłówek listu.

– No i co z tego? Ale napiszesz. Inaczej zawołam Karola i poproszę, żeby utopił cię w pierwszym bagnie, które znajdzie.

– Ale po co mam to zrobić? – jęknął.

– Od dzisiaj będziesz pracował dla mnie. Chyba chcesz spłacić dług, prawda? Będziesz jak mój wierny pies, który służy swojemu panu na każde jego zawołanie.

– Więc po co mam się przyznawać do czegoś, czego nie zrobiłem? O tej babie mówiła cała Polska...

– Dlatego że nie zmuszam cię, byś przyznał się do tego, co zrobiłeś. I że teraz wiesz mi kupę szmalu. – Uśmiechnęła się obłudnie.

Wojtkowi trzęsły się ręce, gdy pisał pod dyktando Amelii. Mimo że w biurze było dość chłodno, z jego czoła spływały krople potu. Poczucia obrzydzenia na samo wspomnienie ich wspólnych nocy.

Kiedy skończył, włożyła papier do sejfu i syknęła:

– A teraz się wynoś! I waruj pod telefonem, dopóki nie przydzielę ci zadania.

Opuścił jej pokój, trzęsąc się jak galareta. Gdy tylko to zrobił, Amelia otworzyła okno, bo zdawało się jej, że wewnątrz wręcz cuchnie potem Wojtka.

Lewin wszedł po chwili i podszedł do niej:

– Wszedł o własnych siłach... Ale wyglądał tak, jakbyś raziała go prądem – powiedział tuż przy jej uchu.

– Tacy desperaci bywają bardzo przydatni. Od tej chwili będzie czuł już tylko strach...

Pogłaskał ją po pośladku.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy w końcu cię dorwę. Ostra babeczka z ciebie. Lubię to w tobie.

– Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś. – Oddech Amelii zrobił się szybszy na samą myśl o tym, co będą wyprawiać, gdy w końcu pęknie między nimi ostatnia tama.

– Niedługo zrozumiesz – szepnął, po czym odsunął się od Amelii i powiedział rzeczowo: – Jutro o dziewiątej u notariusza. A potem musimy pojechać do Lublina.

– Dobrze – odparła z westchnieniem, bo nie miała ochoty wlec się tak daleko.

To był dobry dzień dla Amelii Imhoff. Oto Grzegorz Łyszkin wspaniałomyślnie podarował jej trzydzieści procent ze swoich udziałów, reszta zaś przypadła Karolowi. Prawdę mówiąc, kompletnie nie rozumiała jego decyzji. Owszem, fakt, że chciał wyjechać z rodziną za granicę, nie dziwił jej, ale oddanie komuś takiej góry forsy było posunięciem co najmniej dziecinnym.

To nie był kraj dla zwykłych ludzi. Tu, żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba było się wykazać zimną krwią. To nie było miejsce dla słabeuszy, tylko dla twardych zawodników. Układy, gangi, przekręty – to była codzienność. Owszem, normalni obywatele, którzy wykazywali dużo sprytu, także potrafili zbić fortunę, zaczynając od zera. Na przykład od sprzedawania rozmaitych towarów z łóżek polowych. Jednak nie mogli być pewni, czy któregoś dnia nie pojawi się ktoś, kto zechce ich z tego ograbić. Mafia, skorumpowany pracownik skarbowki czy przekupieni policjanci. Tutaj nic nie było pewne. Ani prawo, ani urzędnicy. Potrafiłeś się przystosować, żyłeś całkiem nieźle, nie umiałeś w to grać, tonąłeś.

Tego dnia była piękna, słoneczna pogoda. Amelia nie miała pojęcia, jaki to interes nagrał im Karol i nie była zbyt szczęśliwa, jadąc z nim w podróż bez gwarancji, że przyniesie im ona jakieś korzyści.

– A może pojedziemy do Chełmic? – zagadnął.

– Tam zaczęło się nasze szalone uczucie – westchnęła. – Pewnie, jedźmy, chociaż powoli tracę nadzieję, że uda mi się odzyskać tę posiadłość. A co z naszym kontrahentem?

– Oj tam, spóźnimy się najwyżej. – Uśmiechnął się.

Podążali obsadzoną wierzbami drogą, w której było więcej dziur niż asfaltu, a w końcu zatrzymali się przed dworkiem Chełmickich. Aż otworzyła usta ze zdumienia, ponieważ wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej niż dwa lata wcześniej. Ogrodzenie z fikuśnych kutych prętów zostało oczyszczone i pomalowane, a stojący w głębi budynek raził nowiutką bielą.

– A jednak ktoś go odnowił. Jakim prawem? – Amelia miała ochotę się rozpłakać, gdy pomyślała, że w domu jej ojca i dziadka zamieszka teraz ktoś inny.

– Wejdziemy? – zapytał Karol.

– Oszalałeś? Przecież wisi tabliczka, że to teren prywatny.

– Żadne psy nie biegają, alarmu nie ma... Chodź, najwyżej nas stąd pogonią.

Wyszła niepewnie z samochodu i ruszyła z Karolem w stronę dworku. W oddali zobaczyła stajnie, także lśniące bielą i z nową dachówką w kolorze przygaszonej czerwieni.

Stanęli przed domem, który jeszcze nie tak dawno odstraszał swoją brzydotą i zaniedbaniem. Wstawiono nowe ościeżnice i okna w kolorze ciemnego dębu, podobnie zresztą jak dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi wejściowe.

– Ciekawe, jak jest w środku – zagadnął Lewin.

– Tego pewnie się nie dowiemy – mruknęła.

– Słuchaj, tu jest kilka wejść. Jedno zasłonięte krzewami. Prowadziło do spiżarni, ale stamtąd jest przejście do domu. Może drzwi nie są zamknięte?

Lewin ruszył przed siebie, ale Amelia złapała go za rękę.

– Chcesz się włamać do cudzego domu?

– Kurwa, Amelio, to jest twoja spuścizna. Każdy sąd nas uniewinni – odparł i pociągnął ją za sobą.

Rzeczywiście drzwi na tyłach domu były otwarte i Amelia od razu pomyślała, jakimi idiotami muszą być obecni właściciele, postępując tak niefrasobliwie. Tu nie była Szwajcaria, ale cholerna Polska, gdzie złodziei było mniej więcej tyle samo, co praworządnych obywateli.

Wnętrze prezentowało się równie pięknie, co fasada budynku. Na podłodze ułożono jasny parkiet, odnowiono sztukaterie i balustrady przy schodach, a jasne ściany aż prosiły, by powiesić na nich jakieś piękne stare obrazy. Amelia przystanęła na środku obszernego salonu i okręciła się dookoła. Bez trudu mogła sobie wyobrazić to miejsce, gdy było wypełnione

meblami, a na komodach stały wazony ze świeżymi kwiatami. Zimą zapewne w kominku skwierczał ogień, a nieopodal niego na jakimś futrzanym posłaniu wylegiwały się rasowe psy.

– Boże... Ależ tu pięknie. Szkoda, że nigdy tu nie zamieszkać.

Karol wziął jej dłoń i włożył w nią duży klucz.

– Jest twój – powiedział.

– Karol, co ty mówisz? – Amelia naprawdę była szczerze zdziwiona. – To ty?

– No jak ja? Spółka z Warszawy...

– W której masz sto procent udziałów?

– Teraz już tak, bo ten drań Łyszkin zawinął się do Anglii. Teraz ty zostaniesz jej właścicielką i wszystkiego dookoła.

– Przecież to musiało kosztować fortunę...

– Myślałem, że wydatki nigdy się nie skończą. – Uśmiechnął się do niej.

– Ubiegłeś mnie...

– Wiedziałem, że zechcesz odzyskać posiadłość ojca.

– I naszego dziadka... Karol, dlaczego to zrobiłeś? Mogłam odzyskać ten dom za darmo. – Amelia wciąż była zszokowana.

– Zapłaciłem za ruiny śmieszne pieniądze, a bardzo chciałem zrobić ci niespodziankę.

Popatrzyła na niego ze smutkiem w oczach.

– Karol, ale bez ciebie to miejsce wcale nie będzie mnie cieszyło. Nic mnie nie cieszy, gdy ciebie nie ma obok.

– Amelio... Nie wpuścisz męża do swojego nowego lokum?

Zadrzała, bo wciąż była żoną tego bydlaka Sadły.

– Najpierw muszę się rozwieść – bąknęła. – Pokaż mi naszą sypialnię.

– Chodź... Ale nie ma tam jeszcze łóżka – szepnął.

– Kochanie, a od kiedy potrzebujemy łóżka, żeby się dobrze zabawić? – zapytała zalotnie.

Spotkanie z potencjalnym kontrahentem oczywiście było blefem, więc mogli spędzić kilka godzin w Chełmicach. Przeszli się alejkami parkowymi, zajrzeli jeszcze do stajni, aż dotarli do niewielkiego pagórka, skąd rozciągał się widok na okolicę. Oddalona o jakieś dwa kilometry wieś w poświacie zachodzącego słońca wyglądała zjawiskowo. Było jak w bajce. Nareszcie...

– Wiesz, Karol, jeśli piekło istnieje, na pewno do niego trafię, ale teraz podarowałeś mi kawałek nieba.

– Jeśli istnieje, to na pewno się w nim spotkamy – westchnął. – Dobra wiadomość jest taka, że spotkam w nim też ojca i jeszcze kilku dobrych znajomych. Nie wiem tylko, co zrobię, gdy natknę się tam na Sadło. Obiecałem mu na waszym ślubie, że jeśli cię skrzywdzi, zabiję go.

– Ale nie zrobiłeś tego, więc może dostaniesz wygodniejszy kociołek. – Zachichotała.

– Chyba się starzeję...

– Ja także, ale wcale mnie to nie martwi, bo spędzę starość z tobą. Powiedz, dlaczego kazałeś mi tak długo na siebie czekać?

– Powiedziałem ci, Amelio: jeśli w związku brakuje zaufania, to znaczy, że brakuje w nim szczęścia. A ja cholernie chciałem być szczęśliwy.

– Jesteś twardym i trudnym zawodnikiem, Lewin – stwierdziła, uśmiechając się półgębkiem.

– Trafiłem na godnego siebie przeciwnika – mruknął.

– Niech cię to nie martwi, kochanie. Pomyśl, ile jesteśmy w stanie osiągnąć razem i jak daleko zajść...

– Wyciągniesz mnie z każdych tarapatów – odparł.

– A ty mnie... Kochasz mnie, Lewin, czy jestem twoim trofeum?

– Oczywiście, że jesteś moim trofeum. – Uśmiechnął się nienaturalnie. – I dlatego cię kocham.

39.

Gdańsk, 1992

Kostek Piotrowski każdego mógł się spodziewać w swoim domu, ale na pewno nie swojej byłej żony, Natalii. Przyleciała z Mateuszem, gdy dowiedziała się o zniknięciu swojej młodszej siostry, a gdy ta się odnalazła, postanowiła go odwiedzić. Było dziwnie i cholernie niezręcznie. Rozmowa kompletnie się nie kleiła, a w dodatku chłopcy spędzali weekend u rodziców i nie mogli go wybawić z opresji.

– To opowiadaj, co teraz robisz – zagał, chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo go to interesowało. Nie mógł jednak milczeć, bo cisza pomiędzy nim a Natalią zrobiła się przytłaczająca. Przywykł do tego, że nie zawsze trzeba paplać bezustannie, ale teraz czuł się nieswojo.

– Wróciłam do redakcji. Leczę się. Nie piję, nie szaleję, próbuję poskładać swoje życie do kupy. Właściwie przyjechałam do ciebie, żeby cię przeprosić. Nie byłam dobrą żoną i zawiodłam jako matka bliźniaków. Zostawiłam ich w chwili, gdy potrzebowali mnie najbardziej – powiedziała cicho.

– Miałaś swoje problemy, Natalio. Chory człowiek nie musi przeproszać za swoje dolegliwości. Cieszę się, że sobie to uświadomiłaś – powiedział bez przekonania, bowiem nie wierzył w długofalową przemianę byłej małżonki.

Nie miał do niej żalu, to już minęło, ale tacy ludzie jak Natalia mieli w sobie demona, który wcześniej czy później dochodził do głosu. Na szczęście nie był to już jego problem.

– Tak, Kostek. To było najtrudniejsze... Przyznać się przed samą sobą, że coś jest ze mną nie w porządku. Mam nadzieję, że teraz będzie już tylko lepiej. – Wzięła go za rękę i delikatnie ścisnęła.

– Życzę ci tego z całego serca...

Kostek chciał coś dodać, ale usłyszał skrzypienie drzwi. To ojciec przyprowadził chłopców. Krzyknął od progu:

– Te huncwoty zostały jeszcze na podwórku! Ale bigos od matki ci przywioz...

Nie dokończył. Stał w drzwiach pokoju jak wryty. Zapewne nie miał pojęcia, kim była kobieta, która teraz siedziała z jego synem na kanapie i

głaskała go po rękę.

– Tato... – Kostek był zupełnie spokojny. – Poznaj Natalię.

– Jaką znowu Natalię? – Błazej nieco się zaperzył.

Natalia wyciągnęła dłoń w kierunku starego Piotrowskiego.

– Jestem żoną Kostka. To znaczy byłą żoną. Żałuję, że poznałam swojego teścia dopiero wówczas, gdy przestał nim być.

Natalia, wychowana w Wielkiej Brytanii, mówiła dobrze po polsku, ale z akcentem, który sprawiał, że niekiedy zdawało się, jakby kobieta bełkotała.

– Że co? – wyrwało się ojcu, ale zreflektował się i uściśnął dłoń byłej synowej. – Piotrowski. – Po chwili dodał: – Kostek, chodź ze mną do kuchni. No... ten bigos trzeba gdzieś wstawić.

Wiedział, że nie po to ojciec go zawołał. Miał słuszość, bo gdy tylko znaleźli się z dala od Natalii, powiedział:

– Gada, jakby napchała gębę watą. Synu, co ty robisz? Za miesiąc się żenisz z Julią, a ciągle jakieś baby się kręcą po twoim mieszkaniu.

– Tato, przyleciała do Polski, bo jej siostra zaginęła. Kiedyś byliśmy sobie bliscy, więc mnie odwiedziła, to wszystko.

– Widziałem, jak międlila twoją rękę. Żeby wam ta bliskość tylko dłużej nie została – burknął.

– Tato... – jęknął. – Tobie się wydaje, że ja z każdą do łóżka chodzę.

– Niech ci będzie. W końcu głupio zdradzać żonę przed ślubem.

– Uwierz, Natalia jest ostatnią osobą, z którą bym to zrobił.

– Ale z cycatą Amerykanką albo z tą od gitary to i owszem? – wymamrotał. – A ty w ogóle to kochasz tę Julię?

– Tak, kocham – wydukał, choć wcale nie był tego pewny.

Cieszył się, że Julia zagościła w jego życiu. Była taka poukładana, rzeczowa i będąc z nią, czuł błogi spokój. Cóż jednak z tego, jeśli nie było dnia, w którym nie myślałby o szalonej Majce i nocy z nią spędzonej. Zmysłowej, wypełnionej namiętnością, jakiej nie zaznał od czasów Beaty Santorskiej. Jednak panna Staśko musiała pozostać jedynie w sferze jego marzeń. Był już dojrzałym mężczyzną, a niekiedy nawet czuł się bardzo staro, więc nie mógł szaleć jak kiedyś. On potrzebował stabilizacji, podobnie jak jego chłopcy.

Musiał coś postanowić, ponieważ niebawem miał się na stałe przenieść do Warszawy. Dlatego oświadczył się Julii i został przyjęty. W stolicy objął stanowisko redaktora naczelnego „Nowej Polski”, które powierzyła mu Kinga Dargiewicz-Łyszkina. Oboje z Grzegorzem zdecydowali, że wrócą do

Londynu, żeby zacząć wszystko od początku. Kinga, która tak bardzo pragnęła być częścią nowej ojczyzny, sromotnie przegrała. Tak jak on... I tak mieli więcej szczęścia niż inni, ponieważ człowiek, który podobnie jak Kinga zajmował się sprawą wielkiego holdingu Elektromax, Jarek Ziętara, zaginął bez wieści miesiąc wcześniej i do tej pory go nie odnaleziono. Kostek był przekonany, że jeśli minęło tyle czasu i niczego nie ustalono, mężczyzna zapłacił najwyższą cenę za ściganie hochsztaplerów. Tak, to był czas, gdy dziennikarze umierali za prawdę.

Chwilami myślał, że jego praca była jak rosyjska ruletka. Nigdy nie było wiadomo, komu można nadepnąć na odcisk, a kiedy odpuścić. A on miał dwóch nastoletnich synów i niebawem zyska także małżonkę.

– Ech... – Usłyszał głos ojca. – Jakoś ci nie wierzę. Nie wyglądasz na takiego, któremu lico bije szczęściem.

Nie odpowiedział.

Ojciec pożegnał się szarmancko z Natalią, jego tylko poklepał po ramieniu i dodał na odchodnym:

– Synu, masz jeszcze miesiąc. Lepiej się zastanów, co robisz.

Nie zastanawiał się, zwłaszcza że następnego dnia przyjechała Julia. Bez skrępowania opowiedział jej o wizycie Natalii, bo wiedział, że jego narzeczona nie jest typem zazdrońcy.

Było późne popołudnie. Chłopcy siedzieli w swoim pokoju, Julia czytała książkę, a on słuchał radia i myślał sobie, że tak właśnie wygląda normalne, spokojne życie. Wtedy usłyszał głos spikera:

– A dzisiaj w naszym studiu Maja Staśko. Maju, nagrywasz drugą płytę, a dzisiaj jest premiera twojego nowego singla.

– Już skończyłam pracę w warszawskim studio. Pojutrze lecę do Londynu, by nagrać moje utwory w wersji angielskiej.

– Doszły mnie słuchy, że zamierzasz zostać tam na zawsze.

– Tak, postanowiłam rozpocząć zupełnie nowy rozdział w swoim życiu.

Kostek wyczuł przygnębienie w głosie Majki. Jemu też zrobiło się przeraźliwie smutno. Niebawem miał zamieszkać w Warszawie, ale teraz już wiedział, że na pewno nie spotka na jej ulicach szalonej, utalentowanej kobiety, która nie potrafiła kłamać.

– Twój singiel jest dość nietypowy. Bardzo stara piosenka w zupełnie nowym, nieco ostrzejszym aranżu. Podobno wiąże się z nią jakaś

romantyczna historia...

– Tak, tą piosenką moja babka zdobyła serce mojego dziadka. Podobnie było z moimi rodzicami – odparła.

– A ty? Też chcesz w ten sposób wyśpiewać komuś miłosne wyznanie?

Usłyszał nerwowy śmiech Majki.

– Nie. Ja już straciłam nadzieję – odparła niby żartem.

– W takim razie posłuchajmy *Uliczki w Barcelonie*, którą niegdyś śpiewały Hanka Ordonówna oraz Hanka Lewinówna i która podobno łamie męskie serca.

Rzeczywiście Majka wykonała utwór z tak zwanym pazurem. Miała czysty, głęboki i silny głos, który teoretycznie nie pasował do tej piosenki, jednak panna Staśko zaśpiewała ją po mistrzowsku. Kostek wgapiał się w radiodbiornik jak zaczarowany, mimo że jedyne, co widział, to czarny głośnik.

– Jedź do niej. – Usłyszał za plecami głos Julii.

– Słucham? – Miał wrażenie, że te słowa skierowane były do kogoś innego.

– Kochasz ją, chociaż tak bardzo się przed tym bronisz. Ja też chciałam pokochać ciebie, bo przecież trzeba mieć kogoś, kto poda ci szklanekę herbaty na starość. Oszukujemy się oboje. Nie chcę się przenieść do Warszawy i żyć w chaosie. Lubię swoje nudne, rutynowe życie. Czyli coś, czego ty nienawidzisz. Łap szczęście, Kostek, zanim odleci do Londynu.

– Julio... Za miesiąc nasz ślub – jęknął.

– Zatem to ostatni moment na podjęcie decyzji.

– A co z tobą?

– Powiedziałam: to i tak by się nie udało.

Tego popołudnia Julia spakowała swoją niewielką walizkę i wyjechała do siebie. A on nie miał ani siły, ani sumienia, żeby ją zatrzymać. Kiedy wyszła, usiadł w fotelu i wgapiał się w to cholerne radio, mimo że trwała już zupełnie inna audycja.

W pewnej chwili zawołał chłopców.

– Chcecie dzisiaj spać u babci i dziadka? – zapytał.

– Pewnie – powiedział Jasiek. – Zjadłbym placki ziemniaczane, a babcia robi najlepsze.

Nie tłumaczył rodzicom, po co jedzie do Warszawy. Przywykli do takich akcji w wykonaniu Kostka, ponieważ nie raz i nie dwa podrzucał im

zniecka chłopców. Wciąż drżał na samą myśl, co mogliby wykombinować, gdyby zostawił ich samych w domu.

Wyjechał około dwudziestej drugiej i czuł, że będzie musiał się zdrzemnąć w aucie, bo oczy kleiły mu się jak oszalałe. Padał deszcz, pogoda była fatalna i może dlatego czuł się taki senny. Jednostajny ruch wycieraczek jeszcze to potęgował. W pewnej chwili zjechał na jedną ze stacji benzynowych, wyłączył stacyjkę i odchylił siedzenie. Zdążył jedynie sięgnąć po kraciasty koc, który zawsze ze sobą woził, i zasnął jak zabity.

Ocknął się około piątej. Miał wrażenie, że zaledwie przed sekundą zamknął oczy. Ruszył przed siebie i przed ósmą zaparkował samochód przed willą Łyszkinów. Otworzył mu Igor w szlafroku i bardzo się zdziwił jego wizytą, zwłaszcza o tak wczesnej porze.

– Dzień dobry. Ja do Majki – powiedział szybko.

– Ale Mai nie ma. Poleciała do Londynu – odparł i zerknął na zegarek. – Jeszcze nie. Odlatuje o dziewiątej. Karol zawiózł ją na lotnisko, bo Nadia jest w kompletnej rozsypce, odkąd usłyszała, że Maja ma zamiar zostać na stałe w Anglii...

Ostatnie zdanie Kostek usłyszał, gdy był już przy furtce. Ruszył z impetem, bo musiał złapać Maję, zanim przejdzie przez bramki kontroli celnej. Szczyt komunikacyjny wytracał powoli swój impet, ale Piotrowski odnosił wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Czerwone światła paliły się zbyt długo, zielone zaś za krótko. Gdy tylko chciał przyśpieszyć, narażając się nawet na mandat, albo autobus akurat wyjechał mu z zatoczki, albo jakiś pieszy władował mu się na pasy.

W pewnej chwili usłyszał w radiu *Uliczkę w Barcelonie* i pomyślał, że to, co robi, jest istnym szaleństwem. I zdecydował się na to z powodu głupiej piosenki...

Zaparkował samochód, nawet nie sprawdzając, czy przypadkiem nie stoi w tym miejscu znak zakazu zatrzymywania, i wbiegł do hali odlotów. Rozejrzał się i zobaczył idącego w jego stronę Karola Lewina. Aż się wzdrygnął na jego widok, mimo że teraz Lewin wyglądał jak zamożny biznesmen, a nie brutalny esbek.

„Biznesmen jak z koziej dupy trąba. I w dodatku za cudze pieniądze” – pomyślał z przekąsem. Nie zamierzał się z nim witać ani mu lżyć, tylko udawać, że go nie zauważył. Teraz miał coś innego do załatwienia. Jednak gdy go mijal, wpatrzony w przestrzeń, by odnaleźć w tłumie Majkę, poczuł, że ktoś złapał go za ramię. Odwrócił wzrok i napotkał zimne spojrzenie

Lewina. Mimo że ten nie mógł już niczego mu zrobić, Kostek poczuł ten sam lęk, jak wówczas, gdy chodził do niego na przesłuchania. Drgnął, ale nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Przekonaj ją, żeby wróciła do Polski, bo mojej Nadeńce pęknie serce. – Zwolnił uścisk i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Jak zwykle pewnie, z wyprostowaną posturą i lekko się kołysząc. Nawet jego chód budził respekt.

W końcu ją dostrzegł. Stała trochę na uboczu i gmerała nerwowo w swojej przepastnej torbie. Jak zwykle nie mogła w niej znaleźć czegoś, co było jej w tym momencie bardzo potrzebne. Często się śmiała, że gdy tylko musi coś wyjąć z torby, jakiś chochlik chowa to w tajemniczym zakamarku.

– Majka! – krzyknął.

Podniosła wzrok i była kompletnie zaskoczona. Po chwili znowu spuściła głowę.

– Kostek? A co ty tu robisz? – zapytała, wciąż wpatrując się we wnętrze swojej torebki.

– Majka, nie wyjeżdżaj. To znaczy teraz wyjedź i nagraj tę cholerną płytę, ale potem wróć. Nie zostawiaj mnie tu samego – wysapał.

– Przecież ty niedługo bierzesz ślub. – Majka wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Kostek namawia ją na powrót.

– Tak, biorę, ale przyszła panna młoda jeszcze nie powiedziała „tak”.

– Nie rozumiem... Proszę, pomóż mi poszukać tego cholernego paszportu. Przed chwilą go tu wkładałam. Byłam pewna, że do bocznej kieszeni...

– Majka! Możesz na chwilę przestać? – poprosił.

Zamarła, nadal stojąc ze spuszczoną głową, jakby odebrał jej ostatnią deskę ratunku, która chroniła ją przed spojrzeniem mu w oczy.

– Kostek, ja zaraz muszę tam wejść. – Wskazała brodą bramkę.

– Posłuchaj, jestem starszy od ciebie, mam dwóch synów, kompletnych chuliganów. Moje życie jest jak kolejka górską, bo praca jest dla mnie cholernie ważna. Mogę coś obiecać, zaplanować i nagle... muszę zmienić plany. Jestem cholernym bałaganiarzem, bywam uparty jak osioł i cię kocham – wyrzucił z siebie te słowa na niemal jednym wdechu.

W końcu popatrzyła na niego.

– Kostek, przecież ja to wszystko wiem. – Uśmiechnęła się delikatnie i po chwili dodała: – Kocham śpiewać, żyć na walizkach i nie potrafię dobrze

gotować. Kiedy ruszam w trasę, potrafię wywalić wszystkie ciuchy z szafy... I też cię kocham.

– Więc za miesiąc ślub? – zapytał niepewnie.

– Nie uważasz, że najpierw powinniśmy powiedzieć o tym twoim i moim rodzicom? A mnie nagranie płyty zajmie kilka tygodni...

– Moimi rodzicami się nie martw, wszystko załatwię. A teraz idź już, bo samolot odleci bez ciebie. I pokaż tę torbę, mogę się założyć, że ja znajdę ci paszport od razu – odparł i faktycznie tak się stało.

– Jezu, masz rację – jęknęła i pobiegła w stronę bramek.

Po chwili zawróciła i pocałowała go w usta, a potem ruszyła przed siebie. Z lekko potarganymi włosami, kurtką zarzuconą na ramię, która ciągle się z niego zsuwała, i w wytartych dżinsach, opinających się niebezpiecznie na jej pośladkach.

Nie miał pojęcia, jak będzie wyglądało ich wspólne życie, ale nie był aż tak stary, by nie mógł zaryzykować.

40.

Londyn, 1992

Błażej Piotrowski z niepokojem zerkał na płytę lotniska, na której kołowały ogromne samoloty pasażerskie.

– Gabryśka... – powiedział do żony. – Jak ta kupa żelastwa spadnie, to zostaną po nas tylko gówna i kaptcie.

– Przynajmniej razem umrzemy – odparła. – Swoją drogą, to Nelka mogłaby się ruszyć, zamiast ciągać starych ludzi taki świat drogi.

– Była w Polsce w zeszłym roku, a teraz organizuje wigilię dla całej rodziny. Ta twoja stuknięta też będzie? – zafrasował się Błażej.

– Natalia? Nie mów tak o niej, tato. Nie, gdzieś poleciała, ale nie wiem dokąd – odparł. – Ona nie lubi świąt.

– No przecież mówię, że stuknięta.

Stary Piotrowski nawet nie ukrywał zdenerwowania przed pierwszym w życiu lotem. Uspokoił się nieco dopiero wówczas, gdy zasiadł w fotelu samolotu.

– E, gdybym wiedział, że te stewardesy takie ładne kobitki, to mniej bym się bał – powiedział, moszcząc się na siedzeniu.

– I jeszcze ci drinka podadzą. – Kostek się zaśmiał.

– To już całkiem elegancko. Jak będziemy spadać, może zdążę się jeszcze zaprawić w czarnoziem.

– Stary wariat – mruknęła Gabriela, ale nie powiedziała już niczego więcej, bo stewardesy nakazały zapiąć pasy i sprawdzały, czy pasażerowie zrobili to poprawnie.

– Proszę pani, ja chyba coś nie tak zrobiłem, bo mnie jakoś tu w boku uwiera – powiedział Błażej do długonogiej blondynki, do której mundur przylegał niczym druga skóra.

– Zaraz sprawdzę. – Stewardesa uśmiechnęła się w wystudiowany sposób i zaczęła sprawdzać zapięcie. – Nie, wszystko w porządku. Może trzeba trochę poluzować, widocznie wcześniej siedział tu ktoś szczuplejszy.

Mina Błażeja sposepniała i wyszeptał do żony:

– Powiedziała, że jestem gruby. Co za szantrapa.

– Trzeba było jej nie wołać, tylko siedzieć cicho. Ale ty chciałeś na jej cycki popatrzeć – burknęła Gabriela, a potem ścisnęła dłoń męża. –

Obyśmy nie zlecieli...

– Jakie cycki, jak zapięta była całkiem pod szyję. A kto wie, czy nie napchała sobie waty do stanika – odparł nieco urażony Błażej. – I cobyśmy szczęśliwie wylądowali.

Samolot wystartował, a Kostek zerkał co chwilę to na rodziców, to znowu na swoich synów i miał wrażenie, że za chwilę dostanie zeza rozbieżnego.

Kiedy już nieprzyjemne odczucie podczas startu minęło, Gabrysia zwróciła się do męża:

– I jak się czujesz? Nie było tak źle, prawda? Trochę mi w uszach świszcząło, ale sądziłam, że będzie gorzej.

Piotrowski milczał. Jego małżonka trąciła go łokciem. Spojrzał na nią i zapytał gromkim głosem:

– Mówiłaś coś?

– Czego się drzesz. Zachowuj się, tu leci eleganckie towarzystwo.

– Nie słyszę! Powtórz jeszcze raz! – wydarł się ojciec.

– Kostek... – jęknęła Gabriela. – Ojciec ogłuchł. Matko Boska, co teraz zrobimy?

– To chwilowe, niedługo mu przejdzie. Niech żuje gumę, weź od chłopców. Ma zatkane uszy, to normalne, ale nie jest groźne.

– Jak gumę? Sztuczna szczęka od tego nie wypadnie? – zaniepokoiła się Piotrowska.

– Masz rację, Gabryniu. Za oknem jest ładnie... – wtrącił się Błażej.

– Widzisz, już coś do niego dociera. – Kostek zarechotał.

– Chryste Panie, już nigdy nie polecę samolotem – westchnęła Gabriela i przymknęła powieki, jakby się łudziła, że gdy ponownie je otworzy, będą już na ziemi.

W domu Nelki Kostek w końcu powiedział rodzicom o Majce.

– To już druga narzeczona w tym roku. Jak tak dalej pójdzie, dorobię się tuzina synowych w przyszłym – burknął Błażej.

– Sam mówiłeś, żebym nie rezygnował ze szczęścia – odparł.

– Naprawdę tak mu powiedziałaś? – zdziwiła się Gabriela. – Od kiedy zrobił się z ciebie taki romantyk? Przecież ta kobieta wygląda, jakby była starszą siostrą bliźniaków.

– Jej ojciec też jest grubo starszy od matki. To taka rodzinna tradycja. – Kostek wyszczerzył zęby.

– Tylko zaprzysięgnij się mi tutaj, że to już ostatnie twoje małżeństwo. – Ojciec złapał go za rękaw koszuli, jakby tonął, i właśnie chwycił ostatnią deskę ratunku.

– Marzę o tym tak samo, jak ty... Przed chwilą prasowana, nie gniewaj jej, bo na zaręczynach będę wyglądał nieelegancko.

Błazej puścił rękę syna i dodał:

– Ale Jasiek z Pawełkiem ją polubili. Taka sama postrzelona jak i oni. Niech więc i tak będzie. Mam nadzieję, że chociaż skarpetki umie zacerować.

– Tato, dzisiaj nikt już nie ceruje dziurawych skarpet, tylko nowe kupuje.

– Roześmiał się.

– Świat się kończy, jeśli ludzie wyrzucają na śmietnik prawie nowiuśkie skarpety. No ale mamy teraz w Polsce kapitalizm.

41.

Berlin, 1993

Walter von Lossow wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał mur berliński. Kiedy zdarzało mu się przechodzić koło tej newralgicznej części Berlina, myślał o ludziach po tamtej stronie. Tam zaczynał się Wschód... W dawnej strefie bezpieczeństwa kręciło się mnóstwo osób i nie byli to jedynie turyści, ale również mieszkańcy miasta, którzy chyba wciąż nie mogli uwierzyć, że muru już nie ma, a ludzie mogą się swobodnie przemieszczać. Walterowi przypomniało się warszawskie getto, w którym ludzi oddzielała od reszty świata brama i szlaban. Pomyślał o Holly Evans, która zginęła w Warszawie, zamordowana przez żołnierza SS. Gdyby żyła, czułaby to, co on – radość i dumę.

Ktoś położył mu dłoń ramieniu.

– Lossow, aleś ty się stary zrobił! – wykrzyknął Igor Łyszkin ze łzami w oczach.

– Ty też nie młodniejszy, stary draniu. – Lossow nawet nie próbował ukryć wzruszenia.

– Pomyślałbyś, że kiedyś to nastąpi? Że runie ten cholerny mur?

– Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek powstanie. Dobrze cię widzieć, przyjacielu.

– Zdążyliśmy niemal w ostatniej chwili, bo kto wie, czy za dziesięć lat nie pozostaną po nas jedynie popioły – westchnął.

– I jak się czujesz w nowej rzeczywistości?

– Zmienił się rynek i władza, ale cała reszta pozostała taka sama. Dawno temu święcie wierzyłem, że nie ma lepszego ustroju niż komunizm. Teraz mamy demokrację, a i tak społeczeństwo dzieli się na tych, którzy pchają się do koryta, i na takich, którzy muszą na to bezradnie patrzeć. Systemy, ustroje i strefy wpływów mogą się zmieniać, ale człowiek wciąż pozostaje taki sam... Zawsze będzie ciągnął wózek w swoją stronę. Słabsi odpadną, silniejsi na niego wsiądą.

– Co za smutna analiza współczesności – stwierdził Walter i uśmiechnął się. – Jeśli jednak owe zmiany sprawiły, że mogliśmy się spotkać po ponad czterdziestu latach, to warto było. Żałuję jedynie, że Julian tego nie doczekał. Moglibyśmy jak kiedyś zabalować na całego.

– No, stary, tylko dziwki by odpadały. Kurwa nie dziewica, starość nie młodość – ze śmiechem stwierdził Łyszkin.

– Tak, panienki nie wchodzi w grę, ale napić byśmy się jeszcze mogli.

– Hanka pojechała się spotkać ze swoim niemieckim znajomym, Hermannem Ritzem. Powinienem być zazdrosny, ale nawet na to jestem już za stary. Poszukajmy jakiejś knajpy, bo przemarzłem na kość. – Igor poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Popatrzmy jeszcze trochę na to miejsce. To symbol nowej Europy. – Zamyślili się obaj na chwilę. – A jak dzieciaki? Bo pozostały ci stare nawyki i nic mi o nich nie pisałeś.

– No cóż, jestem już pradziadkiem... Grzegorz ożenił się z Polką urodzoną w Wielkiej Brytanii i tak się spotkał Wschód z Zachodem...

– Zimna wojna czy bitwa o Anglię? – zażartował Walter.

– Nie, raczej lądowanie w Normandii. Koniec końców zamieszkali w Londynie. Ma syna, jak to kiedyś mówił, zrobionego przez matrycę Łyszkinów, i córkę, Hanię, która co prawda jeszcze dobrze z pieluch nie wyrosła, ale gwiazdorzy jak jej babka. Prorokuję, że będzie kiedyś tak sławna, jak moja małżonka, bo już teraz zachowuje się tak, jakby wszyscy dookoła byli jej giermkami. Nadia nadal pracuje, ale odkąd rozwiązano PZPR, nie angażuje się partyjnie. Jej mąż saksofonista odpoczywa na emeryturze. Majka wyszła za prawniczego dziennikarza i obdarowali mnie prawnuczką. Ma na imię Gabryśia, więc jest nadzieja, że będzie nieco grzeczniejsza niż latorośl Kingi i Grzegorza.

– O, proszę, jak to świat się zmienia. I co, rewolucja bolszewicka czy raczej bitwa warszawska?

– To drugie... A Lewin...

– Lewin, Lewin... Przypomnij mi... – przerwał mu Lossow.

– Nie pamiętasz, stary sklerotyku? Emil Lewin, brat Hani, polował na swojego przyrodniego brata, a naszego przyjaciela.

– A... rzeczywiście, jakiś czas temu była u mnie córka Chełmickiego i chyba jej nawet o tym mówiłem.

– Amelia.

– O, tak, Amelia. Piękna kobieta, absolutnie zjawiskowa.

– Wyszła za Karola Lewina. W końcu, bo mają już szesnastoletniego syna.

– O, proszę, po tylu latach zdobył Berlin? – zdziwił się von Lossow, stosując wojenną analogię. – Wszystko pozostało w rodzinie.

- Człowieku, Amelia przypomina z charakterku twoją Renate Zoll.
 - Córka Juliana i Weroniki? Aż trudno mi w to uwierzyć.
 - Widzisz, niekiedy geny mieszają się w dziwny sposób. To nie było zdobycie Berlina, ale raczej okrażenie Stalingradu – roześmiał się Łyszkin.
 - A Amelia jest jak feldmarszałek Paulus.
 - Przecież on się poddał – zdziwił się Walter.
 - No właśnie! Ale zajęło mu to trochę czasu.
- Przez chwilę milczeli, wpatrując się w pozostałości po murze berlińskim.
- Druga wojna, zimna wojna... a nasza przyjaźń przetrwała. Ani tobie, ani mnie władza nie wyprała mózgu – odezwał się w końcu Lossow.
 - Można zawładnąć czyimś ciałem i umysłem, ale nie duszą.
 - Łyszkin, stary bolszewik, uwierzył w istnienie duszy?
 - Czyżby stetryczały nazista także w nią wierzył? A nie w Führera? – zapytał Igor.
 - Nie wiem, czy dusza istnieje, ale coś na pewno w nas siedzi.
 - I wyje do księżycy – zażartował Łyszkin i dodał: – Dziwnie się żyje w kraju, w którym każdy dzień przynosi coś nowego. Dobrego albo złego.
 - Już niewiele nam tego życia pozostało – westchnął Lossow.
 - Ale ja mam dzieci i o nie się martwię.
 - Dlatego ja ich nie posiadam. Nie chcę żałować, że kogoś tutaj zostawiam. Żaden z nas nie wie, jak będzie wyglądał świat za dwadzieścia, trzydzieści lat. Mówi się, że co jakiś czas musi wybuchnąć kolejna wojna, żeby poprzestawiać figury i pionki na szachownicy. Patrząc jednak na pamiątkę po murze berlińskim, myślę sobie, że ja na szczęście już nie będę ani brał w niej udziału, ani na nią patrzył.
 - Tak, dopiero po latach człowiek uświadamia sobie, że spalał się i walczył, by ktoś inny załatwiał swoje sprawy rękami maluczkich. Zawsze byłeś pacyfistą, Lossow, ja inaczej to wszystko postrzegałem i walka była dla mnie ważna. O ideę czy o wyimaginowaną wolność. A i tak skończyliśmy tak samo. Jako spokojni i pogodzeni ze światem emeryci. – Uśmiechnął się i dodał: – Przyjeżdż do Warszawy, nie poznasz jej. To już zupełnie inne miasto niż to, które zapamiętałeś.
 - Wszystko się zmienia, Łyszkin. Tylko my jesteśmy wciąż tacy sami. Młodzi, piękni i patrzący z ufnością w przyszłość – zadrwił Walter von Lossow.
 - Tak, przyjacielu. I tej wersji się trzymajmy...

KONIEC

Redakcja
Anna Seweryn
Projekt okładki
Anna Slotorsz
Fotografie na okładce

© *Elzbieta Sekowska, Susan Law Cain, frescomovie, AnRevel,*

Mikhail Pogosov, hecke61 / shutterstock.com

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej
Maksym Leki

Korekta
Urszula Bańcerek

Marketing
Kinga Ucherek
promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I, Chorzów 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3 C
tel. 600 472 609, 664 330 229
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji papierowej: LIBER SA
05-080 Klaudyn, ul. Zorzy 4
Panattoni Park City Logistics Warsaw I
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@liber.pl
dystrybucja.liber.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022
Tekst © Joanna Jakubczak

ISBN 978-83-8293-036-8

Table of Contents

<u>Strona tytułowa</u>
<u>Motto/Dedykacja</u>
<u>1. Gdańsk, 1989</u>
<u>2. Londyn, 1989</u>
<u>3. Warszawa, 1989</u>
<u>4. Sopot, 1989</u>
<u>5. Warszawa, 1989</u>
<u>6. Londyn, 1989</u>
<u>7. Gdańsk, 1990</u>
<u>8. Konstancin-Jeziorna, 1990</u>
<u>9. Okolice Warszawy, 1990</u>
<u>10. Warszawa, 1990</u>
<u>11. Warszawa, 1990</u>
<u>12. Warszawa, 1990</u>
<u>13. Warszawa, 1990</u>
<u>14. Okolice Warszawy, 1990</u>
<u>15. Warszawa, 1990</u>
<u>16. Gdańsk, 1991</u>
<u>17. Warszawa, 1991</u>
<u>18. Olsztyn, 1991</u>
<u>19. Warszawa, 1991</u>
<u>20. Warszawa, 1991</u>
<u>21. Warszawa, 1991</u>
<u>22. Warszawa, 1991</u>
<u>23. Warszawa, 1991</u>
<u>24. Warszawa, 1991</u>
<u>25. Gdańsk, 1991</u>
<u>26. Warszawa, 1991</u>
<u>27. Warszawa, 1991</u>
<u>28. Warszawa, 1991</u>
<u>29. Gdańsk, 1991</u>
<u>30. Warszawa, 1991</u>
<u>31. Gdańsk, 1991</u>

- [32. Warszawa, 1991](#)
- [33. Warszawa, 1992](#)
- [34. Warszawa, 1991](#)
- [35. Warszawa, 1992](#)
- [36. Warszawa, 1992](#)
- [37. Warszawa, 1992](#)
- [38. Warszawa, 1992](#)
- [39. Gdańsk, 1992](#)
- [40. Londyn, 1992](#)
- [41. Berlin, 1993](#)
- [Strona redakcyjna](#)